

Laurence

# Sterne

Zycie

i myśli

J. W. Pana

Tristrama

Shandy

I

Tłumaczyła  
Krystyna Tarnowska

Przejrzał  
i posłowiem opatrzył  
Witold Chwałewik

10/07/2013

Wiesła  
77-109  
ul. Świerzeńskiego 18, tel. 22 22 22 22

Do JW Pana Pitta

Czcigodny Panie!

Nigdy żaden biedny dedykujący człeczyna nie wiązał ze swoją dedykacją mniejszych nadziei, niżli ja z tą moją wiązę. Piszę ją bowiem w zapadłym kącie Królestwa, w starym domu pod strzechą, gdzie życie mi upływa na bezustannym bronieniu się — z pomocą wesołości — przed dolegliwościami słabego zdrowia oraz inną niedolą życia. Albowiem jestem głęboko przekonany, że ilekroć człowiek się uśmiecha, a zwłaszcza gdy się śmieje, wzbogaca ten Fragment swojego Życia.

Proszę Cię pokornie, Panie, abyś raczył wziąć tę księgę (nie pod swoją obronę, gdyż bronić musi się sama), tylko ze sobą na wieś. A jeśli zasłyszę kiedykolwiek, żeś uśmiechnął się nad nią albo że wykradła Ci ona podstępem jeden moment boleści, będę człowiekiem tak szczęśliwym, jak minister. Może nawet szczęśliwszym niż wszyscy ministrowie (prócz tylko jednego), o jakich słyszałem lub czytałem.

*Kreślę się, Znakomity Panie,*

*(a co większą Ci przynosi chlubę)*

*kreślę się, Zacny Panie,*

*jako Twój dobrze Ci życzący*

*i najpokorniejszy współpoddany*

AUTOR

# Księga I

## ROZDZIAŁ I

Żałuję, że mój ojciec albo moja matka, albo raczej oboje, ponieważ oboje jednako byli do tego obowiązani, nie pomyśleli, co robią, kiedy mnie poczynali... Gdyby bowiem zastanowili się we właściwy sposób, jak wiele zależy od tej ich czynności: że tyczy ona nie tylko wytworzenia istoty obdarzonej rozumem, lecz przypuszczalnie również szczęśliwego ukształtowania i konstytucji jej ciała, a być może talentów i typu umysłowości, oraz — chociażby o tym nie wiedzieli — że skłonności i humory, jakie w nich podówczas górowały, mogą wpłynąć na przyszłość całego rodu tej istoty... Gdyby to należycie zważyli i przemyśleli, i postąpili zgodnie z wynikiem swych rozumowań, najgłębiej jestem przekonany, że ukazałbym się światu w postaci zgoła innej niż ta, w jakiej ujrzą mnie zapewne czytelnicy. Wierzcie mi, zacni moi, że sprawa ta nie jest tak błaha, jak wielu z was zdaje się sądzić; mniemam, że wszyscy słyszeliście o lotnych substancjach \*,

\* Lotne substancje — ostateczny, rozumny produkt *spiritus naturalis*, po przejściu przez fazę *spiritus vegetalis*. Według dawnych teorii nadawały one materii się żywotną. W „Dykejonariuszu” Krzysztofa Kluka, wydanym w r. 1781, mowa jest o soku nerwowym albo o duchach ożywiających, po łacinie *spiritus vitalis*.

o tym, jak wraz z krwią przechodzą one z ojca na syna etc., etc. — oraz wiele innego w tym przedmiocie. Otóż ręczę wam słowem, że dziewięć dziesiątych rozsądku lub nierozsądku człowieka, jego powodzenia lub niedoli na tym świecie zależy od ruchu i działalności pomienionych substancji, a także od tego, jaki im nadacie bieg i na jakie pchniecie tory; tak więc gdy raz wprowadzone zostaną w ruch — dobrze czy źle, nie jest to rzecz bagatelna — pędzą przed się w bezładzie niczym zgraja obłąkańców. Stąpając zaś wciąż tym samym krokiem, wydeptują wnet drogę tak równą i gładką, jak aleja w parku, z której, gdy raz do niej przywykną, niekiedy sam diabeł nie zdoła ich zepchnąć.

— Wybacz, mój drogi — rzecze moja matka — ale czyś nie zapomniał nakręcić zegara? — Przebóg! — zawołał ojciec opatrując swoje słowa wykrzyknikiem, ale starając się jednocześnie złagodzić brzmienie głosu. — Czy kiedykolwiek od stworzenia świata niewiasta przerwała mężczyźnie tak głupim pytaniem? — Wybacz, ale co ojciec twój mówił? — Nic zgoła.

## ROZDZIAŁ II

— Zatem stanowczo nie mogę dopatrzeć się w tym pytaniu niczego złego ani dobrego. — W takim razie, panie, pozwól, abym cię objaśnił, że było to pytanie co najmniej niewczesne, odeгнаło bowiem i rozproszyło lotne substancje, na których spoczywał obowiązek pomagania i towarzyszenia HOMUNCULUSOWI oraz doprowadzenia go cało i bezpiecznie do miejsca przeznaczonego na jego przyjęcie.

HOMUNCULUS, panie, w jakkolwiek nędznym i ośmieszającym świetle przedstawia się w tym wieku płocności oczom głupoty i przesądu, widziany oczyma mądrości w naukowych badaniach jest bytem określo-

nym — ISTOTĄ strzeżoną i obwarowaną prawami. Badacze zjawisk najbardziej drobiazgowi, filozofowie, którzy, nawiasem mówiąc, najszersze posiadają horyzonty myślowe (albowiem z ich umysłami rzecz ma się odwrotnie jak z zakresem badań) dowodzą nam niezbicie, że HOMUNCULUS stworzony jest tą samą co my ręką, ukształtowany w tym samym procesie natury i obdarzony taką samą jak my zdolnością i umiejętnością poruszania się. Że podobnie jak my składa się ze skóry, włosów, tłuszczu, ciała, żył, arterii, ścięgien, nerwów, chrząstek, kości, szpiku, mózgu, gruczołów, genitalii, humorów i stawów. Że jest istotą tak czynną i ze wszech miar tak bliskim i tak prawdziwym naszym krewniakiem, jak Lord Kanclerz Anglii. Może nabywać prawa, może być stroną pokrzywdzoną, może otrzymać prawne zadośćuczynienie. Słowem, przysługują mu wszelkie roszczenia i prawa człowieka, które według Cycerona, Puffendorfa i innych najznakomitszych moralistów wynikają z przynależności do rodzaju ludzkiego.

Otóż, drogi panie, pomyśl tylko, że w samotnej jego drodze zdarzyć się mógł HOMUNCULUSOWI wypadek! Albo że w następstwie wywołanego tym wypadkiem przestraszu — rzecz to zrozumiała u tak młodego podróżnika — mój mały panicz dotarłby do celu podróży boleśnie wyczerpany, ze zmarnotrawionymi siłami cielesnymi i osłabłą żywotnością. Że własne jego lotne substancje znalazłyby się w trudnym do opisanego zamięcie, że w tym przykrym stanie wycieńczenia nerwowego byłby pastwą nagłych lęków, wielu melancholijnych snów i przywidzeń przez dzie więć długich, długich miesięcy. Wzdragam się myśleć, jaki fundament zostałby założony pod tysiące słabości zarówno cielesnych, jak duchowych, których nie zdołałaby już nigdy w zupełności naprawić biegłość żadnego lekarza czy filozofa.

### ROZDZIAŁ III

Powyżej przytoczoną anegdotę zawdzięczam mojemu stryjaskowi Imci Toby'emu Shandy, przed którym ojciec mój, będący człowiekiem nadzwyczaj biegłym w filozofii naturalnej, a także rozmiłowanym w prowadzeniu ścisłych rozumowań w najbliższym nawet przedmiocie, często i poważnie uskarżał się na tę swoją krzywdę. W szczególności zaś stryjasek Toby zapamiętał, że gdy zaobserwowawszy u mnie pewnego razu jakiś osobliwy sposób ukośnego puszczenia bąka pochwalił moją metodę, ojciec jegomość potrząsnął głową i tonem, w którym więcej było smutku niż wyrzutu, rzekł, iż w sercu od dawna nosił złe przeczucie potwierdzone przez tę tudzież tysiąc innych obserwacji: że ja nie będę nigdy myślał ani postępował jak dzieci innych ludzi. — Lecz niestety — dodał, po raz drugi potrząsając głową i ocierając ukradkiem łzę, która stoczyła mu się po policzku — niepowodzenia mojego Tristrama zaczęły się na dziewięć miesięcy przedtem, zanim ujrzał światło dzienne.

Moja matka, która siedziała opodal, podniosła głowę — ale ze słów ojca zrozumiała nie więcej niż jej własny z . . . k; za to stryjasek Toby Shandy, który często bywał informowany o sprawie, pojął dobrze, o co ojcu chodziło.

### ROZDZIAŁ IV

Wiem, że jest na świecie pewien gatunek czytelników, jak również wielu innych zacnych ludzi nie będących w ogóle czytelnikami, którzy czują się markotni, jeśli autor nie wtajemniczy ich od początku do końca we wszystkie szczegóły dotyczące jego osoby.

Tedy z czystej jeno powolności temu ich upodobaniu, a także z przyrodzonej mi niechęci czynienia kumkolwiek zawodu, wdawałem się dotąd w tak drobne opisy. Ponieważ zaś historia mojego żywota oraz moje myśli zrobią prawdopodobnie pewien rumor w świecie, a także, jeżeli moje przypuszczenie nie jest błędne, książka ta będzie się cieszyła u ludzi wszystkich stanów, kondycji i zawodów nie mniejszą poczytnością niż „Wędrówki pielgrzyma”, w końcu zaś osiągnie to, czego Montaigne obawiał się dla swych „Esejów”, a mianowicie stanie się rozrywką bawialni — uważam za właściwe kolejno u każdego zasięgnąć rady; i dlatego prosić muszę o pobłażanie, że nieco dłużej będę używał tej samej pisarskiej metody. Z tej przyczyny szczególnie rad jestem, że rozpocząłem historię mojego żywota w taki sposób, w jaki ją rozpocząłem; oraz że mogę snuć ją dalej, wymieniając rzecz każdą, jak to Horacy powiada — *ab ovo*. Wiem, że Horacy nie zaleca we wszystkim tego sposobu, że jegomość ów mówi jedynie o poemacie epickim czy tragedii (zapomniałem, o którym z dwojga). Zresztą jeśli tak nawet nie było, prosić muszę Imci Horacego o wybaczenie: pisząc bowiem to, com pisać postanowił, nie będę wiązał się jego prawidłami ani też prawidłami żadnego innego człowieka na świecie.

Ale dla tych, którzy nie życzą sobie cofać się tak daleko, nie znajdę rady światlejszej, niż aby opuścili pozostałą część niniejszego rozdziału; oznajmiam bowiem z góry, że napisałem go jedynie dla ciekawych i wścibskich.

————— Zamknijcie drzwi —————

Poczęty zostałem nocą z pierwszej niedzieli na pierwszy poniedziałek miesiąca marca roku Pańskiego tysiąc siedemset i osiemnastego. Jestem tego najzupełniej pewny. Jak zaś się to stało, że mogę przytoczyć tak szczegółową opowieść o tym, co zaszło przed moim urodzeniem, tłumaczy inna mała anegdota, dotąd znana jedynie w naszej familii, ale teraz podana do pu-

blicznej wiadomości w celu lepszego wyjaśnienia tej szczególnej sprawy.

Otóż wiedzcie, że ojciec mój, który prowadził dawniej handel z Turcją, lecz przed kilku laty porzucił interesu, aby przenieść się w zacisze i dokonać żywota w swoich dobrach rodzinnych w hrabstwie\*\*, był, jak mi się zdaje, we wszystkich poczynaniach jednym z najbardziej metodycznych ludzi na świecie — czy w grę wchodził interes, czy rozrywka. Przytoczę małej przykład tej jego niezwyklej systematyczności, której stał się niewolnikiem. Jedną z reguł rządzących nim przez wiele lat życia było, iż wieczorem w każdą pierwszą niedzielę miesiąca nakręcał własnymi rękami wielki zegar stojący w naszym domu na szczycie kuchennych schodów. A że w czasie, który opisuję, ojciec miał lat pięćdziesiąt kilka, stopniowo przeniósł również inne drobne rodzinne obowiązki na tenże termin, aby — jak to często mawiał do stryjaszka Toby'ego — pozbyć się ich wszystkich za jednym zamachem i zyskać pewność, że nie będą go trapiły i dręczyły przez resztę miesiąca.

Tylko raz jeden w trakcie spełniania tych powinności spotkało go niepowodzenie, które w znacznej mierze skrupiło się na mnie i którego następstwa, obawiam się, odczuwać będę na własnej skórze aż do grobowej deski. Mianowicie, na skutek niefortunnego skojarzenia myśli, między którymi nie ma rzeczywistych powiązań, doszło w końcu do tego, że ilekroć moja biedna matka słyszała nakręcanie pomienionego zegara, tylekroć nieuchronnie cisnęła jej się do głowy myśl o pewnych innych sprawach — i *vice versa*. Ta zaś osobliwa kombinacja idei bywa — jak tego dowodzi światły Locke, który na pewno rozumiał lepiej niż ktokolwiek inny naturę takich spraw — przyczyną większej liczby chybionych czynności niż wszystkie inne powody szkód.

Lecz o tym tylko mimochodem.

Otóż z zapisku mojego ojca w notesie, który spoczywa teraz przede mną na stole, wynika, że w dniu

Zwiastowania, które przypada w 25 dniu miesiąca mojego poczęcia, ojciec puścił się wraz ze starszym moim bratem Bobby'm w drogę do Londynu, aby oddać go do szkoły w Westminster; a ponieważ z tego samego źródła wynika również, że rodzic mój wrócił do żony dopiero w drugim tygodniu miesiąca maja — rzecz staje się niemal pewna. Wszelako to, co przytoczę na początku następnego rozdziału, rozwieje najmniejsze nawet cienie wątpliwości.

— Wybacz, panie, lecz co ojciec twój robił przez cały grudzień, styczeń i luty? — Ależ, pani, cały ten czas chory był na scjatykę.

## ROZDZIAŁ V

Dnia piątego miesiąca listopada 1718 roku, który to dzień, licząc od początku mojej ery, zakończył okres dziewięciu kalendarzowych miesięcy z taką dokładnością, jakiej w granicach rozsądku oczekiwać może najbardziej nawet wymagający małżonek — ja, Tristram Shandy, szlachcic, ujrzałem światło naszego nikczemnego i nieszczęsnego świata. Żałuję, że nie urodziłem się na Księżycu lub na jakiej bądź innej planecie (z wyjątkiem Jowisza i Saturna, zawsze bowiem byłem wrogiem zimna), ponieważ na żadnej z nich (nie dam jednak głowy za Wenus) nie mogłoby mi się chyba wieść gorzej, niż wiodło mi się na tym niegodziwym, plugawym globie, który, twierdząc to z pełnym szacunkiem i w zgodzie z własnym sumieniem, ulepiony jest z resztek i odpadków innych ciał niebieskich. Zresztą nie jest to taka najlichsza planeta, jeżeli człowiek urodzi się na niej z tytułem lub wielką fortuną albo też w taki czy inny sposób wkłęci się na publiczny urząd czy do służby, która zapewni mu dostojność i władzę. Lecz w moim przypadku rzecz ma się zgoła inaczej, każdy zaś człowiek mówi o jar-

marku w zależności od tego, jakiego dobił na nim targu; z tej więc przyczyny stwierdzam ponownie, że świat nasz jest jednym z najnikczemniejszych światów, jakie kiedykolwiek zostały stworzone; albowiem z ręką na sercu rzec mogę, że od chwili, gdy wciągnąłem w płuca pierwszy haust powietrza, aż do dzisiaj, kiedy ledwie dyszę z powodu astmy, której nabawiłem się jeżdżąc na łyżwach pod wiatr we Flandrii, byłem nieustanną igraszką w rękach istoty nazywanej przez świat Fortuną; a chociaż nie chcę krzywdzić jej niesłusznym oskarżeniem, iż dała mi kiedykolwiek odczuć ciężar jakowejś wielkiej lub dominującej niedoli, to jednak bez urazy stwierdzić muszę, że w każdej chwili mojego życia i na każdym jego zakręcie, kiedy łatwiej było mnie dopaść, owa niełaskawa pani raziła mnie gradem tak przykrych i tak mieszejących mi szyki przypadków, jakich żaden małego zakroju BOHATER nigdy chyba nie doświadczał.

## ROZDZIAŁ VI

Na początku poprzedniego rozdziału poinformowałem was dokładnie, kiedy przyszedłem na świat, nie powiadomiłem was przecie, jak się to odbyło. Nie, opis tej okoliczności zachowałem na oddzielny rozdział; zresztą, panie, skoro ty i ja jesteśmy poniekąd ludźmi najzupełniej sobie obcymi, nie byłoby to rzeczą właściwą, gdybym cię już w pierwszej chwili wtajemniczył w zbyt wiele szczegółów dotyczących mej osoby. Musisz, mój łaskawco, zdobyć się na odrobinę cierpliwości. Otóż podjąłem się opisać nie tylko mój żywot, lecz także myśli, tuszając i oczekując, że nabyta dzięki poznaniu pierwszego znajomość mojego charakteru i mojej osobowości wyostrzy ci, panie, apetyt na drugie. W miarę jak będziesz mi towarzyszył na kartach tej książki, nasza powierzchowna znajo-

mość, którąśmy właśnie zawarli, zmieni się w zażyłość; ta zaś, jeżeli żaden z nas nie zawini, skończy się przyjaźnią. — *O diem praeclarum!* — wtenczas żaden szczegół dotyczący mej osoby nie wyda ci się w treści błahy ani w opowiadaniu nudny. Zatem, drogi przyjacielu i towarzysz, jeśli uznasz nawet, że w początkach tej opowieści jestem nazbyt powściągliwym narratorem — okaż pobłażanie i pozwól mi snuć dalej historię mojego żywota na mój własny sposób. Lub gdybyś miał sądzić, że niekiedy zbyt marudzę w drodze, albo gdybym na chwil kilka przywdział błazeńską czapeczkę z dzwonekami — nie umykaj, a raczej zaufaj dwornie, że posiadam więcej rozumu, niż dostrzec możesz na pierwszy rzut oka. Kiedy zaś stąpać będziemy przed się powoli, albo śmieć się wraz ze mną, albo ze mnie, albo rób, co dusza zapagnie — tylko nie wybuchaj.

## ROZDZIAŁ VII

W tej samej wiosce, w której poblizu mieszkali moi rodzice, żyła chuda, uczciwa, macierzyńska, ogólnie znana, zacna stara kobieta położna, która dzięki odrobinie najzwyczajszego zdrowego rozsądku oraz pewnej liczbie lat praktyki w swoim zawodzie — kiedy to niewielkie pokładała nadzieje we własnych staraniach, duże zaś w staraniach matki Natury — osiągnęła dość znaczny rozgłos w świecie. Czyż muszę w tym miejscu wyjaśnić ci, panie, że przez słowo *ś w i a t* rozumiem co najwyżej maleńkie kóleczo narysowane na kręgu wielkiego świata, kóleczo o średnicy czterech mil angielskich, którego centrum była zapewne chata zamieszkała przez zacną staruszkę? Otóż w czterdziestym siódmym roku życia niewiasta ta owdowiawszy znalazła się w wielkiej biedzie, gdyż obarczona była trojgiem czy czworgiem drobnych

dziatek; a że była w owym czasie osobą zacnych obyczajów i nienagannego prowadzenia się — a co więcej, kobietą powściągliwego języka, przy tym zaś przedmiotem ogólnego współczucia, osobą, której niedola i milczenie, w jakim ją znosiła, tym głośniej wołały o przyjazną pomoc — żona plebana poczuła w sercu litość. Dama ta ubolewała częstokroć nad niewygodą, na jaką od lat wielu narażone były owieczki jej męża z tej przyczyny, że nie znalazłbyś w wypadkach nawet najpilniejszych ani jednej kobiety położonej jakiegokolwiek rodzaju czy zakresu umiejętności mieszkającej bliżej niż o sześć czy siedem mil drogi od wioski, które to siedem wspomnianych wyżej mil przebywanych ciemną nocą i po szkaradnych gościńcach — jako że gleba w tamtych stronach była po prostu grząską gliną — równało się bez mała milom czterem, co w rezultacie prowadziło najczęściej do obywania się z konieczności bez pomocy położnej. Żona pastora przyszła przeto do głowy myśl, że wyuczenie wdowy niektórych prostych zasad wspomnianego zawodu, aby ją w nim potem urządzić, byłoby bardzo dobrym uczynkiem zarówno względem całej parafii, jak i biednej kobieciny. Ponieważ zaś żadna niewiasta w okolicy nie posiadała lepszych kwalifikacji do przeprowadzenia tego planu, pastorowa miłosiernie wzięła się do rzeczy; a że posiadała wielkie wpływy wśród niewieściej ludności parafii, bez trudu urzeczywistniła ów zamiar wedle swojej woli. Dodajmy, że w całej tej sprawie pastor opowiedział się po stronie żony; aby zaś załatwić rzecz, jak załatwiona być powinna, i do wykonywania praktyki dać poczciwej wdowie podstawy prawne nie gorsze od podstaw fachowych — pastor zapłacił ochoczo należność za prawo praktyki, sięgającą ogólnie kwoty osiemnastu szylingów i czterech pensów. Tak więc za przyczyną tych dwojga zacna kobiecina weszła w faktyczne i rzeczywiste posiadanie swego urzędu, wraz ze wszystkimi jego prawami, dziedzinami i przynależnościami.

Otóż trzeba wam wiedzieć, że te ostatnie słowa nie są zgodne ze starą i zwykle używaną formułą zezwoleń, upoważnień i licencyj, które w podobnych wypadkach udzielane bywały reprezentantkom tej profesji. Zaczepnięte natomiast są ze zręcznej Formuły ułożonej przez samego Didiusza, który mając szczególną inklinację do rozbierania na części, potem zaś do ponownego składania wszelkiego rodzaju prawnych dokumentów, nie tylko wymyślił tę wyśmienitą poprawkę, lecz również zachęcił wiele starych licencjonowanych matron z sąsiedztwa do wznowienia praktyki, aby te jego fidrygalki mogły być dodane.

Wyznaję, iż nie miałem nigdy zrozumienia dla tego rodzaju kaprysów Didiusza. Ale niech każdy zadowala swoje gusta. Czyż ów wielki mąż, doktor Kunastrokius, nie znajdował w chwilach wolnych od zajęć największej, jaką można sobie wyobrazić, rozkoszy w wyczysywaniu oślich ogonów i wyskubywaniu własnymi zębami martwych włosów, chociaż w kieszeni nosił zawsze sposobne do tego szczypczyki? Ach, panie, gdy się człowiek nad tym zastanowi, to czyż najznakomitsi ludzie wszystkich czasów, nie wyłączając samego Salomona — czyż nie mieli swoich KONIKÓW, galopujących KONIKÓW — swoich monet i muszli, bębnow i trąbek, skrzypek, palet, robaków i motyli? Ale dopóki człowiek spokojnie i nie wadząc nikomu jedzie na swoim KONIKU po królewskim gościńcu i nie zmusza ani ciebie, panie, ani mnie, byśmy siedli za nim na siodło — wybacź, panie, lecz cóż nas to może obchodzić?

## ROZDZIAŁ VIII

*De gustibus non est disputandum* — czyli, innymi słowy, nie należy się nigdy spierać o KONIKI; zresztą jeśli o mnie idzie, rzadko to robię, bo rzecz taka nie

uchodziłaby mi, nawet gdybym był w głębi serca ich przeciwnikiem. Zdarza się bowiem, że przy pewnych fazach i zmianach księżyca jestem zarówno skrzyptkiem, jak malarzem — w zależności od tego, jaka ukąsi mnie mucha. Niechże wam będzie wiadomym, że ja również trzymam parę szkap, których kolejno dosiadam i na których, nie dbając o opinię, odbywam częste przejażdżki; ale niekiedy, o wstydzie! — galopady moje trwają nieco dłużej, niżby to człowiek mądry uważał za właściwe. Lecz prawdę mówiąc, nie jestem mądrym człowiekiem; ponadto zaś jestem śmiertelnikiem o tak małym znaczeniu w świecie, że mniejsza o to, co robię; rzadko tedy trapię się tym i kłopotem. Nie burzy też mojego spokoju ducha widok takich wielkich panów, jak lordowie A, B, C, D, E, F, G, H, I, K, L, M, N, O, P, Q etc., którzy wszyscy bez wyjątku dosiadają rumaków. Niektórzy opierając stopy na szerokich strzemionach jadą spokojniejszym i bardziej miarkowanym krokiem, inni przeciwnie, opatuleni aż pod brody, ze szpicrutami w zębach, pędzą i gnają co tchu, niczym diabliki po obdłużonych dobrach, jak gdyby postanowili skrócić kark. Tym lepiej, powiadam sobie; bo jeśli zdarzy się najgorsze, świat doskonale potrafi się bez nich obejść, a co do reszty — co mi tam — szczęść Boże, niech jadą, ja nie przeszkadzam. Bo gdyby ich lordowskie moście dziś wieczór zostały wysadzone z siodeł — dziesięć do jednego, że zanim upłynie noc, wielu z nich dosiędzie jeszcze lichszych szkapin.

Nie sądzicie przeto, że któryś z przytoczonych przeze mnie przykładów burzy mi spokój ducha. Istnieje jednak pewna okoliczność, która, przyznaję to, wytrąca mnie z równowagi; mianowicie, kiedy widzę kogoś, kto zrodzony jest do wielkich czynów i, co chlubniejsze jeszcze daje mu świadectwo, kto całą naturą skłania się ku dobrym uczynom; kiedy zobę, mój panie, tobie podobnego człowieka, którego zasady i postępowanie tak są zacne i szlachetne, jak jego krew, lecz któremu dla tej właśnie przyczyny zepsuty świat nie

da ani chwili spokoju; kiedy ujrzę, mój lordzie, takiego człowieka w siodle, to chociaż pozostaje on tam tylko minutę dłużej, niż zezwala mu na to moja miłość do ojczyzny oraz chęć zapewnienia mu chwały — wtedy, mój lordzie, przestaję być filozofem i w pierwszym porywie szczerego gniewu życzę KONIKOWI wraz z całym jego gatunkiem, aby go diabli wzięli.

Czcigodny Panie,

Traktuję powyższe słowa jako dedykację, pomimo ich osobliwości w trzech najglówniejszych zasadach: treści, formy i miejsca. Proszę przeto, abyś raczył ją, Panie, przyjąć jako taką i abyś pozwolił mi ją złożyć z pełną szacunku pokorą u Twych lordowskich stóp — kiedy na nich stoisz, stać zaś możesz, ilekroć przyjdzie Ci na to chęćka. Czyli, mój Lordzie, ilekroć znajdziesz po temu sposobność, co też, muszę dodać, czynisz ku najlepszemu świata pożytkowi. Kreślę się, Czcigodny Panie, z szacunkiem:

Jako Twój:

najuniżeńszy

najwierniejszy

i najpokorniejszy sługa

TRISTRAM SHANDY

## ROZDZIAŁ IX

Oświadczam uroczyście całemu rodzajowi ludzkiemu, że powyższa dedykacja nie była przypisana żadnemu Księżciu, Prałatowi, Papieżowi czy Potentatowi, żadnemu Diukowi, Markizowi, Wicehrabiemu czy Baronowi tego lub jakiegokolwiek innego chrześcijańskiego królestwa; jak również, że nie frymarczono nią ani nie ofiarowywano jej publicznie czy prywatnie, pośrednio czy bezpośrednio, żadnej wielkiej czy małej personie czy osobistości; ręczę natomiast, że jest to

prawdziwie Dziewicza Dedykacja, nie wypróbowana dotąd na żadnej żywej istocie.

Mozolę się nad dokładnym wyjaśnieniem tego szczegółu po to jedynie, aby usunąć wszelkie zarzuty lub sprzeczności, które powstać mogą przeciwko mojej Dedykacji z uwagi na sposób, w jaki zamierzam ją wykorzystać. Sposobem tym zaś jest wystawienie jej na publiczną licytację, co też niniejszym czynię.

Każdy autor posługuje się własną metodą urzeczywistniania swoich zamierzeń; ja zaś, jako że ścierpieć nie mogę targowania się w ciemnej uliczce o kilka gwinei, od samego początku postanowiłem potraktować Was, Wielcy Ludzie, uczciwie i rzetelnie — bo kto wie, czy nie wyjdę na tym lepiej.

Przeto jeżeli w tych Najjaśniejszego Naszego Pana dominiach znajduje się jakiś Książę, Markiz, Hrabia, Wicehrabia albo Baron, który odczuwa potrzebę zręcznej, iście arystokratycznej dedykacji, i do którego dedykacja powyższa może się stosować (zaznaczyć bowiem muszę, że nie wyzbędę się jej, jeśli nie jest stosowna dla nabywcy w pewnej chociaż mierze) — stawiam mu ją do dyspozycji za pięćdziesiąt gwinei; co w moim mniemaniu jest sumą o dwadzieścia gwinei mniejszą, niż powinien za nią ochoczo zapłacić człowiek obdarzony niepospolitym umysłem.

Czcigodny lordzie, przyjrzyj jej się dokładnie, a zobaczysz, że nie jest to żaden ordynarny bohomasz, jak to bywa z niektórymi dedykacjami. Pomysł, przyznasz, mój lordzie, jest dobry, barwa przejrzysta, rysunek niezgorszy. Lub też posługując się bardziej uczonym językiem i przykładając do mojego dzieła miarę o dwudziestu podziałkach — tuszę, mój lordzie, że rysunek wart jest 12, kompozycja 9, barwa 6, ekspresja 13 i 1/2, pomysł zaś — jeżeli wolno mi, mój lordzie, ocenić samemu wartość mojego pomysłu, a także zakładając, iż bezwzględna doskonałość w pomysłach oznaczamy na skali cyfrą 20 — mój pomysł wart nie mniej niż 19. Ponadto zaś jest w moim dziele sens ogólny, a ciemne pociągnięcia pędzlem w wizerunku

KONIKA (który jest figurą podrzędną, niejako tłem dla całości) zwiększają siłę wyrazu głównych plam światła w twojej, panie, postaci, i znakomicie ją uwydatniają. Wreszcie, jest pewna oryginalność w *tout ensemble*.

Racz zatem, mój łaskawco, wydać polecenie przekazania pomienionej kwoty do rąk Imci Dodsleya, na dobro autora; a wtedy ja dołożę wszelkich starań, aby w następnym wydaniu wykreślony został ten rozdział, twoje zaś, panie, tytuły, odznaczenia, herb i dobre uczynki znalazły się na początku poprzedniego. Który to rozdział, od słów *De gustibus non est disputandum* począwszy, jak również wszystko inne, co w tej księdze dotyczy KONIKÓW — lecz nic ponadto — przypisany będzie tobie, czcigodny lordzie. Resztę dedykuję Księżycowi, który, nadmienić muszę, ze wszystkich Patronów i Patronek, jakie w tej chwili przychodzą mi na myśl, posiada największą moc puszczenia mojej książki w obieg i sam jeden sprawić zdoła, że świat będzie za nią szalał.

O Srebrzysty Bożku!

Jeśliś nie nazbyt zajęty sprawami Kandyda i panny Kunegundy, weź pod swoją opiekę także Tristrama Shandy.

## ROZDZIAŁ X

Jaką wartość moralną ma życzliwy postępek w stosunku do kobiety położonej, a także, kto mógł rościć sobie tutaj pretensje do zasług — na pierwszy rzut oka wydaje się sprawą mało dla tej opowieści istotną. Jedno wszakże jest pewne, a mianowicie, że szlachcianka, żona plebana, przywłaszczyła sobie całą służbę. A przecież, dalibóg, nie mogę odegnać myśli, że pleban — acz nie miał szczęścia być pierwszym, który wpadł na ów pomysł — to jednak ochno nań

przystał, skoro mu go przedstawiono, i równie ochotczy sięgnął do sakiewki, aby pomóc w jego urzeczywistnieniu. Miał więc prawo domagać się części, jeśli zgoła nie połowy, należnych z tej racji zaszczytów.

Ludzie raczyli w owym czasie inaczej zapatrywać się na tę sprawę.

Odlóżcie na bok książkę, a ja udzielę wam pół dnia na odgadnięcie przyczyn takiego postępowania.

Niechże więc stanie się wam wiadomym, że mniej więcej na lat pięć przed datą otrzymania przez położną licencji, o czym tak szczegółowe mieliście relacje, pleban, którym się zajmujemy, obrócił przeciwko sobie języki całej okolicy, ponieważ wziął rozbrat z wszelką obyczajnością nie dbając o własną pozycję społeczną i o duchowny swój urząd. Otóż nie dosiadał on teraz nigdy lepszego wierzchowca niż chuda, żaloszna pokraka w szkapim ciele, wartości jednego funta i piętnastu szylingów; który to wierzchowiec, aby nie rozwodzić się zbyt, był rodzonym bratem Rosynanta — przynajmniej ze względu na bliźniacze podobieństwo. W każdym bowiem calu odpowiadał jego opisowi, aczkolwiek nie przypominam sobie, aby powiedziano gdziekolwiek, że Rosynant był dychawiczny. A co ważniejsze, Rosynant dzielił szczęście większości hiszpańskich koni, chudych czy spasyłych, które pod każdym względem są niewątpliwie końmi.

Wiem dobrze, że koń hiszpańskiego bohatera był rumakiem czystych obyczajów, co mogło dać podstawę do wysnucia zgoła odmiennego wniosku. Lecz jednocześnie posiadam nie mniejszą pewność, że abstynencja Rosynanta (jak to widać z przygody z niecnymi Yanguesami, poganiaczami mułów) nie wynikała bynajmniej z jakowegoś cielesnego defektu czy innej tego rodzaju przyczyny, lecz z umiarkowania i statecznego krążenia krwi. Pozwól zaś sobie wyjaśnić, pani, że na świecie znajduje się wiele najprzedniejszego gatunku czystości, na pochwałę której żadną miarą nie mogłabyś powiedzieć więcej.

Zresztą jak bądź rzecz się miała, to jeśli celem

moim jest oddać sprawiedliwość każdemu stworzeniu, które wprowadzam na scenę tego dramatu, nie mogłem pominąć milczeniem tej wyższości Donkiszotowego wierzchowca; pod wszystkimi innymi względami, powiadam, koń pastora przedstawiał się jak jego bliźni brat. Była to bowiem tak chuda, tak koścista i tak żałosna chabeta, jakiej dosiadać mogłaby sama jejmość POKORA.

W przekonaniu niektórych ludzi słabowitego umysłu pleban mógł łatwo uszlachetnić nikczemną postać swojej szkapy; był bowiem posiadaczem bardzo pięknego, płytkiego siodła wyściełanego zielonym aksamitem i ozdobionego podwójnym rzędem srebrnych guzów oraz pary bardzo zacnych błyszczących mosiężnych strzemion, jak również nader stosownego czapra-ka z najprzedniejszego sukna szarej barwy, obszytego czarnym galonem i obrzeżonego kruczoczną jedwabną frędzlą *poudrée d'or*. Przedmioty te pastor kupił w złotym wieku swego życia wraz ze wspaniałą, nabijaną srebrem uzdą, ozdobioną akuratnie tak, jak uzda ozdobiona być powinna. Nie chcąc jednak wystawiać konia na pośmiewisko, powiesił cały ten dobytek na ścianie za drzwiami swego gabinetu; w jego zaś miejsce wybrał troskliwie taką uzdę i takie siodło, na jakie z racji wyglądu i wartości wierzchowiec słusznie i prawdziwie zasługiwał.

Domyślcie się zapewne, że to, co tak wyposażony pleban widział i słyszał podczas swych licznych wypraw w granicach parafii oraz sąsiedzkich wizyt składanych okolicznej szlachcie, wystarczało, aby zabezpieczyć przed rdzą jego życiową filozofię. Prawdę mówiąc, ilekroć pojawiał się w jakiejś wiosce, przyciągał ku sobie uwagę zarówno starych, jak i młodych. Kiedy przejeżdżał mimo, ustawała praca — wiadro zatrzymywało się w połowie studni, kołowrotek przestawał się obracać, nawet gracze w piłkę-do-dołka i w ceno i licho nieruchomieli i gapili się za nim, dopóki nie zniknął z oczu; a że ruchy jego konia nie należały do najsmiglejszych, pastor miał zwykle dość czasu na

poczynienie obserwacji, wysłuchanie westchnień ludzi poważnych i chichotów płochych. Wszystko to zaś znośił z budzącym podziw spokojem. Zresztą w głębi serca lubił żart, a ponieważ sam umiał dostrzec swoje śmieszności, powiadał, że nie może zżymać się na innych za to, iż widzą go w takim świetle, w jakim on siebie samego postrzega. Dlatego przyjaciółom, którzy rozumiejąc, że jego słabostka nie wypływa z miłości do pieniądza, bez skrupułów wykpiwali dziwactwa jego charakteru, nie podawał prawdziwej przyczyny, lecz raczej przyłączał się do ich drwin z własnej osoby. A że nie miał łąta ciała na kościach i nie mniej był chudy od owej szkapy, dowodził niekiedy z uporem, iż koń jest taki, na jakiego jeździec zasługuje; że jak centaur z jednej ulepieni są bryły. Kiedy indziej znów, gdy w innym był usposobieniu i duchem wynosił się ponad pokusę niewczesnego żartu, powiadał, że suchoty szybko zżerają mu ciało; i z wielką powagą utrzymywał, że nie może ścierpieć widoku spasionego wierzchowca nie odczuwając jednocześnie przygnębienia i zaburzeń w tętnie oraz że wybrał chudego konia pod wierzch nie tylko dlatego, by zachować równowagę, lecz również — pogodę ducha.

Kiedy indziej wreszcie przytaczał pięćdziesiąt innych trafnych a żartownych racji, które skłoniły go do posługiwania się potulną i dychawiczną szkapą miast ognistym rumakiem; a więc, że mógł siedzieć na niej niejako bezwiednie i tak rozkoszne snuć medytacje *de vanitate mundi et fuga saeculi*, jak gdyby miał przed sobą trupa i czaszkę; że w ogóle, co się tyczy pracy umysłu, jadąc wolno drogą spędzał czas z nie mniejszym dla siebie pożytkiem niż w czterech ścianach swego gabinetu; że z równym spokojem mógł ułożyć kazanie, jak wysiedzieć dziurę w spodniach; że żwawy kłus i powolna argumentacja, podobnie jak błyskotliwy dowcip i stateczny rozsądek, stoją ze sobą w skrajnej sprzeczności. On zaś na grzbiecie swojej szkapy umiał powiązać i pogodzić wszystko: mógł układać kazania, mógł układać plany na przyszłość i, w wy-

padku gdy żądała tego natura, mógł również układać ciało do snu. Krótko mówiąc, podczas tego rodzaju potyczek słownych pastor przytaczał wszystkie racje prócz jednej prawdziwej — a tę jedną prawdziwą przemilczał li tylko z wrodzonej sobie delikatności, uważał bowiem, że przynosi mu ona zaszczyt.

Prawda zaś była taka: W latach młodzieńczych, to jest mniej więcej w tym czasie, kiedy kupił wyborne siodło i uzdę, dżentelmen ów z nawyku lub może próżności (nazwijcie to, jak chcecie) lubował się w rzeczach krańcowo różnych niż obecnie. W okolicy, gdzie mieszkał, powiadano, że jest rozmiłowany w dobrych koniach, miał też zawsze w stajni gotowego do osiodłania najlepszego chyba wierzchowca w całej parafii; a ponieważ, jak wam już mówiłem, do najbliższej mieszkającej kobiety położonej odległość z wioski wynosiła mil siedem po szkaradnych drogach — skutek był taki, że rzadko mijał tydzień, aby nie zwracano się do nieszczęsnego jegomościa z żalonym błaganiem o pożyczanie konia. Ponieważ pastor nie był człowiekiem złym, każdy zaś następny wypadek zdawał mu się bardziej naglący i niepokojący od poprzedniego — tedy mimo całej miłości do koni nie miał serca odmówić prośbie. W wyniku tego jego koń albo miał kolkę, albo był ochwacony, albo dychawiczny, albo... Krótko mówiąc, nawiedzała go taka czy inna choroba, która wysuszała mu cielsko na wiór. I tak oto co dziewięć czy dziesięć miesięcy pastor musiał wyzbywać się zajeżdżonej szkapy i w jej miejsce kupować nowego wierzchowca.

Do jakiej sumy wzrosłyby straty wykazane takim bilansem, *communibus annis*, niechaj to określi specjalny sąd złożony z osób poszkodowanych z przyczyny podobnych transakcji; ale jakkolwiek wielkie były te straty, zacny dżentelmen przez wiele lat godził się na nie bez szemrania, aż wreszcie, w wyniku licznych niefortunnych przypadków, stanął wobec konieczności rozważenia od nowa całej sprawy. Obliczywszy zaś w myślach i podsumowawszy wszystkie wydatki prze-

konał się, że nie tylko są one nieproporcjonalne do innych jego ekspensów, lecz nadto same w sobie stanowią tak poważną pozycję, iż czynią go niezdolnym do jakichkolwiek innych aktów szczodrobliwości w obrębie parafii. Co więcej, pastor doszedł do wniosku, że połową tej przegalopowanej sumy mógłby dokonać dziesięćkroć więcej dobrego. Silniej zaś niż wszystkie inne względy zaważyło na jego postanowieniu przekonanie, że dawał całej swej działalności dobroczynnej tylko jedno ujście — to jest, że kierował ją tam, gdzie, jak mniemał, najmniej była potrzebna, a mianowicie do spraw rodzenia i przyjmowania dzieci; nie pozostawiając nic dla niedołącznych, nic dla starców, nic dla mieszkańców wielu ponurych zakątków, do których aż nazbyt często go wzywano, a gdzie gnieździła się nędza, niedola i choroba.

Dlatego pastor postanowił skończyć z podobnymi wydatkami. Widział zaś przed sobą jeno dwa sposoby wywikłania się z trudności, a to: albo trzymać się żelaznej zasady i nie pożyczać nigdy wierzchowca, albo do ostatnich dni żywota zadowalać się jazdą na najnędzniejszej szkapie ze wszystkimi jej bólami i ułomnościami — szkapie znajdującej się w takiej kondycji, do jakiej doprowadzili ją pożyczający.

Ponieważ zaś nie ufał swej stałości w pierwszym postanowieniu, bardzo pogodnie zabrał się do urzędywistnienia drugiego; a chociaż, jak mówiłem, łącno mógł wytłumaczyć swój postępek ku własnej chlubie, z tej właśnie przyczyny tego nie uczynił. Wolał raczej wybrać pogardę wrogów i kpiny przyjaciół, niżli narażać się na przykrość przytaczania opowieści, która mogła wydać się autopanegirykiem.

Mam jak najpochlebniejsze mniemanie o wzniosłości i subtelności uczuć tego dżentelmena; opieram je zaś na tym jednym rysie jego charakteru, który w mojej opinii dorównuje szlachetnym sentymentom nieźrówanego rycerza z Manczy. Zaznaczyć zaś pragnę, że tego ostatniego, mimo wszystkich jego szaleństw, większą darzę miłością i gotów byłbym więcej

nadłożyć drogi dla niego niż dla najznamienszych bohaterów starożytności — aby go odwiedzić.

Ale nie taki jest morał tej opowieści. Zamierzeniem moim było ukazać na jej tle obyczaje świata. Otóż wiedziecie, że dopóki wyjaśnienie postępków pastora przynieść mu mogło zaszczyt, nie wiedziała o nim żywa dusza. Przypuszczam, że jego wrogowie nie chcieli, przyjaciele zaś nie potrafili wpaść na właściwy trop. Zaledwie jednak proboszcz zakrzętnął się wokół sprawy kobiety położnej i z własnej kieszeni zapłacił koszt licencji, cały sekret wyszedł na jaw. Przypomniano sobie dokładnie każdego konia, którego stracił, a nawet dwa więcej, niż ich w ogóle posiadał, jak również okoliczności ich zagłady. Wieść obiegła okolicę lotem błyskawicy. „Pastora chwycił nowy paroksyzm dumy; znowu będzie dosiadał wybornego wierzchowca. A jeśli tak, to rzecz jasna jak słońce w południe na wiosennym niebie, że już w pierwszym roku wydatek na licencję dla położnej dziesięciokrotnie mu się zwróci”. Każdy przeto mógł wedle własnej woli osądzić, jakimi pobudkami kierował się pastor w tym akcie dobroćliwości.

Jakimi pobudkami kierował się pastor w tym, jak również we wszystkich innych postępkach swego życia — lub raczej jakie przypuszczenia na ten temat snuły się po głowach ludzi — ta myśl nazbyt często snuła się po jego własnej głowie i nazbyt często nękała go w godzinach nocnego spoczynienia.

Przed laty mniej więcej dziesięciu jegomość ów na szczęście przestał się turbować o tę sprawę; przed tyłu bowiem laty opuścił swoją parafię, a wraz z nią świat cały, i zdaje teraz relację ze swych czynów Sędziemu, na którego nie będzie miał powodów narzekać.

Istnieje wszelako pewien szczególny fatalizm, towarzyszący czynkom niektórych ludzi. Choćby jak najlepiej zaplanowane, zawsze przejść muszą przez jakowyś punkt krytyczny, w którym prawdziwy kierunek ich drogi zostanie tak zagmatwany i wykoślawiony, że mimo wszystkie tytuły do pochwał, jakie dać może

prawość serca, autorowie tych uczynków zmuszeni są żyć i umrzeć zapoznani.

Pastor był żalonym przykładem prawdziwości tego spostrzeżenia. Lecz abyście zrozumieli, czemu się tak dzieje, a także abyście tę wiedzę mogli wykorzystać — domagam się od was pilnego przeczytania dwóch następnych rozdziałów, albowiem z zawartego w nich opisu życia i obyczajów pastora jasny wynika morał. A kiedy się z tym uporamy, jeżeli nic nie wstrzyma nas w drodze, wrócimy do naszej położnej.

## ROZDZIAŁ XI

Yorick\* — tak bowiem zwał się proboszcz, a co szczególnie godne jest uwagi (jak to wynika ze starodawnej kroniki rodzinnej spisanej na grubym welinie i znakomicie zachowanej) imię jego pisało się dokładnie tak samo od lat — byłbym powiedział dziewięćset. Nie chcę jednak mówieniem nieprawdopodobnej, jakkolwiek niezaprzeczalnej prawdy podważać pokładanego we mnie zaufania i dlatego poprzestanę jedynie na stwierdzeniu, że: imię jego pisane było dokładnie tak samo, bez zmiany czy przestawienia jednej jedynej litery, sam nie wiem od jak dawna; to zaś jest więcej, niż odważyłbym się powiedzieć o połowie najznakomitszych nazwisk naszego Królestwa, które to nazwiska z biegiem lat tyłuż podlegają zmianom i przeobrażeniom, co ich właściciele. Czy fakt ten przypisać należy dumie czy też uczuciu wstydlivosti poszczególnych ich właścicieli? Z ręką na sercu — myślę, że niekiedy jednemu, kiedy indziej drugiemu, w zależności od tego, jakimi drogami szła pokusa. Nikczemny wszelako jest to obyczaj i kiedyś może nas przywieść do takiego zamętu i pomieszania,

\* Pastor Yorick jest świadomym i zamierzonym autoportretem Sterne'a.

że nikt nie będzie zdolen powstać i przysiąc, że jego pradziad był tym, który dokonał tego czy owego.

Złu temu skutecznie zapobiegła roztropna dbałość rodziny Yoricka, jak również nabożne niemal przechowywanie kroniki, o której wspominałem, a która w dalszym ciągu donosi nam, że rodzina ta była duńskiego pochodzenia i przeszczepiona została na grunt angielski już za panowania Horwendilla, króla Danii, na którego dworze, jak się okazuje, przodek po mieczu naszego pastora Yoricka aż do ostatnich dni swego żywota piastował jakiś zaszczytny urząd. Jakiego rodzaju był to urząd, o tym milczy rodzinna kronika. Dodaje jedynie, że urząd ten zniesiono i nie restytuowano go przez niemal dwa wieki jako zgoła niepotrzebny — nie tylko na tym dworze, lecz także na wszystkich innych dworach chrześcijańskiego świata.

Przychodziła mi często do głowy myśl, że nie mógł być to żaden inny urząd, jak tylko głównego królewskiego trefnisia, oraz że Yorick w „Hamlecie” naszego Szekspira, którego wiele sztuk, jak to zapewne wiecie, osnutych jest na prawdziwych zdarzeniach, był właśnie tym człowiekiem.

Nie mam czasu zajrzeć do „Kronik duńskich” Saxo Gramatyka, aby upewnić się w swoich domysłach; lecz jeśli wy macie czas i łatwy dostęp do książki, z równym powodzeniem sami możecie to zrobić.

Mnie zaledwie starczyło czasu w podróży do Danii z najstarszym synem pana Noddy — któremu w roku Pańskim 1741 towarzyszyłem w charakterze guwerner-a, objeżdżając z zadziwiającą wprost prędkością większość zakątków Europy, której to odbytej przez nas niezwyklej przejażdżki w dalszym ciągu tego dzieła przytoczony będzie zachwycający opis — zaledwie starczyło mi czasu, powiadam, na stwierdzenie prawdziwości obserwacji poczynionych przez pewnego wieloletniego rezydenta tego kraju, a mianowicie: „Iż natura nie jest ani bardzo szczodra, ani bardzo skąpa w rozdawnictwie talentów i zdolności jego mieszkańcom, lecz jak rozsądny rodzic z wielkim umiarkowa-

niem wszystkim okazuje jednaką dobroć, zachowując tak sprawiedliwą zasadę równości w rozdziale swych faworów, że wszystkie one sprowadzone zostały do jednego niemal rozmiaru. Przeto w królestwie tym spotkacie się z nielicznymi przykładami wyższego poro-  
loru, znajdziecie za to u ludzi wszystkich stanów wiele zwykłego zdrowego rozsądku". Co w moim mniemaniu nader jest słuszne.

Otóż z nami rzecz ma się zgoła inaczej; w tych sprawach jesteście albo na szczytach, albo na samym dnie. Jesteś, panie, wielkim geniuszem lub też, stawiam pięćdziesiąt przeciwko jednemu, iż wielki z ciebie kiep i głupiec. Nie znaczy to bynajmniej, że nie znalazłoby się żadnych stopni pośrednich — nie! Jeśli już o to idzie, nie jesteśmy aż tak bardzo odmienni od reszty ludzkości. Lecz owe dwa przeciwieństwa są pospolitsze i częściej spotykane na tej wyspie pozbawionej stateczności, gdzie Natura w rozdziale swych darów jest nieumiarkowana i kapryśna — nie mniej niż sam Los w rozdawnictwie majątków i pieniędzy.

Tylko to zachwiało moją pewność względem pochodzenia Yoricka, który, sądząc z tego, co o nim pamiętam, oraz opierając się na relacjach, jakie zdołałem zebrać o jego osobie, zdawał się nie mieć w żyłach ani jednej kropli duńskiej krwi — zapewne w przeciągu lat dziewięciuset wszystka wyciekła. Nie zamierzam jednak spierać się z wami w tej materii, bo jak bądź miały się rzeczy, prawda była taka: iż miast zimnej flegmy i akuratnej sforności zmysłów i humorów, które spodziewalibyście się znaleźć u kogoś, kto pochodził z takiego pnia — Yorick, przeciwnie, był istotą tak lotną i subtelną, o tak sprzecznych skłonnościach, obdarzoną takim bogactwem życia, fantazji i *gaité de coeur*, jaka splodzona i ukształtowana być mogła jedynie pod najprzyjaźniejszym niebem. Ale chociaż z tak pełnymi płynącymi żaglami, życiowa łódź biednego Yoricka nie posiadała ani odrobiny balastu. Zbываło mu na znajomości świata; w wieku lat dwudziestu sześciu tyle mniej więcej wiedział o sposobach żeglo-

wania przez życie, ile wie trzpiotliwa i łatwowierna trzynastoletnia dziewczeczka. Gdy więc po raz pierwszy rozwinął żagle, gwałtowna nawałnica własnego temperamentu, jak łatwo możecie to sobie wyobrazić, dziesięć razy dziennie ciskała jego łódź na cudze szlaki; że zaś na drodze spotykał najczęściej statecznych i powolnych, równie łatwo możecie sobie wyobrazić, iż właśnie z takimi miał nieszczęście popadać w naj-srozsze kolizje. Kto wie, czy zwady te nie wynikały po trosze z niewczesnego dowcipkowania, gdyż prawdę mówiąc, Yorick czuł nieprzewyciężony i niejako przyrodzony wstręt do powagi. Nie do powagi prawdziwej, bo kiedy tego było trzeba, Yorick przez długie dni i tygodnie mógł słusznie uchodzić za najpoważniejszego i najsurowszego z ludzi. Był wszelako nieprzejednanym wrogiem powagi udawanej i tam, gdzie zdała mu się ona jedynie płaszczykiem dla ignorancji czy głupoty, wypowiadał jej otwartą wojnę; ilekroć więc spotkał powagę na swej drodze, pod jakąkolwiek ukrywała się osłoną lub czyjąkolwiek cieszyła się opieką, rzadko okazywał jej pobłażanie.

Niekiedy z charakterystyczną niepowściągliwością powiadał, że powaga jest wierutną łotrzą, nadto zaś dodawał, że najniebezpieczniejszego gatunku, ponieważ nie brak jej chytrłości. Mawiał również, że w jego najgłębszym przekonaniu więcej rzetelnych, uczciwych ludzi wyzutych zostało przez nią w przeciągu jednego roku z majątności i pieniędzy, niż przez kradzieże kieszonkowe i rabowanie sklepów w przeciągu lat siedmiu. Szczere, wesołe natury, dodawał, dla nikogo nie są niebezpieczne, chyba dla siebie samych. Natomiast u podstaw powagi leży wyrachowanie, a co za tym idzie, oszukaństwo; znana to sztuczka, za pomocą powagi zachwycać świat większym zasobem rozumu i wiedzy, niżli się go w istocie posiada. Powiadał jeszcze Yorick, że powaga wraz ze wszystkimi swymi pozorami nie zasługuje na życzliwsze — a częstokroć zasługuje na ostrzejsze — słowa niż te, w jakich dawno już określił ją francuski aforysta: Po-

waga jest tajemniczą postawą ciała służącą do pokrycia niedostatków umysłu. Która to maksyma, dodawał Yorick niebacznie, warta jest, aby ją wypisać złotymi zgłoskami.

Jeżeli jednak chcecie wiedzieć całą prawdę, Yorick był człowiekiem nieotrząskanym i nieobytym w świecie i okazywał podobną nieroztropność i płochotę w dysputach na wszelkie inne tematy, kiedy chytrność dyktowała umiarkowanie. Yorick w rozmowach doświadczał jednego tylko wrażenia; to jest tego, które pochodziło z natury czynu, o jakim mówiono; wrażenie zaś swoje przekładał zazwyczaj na potoczną i zrozumiałą mowę, bez żadnych upiększeń i nazbyt często nie oglądając się na osobę, czas i miejsce. Przeto gdy wspomniał ktoś o jakowymś pożałowania godnym lub nieszlachetnym postępku, Yorick nie zastanawiał się bynajmniej, kto jest sprawcą tego łajdactwa, jaką zajmuje pozycję ani też czy potrafi mu później zaszkodzić, lecz jeśli postępek był plugawy, nie rozwodząc się zbytnio powiadał: — To człek plugawy — i więcej dodawał w tym sensie. Nieszczęśliwym zaś trafem uwagi kończyły się zazwyczaj jakimś *bon mot* lub zaprawione były od początku do końca krotoczwilą czy żartem, co nierozsądkowi Yoricka dodawało skrzydeł. Krótko mówiąc, chociaż Yorick nigdy nie szukał — lecz jednocześnie rzadko unikał — sposobności powiedzenia tego, co mu się cisnęło na usta, i czynił to bez wielkich ceregieli, jednak aż nazbyt często ulegał pokusie rozsiewania wokół siebie swoich żartów i konceptów, swoich szyderstw i facecyj. Nie ginęły one z braku chętnych do ich zbierania.

Jakie były tego skutki i ofiarą jakiego nieszczęścia padł Yorick — o tym przeczytacie w następnym rozdziale.

Wierzyciel i dłużnik hipoteczny nie bardziej różnią się od siebie długością sakiewki niż kpiarz i wykpiony długością pamięci. Pod tym względem porównanie między nimi „stoi na czterech nogach”, jak to mówią scholiaści, czyli, zaznaczyć wypada, na jednej lub dwóch nogach więcej niż niektóre z najcelniejszych porównań Homera. Spójrzcie bowiem: jeden gromadzi twoim kosztem pieniądze, drugi wybucha śmiechu — i obaj zdają się nie poświęcać temu żadnej myśli. Ale procenty narastają nieustannie w obu przypadkach, a terminowe lub przypadkowe ich płatności nie pozwalają zapomnieć o zadłużeniu. Aż wreszcie, w jakiejś złej godzinie, hyc! jak spod ziemi wyskakuje wierzyciel jednego czy drugiego i żądając natychmiastowej spłaty kapitału wraz z odsetkami za caluchny okres, obu daje odczuć ciężar zobowiązania.

Ponieważ czytelnik (ścierpieć bowiem nie mogę tych waszych „gdyby”) posiada gruntowną znajomość natury ludzkiej, nie potrzebuje rozwodzić się dłużej, aby go przekonać, iż żyjąc w ten sposób mój BOHATER musiał zebrać pewne doświadczenia w dziedzinie tego rodzaju okolicznościowych upomnień. Aby rzec prawdę, Yorick lekkomyślnie uwikłał się w wielką mnogość takich właśnie długów, które, mimo częstych rad Eugeniusza, nazbyt lekko sobie ważył mniemając, że skoro żaden z nich nie został zaciągnięty w przyływie złości, lecz przeciwnie, skoro pobudką była tu prawość serca i żartowność usposobienia, wszystkie one z biegiem czasu zostaną mu umorzono.

Eugeniusz nie przyznawał Yorickowi słuszności i często mawiał, że prędzej czy później Yorick wezwany zostanie na pewno do uiszczenia całego rachunku. Niekiedy zaś dodawał ze smutkiem i obawą w głosie, że Yorick spłacić będzie musiał wszystko co do pensa. Na co Yorick, jak zwyczajnie lekkoduch, równie czę-

sto odpowiadał krótkim „Fi!”, jeżeli zaś rozmowa prowadzona była podczas przejażdżki konnej na polach, po Yorickowym „Fi!” następował skok, sus i bryknięcie. Kiedy jednak rzecz działa się w zaciszu domowego ogniska, gdzie winowajca uwięziony za barykadą stołu i dwóch foteli nie mógł łącznie odbiec od tematu, Eugeniusz ciągnął bez przeszkód swoje wywody na temat przezorności w mowie; wywody tej treści, choć nieco staranniejsze w formie:

— Wierz mi, drogi Yoricku, że twoje nieroztropne zamiłowanie do żartu wpędzi cię prędzej czy później w ciężkie tarapaty i terminy, z których się nie wywikłasz. Wiem dobrze, że w tego rodzaju utarczkach osoba wykpiąca nazbyt często uważa się za osobę obrażoną — ze wszystkimi uprawnieniami wynikającymi dla niej z takiego stanu rzeczy. A jeśli ty również ujrzysz ją w tym świetle i jeśli policzysz jej przyjaciół oraz najbliższą rodzinę, dalszych krewnych i pleczników, a potem dodasz do nich owych licznych wolontariuszy, którzy przyłączą się wiedzeni poczuciem wspólnego niebezpieczeństwa — nie przesadzę zbyt w kalkulacjach mówiąc, że za każde dziesięć żartów zyskałeś stu nieprzyjaciół; ale dopóki nie zabrniesz w sam środek tego gniazda szerszeni i od ukłuć ich żądań nie poczujesz się bliski śmierci, dopóty nie zdołają cię przekonać moje argumenty.

W kpinach człowieka, którego tak wysoko cenię, nie mogę podejrzewać nawet śladu śledziennictwa czy złej intencji — wierzę i ufam, że są one naprawdę uczciwe i krotochwilne. Zważ jednak, mój drogi, że głupcy nie potrafią, a łajdacy nie zechcą tego zrozumieć; ty zaś nie domyślasz się nawet, do czego może doprowadzić jątrzenie jednych lub bawienie się kosztem drugich. Bądź pewien, drogi mój Yoricku, że kiedy sprzymierzą się oni dla wspólnej obrony, poprowadzą wojnę przeciwko tobie w taki sposób, iż rychło obmierźnie ci ona serdecznie, jak również życie ci zbrzydni.

Przyczajony zdradziecko stanie za węglem ktoś, kto

mściwie ugodzi cię uwłaczającą plotką, z której ani niewinność serca, ani prawość obyczajów nigdy nie zdołają cię oczyścić. Szczęśliwość twojej rodziny ucierpi — twoja dobra sława, która była tej szczęśliwości fundamentem, poniesie ciężki szwank — twoja wiara w Boga podana zostanie w wątpliwość — twoim słowom będzie zadany kłam — dowcip zostanie zapomniany — wiedza wyszydzona. Na zakończenie ostatniego aktu tej tragedii Okrucieństwo i Tchórzostwo, ta szelmowska para bliźniaków, najęte i podjudzone przeciwko tobie przez Złość, zaatakują wszystkie twoje ułomności i słabostki. Najlepsi z nas, drogi mój przyjacielu, nie obronią się przed takimi razami. I wierz mi, wierz mi, Yoricku: gdy raz zapadnie decyzja, że dla zaspokojenia czyjejsz chęci poświęcona ma być niewinna i bezbronna istota, nietrudno będzie zebrać dość chrustu w lasku, w którym ona zbłądziła, aby ułożyć stos ofiarny.

Yorick słuchał zawsze tych smutnych prorocत्व ze łąką w oku i miną, która przyrzekała, że w przyszłości dosiadać będzie swojego podjezdka z większym umiarkowaniem. Lecz niestety! Było już za późno. Nie zapowiedziana żadnymi znakami na ziemi czy niebie związała się wielka konfederacja, na której czele stanęli Imci Panowie \*\*\* i \*\*\*. Jak to przepowiedział Eugeniusz, atak przeprowadzony został błyskawicznie — przy czym sprzymierzeni tak mało okazali miłosierdzia, Yorick zaś tak mało podejrzliwości — że kiedy myślał, pocziwe, łatwowierne chłopisko, iż gotują mu nowy awans kościelny, uderzyli z całej siły, a wtedy on padł, jak padło przed nim wielu zacnych ludzi.

Ale przez pewien czas Yorick stawiał im czoła z bezprzykładną walecznością, dopóki zmożony liczebną przewagą i wycieńczony klęskami, a bardziej jeszcze nieszlachetnym sposobem prowadzenia wojny, nie złożył w końcu miecza; a choć pozornie aż do ostatka nie stracił animuszu, jednakże wedle powszechnego mniemania umierał złamany.

A oto czemu Eugeniusz skłaniał się ku tej opinii:

Na kilka godzin przed bolesną chwilą, w której Yorick wydał ostatnie tchnienie, Eugeniusz wstąpił do niego, aby po raz ostatni ujrzeć go i pożegnać. Gdy rozsunał zasłony u łoża i spytał przyjaciela o zdrowie, Yorick, spoglądając mu w twarz, uwięził jego dłoń w swojej, po czym — podziękowawszy wprzód za mnogie dowody przyjaźni, za które, powiedział, jeśli danym im będzie spotkać się w przyszłym życiu, nie omieszka dziękować mu od nowa — rzekł, iż najdalej za kilka godzin wyśliźnie się ostatecznie swym wrogom. — Ufam, że się mylisz — odparł Eugeniusz ze łzami i najtkliwszym z tkliwych głosów. — Ufam, Yoricku, że się mylisz — rzecze tedy Eugeniusz Yorick odpowiedział mu spojrzeniem i łagodnym uściskiem dłoni — a choć było to wszystko, Eugeniusz poczuł rozdzierający ból w sercu. — Dalejże, Yoricku — powiada Eugeniusz ocierając oczy i siląc się na męski ton. — Dalejże, drogi chłopcze, głowa do góry, niech twój hart ducha i męstwo nie opuszczają cię w tej chwili krytycznej, kiedy ich najbardziej potrzebujesz. Kto może odgadnąć, jakie są jeszcze środki ratunku i ile może uczynić dla ciebie Bóg? — Yorick położył dłoń na sercu i łagodnie potrząsnął głową. — Jeśli o mnie idzie — ciągnął Eugeniusz oblewając gorzkimi łzami każde wypowiedane słowo — nie wiem doprawdy, jak bym mógł się z tobą rozstać, i tuszę — dodał głosem weselszym — że tego, co się jeszcze z ciebie ostało, starczyć by mogło na biskupa i że danym mi będzie dożyć tej chwili. — Błagam cię, Eugeniuszu — rzecze na to Yorick, z trudem zdejmując szlafmycę lewą ręką, jako że prawą wciąż miał uwięzioną w dłoni Eugeniusza — błagam cię, Eugeniuszu, byś przyjrzał się mojej głowie. — Jeśli dobrze widzę, wszystko z nią w porządku. — Otóż niestety, przyjacielu — powiada Yorick — pozwól sobie rzec, że tak jest posiniaczona i zeszpecona od razów, które \*\*\* i \*\*\* oraz kilku innych zdradziecko zadało mi w ciemności, że za Sancho Pansą mogę powtórzyć, iż gdybym powrócił do

zdrowia „a z nieba padałyby tak gęsto jak grad biskupie mitry, żadna z nich nie pasowałaby na moją głowę”. — Gdy Yorick wypowiedział te słowa, ostatnie tchnienie drżało mu na wargach, jednakże w głosie jego było coś z tonu Cervantesa; a gdy mówił, Eugeniusz dostrzegał zapalające się w jego oczach przelotne płomyki — słaby odblask owych ogni humoru, które (jak to Szekspir powiadał o jego protoplaście) wystarczały, by cały stół biesiadny zatrzęsł się od śmiechu!

Przekonało to Eugeniusza, że jego przyjaciel ma serce złamane; uścisnął mu tedy dłoń i roniąc łzy wyszedł cicho z pokoju. Yorick odprowadził go wzrokiem aż do drzwi, a potem zamknął oczy, aby już nigdy ich nie otworzyć.

Leży pochowany w kącie cmentarza w swojej parafii... pod prostą marmurową płytą, którą za pozwoleniem wykonawców Yorickowego testamentu jego przyjaciel Eugeniusz położyć kazał na grobie; na płycie wyryte są jeno trzy słowa, służące mu zarówno za epitafium, jak i za elegię:

Ach, biedny Yoricku!

Duch Yoricka ma tę jedną pociechę, że najmniej dziesięć razy na dzień słyży odczytywany głośno ów pomnikowy napis w rozmaitych tonacjach żalu, dowodzących ogólnego współczucia i szacunku — albowiem ścieżka przebiega przez cmentarz tuż obok grobu i nie ma chyba przechodnia, który nie zatrzymałby się, aby rzucić okiem na płytę, i nie westchnął idąc w dalszą drogę: — Ach, biedny Yoricku!

### ROZDZIAŁ XIII

Tyle już czasu upłynęło, odkąd czytelnik tego rapsodycznego dzieła rozstał się z kobietą położną, iż najwyższa pora napomknąć o niej znowu, po to jedynie, aby przypomnieć, że osoba ta istnieje jeszcze na świecie i że — jeśli się nie mylę w tej chwili co do moich planów — niebawem poznam ją z nią czytelnika na dobre. Ponieważ jednak poruszone mogą być wkrótce nowe materie, a między czytelnikiem i mną może wyrosnąć wiele nieoczekiwanych spraw, które wymagać będą jak najspieszniejszego uregulowania, słusznie postąpiłem troszcząc się o to, aby biedna kobiecina nie zawieruszyła się tymczasem, bo kiedy będzie nam potrzebna, w żaden sposób nie zdołamy się bez niej obejść.

Mówiłem wam, zdaje się, że ta poczciwa niewiasta była osobą niemałej wagi i znaczenia w całej naszej

wiosce i całej parafii, że jej sława sięgała aż do samych krańców tego kręgu ważności, który opasuje każdego człowieka — czy ma on koszulę na grzbiecie, czy jej nie ma; a ilekroć powiadać będę, że osoba jakaś posiada niemałą wagę i znaczenie, niechże pomieniony krąg rozszerza się lub kurczy w wyobraźni Waszych Wielmożności w stosunku geometrycznie proporcjonalnym do stanowiska społecznego, kondycji, wiedzy, uzdolnień, wzrostu oraz cyrkumferencji przedstawionej ci, panie, persony.

Jeżeli dobrze pamiętam, w tym szczególnym przypadku ustaliłem długość średnicy kręgu ważności na cztery do pięciu mil, co stanowiło obszar obejmujący nie tylko całą naszą parafię, lecz także dwie czy trzy wioski na skraju parafii sąsiedniej; a to nie była już rzecz bagatelna. Muszę dodać, że ponadto na zacząć niewiastę patrzano łaskawym okiem w jednym dworze oraz kilku folwarkach i zagrodach w promieniu, jak to już nadmieniałem, dwóch czy trzech mil. Jednakże w tym miejscu winienem cię, panie, poinformować, że wszystko to będzie bardziej szczegółowo opisane i wyjaśnione na mapie znajdującej się obecnie w pracowni rytownika, która to mapa wraz z innymi tabelami i objaśnieniami umieszczona zostanie na końcu dwudziestego tomu — nie aby zwiększyć objętość mego dzieła, sama bowiem myśl o tym jest mi nienawistna, lecz jako komentarz, *scholium*, objaśnienie i klucz do tych ustępów, zdarzeń, wzmianek czy aluzji, które albo zostaną interpretowane dowolnie, albo też znaczenie ich wyda się niejasne i wątpliwe, co zdarzy się, kiedy już mój żywot i moje myśli studiowane będą (zważ, panie, sens tego słowa) przez cały świat. To zaś, między nami mówiąc, stanie się niechybnie wbrew wszystkim panom krytykom w Wielkiej Brytanii i wbrew temu, co Ich Wielmożności zechcą rzec lub napisać nieżyczliwie. Nie muszę chyba nadmieniać ci, panie, że wszystko to mówione było w najściślejszej konfidencji.

Zajrzawszy do intercyzy mojej matki, aby zaspokoić ciekawość własną i czytelnika w pewnym punkcie, który musiał być wyjaśniony, zanim mógłbym dalej snuć tę opowieść, po niespełna dwóch dniach czytania jednym tchem miałem szczęście natknąć się na to, czego szukałem — a przecie rzecz ta mogła mi zająć cały miesiąc; co wskazuje wyraźnie, że kiedy człowiek zabiera się do spisywania historii czyjogoś życia, choćby to była tylko historia życia Tomcia Palucha, wie mniej więcej tyle, ile jego pięta o tym, jakie przeszkody i przekłete zawady spotka na swej drodze lub ile się będzie musiał nakręcić i nabiegać, zanim dobrnie do końca. Gdyby historiograf miał możność popędzać historię tak jak poganiacz muła — prosto przed siebie — na przykład z Rzymu do Loreto, nie obracając głowy ani w lewą, ani w prawą stronę, mógłby bez nadmiernego ryzyka przepowiedzieć co do godziny kres swojej podróży. Ale rzecz ta życiowo nie wydaje się możliwa: jeśli bowiem jest on człowiekiem obdarczonym choć krztyną fantazji, będzie musiał w czasie drogi pięćdziesiąt razy zboczyć z prostej linii, aby przyłączyć się do tych czy innych wędrowców, przed czym w żaden sposób nie zdoła się ustrzec. Będzie miał przed sobą widoki i perspektywy kuszące nieustannie oko, a równie trudno byłoby mu nie stanąć i nie spojrzeć, jak powiedzmy — fruwać. Ponadto zaś będzie miał rozliczne:

- Relacje do pogodzenia
- Anegdoty do wykorzystania
- Inskrypcje do odczytania
- Powiastrki do wplecenia w główny nurt opowieści
- Tradycje do przesiania
- Osobistości do odwiedzenia
- Panegiryki do przyklepienia na tych drzwiach
- Paszkwile na tamtych,
- od których to obowiązków zarówno poganiacz, jak

i muł są wolni. Sumując wszystko: na każdym kroku znajdują się archiwa, które należy przejrzeć, jak również rejestry, akta, dokumenty i nie kończące się genealogie, do których przestudiowania skłania wciąż historiografa jego rzetelność. Słowem, nie ma końca tym zatrudnieniom; jeśli zaś o mnie idzie, oświadczam, że ślęczałem nad tym wszystkim ostatnie sześć tygodni spiesząc się z całych sił, a jeszcze się nie urodził; zdołałem zaledwie — i nic ponadto — powiedzieć wam, kiedy się to zdarzyło, ale nie powiedziałem jak, przeto sami widzicie, iż rzecz daleka jest jeszcze końca.

Owe niespodziane przystanki, których, wyznaję, nie przewidywałem w chwili rozpoczynania tego dzieła, lecz które, jestem tego obecnie pewien, w miarę rozwoju wypadków będą chyba coraz częstsze, podsunęły mi pomysł, któremu zamierzam nadać kształt realny: abym się nie spieszył, lecz szedł naprzód powoli — co roku pisząc i publikując dwa tomy historii mojego żywota. Co, jeśli danym mi będzie pracować w spokoju i jeśli zdołam dobić jako tako korzystnego targu z moim nakładcą, robić będę, póki starczy życia.

## ROZDZIAŁ XV

Artykuł w intercyzie mojej matki, którego odszukanie, o czym mówiłem czytelnikowi, kosztowało mnie wiele trudu i który, skoro go znalazłem, powinienem chyba okazać światu — posiada o tyle większą wymowę w oryginalnym dokumencie, niżbym ja kiedykolwiek zdołał nadać mu własnymi słowy, że barbarzyństwem byłoby wyręczać prawnika. Oto brzmienie dokumentu:

„W kontrakcie tym dalej postanowiono, iż rzeczony Walter Shandy, kupiec, z myślą o zamierzonym małżeństwie, o którym mowa powyżej, a które za łaską

Boga uroczyście i prawdziwie zostanie zawarte i spełnione pomiędzy tymże Walterem Shandy a pomienioną Elżbietą Mollineux, jako też kierując się innymi zacnymi i szlachetnymi względami i pobudkami, które szczególnie go do tego skłaniają, przyrzeka, ślubuje, przyzwala, godzi się, postanawia, ustanawia i ze wszech miar zobowiązuje JWW Panów Johna Dixona i Jamesa Turnera, powierników, o których mowa powyżej, etc., etc., do rzeczy następującej. A mianowicie: że w przypadku, gdyby się tak później przytrafiło, wypadło lub zdarzyło z jakiegokolwiek innej przyczyny, iż rzeczony Walter Shandy, kupiec, porzuci interesa, zanim nadejdzie czas lub czasy, kiedy pomieniona Elżbieta Mollineux, zgodnie z prawem natury lub też z jakich bądź innych przyczyn, przestanie wydawać na świat dzieci; oraz gdyby ów Walter Shandy w następstwie porzucenia interesów postanowił wbrew i przeciw woli, przyzwoleniu i ochocie tejże Elżbiety Mollineux opuścić Londyn z zamiarem przeniesienia się i osiedlenia w majątności swej Shandy Hall, w hrabstwie... lub w jakiegokolwiek innej posiadłości wiejskiej, pałacu, dworze czy folwarku, teraz znajdującym się w jego posiadaniu lub też w przyszłości nabytym, albo na jakiegokolwiek części tych dóbr czy parceli — że podówczas, ilekroć pomieniona Elżbieta Mollineux nosić będzie w swym łonie dziecko lub dzieci legalnie poczęte lub takie, które poczęte będą w jej ciele w czasie trwania rzeczzonego związku małżeńskiego, on, ów wyżej wymieniony Walter Shandy, własnym sumptem i staraniem, i z własnych funduszków wypłaci — powiadomiony o tym we właściwym i rozsądnym terminie, który kontraktem niniejszym ustala się na tygodni sześć od daty określonej według rachub rzeczonych Elżbiety Mollineux, czyli od dnia domniemanego i słusznie wykalkulowanego rozwiązania — wypłaci lub poleci wypłacić wspomnianym powyżej JWW Panom Johnowi Dixonowi i Jamesowi Turnerowi lub ich pełnomocnikom sumę stu i dwudziestu funtów w dobrej obiegowej monecie tytułem po-

wiernictwa i zaufania, w zamiarze, zamiarach, intencji, celu i zamiśle następującym, a mianowicie: iż rzeczona suma stu i dwudziestu funtów wypłacona zostanie do rąk pomienionej Elżbiety Mollineux lub też w inny sposób zużytkowana będzie przez wspomnianych wyżej depozytariuszów na uczciwe i rzetelne wynajęcie jednej kolaski z silnym i odpowiednim zapręgiem, która to kolaska posłuży do przewiezienia rzeczony Elżbiety Mollineux oraz dziecka lub dzieci, które nosić będzie ona wówczas w łonie, do miasta Londynu; oraz dalej, że suma ta zużyta będzie na zapłacenie i pokrycie wszelkich opłat i wydatków odnoszących się i wyniknąć mogących z jej połogu we wspomnianej metropolii lub na jej peryferiach. Ponadto rzeczona Elżbieta Mollineux będzie miała prawo od czasu do czasu i zawsze w takiej porze czy porach, jakie tym kontraktem określone i zawarowane zostały, spokojnie i bez przeszkód wynając kolaskę i konie, w czasie zaś całej swej podróży otrzyma wolne wnijscie, wyjście i powrót do owej kolaski, zgodnie z brzmieniem, intencją i rzetelną treścią tej umowy, nie narażając się na żadne przeszkody, turbacje, niepokoje, molestacje, zakłócenia spokoju, trudności, straty, przypadki mienia, przykrości, przerwy w podróży i ciężary. Ponadto zaś pomienionej Elżbiecie Mollineux prawem będzie dozwolone od czasu do czasu, ilekroć będzie rzetelnie i prawdziwie posunięta w odmiennym stanie, aż do terminu zastrzeżonego i zawarowanego tym kontraktem, mieszkać i przebywać w takim miejscu lub miejscach i u takiej rodziny lub rodzin i z takimi krewnymi, przyjaciółmi czy też innymi osobami osiadłymi w granicach Londynu, jakie ona według własnej a nieprzymuszonej woli i chęci, bez względu na obowiązki wynikające z jej małżeństwa, jak gdyby była *femme sole* i niezamężna, uzna za właściwe i wskazane. I dalej kontrakt ten postanawia, że w celu skutecznieszego wykonania umowy pomienionny Walter Shandy, kupiec, niniejszym przyznaje, ceduje, sprzedaje, odstępuje i zatwierdza wspomnianym

uprzednio JWW Panom Johnowi Dixonowi i Jamesowi Turnerowi, jak również ich spadkobiercom, w mocy aktu przeniesienia własności i sprzedaży z ważnością na rok, sporządzonego między nim, Walterem Shandy, a rzeczonymi Johnem Dixonem i Jamesem Turnerem, która to umowa przelania własności na rok szłego kontraktu, całe dobra i dwór Shandy w hrabstwie... ze wszystkimi ich prawami, przynależnościami i przydatkami, jak również ze wszystkimi folwarkami, domami, zabudowaniami, stodołami, stajniami, sadami, ogrodami, warzywnikami, zagrodami, chatami, szafasami, polami uprawnymi, łąkami, pastwiskami, bagnami, wypasami gromadzkimi, lasami, zagajnikami, drenowaniami, stawami rybnymi, rzekami i kanałami; wraz ze wszystkimi czynszami, powrotami, usługami, rentami rocznymi, dzierżawami wieczystymi, lennami rycerskimi, sądami *frank-pledge*, powrotami lennymi, subsydiami; wraz z kamieniołomami, kopalniami, dobytkiem złoczyńców, zbiegów, samobójców i osób wyjętych spod prawa; wraz ze skonfiskowanymi na cele pobożne narzędziami czyjejs nieumyślnej śmierci oraz wszelkimi regaliami i prawami feudalnymi, wszelkimi prawami jurysdykcji, przywilejami i prawami dziedzicznymi. Łącznie z prawami prezentacji na beneficjum kościelne, darowizny tegoż i swobodnym rozporządzaniem stanowiskiem proboszcza albo plebana i ze wszelkimi dziesięcinami rzeczonych dóbr Shandy i gruntem plebanii". Słowem, moja matka miała odbywać swoje połogi (gdyby taka była jej wola) w Londynie.

Jednakże aby udaremnić wszelkie nieszlachetne fortele ze strony mojej matki, którym powyższy paragraf małżeńskiego kontraktu otwierał nazbyt wygodną drogę, o czym zapewne nikt by nie pomyślał, gdyby nie stryjasek Toby Shandy, dodana została klauzula zabezpieczająca interesa ojca. Oto ona: „Iż gdyby moja matka przez udane płacze czy fałszywe

oznaki naraziła kiedykolwiek w przyszłości mojego ojca na trudy i koszta podróży do Londynu, każdy taki wypadek pozbawi ją wszelkich praw i tytułów, które rzezona umowa dawałaby jej do następnej jazdy — wszelako tylko do następnej — i tak dalej, *toties quoties*, z tak skutecznym działaniem, jak gdyby umowa zgoła między małżonkami nie istniała”. Co, nawiasem mówiąc, było zastrzeżeniem bardzo rozsądnym. Jednakże, chociaż było rozsądne, czułem się pokrzywdzony, że cały ciężar tego paragrafu spadł na mnie.

Ale ja w ogóle zostałem poczęty i zrodzony pod niefortunną gwiazdą, albowiem moja biedna matka... Czy były to wiatry, czy woda, czy też mieszanina obojga lub żadne z nich, lub po prostu zwykły wybryk jej wyobraźni; czy też zwiódło ją silne życzenie i pragnienie, aby się tak stało... Słowem, czy była w tej sprawie zwiedziona, czy zwodzająca, nie uchodzi mi do prawdy wyrokować. Prawda była taka: że w końcu września roku 1717, czyli na przeszło rok przed moim urodzeniem, gdy matka zawlekła mojego ojca wbrew jego woli do Londynu, on nieodwołalnie postanowił skorzystać z klauzuli. Przeto mocą kontraktu małżeńskiego nos mój skazany został na tak dokładne spłaszczenie, jak gdyby Parki uprzedły mnie zgoła bez nosa.

Jak się to stało i ile przykrych rozczarowań musiałem znieść w tych czy innych okresach życia z przyczyny zwykłej straty, a raczej spłaszczenia, tego mojego narządu — o tym czytelnik dowie się we właściwym czasie.

## ROZDZIAŁ XVI

Wracając z moją matką na wieś ojciec mój, jak każdy łatwo może sobie wyobrazić, znajdował się w usposobieniu, które określone najłagodniejszym mianem — było zrzędlawe. Przez pierwsze dwadzieścia

pięć mil drogi gryzł się i zadreślał (a prawdę mówiąc dręczył również moją matkę) myślą o przeklętych wydatkach, z których, jak powiadał, każdy pens mógł być zaoszczędzony. A co trapiło go bardziej niż wszystko inne, to irytująca pora roku — rzecz działa się, jak wam wspomniałem, w końcu września, kiedy owoce szpalerowe, zwłaszcza zaś złote renklody, o które ojciec bardzo się troszczył, gotowe były do zbioru. Powiadał, że gdyby o jakiegokolwiek innej porze roku kazano mu tak niepotrzebnie gnać do Londynu, nie wyrzekłby ani słowa.

Przez całe dwa następne etapy podróży mówił jedynie o bolesnym ciosie, jakim była dla niego utrata syna, na którego, jak się wydaje, liczył i którego wpisał w swój rejestr jako zapasową podporę na stare lata w przypadku, gdyby Bobby zawiódł jego nadzieje. — Takie rozczarowanie — rzekł — jest dla człowieka rozumnego dziesięciokrotnie dotkliwsze niż suma strat spowodowanych podróżą, etc. Diabli niech porwą owe sto dwadzieścia funtów, dba o nie tyle, co o zeszłoroczny śnieg!

Od Stilton do Grantham najbardziej irytująca w całej sprawie wydała mu się perspektywa współczucia przyjaciół oraz śmieszność sytuacji, w jakiej znajdują się wchodząc w najbliższą niedzielę do kościoła; co, z satyryczną zjadliwością wyostrzoną teraz nieco gniewem, opisywał w wielu zabawnych i złośliwych obrazach, jako też ukazywał położenie swoje i swej małżonki (widziane oczyma całej kongregacji) w tak różnorodnym a bezlitosnym świetle, że wedle słów mojej matki te dwa etapy podróży były prawdziwie tragikomiczne, w wyniku czego ona przez cały czas nie czyniła nic innego, jak tylko na przemian śmiała się i płakała.

Od Grantham aż do przeprawy na drugi brzeg rzeki Trent ojciec mój wściekał się na nikczemny podstęp i oszustwo, którego, jak to sobie wyobrażał, matka moja dopuściła się w tej sprawie. „Niechybnie — powtarzał wciąż w duchu — niewiasta wiedziała, jak

rzeczy stoją, a jeśli tak, jakąż okazała SŁABOŚĆ!" Natrętnie słowo, które powiodło jego imaginację na cierniste bezdroża, a zanim zdołał je od siebie odegnąć, mocno mu się dało we znaki. Gdy raz bowiem zostało wypowiedziane i dotarło do jego świadomości, wnet zaczął klasyfikować różne odmiany słabości fizycznej i umysłowej, aż w końcu przez całe niemal dwa etapy podróży roztrząsał tylko, czy przypadkiem sam nie jest powodem swego rozdrażnienia.

Krótko mówiąc, w jednej sprawie znalazł tyle pomniejszych tematów do niespokojnych rozważań i tak się nimi kolejno zadręczał, że moja matka, bez względu na to, jak odbyła podróż do miasta, powrót z niego miała nader przykry. Żaliła się potem mojemu stryjaskowi, że ojciec wyczerpałby cierpliwość każdego śmiertelnika.

## ROZDZIAŁ XVII

Chociaż ojciec mój, jak wam to mówiłem, zdążył do domu w nie najlepszym humorze — prychnąc i fukając gniewnie przez całą drogę — był jednak na tyle dworny, że nie zdradził się z najgorszym. Tym zaś było jego postanowienie zadośćuczynienia sobie, co umożliwiała mu klauzula dodana do umowy przedślubnej za sprawą stryjaska Toby'ego. Tak więc matka dowiedziała się o jego zamiśle dopiero tej nocy, której zostałem poczęty, czyli trzynastym miesiącu później; kiedy to mój ojciec, będąc, jak zapewne pamiętacie, nieco markotny i zirytowany, skorzystał ze sposobności i gdy leżąc w łóżku rozmawiali poważnie o tym, co miało nastąpić, zawiadomił matkę, że musi pogodzić się z myślą o warunkach wymienionych w klauzuli dodanej do ich małżeńskiego kontraktu; czyli że musi odbyć następny połów na wsi, tytułem kompensaty za zeszłoroczną podróż do Londynu.

Mój ojciec był dżentelmenem obdarzonym wieloma

cnotami, wszelako jego charakter był silnie zaprawiony tym, co mogło albo zwiększyć, albo zmniejszyć ich ogólną liczbę. Mam na myśli cechę znaną pod nazwą wytrwałości w dobrej, uporu zaś w złej sprawie. O czym moja matka posiadała tak gruntowną wiedzę, iż pewna była, że nie zdadzą się na nic żadne sprzeciwy; postanowiła więc siedzieć cicho i wyciągnąć z istniejącej sytuacji największe dla siebie korzyści.

## ROZDZIAŁ XVIII

Ponieważ nocy tej zostało uzgodnione, a raczej postanowione, że mam ujrzeć światło dzienne na wsi, matka moja nie zwlekając podjęła odpowiednie kroki. Jakoż będąc od kilku dni brzemienną, zaczęła przemyślać o kobiecie położnej, o której tylekroć wam wspominałem; a że sławny doktor Manningham nie wchodził w rachubę, zanim tydzień dobiegł końca, powzięła w duchu nieodwołalne postanowienie — choć w odległości co najwyżej ośmiu mil od naszego domu żył uczony cyrulik-położny, który opublikował sprzedawany po pięć szylingów traktat o położnictwie, gdzie nie tylko demaskował błędy i pomyłki kobiet położnych, lecz ponadto umieścił wiele opisów ciekawych ulepszeń zmierzających do szybszego wydobycia na świat noworodka przy porodach pośladowych oraz w kilku innych niebezpiecznych przypadkach, które odwlekają chwilę naszego przybycia na świat. Mimo to, powtarzam, matka nieodwołalnie postanowiła powierzyć życie swoje, a zarazem moje, tylko i jedynie owej starej niewieście. Owóż to mi się podoba! Skoro nie możemy mieć tej najlepszej rzeczy, której pragniemy — nie sięgamy nigdy po następną, mniej dobrą z kolei. Nie. Jest to rzecz żałosna ponad pojęcie. Nie dawniej jak na tydzień przed datą, w której piszę tę księgę ku zbudowaniu świata — czyli dnia

3 marca roku 1759 — moja droga, droga Jenny widząc, że przyglądam się stroskanym nieco wzrokiem, jak targuje jedwab po dwadzieścia pięć szylingów za jard, przeprosiła kupca za tak liczne sprawiane mu trudy, po czym nabyła płótno podwójnej szerokości po dziesięć pensów jard. Jest to objaw tych samych szlachetnych uczuć w duszy ludzkiej; lecz w przypadku mojej matki chwała jej postępku została nieco pomniejszona przez fakt, że owa decyzja nie była ani tak bohaterska, ani tak hazardowna, jak mógłby sobie tego życzyć ktoś w podobnym położeniu, ponieważ stara kobieta położna nie bez podstaw rościła sobie pewne prawo do ludzkiego zaufania — przynajmniej o tyle, o ile gwarantowało je dotychczasowe powodzenie znacznej niewiasty; jako że w ciągu bez mała dwudziestu lat praktyki położniczej w naszej parafii sprowadzała noworodki na świat bez jednego błędu czy wypadku, którym można by chociaż w części ją obarczyć.

Te fakty, acz posiadały pewną wagę, nie rozproszyły wszelako niektórych drobnych skrupułów i niepokojów, gnębiących ojca z racji poczynionego przez matkę wyboru. Pomijając już sprawę jego ludzkich uczuć i chęci oddania każdemu, co mu się należy, oraz sprawę ojcowskiego i małżeńskiego afektu, który skłaniał go do starannego usuwania wszelkiego ryzyka, było to przedmiotem szczególnej jego troski, aby tym razem połów odbył się jak najpomyślniej; ileż by się bowiem musiał nafrasować, gdyby coś złego spotkało odbywającą rozwiązanie w Shandy Hall małżonkę i dziecko. Wiedział, że świat sędzi po faktach i w wypadku nieszczęścia zwiększyłby jeno jego boleść przez zrzucenie nań całego ciężaru winy: „Tak, tak, niestety! Gdyby pani Shandy, biedna niewiasta! mogła była postawić na swoim... Gdyby pojechała do Londynu na sam czas rozwiązania, a potem zaraz wróciła do domu, o co jakoby prosiła i błagała na klęczkach, a co moim zdaniem — zważywszy fortunę, jaką wniosła jegomości w wianie, nie było tak trudnym do speł-

nienia życzeniem — ona i jej dzieciątko znajdowałyby się dzisiaj między żywymi...”

Ojciec wiedział, że na takie *dictum* nie znajdzie odpowiedzi. A przecie jego szczególny niepokój nie wypływał jedynie z chęci osłonięcia się przed zarzutami czy też z troski o małżonkę i potomka. Otóż wiedziecie, że ojciec mój był człowiekiem o szerokich horyzontach myślowych i sprawę tę traktował — jak mu się zda wało — z poczuciem odpowiedzialności za dobro publiczne. Lękał się mianowicie zgubnych skutków niefortunnego przykładu.

Wiedział dobrze, że wszyscy pisarze polityczni, od panowania królowej Elżbiety począwszy aż po jego czasy, zgadzają się jednomyślnie i ubolewają nad tym, iż strumień pieniędzy i ludzi w kierunku metropolii (ludzi, którzy tam zdążali w takim czy innym płochym celu) przybierając bezustannie na sile zagrażać zaczyna naszym obywatelskim swobodom — chociaż prawdę mówiąc słowo „strumień” nie zadowalało jego literackiej wyobraźni; rozstrój natomiast był jego ulubioną metaforą, którą rozwijał w przednią alegorię. Utrzymywał więc, iż rzecz ma się podobnie w organizmie państwowym jak ludzkim, gdzie krew i soki nerwowe szybciej uderzają do głowy, niż mogą znaleźć z niej ujście; czego nieuchronnym następstwem jest zahamowanie cyrkulacji, czyli w obu przypadkach śmierć.

Niewielkie, powiadał, istnieje niebezpieczeństwo, abyśmy utracić mieli nasze swobody przez francuską politykę czy francuską inwazję; nie obawiał się również zbyt zbytnio zagłady ze strony ogromu skażonych materii i owrzodziały ch humorów w naszej konstytucji, która (tuszył) nie jest zgoła taka zła, za jaką się ją powszechnie uważa. Lękał się jednak prawdziwie, że w jakowejś chwili krytycznej trafi nas nagle wszystkich gwałtowny atak państwowej apopleksji. Wówczas, powiadał, niech Bóg ma nas w swojej opiece!

Opisując przebieg owej wadliwej cyrkulacji ojciec mój nigdy nie mógł sobie odmówić przyjemności podania zbawiennego na nią leku.

— Gdybym był absolutnym władcą — powiadał wstając z fotela i podciągając spodnie obiema rękami — ustawiłbym u wszystkich rogatek mojej metropolii sprawnych sędziów, którzy rozpoznawaliiby istotę spraw, z jakimi każdy głupiec przybywa do miasta; gdyby zaś po bezstronnym wysłuchaniu każdego penenta okazało się, że nie ma on dość ważkiego powodu do opuszczenia domu i przybycia do miasta z tobołkami i piernatami, żoną, dziećmi i chłopskimi synami trzymającymi się zadka swego jegomości, wszyscy oni zostaliby wraz odstawieni etapami, od konstabla do konstabla, niczym włóczędzy, którymi w istocie są, do właściwego miejsca zamieszkania. Tym sposobem dopilnowałbym, aby moja stolica nie zachwiała się pod swym własnym ciężarem; aby głowa przestała być nazbyt ciężka dla wątego tułowia; aby kończynom, teraz wycieńczonym i obumierającym, zwrócony został należny udział w odżywianiu oraz aby odzyskały one swą naturalną krzepkość i urodę. Dopiąłbym tego, że łąki i pola uprawne moich dominiów rozbrzmiewałyby znowu śmiechem i radosnymi śpiewami, że w całym kraju zakwitłaby znów gościnność i wróciłoby wszystkim zadowolenie, że szlachta mojego królestwa takie otrzymałaby wpływy i znaczenie, jakie zrównoważyłaby przywileje grabione jej dziś przez magnaterię.

Dlaczego w wielu zachwycających prowincjach Francji — pytał mój ojciec nie bez przejęcia w głosie, przechadzając się tam i sam po pokoju — tak mało jest pałaców i dworów szlacheckich? Czemu się tak dzieje, że te nieliczne *chateaux* są ogołoczone ze wszystkich ozdób, pozbawione sprzętów, opustoszałe, zrujnowane? Ponieważ, panie — powiadał mój ojciec — w kraju tym nikt nie ma ani krztyny zainteresowania dla wsi; wszystkie zaś zainteresowania poddanych skupiają się wokół dworu królewskiego i wielkiego monarchy, na którego obliczu słoneczny uśmiech czy posępne chmury rozstrzygają o życiu lub śmierci każdego Francuza.

Istniał inny jeszcze powód natury politycznej, który

równie silnie skłaniał ojca do zabezpieczenia się przed wszelkim, najmniejszym nawet hazardem mogącym zagrażać mojej matce podczas odbywania połogu na wsi. A mianowicie, że każde takie zdarzenie wzmocniłoby niechybnie i tak już nazbyt dużą władzę płci słabej stanu szlacheckiego, co wraz z wielu innymi uzurpowanymi prawami, które ród niewieści ustawicznie dla siebie zagarniał, mogłoby w końcu okazać się fatalne w skutkach dla jedynowładczych patriarchalnych rządów rodzinnych, ustanowionych od Boga w chwili stworzenia świata.

W tej materii ojciec zgadzał się najzupełniej z poglądami sir Roberta Filmera i twierdził, że urzędnicy i instytucje najpotężniejszych monarchii Wschodu były żywcem wzięte z tego zachwycającego wzoru i modelu rodzinnej patriarchalnej władzy, która, powiadał mój ojciec, od przeszło stulecia stopniowo wyradza się w instytucję współrządów; ta zaś forma, jakkolwiek stosowna w wielkich zbiorowiskach rodzaju ludzkiego, nader jest uciążliwa w małych społecznościach i prowadzi zazwyczaj do strapiień i nieładu.

Dla wszystkich tych racji publicznych i prywatnych ojciec chciał koniecznie zapewnić matce pomoc cyrylika-położnego, matka zaś nie chciała się na nią zgodzić za żadną cenę.

Ojciec prosił i nalegał, aby choć na ten raz wyrzekła się swych przywilejów w tym względzie i pozwoliła mu decydować za siebie; lecz matka obstawała przy swoim prawie i sama czyniąc wybór wzbraniała się przystać na kogokolwiek — prócz starej kobiety położnej. Co miał mój ojciec robić? Był w nie lada kłopotcie. Roztrząsał z nią tę sprawę w najrozmaitszym usposobieniu; oświetlał swoje argumenty w najróżniejszy sposób. Dysputował z nią jak chrześcijanin, jak poganin, jak prawy małżonek, jak ojciec, jak patriota, jak mężczyzna. Matka odpowiadała na wszystko tylko jak niewiasta, co pogarszało w pewnej mierze jej położenie. Skoro bowiem nie mogła wcielić się w tak wiele różnorodnych postaci i wcieliwszy się powieść je

do boju, walka siłą rzeczy musiała być nierówna — siedem do jednego. Co zatem miała moja matka robić? Przybyły jej na odsiecz (inaczej zostałyby zapewne pokonane) niewielkie posiłki hodowanego na dnie serca żalu, które dodały jej animuszu i umożliwiły prowadzenie dysputy z tak wielką zręcznością, że w końcu obaj przeciwnicy odśpiewali *Te Deum*. Słowem: matka miała zapewnioną pomoc starej, zacnej niewiasty; chirurg zaś miał otrzymać zezwolenie wypicia butelki wina w małej bawialence, w towarzystwie mojego ojca i stryjaska Toby'ego Shandy.

Zanim skończę ten rozdział, niechaj wolno mi będzie zmrozić serce mojej pięknej czytelniczki pewną przestrogą. Oto ona: z tych kilku niebacznie rzuconych przeze mnie słów nie wyciągaj, pani, pochopnego wniosku, że jestem człowiekiem żonatym. Przyznaję, że tkliwe odezwanie się o mojej drogiej, drogiej Jenny, jak również rozproszone tu i ówdzie okruchy małżeńskiej wiedzy mogły wprowadzić w błąd najbezsronniejszego sędziego i skłonić go do postawienia mi podobnego zarzutu. W tej sprawie proszę cię jedynie, pani, o beznamiętną sprawiedliwość oraz abyś — przez wzgląd zarówno na mnie, jak na siebie — nie przesądzała wyroku z góry ani nie szacowała mojej osoby, dopóki nie otrzymasz lepszych dowodów niż te, które obecnie (jestem tego pewien) mogą być przeciwko mnie przedłożone. Nie znaczy to bynajmniej, iż jestem tak próżny lub tak bezrozumny, abym pragnął, byś myślała, że droga, droga Jenny jest moją metresą. Nie — byłoby to wpadaniem z jednej ostateczności w drugą i strojeniem się w cudze piórka, jako też nadawaniem samemu sobie pozorów niezależności, do której być może nie wolno mi rościć żadnego prawa. Będę ubiegał się jedynie o to, abyś, pani, czytając kilka następnych tomów nie mogła odgadnąć (ani ty, ani żaden inny najbystrzejszy umysł na świecie), jak się ta rzecz naprawdę przedstawia. Bo przecie i to jest możliwe, że moja droga, droga Jenny (jakkolwiek czule brzmi ten zwrot) jest moim dziecięciem. Zważ pani: przy-

szedłem na świat w roku osiemnastym. Nie znajduję też nic nienaturalnego czy niezwykłego w przypuszczeniu, że droga Jenny jest moją przyjaciółką. — Przyjaciółką?! — Tak, przyjaciółką. Przecież, łaskawa pani, przyjaźń między przedstawicielami różnych płci może istnieć i trwać bez... — Fe, panie Shandy! — ...bez żadnych innych dodatków prócz owego rozkosznego i czulego sentymentu, który zabarwia każdą przyjaźń między osobami należącymi do odmiennych płci. Błagam cię, pani, przeczytaj uważnie przepojone niewinnym uczuciem fragmenty najprzedniejszych francuskich romansów. Zdumiejesz się zapewne na widok różnorodności cnotliwych wyrażen, jakimi przystraja się tam owo zachwycające uczucie, o którym mam zaszczyt mówić.

## ROZDZIAŁ XIX

Podjąłbym się prędeż wyjaśnić najbardziej zawily problem geometryczny niż wytłumaczyć fakt, że człowiek obdarzony tak wielką dozą zdrowego rozsądku jak mój ojciec — światły, czytelnik zapewne zauważył, interesujący się także przyrodoznawstwem, nie pozbawiony politycznego rozumu i (jak czytelnik będzie miał okazję o tym się przekonać) polemicznych uzdolnień — mógł obstawać przy poglądzie tak szczególnym, iż obawiam się, że kiedy wreszcie o nim wspomnę, czytelnik, jeśli jest cholerykiem, odrzuci książkę precz; jeśli jest wesołkiem, będzie się śmiał do rozpuku; jeśli zaś charakter jego cechuje powaga i posępność, bez namysłu potępi pogląd mojego ojca jako chimeryczny i dziwaczny. Mam na myśli sprawę wyboru i nadawania imion chrzestnych, od której to czynności w mniemaniu ojca zależało znacznie więcej, niż powierzchowne umysły pojąć są zdolne. Otóż jego zdaniem istniał osobliwy wpływ magicz-

ny, który dobre lub złe (jak je nazywał) imiona wywierają nieodparcie na charakter i postępkę człowieka.

Bohater Cervantesa nie argumentował z większą powagą czy większym zapalem ani też nie miał więcej do powiedzenia w przedmiocie nieograniczonej mocy, jaką siła czarnoksięska posiada w zniesławianiu jego uczynków, a imię Dulcynei w przydawaniu im świetności i blasku, niż miał do powiedzenia mój ojciec w przedmiocie imion takich, jak Trismegistos czy Archimedes z jednej, a Nikodemek czy Szymcio z drugiej strony. Jak wielu Cezarów i Pompejuszów, powiadał mój ojciec, dzięki najzwyczajszemu natchnieniu imienia dowiodło, iż godni je byli nosić? A ilu, dodawał, istnieje na świecie ludzi, którzy zdolni by byli dokazać znamienitych czynów, gdyby ich umysły i charakter nie zostały znikodemowane i unicestwione?

— Widzę to, panie, z twojej miny (lub z czegoś tam innego, zależnie od okoliczności) — powiadał ojciec — iż nie podzielasz całym sercem mojej opinii. Przyznaję wszelako, że ci, którzy nie zbadali jej wnikliwie i gruntownie, zapewne dostrzegą więcej płóchej fantazji niż solidnego rozumowania. A przecie, drogi panie, jeśli wolno mi tuszyć, iż znam twój charakter, najgłębiej jestem przekonany, że na niewielkie narażam się ryzyko przytaczając ci konkretny przypadek — nie jako stronie, lecz jako sędziemu, z jednoczesnym odwołaniem do twojego zdrowego rozsądku i bezstronności. Jesteś bowiem jak mało kto człowiekiem pozbawionym ciasnych przesądów wychowania; a także, jeśli wolno mi zgłębiać dalej istotę twego ducha — człowiekiem nazbyt tolerancyjnym i szlachetnym, a byś mógł potępić jakąś ideę li tylko dlatego, że nie staje jej zwolenników. Twój syn, panie — twój drogi synaczek — po którego łagodnym i szczerym usposobieniu tak wiele oczekujesz... Twój Billy, panie! Czy nazwałbyś go Judaszem? Czy zgodziłbyś się, drogi panie? — ciągnął ojciec kładąc dłoń na sercu

i przybierając najuprzejmiejszą postawę, a przy tym nastrajając głos na owe ciche i nieodparte piano, którego natura *argumentum ad hominem* \* bezwzględnie wymaga.

Czy zgodziłbyś się, gdyby na przykład Żyd jako ojciec chrzestny zaproponował to imię dla twojego syna i ofiarował ci przy tym pełną sakiewkę? Czy zgodziłbyś się na takie zbezczeszczenie dziecięcia? Boże mój! — wykrzykiwał ojciec wznosząc oczy ku niebu. — Jeśli znam cię dobrze, panie, nie jesteś zdolny do takiego czynu. Odepchnąłbyś podobną propozycję, ze wstrętem cisnąłbyś pokusę w twarz kusicielowi.

Wielkość ducha, której dowiodłeś tym postępkim, a którą ja podziwiam, oraz wspaniałomyślna pogarda dla pieniądza, którą okazałeś w całym tym zdarzeniu, są prawdziwie szlachetne; a godniejszymi czynią je motywy twojego postępowania: miłość ojcowska kierująca się wiarą w prawdziwość hipotezy, że gdyby syn twój otrzymał na chrzcie imię Judasz, pewna myśl plugawa i zdradziecka jak nieodstępny cień szłaby za nim przez całe życie i w końcu uczyniłaby z niego łotra i nędznika — mimo, panie, twego przykładu.

Nie spotkałem nigdy człowieka, który znalazłby odpowiedź na ten argument. Ale muszę rzec o moim ojcu, że był on człowiekiem o nieprzepartej sile perswazji zarówno w swych perorach, jak dysputach. Był urodzonym oratorem. ΘΕΟΔΙΔΑΚΤΟΣ — posiadał dar przekonywania i operował retoryką i logiką tak składowanie — co więcej, tak nieomyślnie umiał odgadnąć słabostki i namiętności swego oponenta, że sama Natura mogłaby wystąpić i rzec: „Oto człowiek elokwentny”. Słowem — czy słuszność znajdowała się po jego, czy po przeciwnej stronie — na niebezpieczeństwo narażał się ów, co go atakował. A przecież — nie studiował nigdy Cyncerona ani Kwintyliana, ani Izokratesa czy Arystotelesa, ani Longinusa między starożytnymi; ani

\* *Argumentum ad hominem* (łac.) — odwołanie się w czasie dysputy do uczuć i osobistych zainteresowań oponenta.

też Vossiusa czy Scioppiusa, Ramusa czy Farnaby'ego między nowożytnymi. Co zaś bardziej jeszcze jest zdumiewające, to że ojciec mój nie kształcił nigdy swego zmysłu dialektycznego na Crackenthorpie czy Burgersdijcuszu ani też na żadnym innym holenderskim logiku czy komentatorze; nie wiedział nawet, na czym polega różnica między *argumentum ad ignorantiam*\* i *argumentum ad hominem*. Pamiętam przeto dobrze, że kiedy pojechał ze mną zapisać mnie do Jesus College uniwersytetu w \*\*\*, mój zacny kierownik studiów i kilku jego kolegów spośród uczonego grona zdumieli się niepomiernie, że człowiek, który nie zna nawet nazw swoich narzędzi, tak wybornie umie się nimi posługiwać.

Jednakże ojciec z konieczności używał ich nieustannie i z największym, na jakie go było stać, mistrzostwem, musiał bowiem bronić mnóstwa sceptyczno-krotochwilnych poglądów, których większość, skłonny jestem sądzić, wywodziła się ze zwykłego kaprysu i ucieśnej zasady *vive la bagatelle*. Otóż ojciec zabawiał się nimi pół godzinki lub godzinę, a wyostrzywszy sobie dowcip, odkładał je do dnia następnego.

Wspomniałem o powyższym nie tylko dlatego, żeby zbudować hipotezę lub domniemanie procesu dojrzewania i ustalania się niektórych dziwacznych poglądów ojca, lecz również po to, aby ostrzec światłego czytelnika przed niebacznym przyjmowaniem tego rodzaju gości, którzy korzystając przez wiele lat ze swobodnego i łatwego wstępu do naszych mózgownic, w końcu roszczą sobie prawo do stałego w nich przebywania — działając niekiedy jak drożdże; częściej przecie jak miłosne uczucia, które zaczynają się w żarciu, kończą zaś poważnie.

Czy taka była geneza osobliwości poglądów ojca — czy też trafny jego sąd o rzeczach padł w końcu pastwą jego dowcipu; a także, jak dalece opinie jego,

\* *Argumentum ad ignorantiam* (łac.) — argument wykazujący niewiedzę oponenta w dyspucie.

choć tak dziwaczne, były jednak słuszne — niech to w miarę czytania osądzić raczy czytelnik. Ja utrzymuję jedynie, że ideę o wpływie imion na losy i charakter człowieka ojciec mój traktował najzupełniej poważnie. W materii tej nie dopuszczał wyjątków; był metodyczny i podobnie jak wszyscy metodyczni myśliciele — gotów dla podtrzymania swojej hipotezy poruszyć niebo i ziemię, jako też przewrócić do góry nogami i przeinaczyć wszystko w naturze. Słowem — powtarzam to po raz drugi — traktował swoją ideę najzupełniej poważnie; w następstwie czego tracił do cna cierpliwość widząc, że ludzie, zwłaszcza szlachta, okazują równą lub niekiedy większą lekkomyślność i obojętność w wyborze imienia dla swego potomka, co w wyborze nazwy Ponto lub Kupid dla pieska-faworyta.

Niedobrze to, zdaniem mojego ojca, wróżyło, a co ważniejsza, sytuację pogarszała ta szczególna okoliczność, że gdy raz bezrozumnie i krzywdząco nadane zostało nikczemne imię, rzecz miała się inaczej niż z ludzką reputacją, która, poniósłszy nawet szwank, mogła być potem oczyszczona i — prędzej czy później — jeśli nie w doczesnym życiu człowieka, to przynajmniej po jego śmierci, w ten czy inny sposób mogła odzyskać szacunek świata. Lecz tej krzywdy, powiadał mój ojciec, nie da się nigdy naprawić; wątpił nawet, czy mogłaby ją odrobić specjalna ustawa Parlamentu. Wiedział równie dobrze, jak wy, że legislatura ma niejaką władzę nad nazwiskami; ale dla bardzo istotnych i jemu znanych racji nie odważyła się dotąd, powiadał, posunąć dalej na tej drodze.

Rzecz znamienna, że chociaż ojciec, jak wam to mówiłem, odczuwał zgodnie ze swymi poglądami silne sympatie lub antypatie do pewnych imion, istniało jednak wiele takich, których pro i contra utrzymywały się jego zdaniem w tak znakomitej równowadze, że imiona te były mu całkiem obojętne. Jakub, Ryszard i Tomasz należały do tej właśnie kategorii. Ojciec zwał je imionami neutralnymi i powiadał o nich

bez złośliwości, że od stworzenia świata nosiło je tylu najmniej lotrów i głupców, co ludzi mądrych i znacznych. Przeto, podobnie jak równe siły działające w przeciwnych kierunkach, imiona te, w mniemaniu ojca, neutralizowały wzajemnie swoje wpływy; i z tej racji ojciec powiadał często, że o różnicy między nimi wspominać nawet nie warto. Bob (tak zwał się mój brat) było to jeszcze jedno spośród owych neutralnych imion, które w żadnym kierunku nie wywierały znaczącego wpływu; a ponieważ w chwili, gdy nadawano je mojemu bratu, ojciec znajdował się w Epsom, zwykł był dziękować Niebiosom, że nie wybrano gorszego. Imię Andrzej było dlań niczym wielkość ujemna w algebrze; było gorsze, powiadał, niż żadne. Imię William cenił sobie wysoko, imię Numps — nisko; a imię Nick, mawiał, równa się DIABŁU.

Ze wszystkich jednak imion na kuli ziemskiej najbardziej nieprzezwyczęzony wstręt czuł do imienia Tristram; o niczym na świecie nie miał tak niskiego mniemania i nic nie budziło w nim równej pogardy — uważał, że imię to zdolne jest wytworzyć w *rerum natura* jeno to, co jest najpodlejsze i godne wzgardy. Toteż pośrodku dysputy w tym przedmiocie (w którą wypada zaznaczyć, często dawał się wciągać) wybuchał niekiedy w nagłym *epiphoneme* lub *erotesis*, wzniesionym o trzy, a nieraz o pięć pełnych tonów wyżej ponad resztę dyskursu — i pytał kategorycznie swego oponenta: Czy może on rzec z czystym sumieniem, że pamięta — że czytał kiedykolwiek — lub nawet, że słyszał kiedykolwiek, jak mówiono, iż człowiek noszący imię Tristram dokonał wielkiego lub godnego uwiecznienia czynu? Tristram! Ach — to przecież jest zgoła niemożliwe.

Cóż więc stanąć mogło mojemu ojcu na przeszkodzie w napisaniu książki, w której zaznajomiłby świat z tym swoim szczególnym poglądem? Mały to jest przecie pożytek dla wnikliwego myśliciela, jeśli z nikim nie dzieli swoich opinii i nie da im stosownego upustu. To właśnie uczynił mój ojciec, albowiem w ro-

ku tysiąc siedemset i szesnastym, czyli na dwa lata przed moim urodzeniem, podjął trud napisania umyślnej dysertacji w przedmiocie imienia Tristram, w której z wielką prostotą i szczerością ukazał światu przyczyny nieprzewyciężonej odrazy do tego imienia.

Kiedy porównamy ten fakt z kartą tytułową mojej książki — czyż łaskawy czytelnik nie uzali się z całego serca nad moim ojcem, że ów jegomość stateczny i dobrotny, którego poglądy, acz dziwaczne, to przecie były nieszkodliwe, padł pastwą takiego figla? Czyż nie będzie mu współczuł, kiedy spojrzawszy na jego życie zobaczy wszystkie drobne pragnienia udaremnione i zdruzgotane; kiedy ujrzy łańcuch wydarzeń ustawicznie się przeciwko niemu zwracających, tak zaś okrutnych i dokuczliwych, jak gdyby je kto specjalnie wymyślił i wprost w niego wymierzył — na szyderstwo jego planom? Słowem, trudno nie współczuć starcowi nienawykłemu do cierpień, który w późnych swych latach dziesięć razy na dzień cierpiał męki boleści; dziesięć razy na dzień nazywał dziecię swoich snów Tristramem! Jakże melancholijny był dźwięk dwóch tych sylab, które w jego uszach brzmiały niczym Tępak czy jakoweś inne ośmieszające przewisko! Klnę się na jego cienie — klnę się, że jeśli przewrotny jakiś duch trudnił się kiedykolwiek krzyżowaniem planów jakiego bądź śmiertelnika, zdarzyło się to w przypadku mojego ojca; a gdyby nie było warunkiem koniecznym, abym się urodził, zanim mnie ochrzczono, wraz opowiedziałbym czytelnikowi o tym fakcie.

## ROZDZIAŁ XX

— Jak mogłaś, pani, tak być nieuważną czytając poprzedni rozdział? Powiedziałem ci w nim, że moja matka nie była papistką. — Papistką! Ależ, panie, nie

mówiłeś mi nic podobnego! — Pani, ośmielam się raz jeszcze stwierdzić, iżem powiedział to co najmniej tak wyraźnie, jak za pomocą prostej dedukcji myśl tę przekazać ci mogły słowa. — Snadź, panie, musiałam opuścić jedną stronę. — Nie, pani, nie przeoczyłaś ani jednego wyrazu. — Wobec tego zdrzemnąłam się, panie. — Moja дума, pani, każe mi odrzucić tę wymówkę. — W takim razie oświadczam, iż nic mi nie jest wiadomo o tej sprawie. — Taki właśnie jest zarzut, który ci stawiam, pani; a za karę żądam, abyś natychmiast (to jest jak tylko doczytasz do następnej kropki) wróciła i ponownie przeczytała cały rozdział. — Nałożyłem na damę tę pokutę nie z próżności ani okrucieństwa, lecz z najczystszych pobudek; dlatego nie będę jej przeproszał, kiedy do mnie wróci. Otóż chciałem potępić zgubne upodobanie, które stało się drugą naturą tysięcy osób, czyli nawyk czytania powierzchownego, bardziej w poszukiwaniu przygód bohaterów niżli głębokiej wiedzy i erudycji, którymi tego rodzaju książka, jeśli właściwie czytana, nie omieszka ich obdarzyć. Umysł winien przywyknąć do snucia mądrych refleksyj w trakcie lektury oraz do wyciągania oryginalnych konkluzji; takie właśnie przyzwyczajenie skłoniło Pliniusza Młodszeo do wypowiedzenia uwagi, „że nie czytał książki tak złej, aby nie wyniósł z niej jakowejś korzyści”. Dzieje Grecji i Rzymu pochłaniane bez tej pilności i zamięłowania mniejszy — przyznają to — dadzą pożytek niż opowiastki „O Parismusie i Parismenusie” lub zgoła „O siedmiu obrońcach Anglii”, czytane pilnie i uważnie.

Ale oto wraca moja piękna dama. — Przeczytałaś, pani, ponownie ów rozdział, jak cię o to prosiłem? Hm... Przeczytałaś. A czy ponownie czytając nie zauważyłaś w nim ustępu, który dopuszcza podobny wniosek? — Nie znalazłam ani jednego słowa w tym sensie! — Wobec tego, pani, racz zastanowić się dobrze nad przedostatnim wierszem rozdziału, gdzie rzekłem wyraźnie, „iż był to warunek konieczny, abym się urodził, zanim mnie ochrzczono”. Gdyby, pani, matka

moja była papistką, nie istniałoby powyższe zastrzeżenie\*.

Jest to rzecz bardzo niefortunna dla całej mojej książki, lecz bardziej jeszcze zgubna dla całej Braci Pisarskiej (przez co w rozpatrywaniu tego zagadnienia moja sprawa traci wszelką wagę), że ta sama grzeszna żądza wciąż nowych przygód tak głęboko wrosła i zakorzeniła się w naszych zwyczajach i upodobaniach, a co więcej, że niecierpliwe pragnienie zaspokojenia naszej pożądlivosti pochłania nas tak bez reszty, iż jedynie niewybredne i bardziej zmysłowe fragmenty pisarskiej kompozycji znajdują dobre przyjęcie. Subtelne aluzje i chytrze przemycane pouczenia z wszelkich dziedzin wiedzy ulatniają się w górę niczym duchy; ciężkie morały uciekają na dół; a zarówno jedne, jak i drugie tak są bezpowrotnie stracone dla świata, jak gdyby nie opuściły nigdy dna kałamarza.

Pragnąłbym, aby czytelnik płci męskiej nie przeoczył moich uwag, równie oryginalnych i osobliwych, jak ta, na której przeoczeniu przyłapałem czytelniczkę. Pragnąłbym również, aby powyższe zdarzenie wywarło właściwy skutek; to jest, aby na jego przykładzie wszyscy ludzie dobrej woli i obojga płci nauczyli się myśleć, nie tylko czytać.

\* ...powyższe zastrzeżenie — rzymskokatolicki obrządek zaleca w wypadkach niebezpieczeństwa życia chrzest dziecka przed jego urodzeniem, pod tym wszelako warunkiem, że jaka bądź część ciała dziecka widoczna jest oczom osoby udzielającej chrztu. Jednakże doktorowie Sorbony po naradzie odbytej dnia dziesiątego kwietnia roku 1733 rozszerzyli uprawnienia kobiet położnych stwierdzając zgodnie, że nawet jeżeli żadna część ciała nie jest widoczna, chrzest winien dziecku być udzielony drogą wstrzyknięcia — *par le moyen d'une petite canulle*, czyli za pomocą lekarskiej strzykawki. Rzecz to doprawdy zdumiewająca, iż św. Tomasz z Akwinu, człek łebski zarówno w zawiązywaniu, jak rozwiązywaniu scholastycznych węzłów, po gruntownym przemyśleniu sprawy nie dał jej rozwiązania, uznając ją za drugą *chose impossible*. „*Infantes in maternis uteris existentes* (powiada św. Tomasz) *baptizari possunt nullo modo*”. Oj, Tomasz, Tomasz!

Jeżeli czytelnik pragnie zaznajomić się dokładniej z zagadnieniem chrztu za pomocą lekarskiej strzykawki, czyli usłyszeć pytanie postawione doktorom Sorbony, a także poznać ich opinię w tej materii, oto jedno i drugie (przyp. autora).

Memoriał przedstawiony Imé Panom Doktorom Sor-  
bony:  
MEMOIRE PRESENTÉ A MESSIEURS LES DOCTEURS  
DE SORBONNE \*

Un Chirurgien Accoucheur, represente à Messieurs les Docteurs de Sorbonne, qu'il y a des cas, quoique très rares, où une mere ne sçauroit accoucher, & même où l'enfant est tellement renfermé dans le sein de sa mere, qu'il ne fait paroître aucune partie de son corps, ce qui seroit un cas, suivant les Rituels, de lui conférer, du moins sous condition, le baptême. Le Chirurgien, qui consulte, prétend, par le moyen d'une petite canulle, de pouvoir baptiser immédiatement l'enfant, sans faire aucun tort à la mere. — Il demande si ce moyen, qu'il vient de proposer, est permis & légitimé, & s'il peut s'en servir dans les cas qu'il vient d'exposer.

#### RESPONSE

Le Conseil estime, que la question proposée souffre de grandes difficultés. Les Théologiens posent d'un côté pour principe, que le baptême, qui est une naissance spirituelle, suppose une première naissance; il faut être né dans le monde, pour renaître en Jesus Christ, comme ils l'enseignent. S. Thomas, 3 part. quaest. 88, artic. 11, suit cette doctrine comme une verité constante; l'on ne peut, dit ce S. Docteur, baptiser les enfans qui sont renfermés dans le sein de leurs meres, & S. Thomas est fondé sur ce, que les enfans ne sont point nés, & ne peuvent être comptés parmi les autres hommes; d'où il conclud, qu'ils ne peuvent être l'objet d'une action extérieure, pour recevoir par leur ministère, les sacremens nécessaires au salut: *Pueri in maternis uteris existentes nondum prodierunt in lucem ut cum aliis hominibus vitam ducant; unde non possunt subjici actioni humanae, ut per eorum ministerium sacramenta recipiant ad salutem.* Les rituels ordonnent dans la pratique ce que les théologiens ont établi sur

\* Vide: Deventer, wyd. Paris, 1734, s. 366.

les mêmes matières, & ils deffendent tous d'une manière uniforme, de baptiser les enfans qui sont renfermés dans le sein de leurs meres, s'ils ne font paroître quelque partie de leurs corps. Le concours des théologiens, & des rituels, qui sont les règles des diocèses, paroît former une autorité qui termine la question présente; cependant le conseil de conscience considérant d'un côté, que le raisonnement des théologiens est uniquement fondé sur une raison de convenance, & que la deffense des rituels suppose que l'on ne peut baptiser immédiatement les enfans ainsi renfermés dans le sein de leurs meres, ce qui est contre la supposition présente; & d'un autre côté, considerant que les mêmes théologiens enseignent, que l'on peut risquer les sacremens que Jesus Christ a établis comme des moyens faciles, mais nécessaires pour sanctifier les hommes; & d'ailleurs estimant, que les enfans renfermés dans le sein de leurs meres, pourroient être capables de salut, parce qu'ils sont capables de damnation; — pour ces considerations, & en égard à l'exposé, suivant lequel on assure avoir trouvé un moyen certain de baptiser ces enfans ainsi renfermés, sans faire aucun tort à la mere, le Conseil estime que l'on pourroit se servir du moyen proposé, dans la confiance qu'il a, que Dieu n'a point laissé ces sortes d'enfans sans aucuns secours, & supposant, comme il est exposé, que le moyen dont il s'agit est propre à leur procurer le baptême; cependant comme il s'agiroit, en autorisant la pratique proposée, de changer une règle universellement établie, le Conseil croit que celui qui consulte doit s'adresser à son évêque, & a qui il appartient de juger de l'utilité, & du danger du moyen proposé, & comme, sous le bon plaisir de l'évêque, le Conseil estime qu'il faudroit recourir au Pape, qui a le droit d'expliquer les règles de l'église, & d'y déroger dans le cas, où la loi na sçauroit obliger, quelque sage & quelque utile que paroisse la manière de baptiser dont il s'agit, le Conseil ne pourroit l'approuver sans le concours de ces deux autorités. On conseille au

moins à celui qui consulte, de s'adresser à son évêque, & de lui faire part de la présente décision, afin que, si le prélat entre dans les raisons sur lesquelles les docteurs soussignés s'appuyent, il puisse être autorisé dans le cas de nécessité, où il risqueroit trop d'attendre que la permission fût demandée & accordée d'employer le moyen qu'il propose si avantageux au salut de l'enfant. Au reste, le Conseil, en estimant que l'on pourroit s'en servir, croit cependant, que si les enfans dont il s'agit, venoient au monde, contre l'esperance de ceux qui se seroient servis du même moyen, il seroit nécessaire de les baptiser sous condition; & en cela le Conseil se conforme à tous les rituels, qui en autorisant le baptême d'un enfant qui fait paroître quelque partie de son corps, enjoignent néanmoins, & ordonnent de le baptiser sous condition, s'il vient heureusement au monde.

Délibéré en Sorbonne, le 10 Avril, 1733.

A. LE MOYNE

L. DE ROMIGNY

DE MARCILLY

Imć Pan Tristram Shandy przesyła swoje uszanowanie Imć Panom Le Moyne, De Romigny i De Marcilly; oraz ufa, iż po tak wyczerpujących naradach wszyscy oni dobrze spali tej nocy. Nadto pragnąłby się dowiedzieć, czy chrzest wszystkich HOMUNCULUSÓW razem wziętych, dokonany za pomocą lekarskiej strzykawki po ceremonii zaślubin, a przed konsumacją małżeństwa, nie byłby jeszcze prostszym i pewniejszym sposobem osiągnięcia tego celu; pod tym samym co wyżej warunkiem, czyli że jeśli po owym zabiegu HOMUNCULUSY będą czuły się zdrowo i szczęśliwie ujrzą światło dzienne, każdy z nich ochrzczony zostanie ponownie (*sous condition...*). Oraz pod drugim warunkiem, iż rzecz ta może być dokonana (co w mniemaniu Imć Shandy'ego zgola jest możliwe) *par le moyen d'une petite canulle*, a także *sans faire aucun tort au père*.

## ROZDZIAŁ XXI

— Ciekaw jestem, co znaczy ten harmider i ta bieganina tam i sam na górze — rzecze mój ojciec, po półtorej godzinie milczenia, do stryjaszka Toby'ego, który — a i to musicie wiedzieć — siedział po przeciwnej stronie kominka i palił swą ulubioną fajkę, trwając w niemej kontemplacji nowych spodni z czarnego aksamitu. — Co oni tam mogą robić, bracie? — rzekł mój ojciec. — Przecie my ledwie słyszemy własne głosy.

— Sądzę — odparł stryjaszek Toby wyjmując fajkę z ust i w chwili rozpoczęcia przemowy uderzając nią kilkakrotnie o paznokiec kciuka lewej ręki. — Sądzę... — powiada. — Lecz abyście prawdziwie poznać mogli opinie mojego stryjaszka Toby'ego w tej sprawie, muszę was zaznajomić wprzód z jego charakterem, którego zarys podam wam niezabawem, po czym dialog między stryjem a moim ojcem potoczy się dalej bez przeszkód.

Zechciejcie mi, proszę, powiedzieć, jak nazywał się ów człowiek — piszę bowiem w takim pośpiechu, że nie mam czasu szperać w pamięci czy w encyklopediach — który pierwszy wypowiedział uwagę: „Iż pogoda nasza i klimat wielką wykazują zmienność”. Kimkolwiek był, dowiódł bystrości obserwacji. Ale wniosek, wyprowadzony stąd, a mianowicie: „Że to właśnie jest przyczyną istnienia u nas wielkiej różnorodności dziwacznych i kapryśnych charakterów” — nie wyszedł od niego. Autorem jest inny człowiek, żyjący co najmniej półtora wieku później. Twierdzenie zaś: „Iż te zasobne składy oryginalnego tworzywa stały się istotną i prawdziwą przyczyną faktu, że nasze komedie sceniczne są o tyle doskonalsze niż tego rodzaju dzieła we Francji oraz wszystkie, które zostały już albo będą w przyszłości stworzone na kontynencie” — to odkrycie, poczynione dopiero gdzieś mniej więcej w połowie panowania króla Wilhelma, kiedy

wielki Dryden pisząc jedną ze swoich długich przedmów szczęśliwie wpadł na ów koncept. Zaznaczyć wypada, że przy końcu panowania królowej Anny wielki Addison popierał ów pogląd i objaśnił go światu bar-dziej szczegółowo w kilku numerach swego Spectatora; lecz nie on dokonał tego odkrycia. Wreszcie po czwarte, ta osobliwa kapryśność naszego klimatu, która jest przyczyną osobliwej ekscentryczności naszych charakterów, w pewnej mierze nas wynagradza, daje nam bowiem coś, co rozwesela, kiedy niepogoda więzi nas w domu. Otóż to ostatnie odkrycie jest moje własne, a uczyniłem je tego słotnego dnia 26 marca roku Pańskiego 1759, między godziną dziewiątą a dziesiątą rano.

W ten więc sposób — w ten właśnie sposób, drodzy moi współpracownicy i pomocnicy w wielkim żniwie nauki, które dojrzewa teraz przed naszymi oczyma, w ten więc sposób powolnym krokiem, posuwając się od przypadku do przypadku, nasza wiedza fizyczna, metafizyczna, fizjologiczna, polemiczna, nautyczna, matematyczna, enigmatyczna, techniczna, biograficzna, beletrystyczna, chemiczna, ginekologiczna oraz pięćdziesiąt innych jej gałęzi (których większość jak powyższe kończy się na i c z n a) od dwóch z górą stuleci lub dłużej stopniowo pnie się w górę ku 'AKMH doskonałości, od której — jeżeli wolno nam sądzić po szybkim postępie ubiegłych lat siedmiu — nie możemy znajdować się już daleko.

Ufajmy, że kiedy szczyt ów zostanie osiągnięty, nadejdzie kres wszelkiego piśmiennictwa; zupełny brak jakiegokolwiek słowa pisanego położy z kolei kres wszelkiemu czytelnictwu; to zaś we właściwym czasie, tak jak wojna rodzi nędzę, nędza zaś rodzi pokój — musi, rzecz jasna, położyć kres wszelkiej wiedzy. A wtenczas wszyscy będziemy musieli zacząć od początku; czyli, innymi słowy, znajdziemy się dokładnie tam, gdzieśmy zaczęli.

Szczęśliwe, po trzykroć szczęśliwe czasy! Życzyłbym sobie jeno, aby data mojego poczęcia, jak również spo-

sób jego i przebieg były nieco odmienne lub raczej zostały opóźnione (wedle wygody mojego ojca lub matki) o jakieś dwadzieścia czy dwadzieścia pięć lat, kiedy to przed człowiekiem ze świata literackiego otworzą się szersze możliwości.

Zapomniałem jednak o moim stryjaszku Toby'm, który cały ten czas wystukuje popiół z fajki.

Jego usposobienie należało do tej szczególnej kategorii, której istnienie przynosi zaszczyt naszemu klientowi; jakoż bez skrupułów zaliczyłbym go do najbardziej udanych twórców naszej atmosfery, gdyby nie było w nim wielu wyraźnych rysów rodzinnych, co wskazuje dobitnie, że dziwaczność jego charakteru pochodziła bardziej z krwi niż wiatru czy wody lub jakiegokolwiek odmiany czy kombinacji tych dwojga. Dlatego dziwiłem się często, że ojciec mój, choć jak mi się wydaje miał ku temu liczne powody, dostrzegając we mnie, kiedy byłem dzieckiem, pewne znamiona ekscentryczności, nigdy nie usiłował wytłumaczyć ich w powyższy sposób. Zresztą wszyscy, co do jednego, członkowie rodu Shandy'ch odznaczeni byli ekscentrycznością charakteru. Mam na myśli mężczyzn, kobiety bowiem w ogóle nie miały charakterów — z wyjątkiem jedynej mojej ciotecznej babki Diny, która przed sześćdziesięciu blisko laty poślubiła i obdarzyła dzieckiem stangreta, w związku z czym mój ojciec, opierając się na swej hipotezie o imionach, powiadał często: „Może za to podziękować swoim rodzicom chrzestnym”.

Wyda się to pewnie bardzo dziwne — a ja przecież wolałbym rzucać czytelnikowi pod nogi kłody najzawilszych zagadek (co zresztą nie jest moim zamiarem), niż kazać mu odgadnąć, jak się to stało, że po tylu latach podobne zdarzenie maćć mogło harmonię i serdeczną zgodę, panujące niezmiennie między moim ojcem a stryjaszkiem Toby'm. Należałoby przypuszczać, że cała siła niszczycielska tego niefortunnego wypadku w rodzinie zużyła się i wypaliła w pierwszej chwili — jak to zwykle bywa. Ale w naszej rodzinie

nic nie działo się nigdy w zwykły sposób. Być może w czasie przygody z ciotką Diną na naszą rodzinę spadło jakieś inne nieszczęście; a ponieważ strapienia zsyłane są na nas dla naszego dobra, to zaś nie przyniosło nigdy rodzinie Shandy'ch najmniejszej korzyści, kto wie, czy zaczaiwszy się gdzieś nie czekało sposobnej pory i okoliczności, które pozwoliłyby mu spełnić jego posłannictwo. Ponadto nie potrafiłbym nie powiedzieć. Moim zadaniem jest wskazać ciekawemu różnego rodzaju badań, aby mógł on dotrzeć do źródeł wypadków, o których opowiadam. Nie w fesczeński drobiazgowy sposób ani też arbitralny metodą Tacyta, który olśniewa siebie samego i swego czytelnika; lecz z usługną pokorą serca oddanego jedynie sprawie pomagania dociekliwym. Dla nich to właśnie piszę i przez nich będę czytany aż do końca świata — jeśli tego rodzaju książka wytrzyma tak długą próbę czasu.

Nie orzekam tedy, dlaczego to źródło strapienia przeznaczone zostało mojemu ojcu i stryjaskowi Toby. Lecz jak się stało, że raz zaczawszy działać doprowadzało do niesnasek między nimi, mogę wam wyjaśnić z wielką dokładnością.

Otóż, pani, mój stryjasek Toby Shandy był dżentelmenem, który prócz zalet składających się zazwyczaj na charakter człowieka honorowego i prawego, posiadał wysoce rozwiniętą jedną jeszcze cnotę, co rzadko lub nigdy nie figuruje w rejestrach; cnotą tą była niepomierna, bezprzykładna skromność natury. Jednakże cofam słowo „natura”, a to z tego względu, aby nie przesądzać z góry sprawy, którą niebawem będę zmuszony rozpatrzyć, a mianowicie: Czy skromność mego stryjaska była przyrodzona, czy też nabyta? Ale jaką bądź drogą doszedł do niej, była to skromność w najprawdziwszym i najpełniejszym tego słowa znaczeniu; czyli, pani, skromność nie w słowach, bo tych biedny mój stryjasek niewielki posiadał zasób, tylko w czynach; ta zaś odmiana skromności tak nim o władnęła i do takich wzniosła się w nim wyżyn, iż mogła równać się bez mała (jeśli taka rzecz jest

w ogóle możliwa) ze skromnością niewiasty, z ową kobiecą delikatnością, pani, oraz czystością myśli i wyobraźni, które sprawiają, że budzicie w nas tak bezgraniczny podziw.

Wyobrażasz sobie zapewne, pani, że stryjasek Toby na obcowaniu z przedstawicielkami twojej płci; że spędził życie, że z tej gruntownej znajomości niewiast oraz z siły naśladownictwa, które dzięki pięknym przykładom staje się wręcz musem, wywodzą się jego mile skłonności.

Żałuję, że nie mogę potwierdzić twych przypuszczeń, bo prócz rozmów z bratową — żoną mojego ojca a moją matką — stryjasek Toby zamienił w ciągu tych wszystkich lat nie więcej chyba niż trzy słowa z przedstawicielkami płci odmiennej. Nie, pani, zdobył tę piękną cnotę od jednego razu. — Od jednego razu! — Tak, pani, stało się to na skutek razu zadanego kamieniem odlupanym z bastionu przez kulę podczas oblężenia Namur; kamieniem, który uderzył mojego stryjaska Toby'ego w pachwinę. — W jakim sposobie mogło to wyrzucić taki skutek? — Opowieść o tym, pani, jest długa i zajmująca: lecz aby przytoczyć ją tutaj, musiałbym wywrócić do góry nogami cały ład książki. Poruszę więc tę sprawę w późniejszym epizodzie — i każdy szczegół z nią związany zostanie ci, pani, wernie przedłożony we właściwym miejscu i o właściwej porze. Do tego czasu nie będę mógł objaśnić cię dokładniej lub powiedzieć więcej, niż już powiedziałem: że mój stryjasek Toby był dżentelmenem odznaczającym się bezprzykładną skromnością, którą nie wygasający płomień rodowej dumy czynił jeszcze subtelniejszą i wytworniejszą. Z obu więc tych powodów, ilekroć poruszano przy nim sprawę ciotki Diny, przeżywał najżywsze emocje. Najmniejsza aluzja wyciskała mu na policzki krwawe rumieńce, lecz kiedy wydarzeniem mój zaczynał rozwodzić się nad tym wydarzeniem w mieszanej kompanii, co często czynić musiał dla zilustrowania swojej hipotezy, wspomnienie nieszczę-

snej śniedzi, która przeżarła jedną z najpiękniejszych gałęzi naszego drzewa genealogicznego, na ciężką próbę wystawiało drażliwość stryjaszka. Często też odciągał na bok ojca i niezmiernie poruszony lajał go i powiedział, że gotów jest oddać wszystko na świecie, byleby on nie tykał tej sprawy.

Mniemam, że ojciec żywił dla mojego stryjaszka Toby'ego najprawdziwszą miłość i czułość i że uczyniłby wszystko, czego w granicach rozsądku mógł spodziewać się brat od brata, aby zapewnić stryjaszce Toby'emu spokój ducha w tej lub jakiegokolwiek innej materii. Ale w przypadku ciotki Diny rzecz ta przekraczała jego siły.

Ojciec mój, jak wam to mówiłem, był filozofem z urodzenia — spekulatywnym, metodycznym; sprawa zaś ciotki Diny posiadała dla niego tak wielką wagę, jak sprawa ruchu wstecznego planet dla Kopernika. Potknięcia się Wenus w jej orbicie ugruntowały system Kopernika, tak nazwany od jego imienia; potknięcie się mojej ciotki Diny w jej orbicie oddało tę samą usługę systemowi mojego ojca, który to system, ufam, od dziś po wsze czasy zwany będzie od jego imienia systemem Shandy'ego.

Wydaje mi się, że we wszystkich innych niezaszczytnych dla rodziny sprawkach ojciec okazałby nie mniejszą wstydlivość niż każdy normalny człowiek i że ani on, ani Kopernik nie ujawniliby tych spraw ani nie zwróciliby na nie uwagi świata, gdyby nie obowiązki wobec prawdy, do których się poczuwali. — *Amicus Plato* — powiedział mój ojciec tłumacząc sens tych słów stryjaszce Toby'emu — *amicus Plato*, czyli Dina była moją ciotką; *sed magis amica veritas*, lecz prawda jest mi matką.

Ta odmienność usposobień mojego ojca i stryjaszka Toby'ego była przyczyną wielu braterskich sprzeczek. Jeden cierpiał męki, kiedy opowiadano historię rodzinnej hańby, drugi nie opuścił dnia jednego, aby nie uczynić o niej choćby najmniejszej wzmianki.

— Na miłość Boga! — wykrzykiwał mój stryjaszek

Toby — miejże wzgląd na nas wszystkich, drogi bracie, i zostaw historię życia naszej ciotki i jej prochy w spokoju. Jak możesz — jak możesz mieć tak mało miłosierdzia i szacunku dla dobrej sławy naszej rodziny? — Czymże jest dobra sława rodziny w porównaniu z hipotezą? — odpowiadał mój ojciec. — A nawet, jeśli się nad tym zastanowić, czymże jest życie rodziny? — Życie rodziny! — powiadał stryjasek Toby rzucając się na fotel i wznosząc do góry oczy, obie ręce i jedną nogę. — Tak, życie rodziny — obstawał przy swoim mój ojciec. — Ileż to tysięcy rodzin (w każdym razie we wszystkich cywilizowanych krajach) wyrzuca się co roku poza nawias społeczności i traktuje nie inaczej, jak powietrze — po to jedynie, aby dowieść słuszności jakiejś hipotezy? — Na mój prosty rozum — odpowiadał stryjasek Toby — każdy taki wypadek jest zwykłym MORDERSTWEM. — Tu się właśnie mylisz — brzmiała zazwyczaj odpowiedź mojego ojca — bo na *forum scientiae* nie ma pojęcia MORDERSTWA, a jest tylko ŚMIERĆ.

Na powyższe słowa ojca stryjasek Toby odpowiadał niezmiennie jednym tylko argumentem — gwizdał kilka taktów *Lillibullero*. Wiedźcie, że w ten właśnie sposób wyładowywał oburzenie, kiedy był czymś zgorzszony lub zaskoczony; zwłaszcza zaś, kiedy napotkał coś, co w jego mniemaniu było szczytem absurdu.

Ponieważ żaden z naszych logików ani, jeśli mnie pamięć nie myli, żaden z ich komentatorów, nie uznał za stosowne nadać nazwy tej szczególnej odmianie argumentu, ja uczynię to teraz z dwóch następujących powodów. Po pierwsze — dla uniknięcia w przyszłości zamętu w dysputach lepiej będzie, jeżeli się go raz na zawsze odróżni od wszystkich innych rodzajów argumentu — jak na przykład *argumentum ad verecundiam*, *ex absurdo*, *ex potiori* lub jakiego bądź innego argumentu. Oraz po drugie, iżby dzieci moich dzieci — kiedy przyjdzie mi złożyć głowę do wiecznego snu — mogły rzec, że głowa ich uczonego dziadka wysilała się ongiś ze skutkiem nie gorszym niż głowy innych uczo-

## LILLIBULLERO

(Lilla bullero, Lilli-Burlero)

piosenka, którą gwizdał mój stryjasek

Okazję do napisania ballady pod tę melodię dał król Jakub II, promując w roku 1686 generała Talbota, dopiero co obdarzonego tytułem lorda Tyrconnel, na naczelnego wodza Irlandii. Generał Talbot, zago-rzały papista, zaskarbił sobie względy swego fanatycz-nego monarchy zaledwie przed rokiem, kiedy jako generał-porucznik okazał wielką srogość protestantom; późniejsze jego postępowanie dowiodło, że słusznie go ocenił zarówno pokładający w nim nadzieje monarcha, jak i lękający się go protestanci.

Ta swawolna ballada, mocno ośmieszająca papistów, osobliwie zaś Irlandczyków, miała przyśpiewkę, w któ-rej powtarzały się słowa jakoby irlandzkie: „*Lero lero, lillibullero*”. Powiadano, że silniej ona wstrząsnęła armią (króla Jakuba II) niż filipiki Demostenesa i Cy-cera. Cała armia, a w jakiś czas później również wszystka ludność miast i wsi, wyśpiewywała *Lillibul-lero*. Chyba nigdy przyczyna ta błaża nie wywarła skutków tak ogromnych, gdyż stwierdzić trzeba, że *Lillibullero* w niemałym stopniu przyczyniło się do rewolucji roku 1688.

Powiadają, że słowa *Lillibullero* i *Bullen-A-Lah* były hasłem irlandzkich papistów podczas masakry zgotowanej protestantom w roku 1641.

LILLI BULLERO.

*Lively.*

Lil-li bulle-ro,

Lil-li bul-le-ro bullen a la Le-ro le-ro, lil-li bul-le-ro,

Le-ro le-ro, bullen a la, Le-ro le-ro, lil-li bul-le-ro, Le-ro le-ro, bullen a la.

The musical score is written for piano and voice. It consists of three systems of music. Each system has a piano accompaniment on the left and a vocal line on the right. The piano part is in 4/4 time and features a rhythmic pattern of eighth and sixteenth notes. The vocal line is in a soprano range and features a melody of eighth and sixteenth notes. The lyrics are written below the vocal line.

nych. Że wymyślił on i wrzucił hojnie do skarbca *ars logica* nowy termin dla jednego z najtrudniejszych do odparcia argumentów, jakie zna nauka; jeśli zaś celem dyskusji jest raczej zamknięcie ust niż przekonanie oponenta, mogę dodać jeszcze: dla jednego z najskuteczniejszych argumentów.

Przeto wszem wobec i każdemu z osobna najsurowiej polecam i rozkazuję, aby od dziś był on znany i odróżniany pod nazwą *argumentum fistulatorium* \* i pod żadną inną. Oraz, aby postawiony był w jednym rzędzie z *argumentum baculinum* \*\* i *argumentum ad crumenam* \*\*\* i omawiany w tym samym co one rozdziale.

Jeśli zaś idzie o *argumentum tripodium* \*\*\*\*, którego używa tylko kobieta przeciwko mężczyźnie, i *argumentum ad rem* \*\*\*\*, którego na odwrót, używa tylko mężczyzna przeciwko kobiecie — niechaj również potraktowane będą osobno i w miejscu tylko im poświęconym, jako że dwóch argumentów dość jest na jeden przykład i co więcej, pierwszy jest najlepszą odpowiedzią na drugi.

## ROZDZIAŁ XXII

Światły biskup Hall — mam na myśli słynnego doktora Józefa Halla, który był biskupem Exeter za panowania króla Jakuba I — powiada nam w jednej z dekad na końcu swego teologicznego dzieła o sztuce medytacji, wydanego w roku 1610 w Londynie przez księgarza Johna Beala, zamieszkałego przy ulicy Aldersgate, „iż samochwalstwo jest cechą odrażającą”. Ja zaś sędzę, że to prawda.

- \* *Argumentum fistulatorium* — argument odnoszący się do grającego na piszczalce.
- \*\* *Argumentum baculinum* — argument kija.
- \*\*\* *Argumentum ad crumenam* — argument sakiewki.
- \*\*\*\* *Argumentum tripodium* i *argumentum ad rem* — oba argumenty odnoszą się do dziedziny stosunków seksualnych.

Ale znów z drugiej strony uważam, że nie mniej jest odrażające, kiedy ktoś wykona po mistrzowsku coś, czego zapewne nikt nie doceni, i twórca bez zaszczytów, z goryczą w sercu zejdzie z tego świata.

W takim dokładnie położeniu ja się znajduję.

Albowiem w całej tej długiej dygresji, w którą przypadkiem zostałem wciągnięty, podobnie jak we wszystkich innych moich dygresjach (z wyjątkiem tylko jednej), widać iście mistrzowską zdolność oddalania się od głównego tematu, czego zasługa, obawiam się, uszła uwagi czytelnika — nie dlatego, że zbywa mu na bystrości postrzegania — ale ponieważ jest to zaleta, której czytelnicy rzadko doszukują się w dygresji. Oto ona: chociaż, jak to zauważyliście z pewnością, wszystkie moje dygresje są zgrabniuchne — i lubo odbiegam od głównego tematu częściej i dalej niż jakikolwiek inny pisarz w Wielkiej Brytanii — baczę jednak pilnie, aby w taki sposób układać swoje sprawy, iżby główny wątek nie próżnował podczas mojej nieobecności.

Więc na przykład miałem wam właśnie przedstawić w konturach niezwykle chimeryczny charakter mojego stryjaszka Toby'ego, kiedyśmy nagle natknęli się na ciotkę Dinę i jej stangreta, którzy powiedli nas na manowce — w odległość jakichś kilku tysięcy mil, w sam środek systemu planetarnego. Mimo to zauważyliście, czytelnicy, że przez cały czas dopełniany był po cichutku szkic charakteru stryjaszka Toby'ego; nie za pomocą zasadniczych linii — to było niemożliwe — lecz gdzieniegdzie rzucanych na płótno swojskich pociągnięć pędzla i drobnych kreseczek; tak że teraz znajecie mojego stryjaszka znacznie lepiej, niż znaliście go przedtem.

Dzięki temu pomysłowi machina mojej pracy jest doprawdy jedyna w swoim rodzaju; działają w niej, i to działają zgodnie, dwa ruchy, które uważane były dotąd za pozostające ze sobą w sprzeczności. Słowem, dzieło moje jest dygresyjne i jest progresywne — i to jednocześnie.

Jest to, panie, sprawa zgoła inna niż obracanie się

Ziemi dookoła własnej osi w jej dobowych zmianach oraz ruch po orbicie eliptycznej, który rodzi rok i ustanawia budzącą zachwyty różnorodność i zmienność sezonów. Chociaż wyznaję, że to właśnie podsunęło mi ową myśl — ponieważ przypuszczam, że największe z naszych szeroko rozslawionych udoskonaleń i odkryć zaczęły się od takich bagatelnych spostrzeżeń.

Dygresje są bezspornie ciepłym promieniem słońca — są życiem, samą duszą lektury! Wyrzucicie je na przykład z tej książki — ach, moglibyście równie dobrze wyrzucić wraz z nimi całą książkę; wieczna mroźna zima panoszyłaby się na wszystkich jej kartach. Zwróćcie je pisarzowi — a ruszy z miejsca jak pan młody. Powita was pięknie, urozmaici czytanie podsycając ustawicznie wasze apetyty.

Wszystko zależy od smakowitego przyrządzenia i doprawienia dygresji, tak aby poszły na zdrowie nie tylko czytelnikowi, lecz również autorowi, którego strapienia w tej materii budzą szczerą litość. Gdy bowiem zaczyna dygresję, w tej samej chwili, jak zauważam, zatrzymuje się jego główny wątek; gdy zaś ruszy naprzód z głównym wątkiem — żegnaj, dygresjo!

Podła to robota. Dla tej więc przyczyny przeplotłem główny wątek oraz jego przydatki tyłu luźnymi wstawkami i tak splątałem i pogmatwałem ruch progresywny i dygresyjny — jedno kółko w drugim — że ogólnie rzecz biorąc cała machina utrzymywana była w nieustannym ruchu i co więcej utrzymywana będzie przez najbliższe lat czterdzieści — jeśli dawca zdrowia zechce tak długo obdarzać mnie życiem i animuszem.

## ROZDZIAŁ XXIII

Mam nieprzewycięzoną chętkę rozpocząć ten rozdział bezsensownie i nie zamierzam kielzać mojej fantazji. Przeto zaczynam:

Gdyby umieszczenie momusowego\* szkła w piersi ludzkiej, w myśl poprawki proponowanej przez tego arcykrytyka, stało się faktem, po pierwsze: takie ucieśnienie miałyby to skutki, że najmędrsi i najpoważniejsi z nas musieliby w tej czy innej monecie płacić okienne do końca swoich dni.

Oraz po drugie: gdyby wspomniane okno umocowane zostało tamże, do poznania charakteru człowieka wystarczyłoby w zupełności wziąć krzesło i zbliżyć się cicho — jak zbliżalibyście się do ula opatrzonego szklanymi szybkami — i zerknąć do środka; przyjrzeć się duszy golusieńkiej; zaobserwować wszystkie jej poruszenia, machinacje, wszystkie toczące ją robaki od momentu składania jajeczek aż do ich wylęgnięcia; podpatrzeć ją, kiedy bryka swawolnie, fika kozły z radości i puszcza wodze fantazji; wreszcie przyjrzeć jej się w chwilach powagi — jakże naturalnych po takim fikaniu, brykaniu etc. — po czym wziąć pióro i atrament i spisać jedynie to, coście widzieli i na co mogliście przysiąc. Lecz takie udogodnienie nie jest dostępne biografom na naszej planecie. Na planecie Merkury (prawdopodobnie) korzystają oni z takich, a nawet może większych udogodnień; panująca bowiem niezmiennie na tym globie gorącość, którą z uwagi na bliskie sąsiedztwo Merkurego ze Słońcem rozmiłowani w kalkulacjach uczeni porównywają z temperaturą rozpalonego do czerwoności żelaza — musiała, sędzę, dawno już wysuszyć i przemienić w szkło ciała mieszkańców (przyczyna sprawcza), aby przystosować je do tamtejszego klimatu (przyczyna celowa). Tak że wszystkie pomieszczenia ich dusz, od góry do dołu, nie są prawdopodobnie niczym innym (jeśli najlepsza filozofia nie zdoła zaświadczyć nic przeciwnego), jak tylko przezroczystymi bryłami czystego szkła (z wyjątkiem pępka). Przeto dopóki mieszkańiec Merkurego nie zestarzeje się i nie pokryje zmarszczkami — na

\* Momus — w greckiej mitologii bożek Momus uosabia ducha krytyki i szyderstwa. Miał za złe Dzeusowi, że nie umieścił w piersi człowieka okna, przez które widać by było jego prawdziwe myśli.

skutek czego przenikające przezeń promienie świetlne załamują się w tak monstrualny sposób lub też odbijają się od jego powłoki tak pogmatwanymi i nieczytelnymi dla oka liniami, że nikt nie zdoła przejrzeć go wskroś — jego dusza może z równym powodzeniem (chyba że powstrzymają ją od tego zwykle ceregiele lub że chce wykorzystać nieznaczną przewagę, jaką daje jej nieprzezroczysty punkcik pępka) — jego dusza może, powtarzam, z równym powodzeniem wyprawiać swoje brewerie na dworze, jak w czterech ścianach własnego domu.

Nie dotyczy to jednak, jak już o tym wyżej wspomniałem, mieszkańców Ziemi. Nasze dusze nie przeświecają przez ciała, lecz kryją się w pokrowcu z nieprzezroczystych tkanek i krwi. Jeżeli więc chcemy zgłębić ich szczególne właściwości, musimy zabrać się do tego zgoła inaczej.

Wiele jest sposobów, których rozum ludzki zmuszony był się chwytać, aby wykonać akuratnie to zadanie.

Niektórzy na przykład rysują wszystkie swoje postacie przy pomocy instrumentów dętych. Wergiliusz zwrócił na to uwagę w opisie przygody Dydony i Eneusza; lecz metoda ta, tak zwodna jak tchnienie sławy, dowodzi zdolności bardzo ograniczonych. Nie uszło mojej uwagi, że Italczycy chlubią się matematyczną bez mała ścisłością w określaniu jednej szczególnej cechy charakteru za pomocą *forte* lub *piano* pewnego używanego przez nich instrumentu dętego, która to metoda, jak powiadają, jest niezawodna. Nie śmiem podawać tu nazwy tego instrumentu; wystarczy, że istnieje on również u nas — ale nie mamy zwyczaju charakteryzować nim ludzi. Wszystko to brzmi zagadkowo, co zresztą było moim zamierzeniem — przynajmniej *ad populum*. Dlatego też proszę cię, pani, abyś dotarłszy do tego miejsca czytała dalej z całym, na jaki cię stać, pośpiechem i nie zatrzymała się ani razu w celu przeprowadzenia dociekań.

Bywają inni jeszcze, którzy określają charakter czło-

wieka na podstawie li tylko jego odchodów; lecz ta metoda daje często bardzo mylny obraz — chyba że sporządzącie szkic drugi procesu nasycania się; i korygując jedno wedle drugiego, złożycie z obu trafny obraz.

Nie zgłaszałbym żadnych sprzeciwów względem tej metody, gdybym nie uważał, iż wymaga ona zbyt dużego nakładu pracy — tym większego, że zmusza także do badania innych nienaturalnych rzeczy w człowieku\*. Dlaczego najnaturalniejsze funkcje w życiu ludzkim zwą się nienaturalnymi — to zgoła inna sprawa.

Po czwarte, istnieją jeszcze tacy, którzy gardzą wszelkimi tego rodzaju środkami; nie aby sami byli aż tak bardzo płodni w pomysły, ile że posiadają wiele sposobów rysowania charakterów, które zapożyczyli z czcigodnych metod, jakimi Pentagraficzni Bracia\*\* spod znaku drukarskiej szczotki posługują się przy sporządzaniu kopii. Są to, wiedzcie, nasi wielcy historycy.

Jednego z nich ujrzeć możecie rysującego charakter naturalnej wielkości pod światło; jest to nieuprzejme, nieuczciwe i niemiłosierne względem człowieka, który pozuje.

Drudzy, dla ratowania sytuacji, gotowi są zrobić wasz konterfekt przy drzwiach zamkniętych; to zaś bardziej niż wszystko inne jest krzywdzące, bądźcie bowiem pewni, że zostaniecie tam przedstawieni w najbardziej ośmieszających pozach.

Aby w sporządzonym dla was opisie charakteru mojego stryjaszka Toby'ego uniknąć wszystkich tych błędów, postanowiłem najsolenniejsz nie uciekać się do żadnego z mechanicznych środków. Mój ołówek nie będzie kierowany żadnym z instrumentów, na którym grano

\* Nienaturalne rzeczy w człowieku — fizjologia średnio-wieczno-renańska określiła tym mianem powietrze, pożywienie, sen, ruch, tzw. wydzielanie humorów itp. jako elementy nie przyrodzone człowiekowi, lecz konieczne do jego istnienia.

\*\* Pentagraficzni Bracia — od pentagraf: instrument do mechanicznego kopolowania druków i rysunków w dowolnych proporcjach (przyp. autora).

kiedykolwiek po tej czy tamtej stronie Alp; nie będę również brał pod uwagę napelnień czy wypróżnień; ani nie wspomnę o rzeczach nienaturalnych w człowieku; lecz skreślę wam obraz charakteru stryjaszka Toby'ego na podstawie jego KONIKA.

## ROZDZIAŁ XXIV

Gdyby nie moja wewnętrzna pewność, że czytelnik kipi z niecierpliwości poznania charakteru stryjaszka Toby'ego, postarałbym się go wprzód przekonać na tym miejscu, iż żaden instrument nie jest tak sposobny do wykonania rysunku, jak ten, który wpadł mi w ręce.

Chociaż nie mogę rzec, że człowiek i jego KONIK działają i oddziałują wzajem na siebie dokładnie w ten sam sposób, co dusza i ciało, jednakże bez wątplenia istnieje między nimi pewnego rodzaju więź. Ja zaś osobiście skłaniam się ku mniemaniu, że we wzajemnym ich stosunku jest coś z obyczajów naelektryzowanych ciał oraz że poprzez rozgrzane części ciała jeźdźca, które stykają się bezpośrednio z grzbietem jego KONIKA — podczas nie kończących się galopad i długotrwałego tarcia — ciało jeźdźca wchłania tyle KONIKOWEJ materii, ile tylko zdolne jest pomieścić. Jeżeli więc zdołacie dać jasny opis właściwości jednego, możecie ukształtować sobie dość dokładnie wyobrażenie o zdolnościach i charakterze drugiego.

Otóż KONIK, na którym jeździł zawsze stryjaszek Toby, był w moim mniemaniu KONIKIEM wartym dokładnego opisu — już choćby z uwagi na osobliwość jego cech. Moglibyście bowiem przejechać szmat drogi z Yorku do Dover, z Dover do Penzance w Kornwalii i z Penzance z powrotem do Yorku nie spotkawszy na gościńcu takiego drugiego. Gdybyście zaś takiego spotkali, to choćby ziemia paliła wam się pod stopami,

przystanąlibyście niechybnie, aby rzucić nań okiem. Bo jego chód i cała postać wydawały się tak dziwaczne i tak w każdym calu, od łba aż po ogon, różny był od swoich współbraci, że od czasu do czasu wiedziono dysputy, czy można, czy nie można uznać go za prawdziwego KONIKA. Ale podobnie jak Filozof w dyskusji ze Sceptykiem, który przeczył istnieniu ruchu, nie użył żadnego argumentu, tylko wstał i przechadzał się po pokoju, tak stryjasek Toby chcąc dowieść, że jego KONIK jest naprawdę KONIKIEM, miast argumentu dosiadał go i galopował; pozostawiając światu swobodę w rozstrzygnięciu sporu wedle własnego widzimisię.

Prawdę mówiąc, mój stryjasek Toby dosiadał swego KONIKA z tak wielkim upodobaniem, ten zaś niósł go tak dobrze, że jeździec niewiele troszczył się o to, co świat o nim myśli lub mówi.

Ale czas to już najwyższy, abym podał wam jego opis. Pragnąc przecie opowiadać systematycznie, zmuszony jestem prosić was, abyście mi pozwolili przedstawić wprzód okoliczności, w jakich stryjasek Toby stał się jego właścicielem.

## ROZDZIAŁ XXV

Rana w pachwinie stryjaska Toby'ego, którą odniósł podczas oblężenia Namur, uczyniła go niezdatnym do służby wojskowej. Okazało się koniecznym, aby dla odzyskania zdrowia — jeśli to w ogóle było możliwe — wrócił do Anglii.

Cztery lata złożony był niemocą — część tego okresu przykuty do łoża, a przez cały czas skazany na samotność swego pokoju. W trakcie zaś kuracji, której nie przerywano ani na moment, doświadczał niewysłowionych cierpień wywołanych kolejnym łuszczeniem się os *pubis* oraz zewnętrznej krawędzi *coxendix*, zwanej

os *illium*, które to obie kości straszliwie były zmiążdżone, a to zarówno z powodu nieforemności kamienia odłupanego, o czym wam wspominałem, od bastionu twierdzy, jak również z powodu jego wielkości, co skłoniło lekarza do wyrażenia opinii, że ogromna rana w pachwinie stryjaszka powstała bardziej na skutek ciężaru samego głazu niż impetu jego uderzenia. To zaś, często powiadał, było dla stryjaszka okolicznością bardzo fortuną.

W tym czasie mój ojciec zaczął prowadzić interesy w Londynie i tamże wynajął dom. A ponieważ między obu braćmi panowała najszczerza przyjaźń i serdeczne porozumienie, ponadto zaś rodzic mój mniemał, że stryjaszek Toby nigdzie nie znajdzie takiej pielęgnacji i takiego starania, jak w jego własnym domu — odstąpił mu pod swoim dachem najpiękniejszą komnatę. Bardziej jeszcze szczerym dowodem braterskiego afektu było, że ilekroć ktoś z przyjaciół lub znajomych ojca wstępował do niego przy jakiejś okazji, ojciec brał go za rękę i prowadził na górę w odwiedziny do brata, u którego łoża gość spędzał godzinkę lub dwie na pogawędce.

Historia rany żołnierskiej uśmierza wywołany nią ból. Tak przynajmniej zdawali się sądzić goście mojego stryjaszka i powodując się płynącą z tego przekonania grzecznością, w swych codziennych odwiedzinach często kierowali rozmowę na jej temat — z tego zaś tematu rozmowa płynęła wartkim strumieniem ku samemu obłężeniu.

Dyskursy te były dowodem niezwykłej życzliwości ludzkiej i stryjaszek Toby znajdował w nich wielkie ukojenie; znalazłby zaś większe, gdyby nie przyprawiły go one o nieprzewidziane kłopoty, co przez trzy miesiące opóźniało ogromnie jego powrót do zdrowia. Jestem przekonany, że gdyby stryjaszek nie wpadł na sposób wywikłania się z tych tarapatów, wpędziłyby go one do grobu.

Jakiej natury były owe kłopoty — tego nie potraficie odgadnąć, a gdybyście odgadli, spłonąłbym rumień-

cem — nie jako jego krewny, nie jako mężczyzna, nawet nie jako kobieta, lecz jako autor, a to, ponieważ niemało jestem dumny, że jak dotąd mój czytelnik nie zdołał jeszcze niczego odgadnąć. W tych zaś sprawach, panie, odznaczam się tak szczególną subtelnością, że gdybym mniemał, że zdolen jesteś domyślić się lub przewidzieć, co zdarzy się na następnej karcie — wydarłbym ją z książki.

# Księga II

## ROZDZIAŁ I

Rozpoczynam nową księgę, aby nie zbrakło mi miejsca na szczegółowe wyjaśnienie wam natury zmieszania, w jakie popadał mój stryjasek Toby podczas licznych dyskursów i indagacji w sprawie oblężenia Namur, pod którego murami odniósł ranę.

Muszę przypomnieć czytelnikowi, jeżeli czytał on historię wojen króla Wilhelma — jeżeli zaś nie czytał, muszę go powiadomić, że jednym z najbardziej pamiętnych ataków podczas tego oblężenia było dokonane przez Anglików i Niderlandczyków natarcie na wysunięte miejsce przeciwkarpy pomiędzy bramą św. Mikołaja, która grodziła wielką służę czy tamę fosy i w pobliżu której Anglicy wystawieni byli na straszliwy ogień z nadszańca i półbastionu, a basztą św. Rocha. Wynik tej ognistej dysputy streszczony w kilku słowach był taki: Niderlandczycy zdobyli nadszańce, Anglicy zaś stali się panami krytego przejścia przed bramą św. Mikołaja — mimo dzielności francuskich oficerów, którzy z pałaszami w dłoniach bronili *glacis*.

Ponieważ było to największe ze wszystkich natarć, jakie stryjasek Toby oglądał pod Namur na własne oczy — jako że armie oblężnicze, odcięte przez zalew

rzek Mozy i Sambry, niewiele zobaczyć mogły ze swych wzajemnych operacyj — opowiadał o nim bardziej szczegółowo i ze swadą. Jego zaś zmieszanie wydzikłało w znacznej mierze z prawie nieprzewyciężonych trudności, o jakie potykał się chcąc przedstawić swą opowieść w sposób zrozumiały i dać tak jasne pojęcie o odmiennościach i różnicach między skarpią a przeciwskarpią, między *glacis* a krytym przejściem, między półszyjkiem a rawelinem, aby jego słuchacze mogli dokładnie zrozumieć, o czym mowa.

Pisarze nazbyt często skłonni są mylić te terminy; tym mniej przeto powinniście się dziwić, że pragnąc wytłumaczyć je i przeciwstawiając się licznym fałszywym wyobrażeniom, stryjasek Toby bardzo często wprowadzał zamęt do głów swoich gości, niekiedy zaś nawet do własnej.

Prawdę mówiąc, jeżeli goście, których ojciec prowadził do komnaty stryjaska Toby'ego, nie zachowali pełnej przytomności umysłu, stryjasek zaś mój nie był usposobiony do udzielania wyjaśnień, niełatwa to była rzecz — mimo serdecznych jego starań — uniknąć w dyspacie pewnych niejasności.

Stryjasek Toby tym bardziej wikłał się i na tym większe trafiał przeszkody, że w przeprowadzonym w pobliżu bramy św. Mikołaja natarciu na przeciwskarpię, która ciągnęła się od brzegów rzeki Mozy niemal do wielkiej śluzy, grunt poszatkowany był taką mnogością grobli, drenów, rowów, strumyków i śluz, stryjasek Toby zaś tak beznadziejnie grzązł i gubił między nimi drogę, że często żadną miarą nie mógł dać kroku ani naprzód, ani w tył; i nieraz zmuszony bywał zaprzestać ataku z tej jedynej racji.

Te irytujące trudności wprawiały stryjaska Toby'ego w większe zakłopotanie, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić; a że powodowany serdecznym braterskim afektem ojciec mój sprowadzał mu wciąż nowych przyjaciół, ci zaś zarzucali stryjaska wciąż nowymi pytaniami — zadanie jego nie było bynajmniej łatwe.

Rzecz to pewna, że stryjasek Toby był człowiekiem bardzo opanowanym i umiał nadržabiać miną nie gorzej niż inni ludzie. Ale łatwo możecie sobie wyobrazić, że skoro nie mógł wycofać się z rawelinu nie wpadłszy do półszyjka ani opuścić krytego przejścia nie stoczywszy się w dół przeciwskarp, ani wreszcie przejść grobli nie osunąwszy się do kanału — musiał turbować się i gryźć w duchu. Co też czynił. Te zaś małe i częste irytacje, które mogą wydać się bagatelne i błahe komuś, kto nie czytał Hipokratesa, jednakże dla kogoś, kto zna dzieła Hipokratesa lub dr Jamesa Mackenzie i kto zastanawiał się nad skutkami, jakie namiętności i wzruszenia ducha wywierają na trawienie (a czemu nie miałyby wyrzucić ich również na gojenie się rany?) — będzie rzeczą najoczywistszą, że tylko z powyżej przytoczonych racji rana stryjaska Toby'ego jątrzyła się i przyprawiała go o istne parokszizmy bólu.

Stryjasek Toby nie umiał filozofować na ten temat; wystarczyło, że czuł, iż rzeczy tak się mają — a ponieważ przez trzy długie miesiące znosił bóle i niewygody wynikające z tej sytuacji, postanowił wreszcie wywikłać się z niej w taki czy inny sposób.

Któregoś ranka — kiedy leżał na wznak, jako że cierpienia i natura rany w pachwinie nie pozwalały mu leżeć w żadnej innej pozycji — pomyślał w nagłym olśnieniu, że gdyby mógł nabyć i przykleić do deski dużą mapę fortyfikacji miasta i twierdzy Namur wraz z okolicami, zdołałby może tym sposobem zapewnić sobie spokój. Zwracam wam uwagę, że stryjasek Toby prócz mapy miasta i twierdzy Namur pragnął posiadać również mapę okolic, ponieważ ranę odniósł w jednym z przedpiersi, w odległości mniej więcej trzydziestu sążni od załamu szanca, a naprzeciw obarczonego kąta flankowego półbastionu św. Rocha; tak że był niemal pewny, iż zdoła wpiąć szpilkę dokładnie w to miejsce, gdzie stał, gdy ugodził go kamień.

Wszystko stało się wedle życzenia i stryjasek Toby został nie tylko uwolniony od mitręgi udzielania zawi-

łych wyjaśnień, lecz nadto dzięki fortunnemu splotowi okoliczności, jak o tym przeczytacie, nabył swojego KONIKA.

## ROZDZIAŁ II

Postanowiwszy raz ponieść koszta tego rodzaju biesiady, nie moglibyście chyba palnąć większego głupstwa, niż tak kiepsko wszystko urządzić, aby zganili ją wasi krytycy i panowie o wysubtelnionych gustach. Nic zaś chyba nie mogłoby uczynić ich bardziej do nagany skorymi, niż gdybyście nie zaprosili ich do kompanii lub, co nie mniej jest uwłaczające, okazywali atencję reszcie gości w tak widoczny sposób, jak gdyby przy stole w ogóle nie zasiadał stwór zwany krytykiem (z profesji).

Wystrzegam się obu uchybień. Albowiem po pierwsze zostawiłem dla tych jegomościów sześć wolnych miejsc u stołu; po drugie nadskakuję im, jak tylko potrafię. — Panowie, całuję wasze ręce, zapewniam was, że niczyje towarzystwo nie sprawiłoby mi większej przyjemności. Przebóg! Rad jestem, że przyszlście, błagam tylko, czujcie się jak u siebie w domu, siadźcie za stołem bez ceremonii i jedzcie ze smakiem.

Powiedziałem, że zostawiłem dla nich sześć miejsc u stołu, i miałem właśnie posunąć moją dworność tak daleko, iżbym zostawił miejsce siódme, na którym sam siedzę. Ale ponieważ jeden krytyk (po prawdzie nie z profesji, lecz z urodzenia) powiedział mi, iż znośnie wywiązałem się ze swych obowiązków, zajmę to miejsce na powrót, krzepiąc się w duchu nadzieją, że w przyszłym roku zdołam przygotować dla nich więcej miejsc.

— Jak, u diaska, mógł twój stryjaszek Toby, który był żołnierzem i któregoś przedstawił nam bynajmniej nie jako głupca — jak mógł być jednocześnie takim

cymbałem, tępogłowem i durniem, iżby... — Idź i zobacz.

Otóż, mości krytyku, w tenże sposób mogłem ci odpowiedzieć. Ale ja gardzę taką odpowiedzią. Jest to język nieprzystojny i uchodzi li tylko człowiekowi nie umiejącemu ani dać jasnej i zadowalającej relacji o rzeczach, ani dotrzeć do źródeł ludzkiej niewiedzy i błędu... Byłaby to ponadto odpowiedź zaczepna — i dlatego ją odrzucam. Bo chociaż nadawałaby się wymienicie dla mojego stryjaczka Toby'ego jako dla wojaka — gdyby nie przywykł do gwizdania podczas tego rodzaju napaści *Lillibullero*, ręczę, że taką właśnie dałby odpowiedź, albowiem nie zbywało mu na odwadze — dla mnie jednak w żadnym wypadku nie byłaby stosowna. Widzicie przecież jasno, że piszę jako erudyta; że nawet moje porównania, aluzje, objaśnienia i metafory dowodzą erudycji oraz że muszę zachować jednolity poziom mego dzieła i odzegnać się od wszystkiego, co podlejsze — bo inaczej jakież czekałby mnie los? Cóż, pani, byłbym straconym człowiekiem; w tej samej chwili, w której wystąpiłbym przeciwko jednemu krytykowi, otworzyłbym drogę do ataku dwom innym.

Wybacz mi, panie, lecz czy wśród przeczytanych przez ciebie książek znajduje się dzieło Locke'a „O rozumie ludzkim”? Nie odpowiadaj mi zbyt pochopnie, wiem bowiem, że wielu, którzy cytują tę książkę, nigdy jej nie czytało, czytało ją zaś wielu takich, co jej nie zrozumieli. Jeżeli któryś z tych przypadków dotyczy ciebie, powiem ci w trzech słowach, o czym traktuje to dzieło, jako że piszę po to, by pouczać. Jest to historia. Historia! Czyja? O kim? O czym? Powściągnij popędliwość, panie! Jest to traktat historyczny (co może zwiększyć jego poczytność w świecie) o tym, co dzieje się w umyśle ludzkim. Jeżeli powiesz o tej książce tyle — i nic więcej — nie wystawisz się na pośmiewisko w kołach filozofów.

Wszelako wspominam o tym tylko mimochodem.

Jeśli zechcesz, panie, nieco dłużej dotrzymywać mi

kompanii i wnikniesz w samo sedno tej materii, przekonasz się, że istnieją trzy powody niejasności i błędu w umyśle ludzkim.

Po pierwsze, drogi panie, niewrażliwe narządy. Po drugie, krótkotrwałość i płytkość wrażeń odbieranych ze świata zewnętrznego, nawet jeżeli pomienione narządy nie są mało wrażliwe. Wreszcie, po trzecie, pamięć jak sito, niezdolna zatrzymać tego, co jej dostarczono. Przywołaj Dolly, pokojówkę, a pójdę w zakład o mą błażeńską czapeczkę z dzwonekami, iż tak jasno potrafię wyłożyć tę sprawę, że sama Dolly zrozumie ją nie gorzej niż Malebranche. Gdy Dolly ułoży swą epistołę do Robina, wsunie rękę do prawej kieszeni. Skorzystaj, panie, z tej okazji dla uprzytomnienia sobie, że nic na świecie nie zdoła tak trafnie wyobrazić i objaśnić narządów i zdolności postrzegania, jak ta jedna jedyna rzecz, której poszukiwała dłoń naszej Dolly. Twoje, panie, narządy nie są chyba tak niewrażliwe, abym musiał ci wyjaśniać, iż był to całowej długości balasek czerwonego wosku.

Gdy roztopiony wosk przyłożony zostanie do koperty, jeśli Dolly będzie zbyt długo marudzić z szukaniem napatka i wosk nadto stwardnieje, wówczas nie utrwali się na nim ślad napatka skutkiem nacisku, jaki pospolicie potrzebny jest do jego utrwalenia. Zgoda. A teraz — jeśli wosk Dolly, z braku innego, będzie zwykłym woskiem pszczelim lub materiałem zbyt miękkim — wtedy chociaż napatk zagłębi się w nim, ślad nie zostanie odcisnięty, choćby Dolly nie wiem jak mocno przyciskała palec. I wreszcie: założmy, że wosk był dobry, jak również napatk, lecz że ten ostatni przyłożony został do wosku w niedbałym pośpiechu, ponieważ pani zadzwoniła właśnie na Dolly. W każdym z trzech wspomnianych przypadków odcisk napatka tak będzie podobny do swego wzoru, jak pięść do nosa.

Otóż zechciejcie zrozumieć, że żadna z przytoczonych okoliczności nie była przyczyną zamętu w wywodach mojego stryjaczka Toby'ego; i że dla tej wła-

śnie racji rozwodziłem się nad nimi tak szeroko wzorem wielkich fizjologów — aby pokazać światu, co nie było przyczyną owego zamętu.

Co było jego przyczyną — o tym napomknąłem wyżej. Dodać jeno muszę, że jest to — i zawsze będzie — obfite źródło wszelkiej niejasności. A mianowicie: słowa różnoznaczne, które wprowadzają zamęt do najszybszych i najznakomitszych umysłów.

Dziesięć do jednego (u „Artura” \*), że nie czytaliście historii literatury minionych wieków; jeśliście ją czytali, pamiętacie zapewne, do jak straszliwych walk i zażartych logomachii doprowadzało różnoznaczne używanie słów — do walk toczących się wśród tak straszliwego rozlewu żółci i atramentu, że człowiek łagodnej natury czytając ich opisy nie może powstrzymać napływających mu do oczu łez.

Łaskawy krytyku! Gdy rozważysz powyższe i zastanowisz się w duchu, jak często przy tej czy innej okazji różnoznaczne używanie słów, i ono jedynie, wносиło zamęt w twoje wiadomości i udaremniało ci prowadzenie dysputy czy rozmowy... Ile to hałasu i wrzawy bywało na soborach powszechnych na temat ΟΥΣΙΑ \*\* i ΤΗΘΥΣΤΑΣΙΣ \*\*\* lub wśród scholastyków na temat władzy i ducha; na temat treści i kwintesencji; na temat substancji i przestrzeni... Ile bywało zamętu na największej scenie dziejów z przyczyny słów o najbłahszym znaczeniu i nieokreślonej treści... Gdy zastanowisz się nad tym, przestanie cię dziwić konfuzja stryjaska Toby'ego. Powodowany współczuciem zapłaczesz nad jego skarpą i przeciwskarpą; nad jego glacis i jego krytym przejściem; nad jego rawelinem i półszyjkiem. Przebóg — życie mojego stryjaska narażone było na szwank nie przez idee, lecz przez słowa!

\* „Artur” — arystokratyczny klub w Londynie.  
\*\* Byt, istota rzeczy lub pojęcie.  
\*\*\* Materia, właściwość.

## ROZDZIAŁ III

Otrzymaawszy zgodnie ze swym życzeniem mapę Namur, mój stryjasek Toby przystąpił natychmiast z bezprzykładną pilnością do jej studiowania; a że nic na świecie nie było dla niego tak ważne, jak powrót do zdrowia, ten zaś, jakieście o tym czytali, uzależniony był od jego namiętności i wzruszeń, opłacało mu się dołożyć wszelkich starań w celu tak mistrzowskiego opanowania tematu, aby poruszając go nie odczuwał żadnych emocji.

Po dwóch tygodniach starannych i mozolnych studiów, które nawiasem mówiąc nie wpłynęły dobrze na jego ranę w pachwinie — stryjasek Toby mógł, z pomocą notatek na marginesie mapy oraz przetłumaczonej z języka francuskiego na angielski księgi Gobeiusza o sztuce wznoszenia warowni i o pirobalogii, opracować swój wywód jako tako przejrzyście; a nim minęły dwa miesiące stał się wręcz wymowny i umiał nie tylko z wielką sprawnością przeprowadzić atak na wysuniętą przeciwskarpę, lecz zgłębiwszy sztukę wojenną znacznie gruntowniej, niż wymagały tego pierwotne przyczyny, zdolny był przeprowadzić się na drugi brzeg Mozy i Sambry; czynić wypadki aż na linię marszałka Vauban do opactwa Salsines etc., oraz zdawać swym gościom tak dokładne relacje z przebiegu wszystkich innych natarć, jak z ataku na bramę św. Mikołaja, w pobliżu której miał honor odnieść ranę.

Ale głód wiedzy, podobnie jak żądza bogactw, rośnie w miarę zaspokajania. Im dłużej stryjasek Toby ślezczał nad mapą, tym większe znajdował w niej upodobanie! Działo się tak zaś na skutek tego samego procesu elektrycznej asymilacji, na skutek którego, jak wam to już mówiłem, w moim mniemaniu dusze znawców przez długie tarcie i obcowanie osiągają w końcu ów stan szczęśliwości, w którym stają się

na wskroś u-cnoczone, u-kolekcyjonowane, z-obrazowane, z-motylowane i ze-skrzypcowane.

Im większymi haustami stryjaszek Toby pił ze słodkiego źródła nauk, tym niecierpliwsze i bardziej nie-nasycone stawało się jego pragnienie; zanim minął pierwszy rok jego choroby, niewiele pozostało warownych miast we Włoszech czy Flandrii, których planów nie zdobyłby w ten czy inny sposób; zdobywszy je zaś i zbadawszy dokładnie, na ich podstawie przystępował do studiowania historii oblężeń, zburzeń, ulepszeń, rozbudowy — z tak wytężoną uwagą i taką przyjemnością, że zapominał o sobie samym, o swojej ranie, o swoim odosobnieniu, o swoim obiedzie.

W drugim roku stryjaszek Toby nabył dzieła Ramellego i Cataneo, przetłumaczone z języka włoskiego; ponadto zaś księgi Stevinusa, Moralisa, Kawalera de Ville, Loriniego, Coehorna, Sheetera, hrabiego de Pagan, marszałka Vauban, imci Blondela wraz z tylu innymi księgami traktującymi o wojennym budownictwie, ile Don Kichot miał ich o błędnym rycerstwie, kiedy proboszcz i balwierz wdarli się do jego biblioteki.

Gdy zbliżał się początek roku trzeciego, która to data przypadała w sierpniu 1699, mój stryjaszek Toby uznał za konieczne zdobyć nieco wiadomości o pociskach. Doszedłszy zaś do wniosku, iż najlepiej czerpać wiedzę u samego źródła, zaczął od dzieła N. Tartaglii, ów bowiem był, jak należy przypuszczać, pierwszym, który skorygował mylny pogląd, że niszczycielskie działanie kuli armatniej wynika z jej biegu po linii prostej. Tartaglia przekonał stryjaszka, że jest to niemożliwe.

Bezkręśna jest droga poszukiwania prawdy.

Zaledwie stryjaszek Toby przekonał się, jakimi drogami nie chadza kula armatnia, a już powziął w duchu postanowienie zbadania, jakimi chadza. W tym celu musiał zacząć wszystko od początku, co też uczynił studiując z zapalem starego Maltusa. Następnie zabrał się do dzieł Galileusza i Torricellego,

z których dzięki pewnym nieomylnie wyłożonym geometrycznym regułom dowiedział się, że droga ta zwana jest PARABOLĄ albo HYPERBOLĄ oraz że parametr lub inaczej *latus rectum* przecięcia stożkowego pomienionej drogi kuli armatniej tak się ma do jej pola i amplitudy, jak cały jej odcinek do sinusa podwójnego kąta padania utworzonego przez załamanie. Drogi mój stryjasku! Stój i pieszo nie posuwaj się dalej po tej ciernistej i krętej drodze! Zawły to szlak, pogmatwane ścieżki tego labiryntu, wilorakie frasunki i turbacje, które przyniesie ci pogoń za WIEDZĄ, tym zachwycającym widziadłem. O mój stryjasku! Umykaj, umykaj, umykaj przed nią jak przed wężem. Czy przystoi, abyś ty, człowiek o gołębim sercu — człowiek z raną w pachwinie, przesiadywał całe noce pozwalając krwi zapiekać się w żyłach podczas gorączkowych godzin czuwania? Niestety — pogorszy to symptomy choroby, utrudni pocenie się, osłabi żywotność, wycieńczy siłę animalną, wysuszy wilgotność zasadniczą, osłabi trawienie, nadweręży zdrowie i przyspieszy ułomności starczego wieku. O stryjasku — mój stryjasku Toby!

## ROZDZIAŁ IV

Nie dałbym szeląga za kunszt pisarski człowieka, który nie potrafi zrozumieć, że najlepsza nawet na świecie prosta narracja, następująca po ostatniej natchnionej apostrofie do mojego stryjaska Toby'ego, pozostawić by musiała na podniebieniu czytelnika smak zarówno mdły, jak zjełczały. Dlatego skończyłem rozdział, chociaż znajdowałem się w samym środku mojej opowieści.

Pisarze mojego pokroju mają jedną zasadę wspólną z malarzami. Tam, gdzie dokładne kopiowanie odziera nasze wizerunki z oryginalności, z dwojga wybieramy

mniejsze zło uważając, że łatwiej zostanie nam wybaczone wykroczenie przeciwko prawdzie niż pięknu. Po-  
wyższe należy traktować *cum grano salis*; lecz jak  
bądź się ta rzecz przedstawia, skoro porównanie wy-  
wiedzione zostało bardziej w celu ostudzenia apostrofy  
niż w jakimkolwiek innym, nie jest to sprawa istotna,  
czy czytelnik pochwali je, czy też zgani.

Pod koniec roku trzeciego stryjasek Toby zoriento-  
wał się, że parametr i semiparametr przekroju stożko-  
wego jątrzą jego ranę, więc uniesiony gniewem po-  
rzucił studia nad pociskami i poświęcił się wyłącznie  
praktycznej stronie zagadnień fortyfikacji; a ukon-  
tentowanie z tego płynące jak odciagniona sprężyna  
uderzyło w niego z podwójną mocą.

W tymże roku stryjasek mój zaczął łamać regular-  
ność codziennej zmiany koszuli — odprawiał golarza  
z kwitkiem — ledwie pozwalał chirurgowi na zmianę  
opatrunku i tak mało troszczył się o ranę, że pytał  
o nią najwyżej raz na siedem bytności lekarza. Aż tu  
nagle — bo zmiana szybka była jak błyskawica —  
stryjasek Toby zaczął wzdychać żałośnie i tęsknić do  
wyzdrowienia. Uskarżał się mojemu ojcu, okazywał  
zniecierpliwienie chirurgowi; pewnego zaś ranka sły-  
sząc jego kroki na schodach zamknął uczone księgi  
i odłożył na bok instrumenty, aby udzielić mu tym  
skuteczniejszej nagany za nadmierne przedłużanie ku-  
racji, która, jak powiedział, winna była do tego czasu  
być już dawno ukończoną. Rozwodził się szeroko nad  
cierpieniami, których doświadcza, nad melancholią  
czteroletniego odosobnienia; na zakończenie zaś do-  
dał, że gdyby nie czuła opieka, jaką mu okazywano,  
i serdeczna otucha, którą wlewał w niego najlepszy  
z braci, dawno już by upadł pod brzemieniem swej  
niedoli. Działo się to w przytomności mojego ojca,  
któremu elokwencja stryjaska Toby'ego wycisnęła łzy  
z oczu: była czymś nieoczekiwanym. Stryjasek Toby  
nie był z natury człowiekiem wymownym, przeto jego  
swada wywarła na obecnych tym głębsze wrażenie.  
Chirurg wydawał się mocno skonfundowany — nie

żeby zbywało jego pacjentowi podstaw do takich czy nawet żywszych oznak zniecierpliwienia, lecz że wybuch stryjaszka był zgoła niespodziewany; przez cztery lata, w czasie których go doglądał, nie zauważył niczego podobnego. Z ust stryjaszka nie padło ani jedno gniewliwe czy popędliwe słowo, był wzorem cierpliwości, wzorem uległości.

Powstrzymując się od narzekania zaprzepaszczamy niekiedy wszelkie do niego prawo; często jednak zdwajamy siłę skargi. Chirurg był zdumiony, lecz oszołomienie jego wzrosło, gdy usłyszał dalsze wywody mojego stryjaszka, który domagał się stanowczo, aby wraz wyleczył ranę lub sprowadził *monsieur Ronjata*, królewskiego chirurga, który by to uczynił.

Pragnienie zdrowia i życia zakorzenione jest głęboko w naturze ludzkiej; miłość do wolności i swobody jest tego pragnienia siostrzycą. W uczuciach tych stryjaszek Toby nie różnił się od swych współbraci; każde zaś z nich tłumaczyło dostatecznie jego gorącą żądzą wyzdrowienia i wydostania się na powietrze. Ale mówiłem wam już, że w naszej rodzinie nic nie działa się nigdy normalnie; z pory zaś i sposobu, w jaki objawiła się w tym przypadku ta niecierpliwa żądza stryjaszka Toby'ego, bystry czytelnik wysnuje wnioski, że w głowie jego musiał powstać dla niej jakowyś inny powód. Tak też było w istocie, ja zaś dołożę wszelkich starań, aby w następnym rozdziale wytłumaczyć czytelnikowi istotę tego powodu czy kaprysu. Przyznaję, że gdy to zostanie uczynione, czas będzie najwyższy wrócić do bawialni, gdzie zostawiliśmy przy kominku mojego stryjaszka Toby'ego w polowie zdania.

Gdy człowiek daje się opanować jednej rządzącej nim namiętności, czyli innymi słowy, gdy jego KONIK staje się niesforny — wtedy żegnaj, zdrowy rozsądku i rzetelna roztropności!

Rana stryjaszka Toby'ego była już niemal wyleczona, gdy więc chirurg zdołał ochłonąć ze zdumienia i dopuszczony został do głosu, powiedział stryjaszkowi, iż pachwina zaczyna się goić oraz że — jeśli nie nastąpi nowe łuszczenie się kości, czego nie zapowiadały żadne znaki — rana zasklepi się za pięć lub sześć tygodni. Przed dwunastu zaledwie godzinami takąż sama liczba Olimpiad dałaby stryjaszkowi Toby'emu wyobrażenie krótszego przeciągu czasu. Teraz myśli jego chyże były jak ptaki — wrzał z niecierpliwości, pragnąc jak najrychlej wcielić swoje zamysły w czyn. Tedy nie radząc się nikogo — co, zaznaczyć muszę, jest w moim mniemaniu rzeczą słuszną, skoro z góry postanowimy, że będziemy głusi na wszelkie rady — skrycie polecił Trimowi, swemu służącemu, zapakować w węzełek nieco szarpi i bandaży i zamówić kolasę z czwórką koni dokładnie na godzinę dwunastą tego dnia, w którym, jak wiedział, ojciec mój udaje się na giełdę. Pozostawiwszy więc na stole banknot dla chirurga za jego starania oraz list pełen najczulej wyrażonej wdzięczności dla brata, stryjaszek Toby zapakował swoje mapy, księgi o sztuce fortyfikacji, swoje instrumenty etc. i wsparty na kuli z jednej, na Trimie zaś z drugiej strony, puścił się w drogę do Shandy Hall.

Powód jego niespodziewanej emigracji był taki:

Stół w pokoju stryjaszka Toby'ego, przy którym wieczorem w przeddzień tej nagłej zmiany siedział nad swoimi mapami etc., był nieco za mały na ową ogromną ilość mniejszych i większych instrumentów wiedzy, zazwyczaj stłoczonych na nim w przykraj ciasnoci. Zdarzyło się tedy, że sięgając po tabakierkę, stryjaszek Toby zrzucił na podłogę cyrkiel, schyliwszy

się zaś, aby podnieść cyrkiel, zaczepił rękawem i strącił ze stołu skrzynkę z instrumentami oraz szczypce do przycinania świec; a gdy nagle przewrócił się kubek z kośćmi i kości zaczęły się toczyć po stole, usiłując złapać w powietrzu spadające szczypce, stryjasek Toby zrzucił na podłogę pana Blondela, na niego zaś hr de Pagan.

Daremne byłyby dla człowieka kulawego jak mój stryjasek wszelkie samodzielne próby naprawienia tego zła; przeto stryjasek zadzwonił na służącego Trimie. — Trimie — rzecze — spójrz, proszę, na ten nieład. Muszę mieć, Trimie, dogodniejsze nieco urządzenie. Czy mógłbyś wziąć moją miarkę, zmierzyć nią szerokość i długość tego stołu, a potem zamówić mi dwa razy większy? — Tak, za przeproszeniem W. Miłości — odparł Trim skłoniwszy się przed stryjaskiem. — Myślę jednak, iż W. Miłość wnet poczuje się na tyle dobrze, że będzie mógł udać się do swojej posiadłości wiejskiej, gdzie jako że W. Miłość tak bardzo lubuje się w fortyfikacjach, będziemy mogli ku jego zadowoleniu bez przeszkód poświęcić się tej sprawie.

Winienem wam teraz wyjaśnić, że ów służący stryjaska, noszący imię Trim, był kapralem w jego kompanii; zwał się naprawdę John Butler, ale ponieważ przywisko Trim przyłgnęło do niego jeszcze w pułku, stryjasek Toby (chyba że był na niego szczególnie zagniewany) nie nazywał go nigdy inaczej.

Postrzał z muszkietu w lewe kolano uczynił nieboraka niezdatnym do wojaczki. Ranę tę odniósł w bitwie pod Landen, co działo się na dwa lata przed oblężeniem Namur, że zaś był ulubieńcem pułku, ponadto człowiekiem nader zręcznym, stryjasek Toby przyjął go do służby. Pożytek z niego miał ogromny, gdyż Trim służył mu w obozie i na kwaterach jako lokajczyk, stajenny, golarz, kucharz, krawczyk i pielęgniary; i doprawdy od pierwszej chwili do ostatniej usługiwał swemu panu i dbał o niego z ogromną wiernością i oddaniem.

Mój stryjasek Toby odwzajemniał mu się szczerym

afektem, co zaś czyniło Trima bliższym jego sercu, to podobieństwo wspólnie przez nich posiadanych wiadomości. Kapral Trim bowiem (tak będę go zwał w dalszym ciągu tej książki) dzięki częstej w czasie lat czterech obecności przy dyskursach swojego pana na temat miast warownych oraz dzięki pożytkowi, jaki odnosił z bezustannego podpatrywania i wścibiania nosa w plany fortyfikacji etc., jako też dzięki pewnym wiadomościom KONIKOWATEJ natury, które zdobył pełniąc powinności osobistego sługi (choć nie był KONIKOWATY *per se*) — stał się wcale niepoślednim znawcą przedmiotu; w mniemaniu zaś kucharki i pokojówki posiadał wiedzę o naturze niezdojanych twierdz niewiele mniejszą, niż ją posiadał sam stryjasek Toby.

Jedno jeszcze tylko pociągnięcie pędzla i wizerunek kaprała Trima zostanie ukończony — będzie to zaś jedyna ciemna plama na jego charakterze. Otóż lubił on udzielać rad — lub raczej lubił przysłuchiwać się własnemu głosowi. Jednakże zachowanie się jego takim nacechowane było respektem, że kiedy milczał, łatwo było nie dopuścić go do głosu; ale gdy raz rozpuścił język, wymykał się wszelkiej władzy — słowa płynęły mu z ust wartkim potokiem. Nieustanne szpielowanie zdań zwrotem „za przeproszeniem Waszej Miłości” oraz szacunek cechujący obejście kaprała Trima tak silnie przemawiały na korzyść jego elokwencji, że acz mogła ona znużyć, nie przyprawiała nigdy o gniew. Stryjasek Toby rzadko odczuwał w stosunku do niego jedno lub drugie — a w każdym bądź razie ta wada Trima nie wywołała między nimi najmniejszych waśni. Mój stryjasek, jak wam już mówiłem, kochał go serdecznie, a że ponadto wierne swe sługi traktował zawsze jako niżej stojących od siebie przyjaciół, nie miał serca zmuszać go do milczenia. Taki był kapral Trim.

— Jeśli wolno mi — ciągnął dalej Trim — udzielić Waszej Miłości pewnej rady i wyrazić swą opinię w tej materii... — Ależ proszę cię, Trimie — rzecze stryja-

szek Toby — mów, mów, chłopcze, bez obawy, co myślisz o tej sprawie. — Otóż — odparł Trim (nie myśląc, że patrzył przy tym spode łba i drapał się w głowę niczym jakiś wiejski cymbał; przeciwnie) odgarniając włosy z czoła, wyprostowany, jakby przed frontem swej kompanii — wydaje mi się — powiada Trim wysuwając lewą (tę, na którą chromał) nogę nieco do przodu i wskazując otwartą dłońią prawej ręki na przypiętą do kotary mapę Dunkierki — otóż wydaje mi się — powiada więc kapral Trim — choć z góry poddaję się pokornie odmiennemu wyrokowi Waszej Miłości w tej sprawie, że te wszystkie raweliny, bastiony, zasłony, przedpiersienia i narożniki są tu na papierze nędzną i lichą, godną wzgardy robotą w porównaniu z tym, czego my we dwóch z Waszą Miłością moglibyśmy dokonać, gdybyśmy znaleźli się na wsi i mieli pół morgi lub morgę gruntu do naszego własnego rozporządzenia. A że zbliża się lato — ciągnął dalej Trim — Wasza Miłość mógłby siedzieć sobie na powietrzu i podawać mi ichną grafie... (— Nazywaj to raczej ichnografią — rzecze mój stryjasek) warownego miasta lub twierdzy, przed którą Wasza Miłość miałaby życzenie się znajdować, ja zaś niech zginę od kuli Waszej Wysokości na stokach szanca, jeśli nie potrafię jej ufortyfikować ku Waszej Miłości zupełnemu ukontentowaniu. — Pewien jestem, że potrafię — rzecze mój stryjasek. — Bo gdyby Wasza Miłość mógł mi tylko wytyczyć poligon — ciągnął dalej kapral — z jego dokładnymi bokami i kątami... — To mógłbym zrobić bez trudu — rzecze mój stryjasek. — Zacząłbym od fosy, gdyby zaś Wasza Miłość mógł mi podać jej dokładną szerokość i głębokość... — Mogę, mogę, Trimie, z największą dokładnością — odparł stryjasek Toby. — Odrzucałbym ziemię z wykopu na tę stronę w kierunku miasta, aby powstała skarpa, na tę zaś w kierunku obozu, aby powstała przeciwskarpa. — Bardzo słusznie, Trimie — rzecze mój stryjasek Toby. — A jakbym nadał im już, ku pańskiemu zadowoleniu, odpowiednią stromiznę, obrzuciłbym

za pozwoleniem Waszej Miłości cały stok twierdzy murawą, jak widywałem to w co lepszych warunkach we Flandrii i jak Wasza Miłość wie, że powinno być zrobione. A także obrzuciłbym murawą wały i parapety.

— Najprzedniejsi inżynierowie nazywają to, Trimie, okładaniem darnią — rzecz stryjaszek Toby. — Nie w tym rzecz, czy zwie się to murawą, czy darnią — odparł kapral Trim. — Wasza Miłość wie dobrze, że taka obkładka jest dziesięciokroć lepsza niż z cegły lub z kamienia. — Wiem, Trimie, że pod pewnymi względami jest lepsza — rzecz mój stryjaszek kiwając głową. — Bowiem kula armatnia zagłębia się w darń i nie strąca w dół żadnego śmiecia ani gruzu, które wypełniwszy fosę (jak się to zdarzyło przy bramie św. Miłkołaja) mogą ułatwić nieprzyjacielowi przedarcie się na jej drugą stronę.

— Wasza Miłość — odparł kapral Trim — rozumie się na tych rzeczach lepiej niż wszyscy oficerowie w służbie Jego Królewskiej Mości razem wzięci. Ale gdyby Wasza Miłość zechciał dać spokój zamawianiu większego stołu i pojechał razem ze mną na wieś, pracowałbym według wskazówek Waszej Miłości jak wół i robiłbym fortyfikacje ze wszystkimi bateriami, podkopami, rowami i palisadami, tak że ludziska ciągnęliby ze dwadzieścia mil, żeby je zobaczyć.

Gdy Trim mówił, twarz stryjaszka Toby'ego pokrywała się coraz to ciemniejszym szkarłatnym rumieńcem, nie był to jednak rumieniec człowieka poczuwającego się do winy ani rumieniec wstydu, ani gniewu; był to rumieniec radości. Projekt i słowa kaprala Trima zapaliły jego wyobraźnię. — Trimie — rzecz mój stryjaszek — powiedziałaś już dosyć! — Możemy rozpocząć kampanię — ciągnął dalej Trim — w tym samym dniu, w którym król i jego sprzymierzeńcy wyruszą w pole, i niszczyć twierdze z taką szybkością, jak gdyby... — Trimie — rzecz mój stryjaszek — zamilcz. — Przy pięknej pogodzie — ciągnął dalej Trim — Wasza Miłość może siedzieć w fotelu — (wska-

zał na fotel mojego stryjaszka) — i wydawać mi rozkazy, ja zaś... — Ani słowa więcej, Trimie — rzuć mój stryjaszek Toby. — A ponadto Wasza Miłość znajdzie w tym zatrudnieniu nie tylko przyjemność i godziwą rozrywkę, ale także świeże powietrze i zdrowy ruch, a wtedy rana Waszej Miłości zagoi się w ciągu miesiąca. — Powiedziałeś już dosyć, Trimie — rzuć mój stryjaszek (wsuwając rękę do kieszeni spodni). — Twój projekt nadzwyczajnie przypadł mi do gustu. — Za pozwoleniem Waszej Miłości skoczę zaraz kupić saperski szpadel, który weźmiemy ze sobą na wieś, a także zamówię łopatę, kilof i ze dwie... — Nie mów więcej, Trimie — rzuć mój stryjaszek Toby w uniesieniu radości zrywając się na jedną nogę. I wsunąwszy gwineę w dłoń Trima: — Trimie — rzuć — nie mów więcej, tylko, Trimie, zbiegnij prędko na dół i przynieś mi wieczerzę.

Trim pobiegł do kuchni i przyniósł swemu panu wieczerzę — zgoła niepotrzebnie. Przedstawiony przez Trima plan działania tak zajął myśli stryjaszka, że nie mógł on przełknąć ani kęsa strawy. — Trimie — rzuć stryjaszek Toby — połóż mnie do łóżka. — Ze spaniem podobnie rzecz się miała jak z jedzeniem. Opowieść kaprała Trima zapaliła wyobraźnię jego pana; stryjaszek Toby całą noc nie zmrużył oka. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej zachwycający wydawał mu się cały pomysł; przeto na dwie godziny przed świtem powziął ostateczne postanowienie i miał w głowie gotowy plan swojej i kaprała wyprawy.

Stryjaszek Toby posiadał wygodny dworek wiejski we wsi Shandy Hall, majątności mego ojca, który to domek wraz z kawałkiem ziemi przynoszącym dochodu około stu funtów rocznie pozostawił mu w spadku pewien stary wuj. Za tym domem rozciągał się warzywnik o powierzchni mniej więcej jednego akra; za tym zaś warzywnikiem, odgradzona od niego wysokim cisowym szpalerem, znajdowała się murawa do gry w kule, takiej mniej więcej wielkości, jakiej życzył so-

bie kapral Trim. Gdy przeto Trim wypowiedział słowa o „...mordze gruntu do naszego własnego rozporządzenia”, ta właśnie murawa do gry w kule przyszła na myśl mojemu stryjaskowi i w sposób szczególny utrwaliła się na siatkówce stryjaskowej wyobraźni, co było fizyczną przyczyną jego mienienia się na twarży, a w każdym bądź razie pogłębiło rumieńce w ten zgola nieumiarkowany sposób, o którym wyżej wspominałem.

Nigdy kochanek nie wyruszał do pani swych uczuć z większą namiętnością i większą w sercu nadzieją, niż mój stryjasek Toby udawał się na wieś, aby w skrytości domowego zacisza napawać się podobną do tamtej rozkoszą; powiadam w skrytości, albowiem cel jego westchnień osłonięty był, jak wam to już mówiłem, od strony domu wysokim cisowym szpalerem, z pozostałych zaś trzech stron ukryty przed okiem śmiertelników za kolczastym ostrokrzewem i gęstymi krzakami; tak że myśl o tym, iż nie będzie przez nikogo widzianym, w niemalej mierze przyczyniła się do powiększenia przewidywanej przez stryjaska Toby'ego uciechy. Próżna nadzieja! Choć gęsty był to żywopłot i choć bezpieczne sprawiał wrażenie — jakże mogłeś ludzić się, mój stryjasku, że będziesz czerpał rozkosz z czegoś, co ma powierzchni trzy czwarte morgi — i zachowasz rzecz w tajemnicy?!

Z opowieści o tym, jak mój stryjasek Toby i kapral Trim zabrali się do dzieła — wraz z historią ich licznych wojennych wypraw, którym nie zbywało na arcyciekawych przypadkach — można by upleść interesujący poboczny wątek w *epithesis* i dalszych częściach tego dramatu. Wszelako musimy teraz zapuścić kurtynę — i podnieść ją na scenie przy kominku w bawialni.

## ROZDZIAŁ VI

— Jak myślisz, co oni tam robią, bracie? — spytał mój ojciec. — Mniemam — rzecze stryjaszek Toby wyjmując, jak wam to mówiłem, fajkę z ust i wystukując z niej popiół w chwili, gdy rozpoczął zdanie — mniemam — powiada — że nie byłoby od rzeczy, gdybyśmy zadzwonili na Obadiasza.

— Obadiaszu, co znaczy ta wrzawa nad naszymi głowami? — spytał ojciec. — Mój brat i ja zaledwie słyszymy własne głosy.

— Panie — rzecze Obadiasz składając ukłon w kierunku lewego ramienia mojego ojca — jejmość panią chwyciły ostre bóle. — A dokądże to Zuzanna biegnie przez ogród, jakby jej kto chciał gwałt zadać? — Zuzanna, panie, biegnie najkrótszą drogą do miasteczka — odparł Obadiasz — po starą kobietę położną. — Tedy osiodłaj konia — rzecze mój ojciec — i skocz do dr Słopa, cyrulika położnego. Zawiadom go, że twoja pani zległa i że ja życzę sobie, aby on bez najmniejszej zwłoki przybył tu wraz z tobą.

— Rzec to bardzo osobliwa — powiada mój ojciec zwracając się do stryjaszka Toby'ego, gdy za Obadiaszem zamknęły się drzwi — że chociaż w bliskim sąsiedztwie znajduje się tak przedni cyrulik jak dr Słop, moja żona aż do ostatniej chwili obstaje przy swym upartym postanowieniu i powierza życie mojego dziecięcia, które już raz uległo złemu trafunkowi, ciemnej, starej kobiecie. A ściślej mówiąc, bracie, nie tylko życie dziecięcia, lecz także swoje własne, a co za tym idzie, żywoty wszystkich dzieci, które być może pocałbym w jej ciele w przyszłości.

— Kto wie — odparł stryjaszek Toby — czy pani bratowa nie robi tego, by zaoszczędzić ekspensów. — Tere-fere — odparł mój ojciec. — Czy medyk będzie, czy nie będzie przy niej zatrudniony, musi otrzymać taką samą zapłatę — jeżeli nie większą, a to żeby za spokojić jego gniew.

— W takim razie nie wynika to z niczego innego — rzecz stryjasek Toby w prostocie swego ducha — jak tylko ze SKROMNOŚCI. Sądzę, że moja bratowa — dodał — nie życzy sobie dopuszczać mężczyzny tak blisko swego \*\*\*\*\*. — Nie zdradzę wam, czy stryjasek Toby dokończył, czy nie dokończył zdania; chlubniejsze dla niego będzie przypuszczenie, że tak, ponieważ w moim mniemaniu stryjasek nie mógł dać żadnego POJEDYNCZEGO SŁOWA, które poprawiłoby powyższą wypowiedź.

Jeżeli natomiast stryjasek Toby nie dotarł do końca wygłoszonego okresu — w takim razie świat zawdzięcza nagłemu złamaniu się fajki mojego ojca jeden z klasyczniejszych przykładów wpływu tej ozdobnej figury krasomówczej, którą retorycy zwą *aposiopesis* \*. Sprawiedliwe nieba! Jakże owo *poco più, poco meno* włoskich artystów — jakże owo nieuchwytnie TROCHE MNIEJ — TROCHE WIĘCEJ określa właściwą linię piękna w zdaniu, podobnie jak i w rzeźbie! Jakże owe delikatne dotknięcia dłuta, pióra, smyczka etc. nadają dziełu prawdziwie artystyczny kształt, który jest źródłem prawdziwej przyjemności! O rodacy! Bądźcie ostrożni — subtelni w mowie! Nie zapominajcie nigdy, przenigdy, od jakich błahostek zależy wasz styl i sława.

— Moja pani bratowa — rzecz stryjasek Toby — nie życzy sobie zapewne dopuszczać mężczyzny tak blisko swego \*\*\*\*\*. — Postaw taki oto myślник: — będzie to *aposiopesis*. Wyrzuć myślник i na jego miejsce napisz: Tyłek — będzie to sprośność. Wymaż Tyłek i wstaw Kryte Przejście — będzie to metafora. Ja zaś mniemam, że skoro fortyfikacje zajmowały tak poczesne miejsce w myślach stryjaska Toby'ego — gdyby danym mu było dokończyć zdania, uczyniłby to za pomocą tych właśnie dwóch wyrazów.

Ale czy tak się rzeczy miały, czy inaczej, oraz czy

\* *Apopsiopsis* — nagłe urwanie zdania dla zwiększenia siły jego ekspresji.

przyczyną dramatycznego złamania się fajki mojego ojca był przypadek czy gniew — czytelnik dowie się o tym we właściwym czasie.

## ROZDZIAŁ VII

Choć ojciec mój był wybornym znawcą filozofii przyrody, znał się jednak również na filozofii moralnej; z tej racji więc, gdy złamała mu się na pół fajka, powinien był wziąć obie jej części i łagodnym ruchem wrzucić w głąb paleniska. Nie zrobił jednak tego; cisnął je natomiast z całą, na jaką go było stać, siłą; aby zaś zwiększyć wymowę swego czynu, dokonując go zerwał się na obie nogi.

Wyglądało to na objaw popędliwości, sposób zaś, w jaki ojciec odpowiedział stryjaszkowi Toby'emu, dowiódł, że było nią w istocie.

— „Nie życzy sobie — powiada ojciec (powtarzając słowa stryjaszka Toby'ego) — dopuszczać mężczyzny tak blisko \*\*\*\*\*”. Mój ty Boże! — bracie Toby! Zdolny byłbyś wyczerpać cierpliwość samego Hioba, ja zaś myślę, że i tak mam dość utrapień. — Dlaczego? Jak to? Czemu? Czyżby? Pod jakim względem? — pytał stryjaszek w osłupieniu. — Pomyśleć tylko — odparł ojciec — że mężczyzna mógł dożyć twojego wieku, bracie, tak mało wiedząc o białogłowach! — Nic o nich nie wiem zgoła — rzecze stryjaszek Toby. — I mnie mam — dodał — że wstrząs, który przeżyłem w rok po zburzeniu Dunkierki w czasie mojej przygody z wdową Wadman — którego wstrząsu nie doznałbym zapewne, gdyby nie moja zupełna nieznanomość słabej płci — daje mi słuszne podstawy do twierdzenia, że ani nie posiadam, ani też nie udaję, że posiadam jakąkolwiek wiedzę o nich czy o ich sprawach. — Ja tam myślę, bracie — odparł mój ojciec — żeś powinien

wiedzieć o nich przynajmniej tyle, abyś mógł odróżnić u niewiasty właściwy koniec od niewłaściwego.

W arcydziele Arystotelesa jest powiedziane, że „kiedy człowiek myśli o czymś, co minęło, opuściwszy wzrok spogląda w ziemię; kiedy zaś myśli o czymś, co ma się zdarzyć w przyszłości, podnosi oczy ku niebu”.

Sądzę, że mój stryjasek Toby nie myślał ani o jednym, ani o drugim, spoglądał bowiem prosto przed siebie.

— Właściwy koniec u niewiasty — wyszeptał stryjasek cichym głosem, szepcząc zaś utkwilił bezmyślnie oboje oczu w małej szczelinie między wadliwie osadzonymi cegłami w obmurówce kominka. — Właściwy koniec u niewiasty! — Oświadczam — rzecz stryjasek Toby — iż wiem o nim tyle, ile by wiedział mieszkaniec księżycy, a gdybym myślał — dodał stryjasek (ze wzrokiem wciąż utkwionym w małej szczelinie między cegłami) — przez calutki miesiąc, zapewne też bym nie odgadł.

— Pozwól tedy, bracie Toby — powiada ojciec — że ci tę rzecz wyjaśnię.

— Wszystko na tym świecie — ciągnął (nabijając tytoniem nową fajkę) — wszystko na tym świecie, drogi bracie Toby, ma dwa końce. — Nie zawsze — powiada mój stryjasek. — Przynajmniej każdy ma dwie ręce, co przecież wychodzi na jedno — odparł mój ojciec. — Otóż gdyby mężczyzna usiadł spokojnie i zastanowił się chłodno i uważnie nad budową, kształtem, strukturą, użytecznością i celowością wszystkich części składowych, które tworzą całość zwierzęcia zwanego NIEWIASTĄ, po czym zaś przeprowadził analogię... — Nigdy nie mogę zrozumieć, co znaczy to słowo — rzecz mój stryjasek.

— ANALOGIA — odparł ojciec — jest to pewien stosunek i zgodność zachodząca... — W tym momencie ogłuszające łomotanie do drzwi złamało definicję (podobnie jak fajkę) mojego ojca na dwoje — jednocześnie zaś zniszczyło w zarodku jedną z najosobliwszych i najznakomitszych dysertacji, jakie poczęte zostały

kiedykolwiek w łonie myśli ludzkiej — minęło wiele miesięcy, zanim ojciec znalazł sposobną okazję do bezpiecznego wydania jej na świat. Zważywszy zaś perturbacje i smutki spowodowane niefortunnymi przypadkami w naszym domu, które to przypadki wnet runą na nas jedne po drugich, jest rzeczą tak wątpliwą, jak wątpliwy jest sam temat dysertacji, czy znajdę dla tej sprawy choć skrawek miejsca w trzeciej księdze.

## ROZDZIAŁ VIII

Od chwili, w której mój stryjasek Toby zadzwonił i ojciec polecił Obadiaszowi, aby osiodłał konia i udał się do dr Slopa, cyrulika położnego, czytelnik znośnie biegły w sztuce czytania spędził nad lekturą mniej więcej półtorej godziny. Nikt więc, kto hołduje prawdzie, nie może powiedzieć, że nie udzieliłem Obadiaszowi dość czasu (zważywszy przysługujące mi przywileje literackie i nagłość wypadku) na odbycie drogi tam i z powrotem. Chociaż życiowo i ściśle biorąc, Obadiasz zaledwie może zdążył wzuć buty.

Jeżeli hiperkrytyk zechce czepiać się tego; jeżeli uprze się mimo wszystko, weźmie do ręki zegarek i zmierzy prawdziwą odległość między chwilą, w której rozległ się dźwięk dzwonka, a łomotaniem do drzwi, i przekonawszy się, że wynosi ona nie więcej niż dwie minuty, trzynaście i trzy piąte sekundy, zacznie mi urągać za to złamanie zasady jedności, a raczej prawdopodobieństwa czasu — wówczas ja przypomnę mu, że pojęcie trwania czasu oraz różnych jego postaci nasunięte jest nam tylko przez bieg i kolejność naszych myśli i że jest ono jedynym naukowym zegarem, za pomocą którego ja, mąż uczony, zezwolę osądzać się w tej sprawie, ponieważ brzydzę się i gardzę jurysdykcją wszelkich innych zegarów.

Dlatego pragnąłbym, aby mój hiperkrytyk pamiętał,

że odległość z Shandy Hall do domu dr Slopa, cyru-  
lika, wynosiła zaledwie marne osiem mil i że w cza-  
sie, gdy Obadiusz przebywał owe nędzne mile tam  
i z powrotem, ja przeprowadziłem mojego stryjaska  
Toby'ego z Namur przez całą Flandrię do Anglii; że  
potem stryjasek chorował mi przez cztery niemal lata;  
że wreszcie przewiozłem go wraz z kapralem Trimem  
w kolonie zaprzężonej w czwórkę koni bez mała dwu-  
stomilowy szmat drogi z Londynu do Yorkshire;  
wszystko to zaś musiało przygotować imaginację czy-  
telnika do pojawienia się na scenie dr Slopa w takiej  
co najmniej mierze, jak wstawka taneczna, pieśń lub  
koncert między aktami.

Jeżeli mój hiperkrytyk jest uparty i będzie obstawał  
przy twierdzeniu, że dwie minuty trzynaście sekund to  
nie więcej niż dwie minuty i trzynaście sekund — cho-  
ciaż ja powiedziałem na ten temat wszystko, co można  
było powiedzieć; oraz uzna, że moje argumenty i obro-  
na, aczkolwiek mogłyby uratować mnie jako drama-  
turga, pograżą mnie jako biografę, zamieniając od tej  
chwili księgę, która przedtem była dziełem apokry-  
ficznym, w zwykłą historię bajeczną; jeżeli w ten spo-  
sób przyparty zostaną do muru — wówczas bez ociąga-  
nia położę kres wszelkim obiekcjom i polemice, oznaj-  
miając krytykowi, że nim Obadiusz ujechał sześćdzie-  
siąt jardów od podwórza stajennego, spotkał na drodze  
dr Slopa, co potwierdził zresztą mocno ubłoconym do-  
wodem; niewiele zaś brakowało, a byłby złożył tego  
dowód tragiczny.

Wyobraźcie sobie... Wszelako lepiej będzie poświęcić  
temu nowy rozdział.

## ROZDZIAŁ IX

Wyobraźcie sobie małą, przysadkowatą i nieokrze-  
saną postać dr Slopa, mierzącą około czterech i pół  
stóp w linii pionowej, o szerokości barów i pękatości

brzucha, jakiej nie powstydziliby się sierżant gwardii.

Takie z grubsza były kontury dr Slopa, które można by równie dobrze skarykaturować i przedstawić za pomocą trzech, jak i trzystu pociągnięć pędzla, o czym wiecie zapewne, jeśliście czytali Hogartha „Analizę piękna” (jeśli nie, chciałbym, abyście ją przeczytali).

Wyobraźcie więc sobie podobnego człowieka — takie bowiem, powtarzam, były zarysy postaci dr Slopa — posuwającego się naprzód wolno, krok za krokiem, człapiącego po błocku na szkielecie maluchnego konika o bardzo ładnej maści, lecz o sile — niestety! Niosąc to wielkie brzemie konik ów zdołałby może z trudem rozwinąć kłusa, gdyby drogi były w odpowiednim do kłusa stanie. Co z tego, kiedy nie były. A teraz wyobraźcie sobie Obadiasza na grzbiecie potężnego smoka z rodu koni cugowych, pędzącego wyciągniętym galopem w przeciwnym kierunku.

Pozwól mi, panie, nieco dłużej zająć cię tym opisem. Gdyby dr Slop dostrzegł z odległości mili Obadiasza, pędzącego nań prosto po wąskiej drodze z tak przerażającą szybkością, jakby go gnały wszystkie piekielne moce — czyż taka zjawia poruszająca się w błotnisto-wodnej mgławicy, która wirowała wokół jej osi — czyż taka zjawia nie byłaby dla dr Slopa w jego położeniu słuszniejszym powodem lęku niż najgroźniejsza z komet Whistona? Nie mówiąc nic o JĄDRZE mgławicy, czyli o Obadiaszu i jego koniu cugowym. W mojej opinii sama błotnisto-wodna mgławica mogła być wciągnąć i porwać, jeżeli nie doktora, to przynajmniej jego konika. Tedy bez trudu chyba zrozumiecie przerażenie i wodowstręt dr Slopa, kiedy przeczytacie (co wnet uczynicie), że zdążył on ostrożnym truchciem w stronę Shandy Hall i znalazł się już w odległości sześćdziesięciu jardów od dworu, pięciu zaś jardów od ostrego zakrętu, gdzie droga okrążała mur ogrodowy (i to w najbardziej błotnistym miejscu bardzo błotnistej dróżki), gdy Obadiasz i jego koń wypadli zza zakrętu rozpedzeni, szaleni — buch — prosto

na niego! Sądzę, że nic w naturze nie może być straszniejsze niż tego rodzaju spotkanie — zwłaszcza dla kogoś, kto jak dr Slop był tak zupełnie zaskoczony i nie przygotowany.

Cóż mógł dr Slop zrobić? Zrobił znak krzyża †. Też mi pomysł! Lecz doktor, panie, był papistą. Więc cóż z tego? Powinien był raczej chwycić się lęku siodła. Tak też uczynił. Więc nie, właściwie, nie powinien był czynić nic zgoła; robiąc bowiem znak krzyża wypuścił z ręki i stracił szpicrutę — usiłując zaś przytrzymać kolanem szpicrutę, gdy ta zsuwała się już na kraj siodła, wysunął nogę ze strzemia — wysunawszy zaś nogę ze strzemia stracił równowagę, przytłoczony zaś mnogością tych wszystkich strat (które, nawiasem mówiąc, wskazują nam wyraźnie, jak małe korzyści płyną z czynienia znaku krzyża) niefortunny nasz doktor stracił przytomność umysłu. Nie czekając na zderzenie się z Obadiaszem pozostawił swego konika własnemu losowi, sam zaś zwałił się na ziemię ukośnie, na podobieństwo ciężkiego wora wełny. Upadek jego nie pociągnął za sobą żadnych następstw — prócz tego jedynie, że najtłuściejsza część ciała doktora zaryła się w błocie na głębokość mniej więcej dwunastu cali.

Obadiasz skłonił się medykowi dwukrotnie — pierwszy raz, gdy widział go spadającego na ziemię, drugi raz, gdy zobaczył, że już siedzi w błocie. Uprzejmość zgoła nie na czasie. Czyż nie powinien był raczej za-trzymać konia i zeskoczywszy na ziemię, pospieszyć doktorowi z pomocą? Panie, Obadiasz uczynił wszystko, czego wymagały od niego okoliczności. Jednakże rozpęd konia cugowego tak był wielki, że Obadiasz nie mógł zrobić wszystkiego na raz. Trzykrotnie objechał dr Słopa w kółko, zanim zdołał przystąpić do działania. A gdy wreszcie zatrzymał wierzchowca, taką tym wywołał eksplozję błota, że należy jedynie załować, iż nie znajdował się w odległości mili. Krótko mówiąc, żaden medyk nie był nigdy tak uszargany ani tak przeinaczony, jak nasz dr Slop.

## ROZDZIAŁ X

Gdy dr Slop wkroczył do małej bawialni, gdzie ojciec i stryjaszek Toby rozprawiali o rodzaju niewieścim — nie było doprawdy wiadomo, czy w większe zdumienie wprawił ich jego wygląd, czy też samo pojawienie się. Otóż wypadek zdarzył się w tak niewielkiej odległości od domu, że Obadiuszowi nie warto było sadzać dr Slopa z powrotem na konia — wprowadził go więc do bawialni nie umytego, nie otartego nie oporządzonego, pokrytego od stóp do głów plackami i bryzgami błota. Jak Duch w „Hamlecie” stał dr Slop pełną minutę nieruchomy i niemy na progu bawialni (Obadiusz wciąż trzymał go za rękę) — stał w całym majestacie błota. Tylna część jego ciała (taż sama, na którą upadł) oblepiona była dokumentnie gliną — wszystkie zaś pozostałe części obryzgane przez konia Obadiusza w tak misterny sposób, iż gotowi bylibyście przysiąc (bez żadnych zastrzeżeń w duchu), że każda drobinka błotnistej mazi trafiła we właściwy cel.

Oto z kolei stryjaszekowi Toby'emu nadarzyła się piękna sposobność do tryumfu i zemsty nad moim ojcem; albowiem każdy, kto by ujrzał dr Slopa tak upańkanego, musiałby podzielić opinię stryjaszka Toby'ego w tym przynajmniej punkcie, że „być może jego pani bratowa nie życzy sobie dopuszczać byle dr Slopa tak blisko \*\*\*\*\*”. Byłoby to jednak *argumentum ad hominem*; a ponieważ mój stryjaszek Toby nie miał wprawy w takich chwytach, łącznie moglibyście pomyśleć, że wolał z niego zrezygnować. Lecz nie; przyczyna była inna, a mianowicie, nie lubił nikogo obrażać.

W pierwszej chwili sam fakt obecności dr Slopa wydawał się nie mniej niewiarygodny niż sposób, w jaki się on pojawił, aczkolwiek jest to rzecz pewna, że jedna chwila zastanowienia wystarczyłaby ojcu do rozwikłania zagadki. Za ledwie bowiem przed tygodniem

ojciec mój zawiadomił dr Slopa, iż zbliża się wykalculowany przez matkę termin; a ponieważ od tego czasu cyrulik nie otrzymał żadnej wiadomości, postąpił bardzo naturalnie i bardzo przemyślnie: wyruszył do Shandy Hall w tym jedynie celu, aby sprawdzić, jak się tam rzeczy mają.

Ale myśli mego ojca obrały błędny kierunek dociekań. Podobnie jak hiperkrytyk, oparł swoją spekulację na dwóch faktach: dźwięku dzwonka i łomotaniu do drzwi. Odmierzał w czasie odległość między nimi i tak był pochłonięty tymi obliczeniami, że nie mógł myśleć o niczym innym... Bardzo to pospolita ułomność u wielkich matematyków, którzy pracując ze wszystkich sił nad przeprowadzeniem dowodów prawdy matematycznej tak się przy tym wyczerpują, że nie stają im sił na wyciągnięcie ostatecznego użytecznego wniosku.

Dźwięk dzwonka i stukanie do drzwi równie silnie wryły się w świadomość stryjaszka Toby'ego, w zgoła jednak innym kierunku pchnęły jego myśli; oba te dźwięki od razu przywiodły mu na pamięć Stevinusa, wielkiego inżyniera. Co wspólnego miał Stevinus z całą tą sprawą — oto nasza największa zagadka; zostanie rozwiązana, wszelako nie w najbliższym rozdziale.

## ROZDZIAŁ XI

Pisarstwo umiejętne (bądźcie pewni, że moje za takie uważam) jest czymś w rodzaju towarzyskiej konwersacji. Podobnie jak ktoś, kto umie się zachować w grzecznej kompanii, nie ośmieli się mówić wszystkiego, tak żaden autor, świadomy słusznych rygorów etykiety i dobrego wychowania, nie pozwoli sobie na myślenie wszystkiego. Wyrazem najprawdziwszego hołdu dla pojętności czytelnika będzie przyjacielskie

podzielenie tej materii na pół i pozostawienie pewnego pola również dla jego wyobraźni.

Jeśli o mnie idzie, nieustannie składam mu tego rodzaju komplementy i robię wszystko, co w mej mocy, aby imaginację czytelnika, na podobieństwo mojej, zajmować bez ustanku.

Na niego kolej; podałem obszerny opis żalosego upadku dr Slopa i jego żalosego pojawienia się w małej bawialni Shandy Hall. Teraz wyobraźnia czytelnika musi na jakiś czas zająć się jego osobą.

Niech więc czytelnik wyobrazi sobie, że dr Slop opisał swój wypadek — i to w takich słowach i z takimi dodatkami, jakie czytelnikowi podyktuje jego fantazja. Niech przypuści, że Obadiasz również powiedział swoje, robiąc przy tym takie płaczliwe miny i sadząc się na takie objawy frasunku, jakie w mniemaniu czytelnika najjaskrawiej przeciwstawią sobie te dwie stojące obok siebie postacie. Niech założy, iż ojciec poszedł na górę odwiedzić matkę. Ażeby zaś dokończyć tego dzieła imaginacji, niech sobie czytelnik wystawi w myślach, że medyk umyty, oskrobany z blocka, obżałowany, pocieszony i przyodziany w parę Obadiaszowych spodni zbliżył się wreszcie do drzwi, gotów w każdej chwili przystąpić do dzieła.

Spokojnie — spokojnie, mój zacny cyruliku! Cofnij swą lekarską dłoń — wsuń ją z powrotem za pazuchę, będzie jej tam ciepłej. Cóż ty wiesz o przeszkodach — coż ty wiesz o ukrytych przyczynach opóźniających ją w działaniu! Czy wtajemniczono cię, mój doktorze — czy wtajemniczono cię w najskrytsze paragrafy solennego kontraktu, dzięki któremu trafiłeś do Shandy Hall? Czy świadom jesteś, że w tej właśnie chwili położna, owa córa Lucyny, jak położniczy miecz zawisła nad twą głową? Niestety — szczerą to prawda! A zresztą, o wielki synu Pilumnusa, czego zdolen jesteś dokonać? Przybyłeś tu nie uzbrojony; pozostawiłeś w domu swoje szczypce, swoje kleszcze najnowsze pomysłu, swoje haczyki, piłki, strzykawki i wszystkie inne instrumenty zbawienia i wyzwolenia. Mój ty

Boże! — W tej właśnie chwili wiszą one u wezgłowia twego łoża w zielonym bajowym worku, między dwoma pistoletami! Dzwon — wołaj — każ Obadiuszowi znowu dosiąść cugowego konia i przywieźć je jak najprędzej.

— Pośpiesz się, Obadiuszu — rzecze mój ojciec — a dam ci koronę. — Ja zaś — powiada mój stryjasek Toby — dołożę ci drugą.

## ROZDZIAŁ XII

— Pańskie nagłe i niespodziewane przybycie — rzecze stryjasek Toby zwracając się do dr Slopa (gdy stryjasek Toby zaczął mówić, wszyscy trzej siedzieli już przy kominku) — przywiodło mi natychmiast na myśl wielkiego Stevinusa, którego, musi pan wiedzieć, przedkładam nad wszystkich innych autorów.

— Tedy — powiada mój ojciec czyniąc użytek z argumentu *ad crumenam* — stawiam dwadzieścia gwinei przeciwko jednej koronie (która posłuży jako napiwek dla Obadiusza), iż tenże Stevinus był inżynierem czy czymś w tym rodzaju — albo też napisał takie czy inne dzieło pośrednio lub bezpośrednio odnoszące się do nauki o fortyfikacjach.

— W rzeczy samej napisał — odparł stryjasek.

— Domyślałem się tego — rzekł mój ojciec — choć dalibóg nie mogę pojąć, jaki może istnieć związek między nagłym pojawieniem się dr Slopa a rozprawą na temat wojennego budownictwa; a przecież tegom się właśnie obawiał. O czym bądź byśmy mówili lub jak bądź niewłaściwa czy niestosowna byłaby to okazja, ty zawsze poruszyć musisz ten temat. Nie życzę sobie — ciągnął dalej ojciec — oświadczam ci, bracie Toby, iż nie życzę sobie, aby mi nabijano wciąż głowę zastłanami czy rogalami.

— Pewien jestem, że sobie tego, panie, nie ży-

czysz — rzecze dr Slop śmiejąc się ostentacyjnie ze swojego dwuznacznika.

Dennis, krytyk, nie mógłby odczuwać większego niż mój ojciec wstrętu i odrazy do gry słów lub samego o niej napomknienia. Irytowały go one niepomrotnie we wszystkich okolicznościach, lecz wprowadzanie ich do poważnego dyskursu, powiadał, jest równie kiepskim żartem, jak na przykład prztyczek w nos. Nie widział między nimi różnicy.

— Panie — rzecze stryjaszek Toby zwracając się do dr Slopa — zasłony, o których wspominał mój brat Shandy, nie mają nic wspólnego z łózkami. Choć, o ile mi wiadomo, Du Cange pisał: „iż według wszelkiego prawdopodobieństwa zasłony przy łóżku od nich wzięły swoją nazwę”. Podobnie rogale, o których mówił, nie mają nic wspólnego z rogaczami. Natomiast ZASŁONA, panie, jest to słowo używane w nauce o fortyfikacjach dla określenia tej części muru czy też szanca, który łączy dwa narożniki. Armie oblężnicze rzadko kierują atak wprost na zasłony, a to z tej racji, że mają one silne flanki. — Podobnie ma się rzecz z tymi innymi zasłonami — rzecze dr Slop ze śmiechem. — Wszelako — podjął mój stryjaszek Toby — aby je umocnić, stawiamy przed nimi zazwyczaj raweliny dbając o to, aby je rozszerzyć poza fosę czy rów. Zwyczajli ludzie, którzy posiadają bardzo skąpą wiedzę o fortyfikacjach, myślą często rawelin z półszyjkiem, chociaż są to rzeczy zgoła odmienne. Nie w rysunku czy konstrukcji, nadajemy im bowiem najdokładniej te same kształty i proporcje; składają się zawsze z dwóch czoł tworzących obarczony kątem flankowy z gardzielami wniżściowymi nie po linii prostej, lecz kolistej...

— Na czym więc polega różnica? — wtrącił ojciec (nieco zgryźliwie).

— Na ich usytuowaniu — odparł stryjaszek Toby. — Jeśli bowiem, mój bracie, rawelin ustawiony jest przed zasłoną, zowie się rawelinem. Jeśli zaś rawelin ustawiony jest przed bastionem, wówczas rawelin nie jest rawelinem, tylko półszyjkiem. Tak więc półszyjek nie

jest niczym innym jak półszyjkiem, dopóki stoi przed bastionem; gdyby wszelako zmienić miał miejsce i stanął przed zasłoną, nie byłby już półszyjkiem. W takim przypadku półszyjek przestaje być półszyjkiem, a jest po prostu rawelinem.

— Wydaje mi się — rzecze mój ojciec — że szlachetna sztuka wojenna ma jednak także pewne słabe strony.

— Jeśli idzie o rogale... — Och!... — westchnął ojciec — ...o której wspominał mój brat — ciągnął dalej stryjaszek Toby — to jest ona nader istotną częścią zewnętrznych murów obronnych. Francuscy inżynierowie określają ją mianem *ouvrage à corne*, wznosimy ją zaś zwykle w tych miejscach, które wydają nam się mniej odporne od reszty. Składa się ona z dwóch półbastionów, bardzo doprawdy pięknych. Jeśli zechcesz, panie, pójść ze mną na małą przechadzkę, pokażę ci forticzną rogale, której widok sownie opłaci twoje trudy. Wyznaję — dodał stryjaszek Toby — że gdy przykrywamy je daszkiem, są o wiele mocniejsze, za to bardzo kosztowne i zabierają dużo miejsca. W moim mniemaniu rogala jest najprzydatniejsza do osłony i obrony głównego wniścia do obozu. W przeciwnym razie podwójne przedpiersienie...

— Przez pamięć matki, która nas zrodziła! Bracie Toby — rzecze mój ojciec nie wytrzymując dłużej — zdolny byłbyś wyprowadzić z cierpliwości świętego. Nie tylko udało ci się, sam nie wiem jak, wciągnąć nas w te swoje stare sprawy, lecz ponadto tak masz nabita głowę tymi przekłętymi fortyfikacjami, że chociaż żona moja cierpi właśnie bóle rodzenia i ty słyszysz jej krzyki, rad byłbyś wyprowadzić z domu cyrulika położnego.

— *Accoucheura*, jeśli łaska — rzecze dr Slop.

— Do usług — rzecze mój ojciec. — Nie dbam o to, panie, jak cię inni zowią, życzę za to całemu kunsztowi forticznemu wraz z jego twórcami, aby go diabli wzięli. Przyczynił się on do śmierci tysięcy ludzi, w końcu zaś mnie wpędzi do grobu. Nie zgodzę się, aby mnie

szpikowano podkowami, minami, zasłonami, koszami szafcowymi, palisadami, rawelinami, półszyjkami i tym podobnymi bredniami, nawet gdybym miał stać się za tę cenę właścicielem Namur i wszystkich innych miast flandryjskich.

Jednakże mój stryjasek Toby umiał zawsze cierpliwie znosić zniewagi. Nie z braku dzielności serca; powiedziałem wam w jednym z poprzednich rozdziałów, że „był to mąż odważny”. Teraz zaś dodam, że gdyby wymagała tego sytuacja lub nadarzała się po temu sposobność, u niego właśnie szukałbym opieki i ochrony. Ta cierpliwość stryjaska w znoszeniu zniewag nie wpływała również z niewrażliwości lub tępoty intelektu, odczuwał bowiem zniewagę wyrządzoną mu przez mojego ojca bardzo dotkliwie. Miał jednak naturę łagodną, spokojną, pozbawioną kłótliwych elementów — w jego duszy panowała dobrotliwa harmonia. Mój stryjasek Toby nie miałby serca zemścić się na musze.

— Idź sobie — rzekł on któregoś dnia przy obiedzie do nadmiernie rozrosłej przedstawicielki muszego rodzaju, która bzykała mu wokół nosa i naprzykrzała się okrutnie przez cały czas posiłku i którą po wielu bezskutecznych próbach zdołał wreszcie schwycić w locie. — Nie wyrządę ci krzywdy — ciągnął wstając z krzesła i z muchą uwięzioną w dłoni podchodząc do okna. — Włos nie spadnie ci z głowy. Leć w pokoju! — powiada podciągając zasuwane okno i otwiera dłoń. — Leć, nieboraczko, leć sobie. Czemu miałbym cię skrzywdzić? Wystarczy na tym świecie miejsca dla mnie i dla ciebie.

Gdy się to zdarzyło, miałem lat zaledwie dziesięć, lecz przeniknęły mnie wtedy dreszcze jakiegoś miłego wzruszenia. Czy stało się tak dlatego, że sama istota postępu mojego stryjaska była w zgodzie z wrażliwością moich nerwów, w tym wieku skłonny do współczucia, czy też gest i wyraz oddziałał raczej — nie wiem. Nie wiem, drogą jakiej sekretnej magii ton głosu i harmonia ruchów, natchnione miłosierdziem, znalazły drogę do mojego serca. Wiem jeno, że lekcja

powszechnej życzliwości udzielona mi podówczas przez  
mojego stryjaczka Toby'ego na zawsze wryła mi się  
w pamięć. A chociaż nie zamierzam lekceważyć tego,  
co prowadzone na uniwersytecie studia nad *litterae*,  
*humaniores* dały mi w tym względzie, ani pomniejszy  
innych skarbów kosztownej i starannej edukacji po-  
bieranej w kraju i na obczyźnie, to jednak często my-  
ślę sobie, iż najmniej połowę moich skłonności czynie-  
nia innym dobrze zawdzięczam tej jednej przypadko-  
wej nauce.

☛ To niech posłuży rodzicom i wychowawcom  
w miejsce całego tomu uczonych mądrości.

Nie mogłem przedstawić czytelnikowi tego rysu  
w wizerunku mojego stryjaczka Toby'ego za pomocą  
narzędzia, którym rysowałem inne części jego posta-  
ci — jako że pomienione narzędzie mogło oddać jedy-  
nie jego KONIKOWATE cechy, ta zaś jest składnikiem  
samego obrazu duchowego. Jeśli idzie o cierpliwość  
w znoszeniu krzywd, o czym wspomniałem, ojciec  
mój różnił się wielce od stryjaczka, co czytelnik dawno  
już musiał zauważyć. Naturę miał popędliwszą i go-  
rętszą, usposobienie zaś nieco drażliwe; a chociaż nie  
rozwinęło to w nim nigdy zjadliwości charakteru, to  
jednak w drobnych frasunkach i kłopotach życia obja-  
wiała się niekiedy w zabawnym a mądrym zrządzeniu.  
Jednakże naturę miał ojciec szczerą i niemalostkową,  
podatną na słowa perswazji; w przyływach kwaśnego  
humoru, jaki okazywał wobec innych, w szczególno-  
ści zaś wobec stryjaczka Toby'ego, którego prawdziwie  
kochał, dziesięciokrotnie boleśniej ranił siebie (z wy-  
jątkiem okazji, gdy roztrząsano przygodę miłosną mo-  
jej ciotki Diny lub gdy w grę wchodziła hipoteza) niż  
innych.

Z tego punktu rozpatrywane charaktery obu braci  
wzajemnie rzucały na siebie światło, w sprzeczce zaś  
o Stevinusa pokazały się od nader korzystnej strony.

Nie potrzebuję zapewniać czytelników (jeśli trzy-  
mają oni KONIKI), że KONIK jest najczulszą częścią  
swojego właściciela oraz że mój stryjaczek Toby nie

mógł nie odczuwać tych niezawinionych ciosów wymierzanych jego KONIKOWI. Nie. Jak już mówiłem wyżej, stryjasek odczuwał je — i to bardzo boleśnie.

I cóż on, panie, odpowiedział? Jak się zachował? O, panie, to było wspaniałe! Zaledwie bowiem ojciec mój znieważył jego KONIKA — stryjasek Toby natychmiast i bez najmniejszych oznak wzburzenia odwrócił się od dr Słopa, do którego kierował swój dykurs, a gdy spojrzał mojemu ojcu w twarz, na obliczu jego malowała się taka dobrotliwość, taka łagodność, taki ogrom braterskiej miłości, tyle bezmiernej tkliwości, że chwyciło to ojca za serce. Wstał śpiesznie z fotela i ująwszy obie ręce stryjaska: — Bracie Toby — rzecze — błagam cię o przebaczenie. Daruj mi, proszę, to popędliwe usposobienie, które wziąłem po matce. — Mój drogi, drogi bracie — odparł stryjasek wstając z fotela z pomocą ojca — nie mów o tym więcej. Folguj sobie, bracie, proszę cię o to z całego serca, choćby twoje humory miały być dziesięćkroć gorsze. — Ale to nieszlachetnie — odparł ojciec — ranić kogokolwiek. Gorsza sprawa ranić brata; lecz ranić brata o tak łagodnym usposobieniu, tak cichego, tak wyrozumiałego — to zgoła nikczemne! Na Boga, jest to tchórzostwem.

— Folguj sobie, bracie — rzecze mój stryjasek — nawet i pięćdziesięciokrotnie. — Powiedz mi, drogi bracie Toby — zawołał ojciec — jakim sposobem mógłbym sprawić ci więcej przyjemności, jak mógłbym urozmaicić ci życie, gdyby rzecz taka leżała, jak niestety nie leży, w mojej mocy?

— Bracie Shandy — odparł stryjasek Toby spoglądając mu badawczo w oczy — w tym mylisz się srodze. Sprawiasz mi bowiem wiele przyjemności płodząc w twoim wieku potomków dla rodziny Shandy.

— Lecz w ten sposób, panie — rzekł dr Słop — Imię Shandy sprawia przyjemność również sobie.

— Ani trochę — odparł mój ojciec.

## ROZDZIAŁ XIII

— Mój brat robi to — powiedział stryjasek Toby — dla Zasady.

— Ot, zapewne obowiązki rodzinne — dodał dr Slop.

— Ech, nie warto o tym wspominać — rzekł mój ojciec.

## ROZDZIAŁ XIV

Przy kropce ostatniego rozdziału pozostawiliśmy mojego ojca i stryjaska Toby'ego stojących jak Brutus i Kasjusz, kiedy pogodzili się po zwadzie.

Wypowiedziawszy trzy ostatnie słowa ojciec usiadł, stryjasek Toby zaś wiernie naśladował jego przykład z tą tylko różnicą, że zanim zajął miejsce w swym fotelu, zadzwonił na kaprala Trima, który czekał w sieni, i polecił mu pójść do domu po dzieło Stevinusa. Dom mojego stryjaska był tuż — po drugiej stronie drogi.

Większość ludzi wyrzekłaby się rozmowy o Stevinusie; lecz stryjasek Toby nie miał w sercu żalu; aby zaś dowieść memu ojcu, że tak jest w istocie, wrócił do ulubionego tematu.

— Twoje nagłe pojawienie się, doktorze Slop — rzekł podejmując na nowo dyskurs — natychmiast przywiodło mi na myśl Stevinusa. — (Bądźcie pewni, że tym razem mój ojciec nie stawiał żadnych zakładów). — Ponieważ — ciągnął stryjasek — słynny wóz żaglowy, który należał do księcia Maurycego i tak przedziwnie był pomyślany oraz odznaczał się tak wielką szybkością, że z ładunkiem sześciu osób przebywał trzydzieści niemieckich mil w ileś tam minut, wynaleziony został przez Stevinusa, tego mistrza wśród matematyków i inżynierów.

— Mogłeś, panie, zaoszczędzić twemu służącemu trudu chodzenia (jako że biedaczysko chroma na jedną nogę) — rzekł dr Slop — po sporządzony ręką Stevynusa opis wozu żaglowego, ponieważ w drodze powrotnej z Lejdy przez Hagę puściłem się pieszo do odległego o dwie mile Schevening w tym jedynie celu, aby obejrzyć ten pojazd.

— Jest to doprawdy niczym — odparł stryjasek Toby — w porównaniu z wyprawą uczonego Pejreskusza, który przebył pieszo pięćset mil licząc z Paryża do Schevening i z powrotem z Schevening do Paryża, aby obejrzyć pojazd i tylko w tym jedynie celu.

Niektórzy ludzie ścierpieć nie mogą czyjejs przewagi. — Co za głupiec z tego Pejreskusza — mruknął dr Slop.

Zważcie jednak, czytelnicy, że słowa te bynajmniej nie były podyktowane pogardą dla Pejreskusza — szło po prostu o to, że niezmierny trud tego uczonego, który z czystej miłości do wiedzy przebył pieszo taki szmat drogi, przekreślił za jednym zamachem czyn dr Słopa.

— Co za głupiec z tego Pejreskusza — powtórzył dr Slop.

— Czemu to? — spytał ojciec biorąc stronę brata nie tylko dlatego, że pragnął jak najspieszniej powetować wyrządzoną mu krzywdę, która go nadal trapiła, lecz po części również dlatego, że dyskurs zaczął go naprawdę interesować. — Czemu to? — powtórzył. — Czemu to mielibyśmy szydzić z Pejreskusza lub kogo bądź innego dlatego jedynie, że przyszła mu ochota na taki czy inny kęs rzetelnej wiedzy? Jakkolwiek bowiem nic mi nie jest wiadomo o pomienionym wozie, mniemam przecie, że jego wynalazca musiał mieć zdolności konstruktorskie, a chociaż nie mogę odgadnąć, na jakich zasadach rozwinął je w sobie, to przecież machina jego musiała być zbudowana na rzetelnych zasadach nauki (mniejsza o to jakich), skoro poruszała się z chyżością, o jakiej wspomina mój brat.

— Poruszała się z taką, jeśli nie większą chyżością — wtrącił stryjasek Toby. — Bo jak sam Pejreskiusz zgrabnie to określa mówiąc o śmigłości jej ru-  
*Tam citus erat, quam erat ventus*, co, jeśli nie zapomniałem do szczeru łaciny, znaczyć powinno, iż jest ona chyża niczym wiatr.

— Ale zechciej mi powiedzieć, doktorze — rzekł mój ojciec przerywając stryjasekowi Toby'emu (wszelako nie omieszkawszy go za to przeprosić) — na jakich zasadach wprawiona była w ruch owa machina?

— Rzecz jasna, że na bardzo pięknych — odparł dr Slop. — I doprawdy często się dziwiłem — dodał uchylając się nadal od odpowiedzi — dlaczego nikt z naszej szlachty, która mieszka na rozległych jak u nas równinach (szczególnie zaś ci, których małżonki zdatne są jeszcze do rodzenia dzieci), nie pokusi się o wybudowanie podobnego pojazdu; byłby on bowiem przy pomyślnym wietrze nadzwyczajnie szybkim środkiem do przebywania przestrzeni w wypadkach nagłych wizyt lekarskich, których wymaga niekiedy słaba płeć. Ponadto wykorzystanie wiatrów, które nie kosztują nic i nie jedzą nic, miast koni, które (niech je piekło pochłonie) zarówno jedzą, jak i kosztują wiele, dowodziłoby ze wszech miar chwalebnej gospodarności.

— Dla tej właśnie racji, że „wiatry nie kosztują nic i nie jedzą nic” — odparł mój ojciec — plan twój, doktorze, jest zły. Albowiem spożywanie naszych produktów, jak również wytwarzanie ich daje chleb głodnym, ożywia handel, przysparza pieniędzy i podnosi wartość ziemi. A chociaż będąc księciem absolutnym bez wątpienia wynagrodziłbym szczerze uczoną głowę, która spłodziłaby taki wynalazek, to jednak z wszelką pewnością wzbronilbym jego wykorzystania.

Ojciec mój był teraz w swoim żywiole i ciągnął wywody na temat handlu z taką co najmniej swadą, z jaką stryjasek Toby prowadził dyskurs w przedmiocie fortyfikacji. Lecz z wielką szkodą dla rzetelnej

wiedzy fortuna zawyrokowała już z rana, że ojciec tego dnia nie wygłosi żadnej dysertacji. Kiedy bowiem otworzył usta, aby rozpocząć następne zdanie,

## ROZDZIAŁ XV

wsunął się do izby kapral Trim ze Stevinusem. Przybywał jednak za późno — w jego nieobecności temat został wyczerpany i rozmowa wchodziła na tor zgoła odmienny. — Możesz odnieść książkę do domu, Trimie — powiedział stryjasek Toby dając mu znak głową.

— Lecz proszę cię, kapralu — rzecze mój ojciec tonem nieco żartobliwym — zajrzyj do niej wprzódy i sprawdź, czy nie ma tam gdzie wozu żaglowego.

Kapral Trim nauczył się w wojsku słuchać i nie sprzeciwiać rozkazom. Położywszy tedy książkę na małej konsolce i przerzuciwszy jej karty rzekł: — Otóż, za przeproszeniem W. Miłości, nie widzę tu nic takiego. Wszelako — dodał, teraz on z kolei cedząc słówka — za pozwoleniem W. Miłości zbadam tę rzecz gruntowniej. — Co rzekłszy ujął książkę oburącz za okładki, odgiął je do tyłu, puścił w dół luzem jej karty i potrząsał nią gwałtownie.

— A przecie coś z niej wypada, za przeproszeniem W. Miłości — rzekł kapral Trim. — Nie jest to wprawdzie wóz ani nic, co by go przypominało. — Więc cóż to jest, kapralu, czy zechcesz mi powiedzieć? — spytał ojciec z uśmiechem. — Sądzę — rzekł Trim i schyliwszy się podniósł kartki — że przypomina to bardziej kazanie, bo na początku opatrzone jest cytata z Pisma, numerem rozdziału i wersetu, po czym dalej ciągnie się wcale nie jak wóz, tylko jak kazanie.

Panowie roześmieli się.

— Nie mogę pojąć, jak to jest możliwe — rzekł stry-

jaszek Toby — że taka rzecz, jak kazanie, dostała się do mego Stevinusa.

— Mniemam, że to jest kazanie — odparł Trim. — Ale, za pozwoleniem W. Miłości, odczytam im jedną stronę, jako że napisana jest czytelnie.

Otóż wiedzcie, czytelnicy, że kapral Trim tak bez mała lubił przysłuchiwać się sobie czytającemu, jak mówiącemu.

— Odczuwam zawsze silną inklinację — rzecze ojciec — do zaznajomienia się z rzeczami, które znajdują się na mej drodze tak niezwykłym zrządzeniem losu. A ponieważ nie mamy żadnego lepszego zatrudnienia, przynajmniej dokąd Obadiusz nie wróci, będę ci wielce zobowiązany, bracie Toby, o ile dr Slop nie wyrazi sprzeciwu — jeżeli zechcesz polecić kapralowi, aby odczytał nam jedną lub dwie strony. Pod warunkiem naturalnie, że jego umiejętności w tej materii dorównują chęciom.

— W ciągu całych dwóch kampanii wojennych we Flandrii, za pozwoleniem W. Miłości — rzecze Trim — sprawowałem urząd pomocnika kapelana naszego pułku. — Trim potrafi to odczytać nie gorzej ode mnie — wtrącił mój stryjjaszek. — Zapewniam was, panowie, że był on najuczestszym żołnierzem w całym moim oddziale i gdyby nie zły traf, nieborak otrzymałby halabardę sierżanta przy pierwszej okazji. — Kapral Trim dotknął dłonią piersi i skłonił się pokornie swemu panu. Po czym, położywszy kapelusz na ziemi i wzięwszy kazanie do lewej ręki (aby prawą mieć wolną), wysunął się nie zmieszany na środek pokoju, gdzie i sam widział lepiej, i mógł być lepiej widzianym przez swoich słuchaczy.

## ROZDZIAŁ XVI

— Jeżeli masz, panie, jakiegokolwiek obiekcje... — zwrócił się ojciec do dr Słopa. — Nie mam żadnych — rzecze dr Słop. — Nie wiemy bowiem — dodał — jakie stanowisko zajął autor kazania. Może ono być dziełem teologa zarówno twojego, panie, jak i mojego kościoła, obaj więc ponosimy jednakie ryzyko. — Za pozwoleniem W. Miłości, tu nie ma nic o żadnym stanowisku — rzecze Trim — a tylko o sumieniu.

Wyjaśnienie Trima wprowadziło jego słuchaczy w dobry humor — co prawda prócz dr Słopa, który zwrócił ku niemu nieco zagniewaną twarz.

— Zaczynaj więc, Trimie, i czytaj wyraźnie — rzecze mój ojciec. — Uczynię to, za pozwoleniem W. Miłości — odparł kapral i skłoniwszy się, nieznacznym ruchem prawej dłoni poprosił zebranych o ciszę.

## ROZDZIAŁ XVII

Ale zanim kapral zacznie czytać, muszę podać wam opis postawy, jaką przybrał. Inaczej niechybnie ujrzyście go w waszej wyobraźni w pozie nienaturalnej — wyprostowanego do linii ściśle pionowej, sztywnego jakby kij połączony, dzielącego ciężar ciała równomiernie na obie nogi, ze wzrokiem wyteżonym jak na warcie, z miną zawziętą, z lewą ręką zaciśniętą kurczowo na kartkach papieru niczym na muszkiecie. Słowem, wasza imaginacja skłonna będzie odmalować Trima takim, jakim bywał w swojej kompanii na chwilę przed rozpoczęciem ataku. Otóż postawa, którą przybrał, była do powyższego opisu zgoła niepodobna.


Kapral Trim stał przed swoimi słuchaczami swobodnie, pochylony do przodu tyle tylko, żeby ciało jego tworzyło z płaszczyzną poziomą kąt  $85\text{ i }1/2^{\circ}$ ; który

to kąt, jak wiedzą o tym wszyscy znakomici oratorzy (do nich się tu zwracam), jest jedynym kątem nachylenia prawdziwie wzmagającym siłę perswazji. Możecie oczywiście mówić i perorować ustawiając ciała wasze pod innymi kątami nachylenia. Dzieje się tak co dzień; ale z jakim skutkiem — niech świat osądzi.

A oto mimochodem rzucona uwaga: czyż owa konieczność utworzenia dokładnego kąta  $85\text{ i }1/2^\circ$  nachylenia (z matematyczną ścisłością) nie wskazuje nam dowodnie, że nauka i sztuka wzajemnie się wspomagają?

Jak się to u licha stało, że kapral Trim, który nie umiał nawet odróżnić kąta ostrego od rozwartego, zdołał obliczyć tak dokładnie owe rzeczony  $85\text{ i }1/2^\circ$ ; oraz czy umiejętność ta była przypadkowo nabyta lub wrodzona, czy wypływała ze zdrowego rozsądku lub z instynktu naśladownictwa, etc., etc. — rzecz ta wyjaśniona zostanie w tej części encyklopedii nauk i sztuk, której przedmiotem rozważań będzie strona materialna takich zagadnień, jak elokwencja w senacie, na kazalnicy, na sali sądu, w kawiarni, w łóżnicy małżeńskiej i przy kominku.

Kapral Trim stał — powtarzam, abyście od pierwszego rzutu oka utrwalili sobie w pamięci jego obraz — mając ciało pochylone lekko do przodu, prawą nogę wpartą w podłogę i podtrzymującą siedem ósmych wagi jego ciała, stopę lewej nogi, której ułomność nie utrudniała mu bynajmniej tej pozy, wysuniętą nieco — nie ukośnie w bok ani też nie naprzód, lecz ściśle pomiędzy jednym a drugim kierunkiem, kolano zgięte, lecz umiarkowane, tak aby nie przekroczyć linii granicznej piękna — oraz nauki, muszę zaraz dodać. Zważcie bowiem, że ta lewa noga musiała unieść jedną ósmą całego ciężaru i dlatego pozycja jej była wyraźnie określona, albowiem stopa mogła być wysunięta tylko tyle do przodu, a kolano tylko tyle zgięte, by pozwoliło nodze na mechaniczne przyjęcie i utrzymanie jednej ósmej wagi całego ciała.

 Tę pozę polecam malarzom; winienem dodać: i mówcom! Lecz nie. Bo jeśli się w niej pierwszej nie wyćwiczą — ani chybi rozkwasają sobie nosy.

Tyle o nogach i korpusie kaprala Trima.

Manuskrypt kazania trzymał on w lewej dłoni swobodnie, lecz bez nieprzystojnej niedbałości — nieco powyżej brzucha i w pewnym oddaleniu od piersi. Prawa ręka zwisała mu swobodnie w dół, jak żądała tego natura i prawo ciężenia, dłoń natomiast była otwarta i wewnętrzną stroną zwrócona ku widowni — gotowa w razie potrzeby pójść w sukurs uczuciom.

Oczy i mięśnie twarzy kaprala Trima pozostawały w zupełnej harmonii z innymi częściami i członkami jego ciała. Minę miał beztroską, nie widać w nim było przymusu. Sprawiał wrażenie człowieka nieco (lecz w miarę) pewnego siebie.

Niech krytyk nie docieka, jaką drogą kapral Trim doszedł do tej perfekcji — mówiłem, że to wymaga objaśnienia. Ale tak stał Trim przed moim ojcem, stryjaszkiem Toby'm i dr Slopem — tak kołysał ciałem, tak ustawił kończyny, taki zaś miał przy tym zapal krasomówczy, iż rzeźbiarz mógłby sporządzić z niego odlew; wątpię doprawdy, czy najznakomitszy wykładowca na uniwersytecie lub nawet sam profesor języka hebrajskiego mógłby pozę tę udoskonalić.

Trim skłonił się i czytał, co następuje:

## KAZANIE

### LIST ŚW. PAWŁA DO ŻYDÓW

rozd. XIII w. 18

— *Gdyż ufamy, iż mamy sumienie czyste —*

— „UFAMY! Ufamy, iż mamy czyste sumienie!”

— Pewien jestem, Trimie — rzecze mój ojciec przerywając czytanie — że zdaniu temu nadałeś ton zgoła niewłaściwy: zmarszczyłeś bowiem nos, czleku, i odczytałeś je tak szyderczym tonem, jak gdyby kaznodzieja miał zaraz naurągać apostołowi.

— A bo też mu urąga, za przeproszeniem W. Mi-

łości — odparł Trim. — Ech, tam! — powiedział mój ojciec z uśmiechem.

— Panie — rzecze dr Slop — Trim ma zapewne słuszną, albowiem z pogardliwego sposobu, w jaki autor kazania (który, jak widzę, jest protestantem) cytuje apostoła, niezbity wypływa wniosek, że chce mu naurągać, jeżeli już tego nie zrobił.

— Z czego jednak, doktorze Slop, wnosisz tak rychło — spytał mój ojciec — że autor kazania jest członkiem protestanckiego kościoła? Bo o ile ja zdołałem się zorientować, może on należeć do każdego kościoła. — Ponieważ — odparł dr Slop — gdyby należał do mojego, nie ważyłby się na takie zuchwalstwo, podobnie jak nie ważyłby się chwycić niedźwiedzia za kudły. Gdyby, panie, w naszej społeczności kościelnej człowiek jakiś obraził apostoła albo świętego lub chociażby paznokcie świętego, miałby oczy wyłupione. — Jak to, sam święty by to zrobił? — spytał mój stryjasek Toby. — Nie — odparł dr Slop — ale zwróciłaby się przeciwko niemu pewna wiekowa instytucja.

— Zechciej mi powiedzieć, doktorze — wtrącił mój stryjasek Toby — czy Inkwizycja mieści się w starym, czy nowomodnym budynku? — Nic mi nie jest wiadomo o jej architekturze — odparł dr Slop. — Inkwizycja jest to, za przeproszeniem W. Miłości — ozwał się kapral Trim — jedna z najnikczemniejszych... — Proszę cię, kapralu, oszczędź nam tego opisu — przerwał mu mój ojciec. — Sam dźwięk tego słowa jest mi nienawistny. — Jednakże — rzecze dr Slop — ma ona swoje dobre strony. A chociaż nie jestem jej gorącym zwolennikiem, wszelako stwierdzić muszę, że w takim przypadku, jak ten, winowajca rychło nauczyłby się lepszych obyczajów, a gdyby nadal nie powściągnął języka, raz-dwa trafiłby do lochów Inkwizycji. — Wtenczas — niech Bóg ma go w swej opiece — rzecze mój stryjasek Toby. — Amen — dodał Trim — bo niebiosy mi świadkiem, że mam brata nieszczęśnika, który od czternastu lat jest jej więźniem. — Nigdy ani słowem mi o tym nie

wspomniałeś — zawołał z pośpiechem mój stryjasek Tobie. — Jakże on się tam dostał, Trimie? — Och, panie! serce będzie ci krwawiło od samego słuchania tej opowieści — tak jak tysiące razy krwawiło moje na samą myśl o niej, ale jest ona zbyt długa, abym ją przytaczał. Kiedyś W. Miłość usłyszy wszystko od początku do samiutkiego końca — jak któregoś dnia będziemy pracowali razem przy naszych fortyfikacjach. Ale pokrótce rzecz tak się przedstawia: Mój brat Tom pojechał do Lizbony na służbę, a potem poślubił wdowę po pewnym Żydzie, która to wdowa miała sklep i sprzedawała kielbaski, co w ten czy inny sposób stało się przyczyną, iż którejs nocy wzięto go z łóżka, gdzie spał z żoną i dwojgiem maleńkich dzieci, i zawleczono prosto do Inkwizycji, gdzie, niech Bóg się nad nim ulituje — ciągnął dalej Trim westchnąwszy z głębi zboląłego serca — nieszczęsny i zaczyn ów człowiek dotąd jęczy w lochach. Rzadko zdarza się, aby tak szlachetna dusza — dodał Trim (wyciągając chustkę z kieszeni) — mieszkała w ludzkim ciele.

Łzy spływały po policzkach Trima szybciej, niż zdążył je ocierać. Przez kilka minut panowała w izbie martwa cisza — najpewniejszy dowód współczucia.

— Dalejże, kapralu — rzecze mój ojciec zobaczywszy, iż smutek nieboraka znalazł już niejakié ujście — czytaj dalej i zapomnij o tym bolesnym trafunku. Przykro mi, że ci przerwałem, lecz proszę, zacznij kazanie od nowa. Jeżeli bowiem, jak powiadasz, pierwsze zdanie pomyślane jest jako obelga, mam ogromną chęć dowiedzieć się, czym apostoł na nią zasłużył.

Kapral Trim otarł twarz, wsunął chustkę na powrót do kieszeni i skłoniwszy się obecnym po raz drugi przystąpił do czytania:

## KAZANIE

### LIST ŚW. PAWŁA DO ŻYDÓW

rozd. XIII w. 18

— Gdyż ufamy, iż mamy sumienie czyste —

— „UFAMY! Ufamy, iż mamy czyste sumienie! Za-

pewne, jeżeli istnieje na tym świecie rzecz, na której człowiek może polegać i na której potwierdzenie znaleźć jest zdolny najbardziej oczywiste dowody, musi to być owa wiedza: czy ma czyste, czy nieczyste sumienie”.

— Pewien jestem, że mam rację — rzecze dr Slop.

— „Jeżeli człowiek w ogóle myśli, nie może mu być obcy wynik takich obrachunków. Zna bowiem najskrytsze swoje myśli i pragnienia, musi pamiętać mienne swoje postęпки i musi znać prawdziwe źródła i pobudki czynów w całym swoim życiu”.

— Wyzywam go bez pośrednictwa sekundanta — rzecze dr Slop.

— „W innych materiach zwieść nas mogą fałszywe pozory. Albowiem, jak uskarża się mędrzec, zaledwie możemy trafnie rozeznąć rzeczy, które znajdują się na powierzchni ziemi, i z wielkim trudem poznajemy te, co są przed nami. Lecz tutaj dusza we własnym wnętrzu zebrane posiada wszystkie dowody i wszystkie fakty. Zna materię, którą sama utkała, zna jej gatunek i cienkość, wie, jaki był dokładny udział każdej namiętności w przedzeniu tych licznych wzorów, które zaprojektowały dla niej cnota lub występpek”.

— Styl dobry, Trim zaś czyta naprawdę znakomicie — ozwał się mój ojciec.

— „Otóż skoro sumienie nie jest niczym innym, jak tylko posiadaną przez duszę znajomością tych faktów i dowodów oraz wyrokiem przygany lub pochwały, który wydaje ona nieuchronnie po każdym kolejnym postępku naszego życia, rzekniecie zapewne, że ilekroć ten wewnętrzny głos świadczy przeciwko człowiekowi i człowiek potępia samego siebie, musi być winny. I przeciwnie, gdy ów wewnętrzny głos wydaje sąd przychylny, a własne serce żadnych nie czyni wyrzudów — powiecie, że nie jest to sprawa ufności, jak wywodzi apostoł, lecz sprawa pewności, iż sumienie jest czyste, a przeto czysty jest także człowiek”.

— W takim razie apostoł znajduje się w wielkim błędzie — rzecze dr Slop — cała zaś słusność jest po stronie protestanckiego teologa. — Miejże, panie, nieco cierpliwości — powiada mój ojciec — ja uważam bowiem, iż wnet okaże się, że św. Paweł i protestancki teolog jednakie wyznają poglądy. — Tak sobie podobne jak dzień podobny jest nocy — odparł dr Slop. — Lecz winę za to ponosi — dodał wyciągając obie ręce ku niebu — wolność prasy.

— Jest to co najwyżej wolność kazalnicy — wtrącił stryjaszek Toby — widzimy bowiem, że kazanie nie zostało wydrukowane i prawdopodobnie nigdy drukowane nie będzie.

— Czytaj dalej, Trimie — powiedział mój ojciec.

— „Na pierwsze wejrzenie wydawać się może, że tak, a nie inaczej przedstawia się ta sprawa; ja zaś najmniejszych nie mam wątpliwości, że świadomość dobrego i złego tak trwale jest wryta w umyśle ludzkim, iż gdyby nie zdarzało się nigdy, że sumienie człowieka długo nawykłe do grzechu może (jak zapewnia nas o tym Pismo święte) bezwiednie stać się zatwardziałe i na podobieństwo niektórych delikatnych części ciała przez steranie i zużycie tracić stopniowo ową miłą wrażliwość i zdolność rozróżniania, którymi obdarzył je Bóg i Natura, gdyby — powtarzam — powyższe nie zdarzało się nigdy lub gdyby istniała pewność, że miłość własna nigdy i w najmniejszej mierze nie wpłynie na bezstronność sądu, że nasze małe i niskie zainteresowania nie powstaną z dna naszej duszy i nie stępią wrażliwości górnych jej rejonów, nie spowijają ich w gęste chmury i nieprzeniknioną ciemność, gdyby osobiste względy czy uczucia nie nawiedzały nigdy tego uświęconego przybytku, gdyby ROZUM nie dał się nigdy przekupić lub wstydził się występować w obronie nieprzystojnych uciech; lub wreszcie, gdybyśmy pewni być mogli, iż KORZYŚĆ osobista stoi zawsze bezstronnie na uboczu podczas wysłuchiwania sprawy, NAMIĘTNOŚĆ zaś nigdy nie zasiada na stołcu sędziowskim i nie feruje wyroków w miejsce ROZ-

SĄDKU, który jakoby winien przydawać i rozstrzygać każdą sprawę — gdyby tak było istotnie — co założyć mogą zgłaszający sprzeciw — wtedy stan religijności i moralności człowieka byłby bez wątpienia dokładnie taki, jakim on sam go ocenia, grzeszności zaś lub niewinności jego życia mogłyby być mierzone miarką nie lepszą niż własna pochwała lub nagana.

Prawda to, że ilekroć sumienie człowieka powstaje przeciwko niemu (występując zaś w tej roli rzadko się myli), jest on winny; możemy bezpiecznie przyjąć, iż prócz wypadków melancholii i hipochondrii istnieją zawsze dostatecznie silne racje dla takiego oskarżenia.

Nie okaże się jednak słuszne nasze założenie, gdy je odwrócimy, twierdząc, że ilekroć popełniony zostanie czyn występny, sumienie nie omieszka wytoczyć oskarżenia; jeżeli zaś milczy, człowiek jest niewinny. Tak nie jest. Tedy pospolite pocieszenie, z którego korzysta pochopnie niejednen chrześcijanin — dziękując Bogu, że dusza jego jest wolna od trwogi, a co za tym idzie, sumienie czyste (bo spokojne) — jest tezą mylną. A choć powszechnie uznawane to założenie i choć na pierwszy rzut oka wydaje się niezbite, to jednak, gdy przyjrzyście mu się baczniej i wypróbujecie jego słuszność na najprostszych faktach, przekonacie się, że fałszywe jego zastosowanie tak łatwo prowadzi do błędu, że tak często bywa wypaczona zasada, na której się ono opiera, cała zaś jego moc tak nikczemnie zaprzepaszczona, iż z bólem przedłożyć możemy wiele najzwyklejszych przykładów z życia ludzkiego, które potwierdzają niebezpieczeństwo stosowania tej reguły.

Człowiek może kierować się zasadami występku i rozwiązłości; może mieć naganny stosunek do ludzi; będzie żył bezwstydnie w jawnym grzechu, którego nie usprawiedliwią żadne racje ani wykręty; w grzechu, przez który, wbrew wszelkim podszeptom ludzkości, doprowadzi do zguby omamioną współuczestniczkę swej winy; ograbi ją z najcenniejszego jej skarbu — z cnoty niewieściej; nie tylko okryje ją hań-

ba, lecz nie zawaha się sprowadzić wstyd sromotny na całą jej pocziwą rodzinę. Sądziacie zapewne, iż sumienie uprzykrzy życie takiemu człowiekowi, że gnębiony jego wyrzutami w dzień ani w nocy nie zazna spocznienia?

Niestety! SUMIENIE ma zgoła inne zajęcie niż udzielanie mu nauk. Gdy kiedyś Eliasza czynił Baalowi wyrzuty — ten bożek domowy «albo gadał, albo się zamyślił, albo też był w drodze; a zasię spał i nie lza się go było docucić».

Może ręka w rękę z HONOREM stanął do pojedynku albo poszedł spłacić dług karciany lub nikczemną roczną należność — cenę swoich chuci? Może SUMIENIE cały ten czas zajęte było w domu — grzmiało donośnym głosem przeciw drobnym kradzieżom lub mściwie karało za tego rodzaju blahe przewinienia, przed którymi zabezpiecza człowieka własna jego fortuna i pozycja. Przeto żyje on tak beztrosko...” — Nie mógłby, gdyby należał do naszego kościoła — wtrącił dr Slop. — „...sypia tak zdrowo, w końcu zaś tak spokojnie wychodzi śmierci na spotkanie, jak znacznie od niego pocziwszy człowiek”.

— Wszystko to byłoby u nas niemożliwe — oznajmił dr Slop zwracając się do mojego ojca. — Rzecz taka nie mogłaby się zdarzyć w naszym kościele — dodał. — A przecież u nas — odparł mój ojciec — zdarza się aż nazbyt często. — Prawda to — dodał dr Slop nieco zaskoczony szczerym wyznaniem mojego ojca — iż członek rzymskiego kościoła może wieść równie niecne życie, ale nie będzie miał tak łatwego skonania. — Małej to wagi sprawa — powiedział ojciec z obojętną miną — jak umiera łajdak. — Chciałem rzec — odparł dr Slop — że odmówiona by mu była łaska ostatnich sakramentów. — Wybacz, doktorze Slop, lecz ile ich macie w ogólności? — spytał stryjaszek Toby. — Bo ja nigdy nie mogę się ich doliczyć. — Siedem — rzecze medyk. — Hm! — odparł stryjaszek Toby. Wszelako w słowie tym nie brzmiała aprobata,

a tylko ów szczególny rodzaj zdumienia, jakie odczuwamy, gdy zajrzawszy do szuflady znajdziemy w niej więcej przedmiotów, niżliśmy się spodziewali. — Hm! — odparł mój stryjaszek Toby. Dr Slop, który miał wrażliwe ucho, zrozumiał intencje stryjaszka Toby'ego tak dokładnie, jak gdyby ów napisał cały traktat przeciwko siedmiu sakramentom. — Hm! — rzecze dr Slop (obracając przeciwko stryjaszkowi jego własny argument). — Czyż nie ma, panie, siedmiu cnót kardynalnych? Siedmiu grzechów głównych? Siedmiu świeczników złotych? Siedmiu kręgów niebieskich? — To doprawdy przekracza zakres mojej wiedzy — odparł stryjaszek. — Czyż nie ma siedmiu cudów świata? Siedmiu dni tworzenia? Siedmiu planet? Siedmiu plag? — Są istotnie — rzekł mój ojciec ze skupioną powagą. — Lecz zechciej, Trimie — dodał — zapoznać nas z resztą przedstawionych w kazaniu postaci.

— „Inny znów człek jest skąpy, Nielitościwy”. (Tutaj Trim prawą ręką zrobił wymowny gest.) „Samolubny z niego nędznik o zatwardziałym sercu, niezdolny okazywać przyjaźń w życiu prywatnym ani szlachetność w życiu publicznym. Przyjrzyjcie mu się, jak obojętny przechodzi mimo wdowy i sieroty w potrzebie, jak bez westchnienia czy modlitwy przygląda się niedolom ludzkiego życia”. — Za pozwoleniem W. Miłości — zawołał Trim — ale mnie się widzi, że ten człowiek jest plugawszy od tego pierwszego.

„Czyż w takich okazjach sumienie nie powstanie przeciwko niemu i nie będzie chłostać go boleśnie? — Bogu dzięki, nie, powiada sobie w duchu taki człowiek, albowiem oddaję sprawiedliwość każdemu; porubstwo nie zbrukało mojego sumienia; krzywoprysięstwo nie splamiło mych warg; nie pożałowałem żony bliźniego ani nie skrzywdziłem jego dziecięcia; Bogu niech będą dzięki, nie jestem na podobieństwo innych ludzi — rozpustnikiem, przeniewiercą ani nawet takim, jak ten libertyn, który stoi przede mną.

Trzeci ma naturę przebiegłą i podstępłą. Przyjrzyjcie się jego życiu; nie jest ono niczym innym, jak tyl-

ko jednym pasmem chytrych a ciemnych machinacji i kłamliwych wybiegów, niecnym zamachem na prawdziwy cel wszystkich praw, rzetelne postępowanie i bezpieczne korzystanie z naszej własności. Zobaczyć takiego możecie, gdy planuje lichę fortele wsparte na niewiedzy i troskach człowieka biednego i potrzebującego; gdy buduje fortunę na niedoświadczeniu wieku młodzieńczego lub na łatwowierności przyjaciela, który ufnie powierzyłby mu własne swoje życie.

Gdy się taki zbliża do starości i gdy zbudzona w jego sercu skrucha żąda, aby spojrział wstecz na ów posępny rejestr i sprawdził go pospołu ze swoim sumieniem — SUMIENIE zagląda do KSIĘGI OBOWIĄZUJĄCYCH USTAW, nie znajduje ustalonego przepisu, który zostałby jego postępkami złamany, nie dostrzeże nałożonych na winowajcę kar, grzywien lub przepadku mienia; nie zobaczy bicia wzniesionego nad jego głową ani rozwierających się przed nim bram więzienia. Czegóż przeto ma się lękać? Sumienie obwarowało się bezpiecznie za literą prawa; siedzi tam sobie niedosiegalne, ze wszech stron otoczone tak potężnymi murami obronnymi KAZUSÓW i ORZECZEŃ SĄDOWYCH, iż żadna nauka moralna nie zdoła wyprzeć go z zajmowanych pozycji”.

W tym miejscu kapral Trim i stryjaszek Toby spojrzeli na się porozumiewawczo. — Cóż, Trimie — rzecze stryjaszek potrząsając głową — żałosny to rodzaj fortyfikacji! — Och, bardzo są nędzne w porównaniu z tymi — odparł Trim — które W. Miłość z moją pomocą buduje. — Charakter tego ostatniego jegomości — przerwał Trimowi dr Slop — bardziej jest obmierzły niż jego poprzedników. I mniemam, że musi być wzorowany na jakimś kauzyperdzie spośród członków waszego kościoła. W naszej religii sumienie człowieka nie mogłoby tak długo pozostawać ślepe — najmniej trzy razy do roku musi on przystępować do spowiedzi. — A czy mu to przywraca wzrok? — spytał mój stryjaszek. — Czytaj dalej, Trimie — rzecze ojciec — bo inaczej Obadiaz gotów wrócić, zanim do-

trzesz do końca kazania. — To bardzo króciuchne kazanie — odparł Trim. — Żałuję, że nie jest dłuższe — wtrącił mój stryjasek Toby — bo ogromnie je sobie upodobałem. — Trim zaczął czytać ponownie:

— „Czwartemu człowiekowi nie stanie nawet tego schronienia. Odrzuci on precz cały powolny ceremoniał chytrości; będzie szydził z wątpliwego działania sekretnych knowań i ostrożnych wybiegów dla osiągnięcia swojego zamysłu. Spójrzcie na tego bezwstyd- nego nikczemnika, jak oszukuje, łże, krzywoprzysięga, grabi, morduje! O zgrozo! Lecz w tym przypadku trudno byłoby doprawdy spodziewać się czegoś innego — biedny człeczyna pogrążony jest w ciemności. Kapłan gospodarzy jego sumieniem, uczy go zaś jedynie, że musi wierzyć w papieża, chodzić na msze, żegnać się znakiem krzyża, odmawiać różaniec, być dobrym katolikiem oraz że dopełnianie tych obowiązków wystarczy, aby mu zapewnić niebo. A jeśli człeczyna krzywoprzysięgał? Ależ w myśli zastrzeżał się przeciwko temu. Skoro jednak jest tak występny i tak nikczemnym łotrem, jakim go nam przedstawiłeś, skoro grabi, skoro dźga nożem — czyż przy każdym takim występku jego sumienie samo nie odnosi bolesnej rany? — Prawda to — lecz człek ów powiódł je przed konfesjonał; rana zasklepi się tam, będzie się goiła niezgorzej, a wnet dzięki rozgrzeszeniu zablźni się zupełnie. O papizmie! Jakże wielką ponosisz odpowiedzialność, skoro nie poprzestając na tych mnogich, przyrodzonych a fatalnych drogach zguby, na których serce człowiecze co dzień wobec siebie samego dopuszcza się zdrady, świadomie rozwarłeś szerokie podwoje samooszukaństwa przed owym niebacznym wędrowcem, który i tak — Bóg jeden to wie — aż nazbyt jest skory z własnego popędu zejść na bezdroża i wma- wiać w siebie spokój sumienia, kiedy spokoju być nie może.

Pospolite te przykłady, które zaczerpnąłem z życia, nazbyt są oczywiste, aby wymagały wielu dowodów. Jeżeli ktokolwiek wątpi o ich prawdziwości lub sądzi,

że niemożliwą jest rzeczą, aby człowiek samego siebie mógł karmić takimi kłamstwami — pozostawię go na chwilę z tymi refleksjami, po czym odważę się skierować wezwanie wprost do jego serca.

Niech tedy uprzytomni sobie, jak różny stopień obrzydzenia wywołują w nim różne występne uczynki, aczkolwiek w naturze swej jednako są złe i grzeszne; przekona się niebawem, że takie spośród nich, do których popełnienia pchnęła go przemożna skłonność i namiętność, z reguły są upiękzone i przystrojone w cały ów fałszywy wdzięk i krasę, którą nadać im potrafi poślizgliwa a przypochebna ręka; oraz że te inne, do których nie czuje popędu, ukażą mu się natychmiast nagie i szkaradne — z całą ich głupotą i niesławą, bez żadnych obsłonek.

Gdy Dawid naszedł niespodzianie Saula śpiącego w jaskini i urznął kraj płaszcz jego, czytamy, że uderzyło serce Dawidowe z żalu nad tym, co uczynił. Wszelako w sprawie z Uriaszem, kiedy to wierny i dzielny sługa, którego Dawid winien był ze wszech miar czcić i miłować, musiał zginąć, aby nie stać na drodze jego chuciom — lubo sumienie Dawida znacznie większe miało powody do niepokoju, serce jego nie drgnęło. Cały rok minął od popełnienia czynu zbrodniczego do chwili, w której Pan posłał Natana, aby Dawida zgromił; a przecie nie czytamy nigdzie, iżby w ciągu tego roku serce Dawida poczuło najmniejszy choćby żal czy skruchę za to, co uczynił.

Tak więc sumienie, ów ongiś czujny stróż, któremu Pan wyznaczył w naszych duszach zaszczytny urząd sprawiedliwego i bezstronnego sędziego, przez niefortunny splot przyczyn i wypadków często tak niedoskonale rozpoznaje fakty, często tak niedbale sprawuje swój urząd, niekiedy tak sprzedajnie, że samo nie zasługuje na zaufanie. Dlatego też stoimy wobec konieczności, bezwzględnej konieczności przydania mu drugiego doradcy, który dopomagałby w wydawaniu (lub sam podejmowałby decyzję) wszelkich wyroków.

Jeśli tedy miałbyś wydać słuszny sąd w sprawie,

w której uniknięcie błędu jest bardzo ważne — więc na przykład: ile jest w tym twojej prawdziwej zasługi, że uważają cię za człowieka uczciwego, pożytecznego, członka społeczności, wiernego poddanego króla lub dobrego sługę Boga, zawezwij na pomoc religię i moralność. Spójrz, co napisano w księdze praw Boskich. Jak ty to odczytasz? Poradź się chłodnego rozumu, niezmiennych nakazów sprawiedliwości i prawdy. Cóż one głoszą?

Niech sumienie twoje rozstrzyga na tej podstawie — a jeśli wówczas serce cię nie potępi, jak domniemywa apostoł, reguła okaże się niezawodna”. (W tym miejscu dr Slop zasnął.) „Będziesz miał ufność w Bogu: czyli, innymi słowy, znajdziesz słuszne podstawy do wiary, że wyrok, który na siebie ferowałeś, jest wyrokiem Bożym i niczym innym, jak tylko uprzedzeniem sprawiedliwego wyroku, który wydany zostanie na ciebie w przyszłym życiu przez ową Istność, której zdawać będziesz musiał ostateczny rachunek z postępów całego życia.

Błogosławiony tedy jest człowiek, jak to powiada autor Księgi Eklezjasty, którego nie bodzie mnogość grzechów jego. Błogosławiony jest człowiek, którego serce nie potępia go. Czy jest bogaty, czy ubogi — jeśli serce ma spokojne, a przy tym pouczone i oświecone, po wsze czasy będzie miał pogodne oblicze; dusza jego powie mu więcej niż siedmiu wartowników czuwających na szczycie strażniczej wieży na wysokim wzgórk”. — Wieża nie obroni się, jeśli nie jest wzmocniona na flankach — rzecze mój stryjasek Toby. „W mroczkach najstraszliwszych zwątpień głos duszy wieść go będzie pewniej niż legion kazuistów biegłych w sprawach sumienia, państwu zaś, w którym żyje, lepiej zagwarantuje dobre jego postępowanie niż wszelkie klauzule i ograniczenia, jakie prawodawcy zmuszeni są mnożyć. Zmuszeni są, jak powiadam, w obecnym stanie rzeczy. Jako że prawa ludzkie powstały nie z wolnego i nieprzymusowego wyboru, lecz z czystej konieczności i ustanowione są dla obrony przed zgub-

nym wpływem tych sumień, które same dla siebie nie stanowią praw; słusznie zaś zmiierzają za pomocą wielu klauzul i zastrzeżeń do tego, aby we wszystkich przypadkach zepsucia i zwiedzenia na manowce, gdy zasady moralne i głos sumienia niezdolne są utrzymać nas w zacności, wzmocnić swe działanie i przez groźbę więzienia i stryczka zmusić nas do szanowania prawa”.

— Widzę wyraźnie — rzekł mój ojciec — że kazanie to zostało napisane w celu wygłoszenia w Temple lub podczas sesji sądowej. Podoba mi się tok jego rozumowania i żałuję, że dr Slop usnął, zanim został przekonany. Obecnie bowiem jest już jasne, że pastor (jak domyśliłem się tego od pierwszej chwili) wcale nie chciał znieważyć św. Pawła ani też, bracie, nie było między nimi najmniejszego nieporozumienia. — Wielka mi rzecz, gdyby się nawet poróżnili — ozwał się stryjasek Toby. — Najlepsi na świecie przyjaciele mogą różnić się niekiedy. — Mądrze rzeczesz, bracie Toby — odparł ojciec wymieniając z nim serdeczny uścisk dłoni. — Nabijmy teraz nasze fajki, po czym Trim będzie czytał dalej. — Hm... a cóż ty o tym myślisz, kapralu? — spytał ojciec sięgającego po pudełko z tytoniem. — Myślę — odparł kapral Trim — że tych siedmiu żołnierzy na wieży strażniczej, którzy (jak przypuszczam) wszyscy pełnią wartę, to, za przeproszeniem W. Miłości, ani chybi za dużo. A gdyby ktoś chciał tak dłużej gospodarzyć, wyniszczyłby pułk do szczętu, czego komendant warty, który kocha swoich ludzi, nigdy by nie zrobił. Ponieważ dwaj ludzie na straży — dodał kapral — warci są tyle, co dwie ich dziewiątki. Sam byłem setki razy komendantem straży w *corps de garde* — ciągnął dalej Trim, przy ostatnich słowach rosnąc nagle o cal — a przez ten cały czas, kiedy miałem zaszczyt służyć Jegomości Królowi Wilhelmowi, zmieniając sztydwachów na najważniejszych nawet posterunkach, nigdy nie pozostawiałem więcej niż dwóch ludzi na warcie. — Bardzo słusznie, mój Trimie — rzecze stryjasek Toby. — Nie bierzesz

jednak pod uwagę, kapralu, że strażnice w czasach Salomona zgoła były różne od naszych bastionów, które umacniane są flankami i bronione innymi obwarowaniami. Sposób ten, Trimie, wynaleziony został już po śmierci Salomona. Nie znano również w tamtych dniach narożników ani też rawelinów przed zasłonami; ani tym bardziej takich fos, jakie my kopujemy — z głębokimi rowami na ich dnie, z biegnącymi wzdłuż nich krytymi przejściami i przeciwskarpami, co chroni skutecznie przed *coup de main*. Przeto, Trimie, owych siedmiu ludzi na szczycie wieży byli to, jak mi niemam, żołnierze z *corps de garde* postawieni na warcie nie tylko po to, aby wypatrywać nieprzyjaciela, lecz również w celu obronienia wieży. — Była to, za pozwoleniem W. Miłości, co najwyżej straż kaprałska. — Ojciec mój uśmiechnął się w duchu, wszelako nie wargami, jako że temat w świetle dotychczasowej dyskusji był zbyt poważny, aby folgować żartom. Zapaliwszy tedy fajkę, włożył ją do ust i poprzestał na wydaniu Trimowi polecenia, aby ów podjął na nowo lekturę. Trim czytał dalej:

— „Miejmy zawsze bojaźń Bożą w sercu, we wzajemnych zaś stosunkach z bliźnimi odmierzajmy nasze uczynki niezmienną miarką dobra i zła. Pierwsze z powyższych tyczy się naszych obowiązków religijnych, drugie powinności moralnych. Obie zaś te dziedziny tak nieodłącznie są ze sobą związane, że nie można ich rozdzielić nawet w myślach (lubo próby takie często są czynione) bez wykoślawienia i zniszczenia ich obu.

Rzekłem, iż próby takie często są czynione; i tak też dzieje się w istocie. Albowiem nie ma chyba widoku pospolitszego nad widok człowieka, który wyzuty jest do cna ze wszystkich religijnych uczuć, jednocześnie zaś taką odznacza się szczerością, że ani sili się je udawać, który jednak uznałby za kamień obrazę waszą najdelikatniej wyrażoną podejrzliwość względem jego moralności — lub waszą opozycję, że nie jest on człowiekiem sumiennie i skrupulatnie uczciwym i cnotliwym.

Nawet jeśli niejaki pozory świadczą, że tak jest naprawdę — jakkolwiek niechętni jesteśmy dopatrzeć się tu chociażby tylko pozorów cnoty tak wdzięcznej, jak prawość — to jednak gdybyśmy przyrzekli się dokładnie jej motywom, znaleźlibyśmy mało racji do zazdroszczenia owemu człowiekowi chwały jego pobudek.

Choćby deklamował na ten temat najbardziej pompatyczne słowa, i tak się okaże, że jego moralność spoczywa na fundamentach nie lepszych niż korzyść osobista, duma lub wygoda; albo na takich poślednich i zmiennych uczuciach, które nie pozwalają nam pokładać wielkiej ufności w jego postępowaniu w momentach krytycznych.

Powyższe objaśnię przykładem.

Wiem, że bankier, który ma w swej pieczy moje interesa, i lekarz, którego zwykle do siebie wzywam..." — Nie ma żadnej potrzeby — wrzasnął dr Slop budząc się — wzywać do pomocy drugiego lekarza! — „... nie są ludźmi religijnymi. Co dzień niemal słyszę z ich ust żarty na ten temat. Traktują wszystkie sankcje religijne z taką wzdargą, że sprawa nie ulega wątpliwości. A mimo to składam mój majątek w ręce jednego, rzetelności zaś i uzdolnieniom drugiego powierzam rzecz dla mnie znacznie cenniejszą — moje życie.

Teraz niech mi się wolno będzie zastanowić, jaki jest powód tej mojej wielkiej ufności. A więc przede wszystkim dlaczego wierzę, że nie zachodzi możliwość, aby któryś z tych ludzi nadużył władzy, którą złożyłem w jego ręce, i obrócił ją na moją krzywdę. Otóż uważam, że uczciwość najlepiej służy ich celom; wiem, że ich pozycja w życiu zależy od nieskazitelności ich reputacji. Słowem — pewien jestem, że nie mogliby skrzywdzić mnie nie krzywdząc znacznie dotkliwiej samych siebie.

Wszelako odwróćmy sytuację; załóżmy, że zdarzyło się raz, iż korzyść leżała po drugiej stronie; że w pewnych szczególnych okolicznościach jeden z tych jego-

mościów mógł bez ujmy dla swej reputacji przywłaszczyć sobie mój majątek i pozostawić mnie bez grosza przy duszy; lub że drugi mógł moją duszę wyprawić na tamten świat i po mojej śmierci korzystać z pozostałej po mnie fortuny bez najmniejszego uszczerbku dla swego honoru lub honoru własnego rzemiosła. Jakież w takim wypadku mam na nich sankcje? Religia, najsilniejszy ze wszystkich motywów, w ogóle nie wchodzi w rachubę. Korzyść osobista, druga z kolei najsilniejsza z pobudek, przemawia mocno na moją niekorzyść. Cóż tedy mam takiego, co mógłbym rzucić na przeciwną szalę, aby zrównoważyć pokusę? Niestety! Nie mam nic — nic, prócz czegoś, co lżejsze jest niżli bańka mydlana — muszę zdać się na łaskę HONORU lub innej równie kapryśnej zasady. Ładne mi zabezpieczenie dla dwóch najcenniejszych dobrodziejstw — mojego dobytku i mojego życia!

Przeto podobnie jak nie możemy ufać moralności bez religii, tak z drugiej strony nie możemy spodziewać się czegoś lepszego po religii bez moralności; chociaż nie należy bynajmniej do rzadkich widok człowieka, którego moralność bardzo lichej jest próby, a który mimo to ma jak najlepsze mniemanie o swojej religijności.

Odznacza się on nie tylko chciwością, mściwością i okrucieństwem, lecz brak mu nawet cech zwykłej uczciwości; ponieważ jednak oburza się głośno na niedowiarstwo swoich czasów, jest żarliwym obrońcą niektórych prawd religijnych, dwa razy dziennie chodzi do kościoła, przystępuje do sakramentów, bawi się grywaniem utworów kościelnych — szachrajstwem nakłoni w końcu własne sumienie do wydania sądu, że jest człowiekiem religijnym i że wiernie wypełnia swoje obowiązki względem Boga. Przekonacie się ponadto, że człowiek taki, zwodząc samego siebie, spoglądać będzie z pychą na swoich bliźnich, którzy mniej okazują nabożności zewnętrznej, aczkolwiek może dziesięciokrotnie przewyższają go cnotą prawdziwej uczciwości.

To także jest wielkie zło na świecie, ja zaś przypuszczam, że żadna inna mylnie pojęta zasada nie wyraziła w swoim czasie sroższych szkód. Chcecie doprowadzić do sumarycznego — badajcie historię rzymskokatolickiego Kościoła”. — A na cóż to się wam przyda? — wrzasnął dr Slop. — „Przekonacie się, ile faktów okrucieństwa, mordu, grabieży i przelewu krwi niewinnej...” — Niech podziękują za to własnemu uporowi — zawołał dr Slop. — „... uświęconych zostało przez religię, która nie dość ściśle rządzi się zasadami moralności.

W iluż królestwach świata...” — W tym miejscu Trim jął wymachiwać prawą ręką, zataczając nią łuk od kartek z kazaniem na długość całego ramienia, po czym powtarzał ten gest aż do końca poniższego ustępu.

— „W iluż królestwach świata ów źle użyty na wyprawach krzyżowych miecz błędnego rycerstwa wiary nie oszczędził ani sędziwego wieku, ani zasługi, ani płci, ani stanu? A że rycerz krzyżowy walczył pod sztandarami religii, która uwolniła go od więzów sprawiedliwości i człowieczeństwa, przeto innym ich nie okazywał. Bezlitośnie je deptał i ani nie słyszał jęków ludzi nieszczęśliwych, ani też nie współczuł ich niedoli”.

— Byłem, za pozwoleniem W. Miłości, w wielu rozmaitych bitwach — rzekł Trim wzdychając — ale nigdy w tak żalostnej, jak ta opisana. Nigdy bym nie wycelował do tych biedaków, nawet gdyby mnie mieli za to zrobić generałem. — Czemuż to? Co ty możesz wiedzieć o tych sprawach? — spytał dr Slop spoglądając na Trima z większą nieco wzgardą, niż pocziwy kapral na to zasługiwał. — Co ty wiesz o tej bitwie, o której raczysz mówić? — Wiem — odparł Trim — że nigdy w życiu nie odmówiłem pardonu mężczyźnie, który głośno wołał o litość; a pierwaj skonałbym tyśiąc razy, zanimbym wymierzył z muszkietu do niewiasty czy dziecka. — Masz tu koronę, Trimie, na kwartę piwa z Obadiaszem — rzecze stryjasek To-

by — a Obadiaszowi dam drugą. — Bóg zapłać, W. Mi-  
łość — odparł Trim — choć po prawdzie wolałbym,  
żeby tę koronę dostały owe biedne niewiasty i dzie-  
ci. — Pocziwe z ciebie chłopisko — rzecze stryjaszek.  
Mój ojciec kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć:  
„Prawda to rzetelna”. — Ale proszę cię, Trimie — do-  
dał — skończ czytanie, bo widzę, że zostało ci zaledwie  
kilka kartek. — Kapral Trim czytał więc dalej:

— „Jeśli świadectwo minionych wieków nie jest  
dość ważkim dowodem, zastanówcie się teraz, jak wy-  
znawcy tej religii starają się co dnia służyć Bogu  
i zwiększać jego chwałę czynami, które ich samych  
okrywają hańbą i sromotą.

Chcąc przekonać się o tym naocznie pójdźcie ze mną  
na chwilę do lochów Inkwizycji”. — Niech Bóg się  
ulituje nad biednym moim bratem Tomem! — „Spójrz-  
cie — oto Religia zasiada posępna na czarnym trybu-  
nale, wsparta o koło i inne narzędzia tortur, u jej stóp  
skute łańcuchami Miłosierdzie i Sprawiedliwość. Słu-  
chajcie! Słuchajcie! — jaki to jęk żałosny!” — W tym  
miejscu twarz Trima stała się biała jak chusta. —  
„Spójrzcie na tego nieszczęśnika, z którego piersi do-  
bywa się ów szloch”. — Tu łzy zaczęły spływać po po-  
liczkach Trima. — „Przyprowadzono go właśnie, aby  
odprawić komedię sądu, aby zadać mu najstraszliw-  
sze męki i cierpienia, jakie misternie opracowany sy-  
stem okrucieństwa potrafił wymyślić”. — A bodaj ich  
wszystkich diabli — rzekł Trim, którego twarz oblała  
się teraz krwistym rumieńcem. — „Spójrzcie na tę  
bezbronną ofiarę zdaną na łaskę swych oprawców, na  
wyniszczone niedolą i więzieniem ciało”. — Och, to  
mój brat! — jęknął biedny Trim głosem nabrzmiałym  
rozpaczą i upuściwszy kazanie na podłogę splótł kur-  
czowo dłonie. — Lękam się, za przeproszeniem W. Mi-  
łości, że to jest nieszczęśny Tom. — Na widok żało-  
ści biednego Trima serca ojca i stryjaszka Toby'ego  
wezbrały współczuciem, nawet dr Slop okazał wzru-  
szenie. — Ależ, Trimie — rzecze mój ojciec — przecie

nie czytasz opisu prawdziwych zdarzeń, czytasz nam kazanie. Zechciej zacząć to zdanie od początku.

— „Spójrzcie na tę bezbronną ofiarę zdaną na łaskę swych oprawców, na wyniszczone niedolą i więzieniem ciało. Czy widzicie, jak drga w nim bólem każdy mięsień i każdy nerw?

Obserwujcie ostatnie ruchy tej potwornej maszyny!” — Wolałbym stanąć przed gardzielą armaty — rzekł Trim przestępując z nogi na nogę. — „Czy widzicie, jak ciałem nieszczęśnika wstrząsają dreszcze? Przyjrzyjcie się pozie, w jakiej leży teraz wyciągnięty. Jakże wymyślne katusze mu ona zadaje!” — To chyba nie dzieje się w Portugalii? Ufam, że to nie dzieje się w Portugalii. — „Człowiek więcej już znieść nie zdoła! O Boże! Spójrzcie, jak znękana dusza czeka, aby wraz z ostatnim tchnieniem ulecieć z drżących warg!” — Za żadne skarby świata nie przeczytam ani jednej linijki więcej — rzecze Trim. — Boję się, za pozwoleniem W. Miłości, że wszystko to dzieje się w Portugalii, gdzie przebywa mój biedny brat Tom. — Mówię ci po raz drugi, Trimie — rzecze ojciec — że nie jest to relacja historyczna, a tylko opis. — Tylko opis, mój pocziwce — dodał dr Slop — i nie ma w nim ani słowa prawdy. — To już zgoła inna sprawa — odparł ojciec. — Że jednak Trim czyta z takim przejęciem, byłoby to okrucieństwem zmuszać go do dalszego czytania. Podaj mi, Trimie, kazanie, skończę je za ciebie, ty możesz odejść. — Muszę zostać i także tego wysłuchać — odparł Trim — jeśli W. Miłość pozwoli. Ale sam nie przeczytałbym tego za roczny żołd pułkownika. — Biedny Trim — westchnął mój stryjasek Toby. Ojciec zaczął czytać:

— „Przyjrzyjcie się pozie, w jakiej leży teraz wyciągnięty. Jakże wymyślne katusze mu ona zadaje! Człowiek więcej już znieść nie zdoła! O Boże! Spójrzcie, jak znękana dusza czeka, aby wraz z ostatnim tchnieniem ulecieć z drżących warg — pragnie opuścić ciało, lecz nie otrzyma przyzwolenia! Patrzenie — oto nieszczęśliwca odprowadzają na powrót do celi”. —

W takim razie Bogu niech będą dzięki — rzece Trim — bo jednak go nie zabili. — „Oto wyprowadzają go znowu ślaniającego się na nogach i oddają na pastwę płomieni stosu i obelg rzucanych mu w ostatnich chwilach męki, którą zgotowała mu owa zasada — zasada religii bez miłosierdzia”. — W takim razie Bogu niech będą dzięki — rzece Trim — bo umarł, nie cierpi już, a jakże go oni męczyli! O, łaskawi panowie! — Uspokój się, Trimie — powiedział mój ojciec i podjął na nowo czytanie w obawie, że Trim rozgniewa dr Słopa. — W ten sposób nigdy nie dobrniemy do końca.

— „Najpewniejszym sposobem wypróbowania wartości spornej jakiejś idei jest zbadanie jej skutków pod względem ich zgodności z duchem chrześcijaństwa. Jest to prosta, niezawodna reguła, którą zostawił nam nasz Zbawiciel, do rozstrzygania tego i podobnych przypadków, warta zaś jest tyle, co tysiąc argumentów. Po owocach ich poznacie je.

Nie będę przedłużał już nadto tego kazania — dodam jedynie kilka krótkich, oddzielnych reguł, które wywodzą się z niego.

Po pierwsze: ilekroć człowiek jakiś występuje głośno i jawnie przeciwko religii, podejrzewaj zawsze, że to nie rozum, tylko namiętności zatryumfowały nad jego WIARĄ. Grzeszne życie i prawdziwa wiara są dla się wzajemnie uciążliwymi i swarliwymi sąsiadami, bądźcie zatem pewni, że jeśli biorą rozbrat, czynią to jedynie po to, aby zapewnić sobie spokój.

Po drugie: gdy człowiek, o którym mowa, powie ci w jakimś szczególnym przypadku, iż to a to przeciwne jest jego sumieniu — pamiętaj, że ma on na myśli dokładnie to samo, co gdyby powiedział, że taka a taka rzecz nie służy jego żołądkowi. Chwilowy brak apetytu jest zazwyczaj istotną przyczyną w obu przypadkach.

Słowem — nie ufaj w niczym temu, kto we wszystkim nie kieruje się sumieniem.

Jeśli zaś idzie o ciebie, pamiętaj o prostej prawdzie,

której wypaczenie zgotowało zgubę tysiącom: twoje sumienie nie jest prawem. Nie — Bóg i rozum ustanowili prawa, obdarzyli cię zaś sumieniem, aby orzekało — nie jak azjatycki kadi, w zależności od fluktuacji własnych uczuć, lecz jak brytyjski sędzia w tym kraju wolności i zdrowego rozsądku — sędzia, który nie tworzy nowych praw, lecz wiernie stosuje prawa już istniejące”.

FINIS

— Przeczytałeś, Trimie, to kazanie nadzwyczaj dobre — rzekł mój ojciec. — Gdyby powstrzymał się od uwag — wtrącił dr Slop — czytałby znacznie lepiej. — Przeczytałbym je, panie, dziesięćkroć lepiej — odparł Trim — gdyby żałość nie ścisłała mi serca. — Z tej właśnie przyczyny, Trimie — powiedział mój ojciec — odczytałeś je tak znakomicie. Gdyby zaś duchowieństwo naszego kościoła — dodał zwracając się do dr Slopa — wzruszało się swymi kazaniami tak serdecznie, jak uczynił to nasz biedny Trim, to ponieważ w treści swej są one znakomite... (— Zaprzeczam temu — rzecze dr Slop.) Ja zaś podtrzymuję — odparł ojciec. — Ponieważ zatem w treści swej są one znakomite, krasomówstwo naszych kazalnicy takimi rozpalone tematami stałoby się wzorem dla całego świata. Lecz niestety — ciągnął — wyznaję, panie, ze smutkiem, że w tym względzie duchowni nasi podobni są francuskim politykom: co zyskają w gabinecie, przegrają w polu. — Wielka to byłaby szkoda — rzekł stryjasek Toby — gdyby sprawa taka została przegrana. — Podoba mi się to kazanie nadzwyczajnie — potwierdził ojciec. — Jest dramatyczne, a ten sposób pisania, jeśli się nim zręcznie posłużyć, przykuwa uwagę. — Nasi księża — ozwał się dr Slop — uprawiają rodzaj podobny. — Wiem o tym w istocie — powiedział mój ojciec, ale tonem, który oburzył doktora Slop nieco urażony — nasze kazania mają tę ogromną mogło mu być przyjemne. — Wszelako — dodał dr Slop nieco urażony — nasze kazania mają tę ogromną przewagę, że nie wprowadzamy do nich postaci o god-

ności poniżej patriarchy albo małżonki patriarchy lub też męczennika czy świętego. — W tym kazaniu — rzecz mój ojciec — jest kilka bardzo szkaradnych figur, a przecie nie uważam, aby było ono przez to choć o jotę gorsze. — Ale powiedz mi, bracie — rzecze stryjasek Toby — kto je mógł napisać? Jakim sposobem trafiło do mego Stevinusa? — Znaleźć odpowiesz na drugie pytanie — odparł mój ojciec — mógłby tylko czarnoksiężnik równy samemu Stewinusowi. Pierwsze natomiast nie wydaje mi się nazbyt trudne. Albo się grubo mylę, albo znam autora, bo jest nim ponad wszelką wątpliwość proboszcz naszej parafii.

Podstawą przypuszczenia było podobieństwo stylu i formy owego kazania do kazań, które ojciec mój słyszał wciąż z ambony parafialnego kościoła. Przekonało to mego ojca tak dowodnie, jak tylko argument *a priori* może przekonać w tego rodzaju przedmiocie filozofa: że autorem był Yorick i nikt inny. Dowód *a posteriori* przeprowadzony został już nazajutrz, kiedy to w domu stryjaska zjawił się służący Yoricka.

Jak się okazało, Yorick, który interesował się wszelkimi dziedzinami wiedzy, pożyczył Stevinusa od stryjaska Toby'ego, napisawszy zaś kazanie wsunął je bezmyślnie w sam środek książki; po czym przez roz-targnienie, któremu często ulegał, odesłał Stevinusa do domu przydawszy mu do towarzystwa kazanie.

O nieszczęsne kazanie! Po odnalezieniu po raz wtóry zostało zgubione — wypadło przez dziurę w kieszeni swego autora pod zdradziecką i wiszącą w strzępach podszewkę, po czym wgniecione zostało głęboko w błoto lewą tylną nogą jego Rosynanta, który nastąpił na nie bezlitośnie; gdy upadło, dziesięć dni spoczywało w błocie; po czym wygrzebane przez żebraka, sprzedane zostało za pół pensa kanceliście parafialnemu, odstąpione jego proboszczowi, stracone na zawsze dla swego autora aż po kres dni jego, zwrócone jego nie-spokojnym CIENIOM dopiero teraz, kiedy wyjawiam światu to zdarzenie.

Czytelniku — czy uwierzysz, że to kazanie Yoricka

wy ogłoszone zostało podczas sesji sądowej w katedrze w York, w obecności tysiąca świadków gotowych na to przysiąc? Odczytał je pewien prebendarz tego kościoła, potem zaś rozpowszechnił w druku — a to za ledwie w dwa lata i trzy miesiące po zgonie Yoricka.

Prawdę mówiąc z Yorickiem nigdy nie obchodzono się lepiej za życia; ale znęcanie się nad nim za życia i grabienie go, gdy leżał w grobie — tego było już trochę za wiele.

Ale ponieważ jegomość, który się rzeczy tej dopuścił, żywił afekt dla Yoricka, a także (należy mu oddać tę sprawiedliwość) wydrukował za ledwie kilka egzemplarzy do rozdawania, co więcej zaś, jak mi powiadano, mógł był sam napisać nie gorsze kazanie — oświadczam uroczyście, że nie podałbym tej anegdoty światu do wiadomości oraz że nie publikuję jej, aby zaszkodzić reputacji tego jegomościa czy opóźnić jego awans w hierarchii kościelnej — to pozostawiam innym. Jednakże skłaniają mnie do tego dwie racje, przed którymi na próżno się bronię.

Pierwsza z nich, to że czyniąc zadość sprawiedliwości, zapewnię może spocznienie duchowi Yoricka, który, jak wierzą w to wieśniacy (oraz inni), dotąd się błąka po świecie.

Druga racja, to że wyjawiając światu tę historię zyskuje sposobność, aby powiadomić ludzi, że jeśli spodobał im się charakter proboszcza Yoricka oraz przytoczona próbka kunsztu kaznodziejskiego — w posiadaniu familii Shandy'ch znajduje się obecnie taka mnogość jego kazań, iż złożyć by z nich można pokaźny tom na użytek świata — oby ku jego zbawieniu!

## ROZDZIAŁ XVIII

Obadiasz zasłużył bezspornie na swoje dwie korony, bo wszedł do izby w tej samej chwili, w której kapral Trim z niej wychodził; poprzedzał go głośny brzęk

instrumentów w zielonym barchanowym worku, o którym wspominałem wyżej, a który niósł przewieszony przez ramię.

— Sądzę — rzecze dr Slop (pojaśniawszy na twarzy) — że skoro jesteśmy teraz w mocy oddać pewne usługi pani Shandy, wypadaloby posłać na górę i spytać o zdrowie.

— Polecilem — odparł ojciec — starej położnej, aby zeszła tu do nas w razie najmniejszych nawet trudności. Winienesz bowiem wiedzieć, doktorze — dodał z lekkim uśmiechem zakłopotania na twarzy — że na mocy wyraźnego układu, uroczyście zawartego przez moją małżonkę i przeze mnie, jesteś w tej sprawie nie więcej niż siłą pomocniczą, która użyta będzie jedynie w wypadku, gdyby stara i chuda kobiecina położna tam na górze nie zdołała się bez ciebie obejść. Niewiasty mają swoje kaprysy — ciągnął dalej ojciec — w sprawach zaś tej natury, gdzie same dźwigają całe brzemię i doświadczają tak dojmujących cierpień na pożytek naszych rodów i dla podtrzymania gatunku — roszczą sobie prawo stanowienia *en souveraines*, z czyją pomocą i w jaki sposób odbywać będą pológ.

— Słuszność jest po ich stronie — rzecze stryjaszek Toby.

— Ależ, panie — odezwał się dr Slop nie zwracając uwagi na opinię stryjaszka i kierując swe słowa do mojego ojca — lepiej byłoby, aby białogłowy rządziły się samowolnie w innej materii. W moim zaś mniemaniu mąż, który pragnie ciągłości rodu, winien przejąć od nich tę prerogatywę, a zrzec się innych jakichś swoich uprawnień.

— Nie wiem doprawdy — odparł mój ojciec tonem zbyt gniewnym, aby można było uznać odpowiedź za beznamiętną. — Nie wiem doprawdy — rzecze więc — jakich to jeszcze przywilejów moglibyśmy się wyrzec w miejsce wyboru asystencji przy wydawaniu na świat naszych własnych potomków; chyba przywileju stanowienia, kto ich będzie poczywał.

— Człowiek raczej wyrzekłby się wszystkiego — odparł dr Slop.

— Jakże to, doktorze... — rzecze stryjasek Toby. — Otóż, panie — odparł medyk — zadziwi cię zapewne wiadomość o postępach, jakie poczyniliśmy na przestrzeni ostatnich lat we wszystkich gałęziach położniczej wiedzy, zwłaszcza zaś w przedmiocie bezpiecznego i prędkiego wydobywania na świat płodu, która to dziedzina tak wszechstronnie została oświetlona, że jeśli o mnie idzie, dziwię się doprawdy (tu dr Slop wznosił ręce ku górze), jak świat mógł...

— Życzę ci, doktorze Slop — rzecze mój stryjasek Toby — abyś ujrzał kiedyś wojska tak wspaniałe, jak nasze armie we Flandrii.

## ROZDZIAŁ XIX

Na chwil kilka zapuszczam kurtynę na tę scenę, aby przypomnieć wam o jednej i powiadomić o drugiej rzeczy.

Przyznaję, że na powiadomienie was o niej wybrałem niezbyt właściwą porę, powinienem był bowiem uczynić to przed stu pięćdziesięciu stronicami. Jednakże wtenczas już przewidziałem, że stosowniej wypadnie to na tym miejscu i tutaj większy niż gdziekolwiek indziej przyniesie pożytek. Pisarze muszą wciąż patrzeć przed siebie, gdyż w ten jeno sposób mogą dać dziełu życie i spoistość.

Gdy oba te moje zamysły zostaną urzeczywistnione, kurtyna ponownie pójdzie w górę, a dyskurs między stryjaskiem Toby'm, moim ojcem i dr Slopem potoczy się bez dalszych przeszkód.

Tedy po pierwsze: muszę wam przypomnieć, iż przedstawione próbki dziwaczności idei mojego ojca w przedmiocie imion nadawanych na chrzcie utwierdziły was, jak sądzę, w mniemaniu (zresztą sam zwraca-

całem wam na to uwagę), że ojciec mój hodował pięćdziesiąt innych równie chimerycznych i cudacznych opinii. W rzeczy samej nie było w życiu człowieka takiego stadium — od najpierwszego aktu poczęcia aż do zgrzybiałości i zdziecinnienia — które nie dałoby ojcu podstawy do sformułowania na własny użytek jakiegoś ulubionego poglądu, równie sceptycznego i równie daleko odbiegającego od utartych szlaków myślenia, jak owe dwa, które zostały wam przedstawione.

Otóż, panie, Imć Shandy, mój ojciec, nie postrzegał żadnej rzeczy w takim świetle, w jakim widzieli ją inni; na wszystko patrzył po swojemu. Nie ważył też niczego na zwyczajnej wadze; nie — nazbyt subtelnym był badaczem, aby chciał narażać się na tak grube pomyłki. Dla dokładnego odważenia rzeczy na naukowym bezmianie, powiadał, punkt oparcia musi być prawie niewidoczny, a to dlatego, aby uniknąć wszelkiego tarcia pospolicie wyznawanych teorii; w przeciwnym przypadku subtelności filozofii, które zawsze powinny przechylać szalę, pozbawione zostaną ciężaru. Wiedza, podobnie jak materia, dowodził, może być dzielona *in infinitum*; skrupuły i grany — utrzymywał — są taką samą jej częścią, jak grawitacja — całości świata. Słowem, powiadał, błąd zawsze pozostanie błędem i mniejsza o to, czego dotyczy — pół grana czy całego funta — jednako jest zgubny dla prawdy; prawdę zaś u dna jej źródeł uwięzi zarówno omyłka co do pyłku na skrzydłach motyla, jak co do tarczy słońca, księżyca i wszystkich gwiazdozbiorów razem wziętych.

Ubolewał mój ojciec częstokroć, że właśnie z powodu niedoceny tej zasady i niezręcznego wykorzystania jej, zarówno w dziedzinie spraw publicznych, jak i prawd filozoficznych, tyle rzeczy na tym świecie wyszło ze swoich orbit; że zarysowuje się sklepienie nawy państwowej oraz że same fundamenta naszej wybornej skądinąd konstytucji zarówno państwowej, jak kościelnej tak są zmurszałe, jak donoszą o tym ludzie znajdujący się na rzeczy.

Krzyczycie wniebogłosey, powiadał, że jesteście zgubionym, straconym narodem. Czemu tak się dzieje? — pytał, zgoła nieświadomie stosując *sorites* lub sylogizm Zenona i Chryzypa. Czemu? Czemu jesteście zgubionym narodem? Ponieważ jesteście przedajni. A czemu to, drogi panie, jesteście przedajni? Ponieważ jesteście ubodzy; nie wola, lecz niedostatek popycha nas do przedajności. A jaka jest, dodawał, przyczyna naszego niedostatku? Lekceważenie okazywane naszym pensom i półpensówkom. Nasze banknoty, panie, nasze gwiney — ach, nawet szylingi same się obrobia.

Podobnie dzieje się, powiadał, we wszystkich gałęziach wiedzy; wielkie, ustalone prawdy są nie do obalenia. Prawa natury obronią się same. Wszelako omyłka (dodawał spoglądając poważnie na swoją matkę), omyłka, panie, wślizguje się przez drobne szpary i małe szczeliny, które człowiek pozostawia nie strzeżone.

O tym właśnie poglądzie mojego ojca chciałem wam przypomnieć. A oto sprawa, o której zamierzam wam powiadomić, a którą zachowałem na to miejsce:

Wśród mnogich a znakomitych argumentów, za pomocą których ojciec usiłował nakłonić matkę, aby wyraziła zgodę na poddanie się opiece dr Slopa miast starej kobiety położnej, znajdował się jeden bardzo szczególnego rodzaju; w argument ten, gdy skończył dysputować z nią jako chrześcijanin i zaczął roztrząsać materię od nowa jako filozof, tchnął całą siłą perswazji, ponieważ widział w nim ostatnią deskę ratunku. Argument nie podziałał, i to bynajmniej nie z powodu błędności, lecz dlatego, że ojciec w żaden sposób nie mógł wytłumaczyć matce jego sensu. — Psie szczęście! — powiedział sobie któregoś popołudnia opuszczając pokój po półtoragodzinnym daremnym wyluszczeniu istoty argumentu. — Psie szczęście! — rzekł zagryzając wargi, gdy zamykał drzwi — żeby człowiek dysponował takim wspaniałym wywodem logicznym, a jednocześnie miał żonę z taką mózgownicą, że nawet za

cenę własnego zbawienia nie zdołałby wykrzesać z niej najprostszego wniosku.

Ten argument, aczkolwiek daremny w stosunku do mojej matki, dla ojca był cenniejszy niż wszystkie inne racje razem wzięte. Pokuszę się tedy oddać mu sprawiedliwość i przedstawię go wam z całą jasnością, na jaką mnie stać.

Mój ojciec opierał rozumowania na niewzruszoności dwóch poniższych aksjomatów:

Pierwszy: Iż lud własnego rozumu wart jest tyle, ile cetnar cudzego.

Drugi: (który zresztą jest fundamentem pierwszego, jakkolwiek umieszczam go na dalszym miejscu) że rozum każdego człowieka musi pochodzić z jego własnej duszy, a nie z cudzej.

Ponieważ ojciec mój nie wątpił, że dusze wszystkie z przyrodzenia są równe — oraz że ogromne różnice między najsprawniejszymi a najociężalszymi umysłami nie pochodzą bynajmniej z naturalnej bystrości lub tępoty, niższości lub wyższości jednej materii mózgowej nad drugą, lecz wynikają jedynie z mniej lub więcej szczęśliwego ukształtowania ciała w tej jego części, w której dusza najczęściej przebywa — przeto postawił sobie za cel badań dokładne wyznaczenie tego miejsca.

Otóż na podstawie najlepszych relacji, jakie zebrać mógł w tej materii, upewnił się, że nie może ono znajdować się tam, gdzie wyznaczył je Kartezjusz, czyli na samym czubku szyszynki, ponieważ, jak rozumował, tworzyłoby to dla niej podściółkę wielkości dużego ziarnka grochu; wszelako zważywszy, że w tym właśnie miejscu zbiega się tak wiele nerwów, przypuszczenie to zdawało się dość trafne i ojciec mój za przykładem wielkiego myśliciela utonąłby z głową w tym błędzie — gdyby nie stryjasek Toby, który w chwili ostatecznej salwował go opowieścią o pewnym walońskim oficerze. Otóż w czasie bitwy pod Landen kula muszkietowa zmiażdżyła temu jegomościowi część mózgu — inną część wyjął mu potem francuski cyru-

lik; jednakże walończyk mimo tego braku wyzdrowiał i dalej pełnił chwalebnie swą służbę.

Skoro śmierć, powiadał ojciec prowadząc z samym sobą dysputę, nie jest niczym innym jak tylko odłączeniem duszy od ciała oraz jeśli to prawda, że ludzie mogą sobie chodzić i oddawać się swoim zatrudnieniom bez części mózgu — rzecz pewna, że dusza mieszka gdzie indziej. *Quod erat demonstrandum.*

Co się zaś tyczy pewnej bardzo płynnej, subtelnej i bardzo wonnej cieczy, którą, jak się dowiadujemy z listu Cogliionissimo Borri do Bartholine'a, wielki ten mediolański fizyk odkrył w komórkach potylicznej części mózdzku i którą uważa za główną siedzibę duszy rozumnej (wiedźcie bowiem, że w tych naszych oświeconych czasach każdy człowiek żyjący ma dwie dusze — z tych jedną wielki Metheglinglius nazywa *animus*, drugą zaś *anima*); co się więc tyczy, jak powiadam, poglądu Borri, ojciec mój żadną miarą nie chciał się nań zgodzić. Sama myśl, że istota tak szlachetna, subtelna, bezcielesna i dostojna jak *anima* (lub nawet *animus*) miałaby cały Boży dzień, zarówno w lecie, jak i w zimie, taplać się niczym kijanka w kałuży lub też moknąć w płynie gęstym czy rzadkim — napawała, jak mówił, wstrętem jego wyobraźnię; ledwie raczył brać tę doktrynę pod uwagę.

Z powyżej podanych przyczyn najmniej zastrzeżeń budziła w ojcu teoria, że właściwy organ czucia, kwatera główna duszy oraz miejsce, do którego kierowane są wszystkie wiadomości i skąd rozchodzą się wszystkie polecenia, znajduje się w samym mózdzku albo gdzieś w pobliżu, albo, ściślej mówiąc, gdzieś w okolicy *medulla oblongata*, gdzie według powszechnej opinii holenderskich anatomów zbiegają się wszystkie najcenniejsze nerwy wszystkich organów siedmiu naszych zmysłów — jak ulice i kręte przejścia zbiegają się na placu.

Jak dotąd, w poglądach ojca nie ma zgola nic szczególnego — towarzyszą mu do tego miejsca najznamienitsi przyrodnicy wszystkich wieków i wszystkich kra-

jów. Wszelako w dalszą drogę puszczał się samopas wznosząc inną z kolei shandyjską hipotezę na podwalinach, które tamci dla niego założyli. Rzeczona hipoteza utrzymała się na swych pozycjach niezależnie od tego, czy subtelność i doskonałość duszy była zależna od ciepłoty i klarowności wspomnianej cieczy, czy też od delikatnej doskonałości tkanek w mózdzku i od jego substancji. Ojciec mój skłaniał się raczej ku tej hipotezie.

Otóż ojciec utrzymywał, że prócz należytej dbałości, jaką winno się otaczać akt płodzenia każdej istoty, a który to akt wymaga niemalej rozwagi, jako że kładzie podwaliny pod ową niepojętą budowlę złożoną z rozumności, pamięci, wyobraźni, umiejętności wyrażania się oraz tego wszystkiego, co określane bywa zwykle mianem przyrodzonych talentów; więc że prócz owej dbałości oraz sprawy imienia nadanego na chrzcie, co stanowiło dwie podstawowe i najistotniejsze przyczyny wszystkiego, trzecią przyczyną lub raczej warunkiem nazwanym przez logistów *causa sine qua non*, przez poniechanie którego wszystko, co zostało przedsięwzięte, najmniejszego nie miałoby znaczenia — było uchronienie owej subtelnej i delikatnie utkanej materii przed spustoszeniami, jakie w niej zazwyczaj czyni gwałtowne spłaszczanie i ugniatanie czaszki na skutek niedorzecznej metody wydawania nas na świat głową naprzód.

Rzecz ta wymaga objaśnienia.

Mój ojciec, który czerpał wiedzę z najrozmaitszego rodzaju ksiąg, zajrzawszy raz do Lithopoedusa \* *Senonensis de partu difficili*, dzieła opublikowanego przez Adrianusa Smelvgota, dowiedział się, że miękkość

\* Lithopoedus — autor myli się tu dwukrotnie, albowiem słowo to winno być pisane w ten oto sposób: Lithopoedii Senonensis Icon. Drugi błąd, to że ów Lithopoedus nie jest pisarzem, lecz obrazem dziecka w postaci skamieniałiny. Imię Tristram Shandy popelił ową omyłkę albo dlatego, że przeczytał nazwisko Lithopoedusa w sporządzonym przez dr... rejestrze uczonych pisarzy, albo ponieważ wziął Lithopoedusa za Trinecavelliusa, do czego przyczyniło się zdradliwe podobieństwo tych nazwisk (przypis autora).

i elastyczność głowy noworodka podczas położu (jako że kości czaszki nie są jeszcze w tym czasie złączone szwami) jest taka, iż na skutek wysiłku kobiety — który w czasie najdotkliwszych bóli porodowych — wna się przeciętnie sile 470 funtów działających na rzeczoną głowę w linii prostopadłej — w 49 wypadkach na 50 głowa noworodka bywa spłaszczona i uformowana na kształt podłużnego, stożkowatego balaska ciasta, jaki wychodzi z rąk cukiernika przy wyrobie placcka. — Miłosierny Boże! — wołał mój ojciec — jakież spustoszenie, jakie zniszczenie musi to czynić w nieskończenie delikatnych i czułych tkankach mózdku. A jeśli istnieje owa ciecz, o której wspomina Borri — czyż w tych okolicznościach najklarowniejszy płyn na świecie nie zetnie się i nie zmętnieje?

Jak jednak wielkie było jego przerażenie, gdy dowiedział się dalej, że nacisk na wierzchołek głowy nie tylko uszkadza sam mózg, lecz nieuchronnie przesuwając go w kierunku mózdzku, który jest siedliskiem rozumu. — Aniołowie i szafarze łaski, weźcież nas w opiekę! — wołał mój ojciec. — Czy jakakolwiek dusza na świecie zdoła znieść takie udręczenie? Nie dziwota, że kanwa naszego umysłu bywa tak poszarpana i podziurawiona oraz że tak liczne spośród najtęższych naszych głów to po prostu splątane motki przędzy jedwabnej — wewnątrz sama gmatwanina i nieład!

Ale gdy w dalszym ciągu lektury ojciec mój dowiedział się, że jeśli dziecko odwrócone zostanie do góry nogami, co cyrulik położny łatwo może uczynić, i wyciągnięte za nogi — wtedy nie mózg przesunie się w kierunku mózdzku, lecz przeciwnie, mózdzek przesunie się w kierunku mózgu, nie sprawiając szkody... — O Boże — jęknął — przecież świat cały przysiął się, aby zatłumić tę odrobinę rozumu, którą nas Bóg obdarzył, a profesorowie sztuki położniczej przypuszczeni zostali do spisku. Co mnie to obchodzi, którym końcem syn mój wyjdzie na świat, byle wszystko odbyło się jak należy i jego mózdzek nie uległ zgnie-

Taka jest natura każdej hipotezy, że gdy raz zostanie sformułowana, przyswaja sobie wszystko jako właściwe pożywienie i od chwili swego poczęcia czerpie siły ze wszystkiego, co zobaczysz, usłyszysz, przeczytasz lub pojmiesz. Wielkie to doprawdy ma znaczenie.

Zaledwie upłynął miesiąc od narodzin tej ostatniej hipotezy, a już niewiele pozostało fenomenów głupoty lub mądrości, których mój ojciec nie potrafiłby wyjaśnić nader łatwo za jej pomocą. Tłumaczyła ona fakt, iż pierworodny syn był zazwyczaj największym durniem w rodzinie. — Biedaczysko! — powiadał ojciec. — Musiał torować drogę młodszym braciom. — Ponadto hipoteza rozwiązywała zagadkę idiotów i wodogłowów dowodząc *a priori*, iż rzecz nie mogła się mieć inaczej — chyba że \*\*\*\* doprawdy sam nie wiem co. W sposób wręcz cudowny objaśniała i uzasadniała bystrość azjatyckiego geniusza oraz większą żwawość i przenikliwszą intuicję umysłu mieszkańców cieplejszych klimatów. Podważała nazbyt dowolną i utartą teorię czystego nieba, większej ilości promieni słońca, etc., które zdaniem mojego ojca równie dobrze mogło swym nadmiarem rozcieńczać i rozpuszczać przymioty duszy i doprowadzać do nicości, jak swoim brakiem w zimniejszych klimatach potęgować je i zagęszczać. Otóż ojciec zbadał tę rzecz u samych jej podstaw; dowiódł, że w łagodniejszych klimatach natura mniejszy nałożyła haracz na pleć nadobną; zwiększyła jej rozkosze, zmniejszyła konieczność cierpienia — dzięki temu opór i ucisk na czubek czaszki były tak znikome, że cały układ mózdzku pozostawał nietknięty. Mało tego — ojciec mój nie sądził, aby podczas prawidłowych porodów zerwane lub naruszone być mogło jedno chociaż włókno tkanek — dusza mogła więc zachowywać się tak, jak miała na to ochotę.

Gdy ojciec mój dotarł do tego miejsca, jakże jasny snop światła rzuciły na jego hipotezę relacje co do cesarskiego cięcia i niebotycznych geniuszów, które tą drogą bezpiecznie przybywały na świat. Otóż w tym



od jednego końca, postanowił popróbować szczęścia od drugiego.

Nie mógł oczekiwać pomocy od którejś z położnych niewiast, gdyż niełatwo dają się one nakłonić do odstępstw od swoich praktyk — fakt ten zaś ze szczególną siłą przemawiał na korzyść męża nauki, z którym ojciec mój łatwiej mógłby się porozumieć.

Ze wszystkich ludzi na świecie dr Slop najlepiej nadawał się do urzeczywistnienia zamysłów ojca; bo wprowadzie jego wynalazek, to jest kleszcze, były bronią przez niego wypróbowaną i sprawdzoną oraz najbezpieczniejszym, jak utrzymywał, narzędziem przy położu, to jednak w swej książce wypowiedział kilka życzliwych słów na temat możliwego rozwiązania sprawy, która zaprzętała wyobraźnię mojego ojca — choć co prawda nie z uwagi na korzyści duszy przy wyciągnięciu dziecka za nogi, o co szło ojcu, a tylko z czysto medycznych racji.

Tym tłumaczy się wspólny front ojca i dr Slopa podczas dalszej dysputy, która dla stryjaszka Toby'ego przybrała nieco przykry obrót. Trudno sobie doprawdy wyobrazić, w jaki sposób człowiek, którego jedyną bronią był zdrowy rozsądek, mógł odeprzeć ataki dwóch takich sprzymierzeńców na froncie nauki. Jeśli macie ochotę, snujcie na ten temat domysły — a skoro raz wprawicie waszą wyobraźnię w ruch, zachęćcie ją do dalszych wysiłków i popróbujcie odgadnąć, jaki łańcuch przyczyn i skutków sprawił, że rana w pachwinie mojego stryjaszka Toby'ego ugruntowała w nim skromność. Zbudujcie system, aby wyjaśnić, jak paragrafy umowy małżeńskiej spowodowały zagładę mego nosa — oraz objaśnijcie światu, jak się to stać mogło, że wbrew hipotezie ojca i życzeniom całej rodziny, nie wyłączając ojców i matek chrzestnych, mam nieszczęście nosić imię TRISTRAM. Jeżeli macie czas, pokażcie się o rozwiązanie tych oraz pięćdziesięciu innych nie rozwikłanych dotąd problemów. Wszelako ostrzegam zawczasu, że trudy wasze będą daremne, ani bowiem przemądry Alquife, czarnoksiężnik z powieści „Don

Belianis z Grecji", ani nie mniej niż on wsławiona  
małżonka jego, wróżka Urganda, nie śmieliby (gdyby  
żyli) twierdzić, iż zdołali zbliżyć się do prawdy na  
odległość mili.

Czytelnik zechce łaskawie poczekać na wyczerpujące  
objaśnienia w tym przedmiocie do przyszłego roku —  
kiedy to wtajemniczony zostanie w szereg spraw,  
o których nawet mu się nie śni.



## ROZDZIAŁ I

— Życzę ci, doktorze Slop — rzecze mój stryjasek Toby (powtarzając po raz drugi swe życzenie i życząc z większym nieco przejęciem i powagą, niż życzył za pierwszym razem) — życzę ci, doktorze Slop, żebyś ujrzał kiedyś wojska tak wspaniałe, jak nasze armie we Flandrii.

Życzenie mojego stryjaska oddało cyrulikowi istic niedźwiedzią przysługę, przed jaką wzdrygnęłoby się z pewnością stryjaskowe serce. Ach, panie! Zmieszalo go, a tym samym najpierw pogmatwało, a potem rozproszyło jego myśli, tak że żadną miarą nie zdołałby ich zebrać.

We wszelkich dysputach męskich lub też niewieścich — obojętne czy chodzi o honor, korzyść osobistą czy też miłość — nie ma rzeczy bardziej niebezpiecznej niż znienacka spadające na człowieka życzenie. Najpewniejszy na ogół sposób zapobieżenia działaniu takiego życzenia, to gdy ów, któremu życzone, natychmiast oprzytomnieje i z kolei ciśnie w życzącego życzeniem tej samej możliwie wagi; tak że wyrównawszy od razu rachunek wraca na poprzednią pozycję — czasem nawet zyskuje przewagę ataku.

Rzecz ta zostanie objaśniona światu bardziej szczegółowo w rozdziale o życzeniach.

Dr Slop nie znalazł się na takich manewrach. Życzenie skonfundowało go i zahamowało dysputę na cztery i pół minuty; pięć minut okazałoby się dla niej fatalne. Ojciec spostrzegł niebezpieczeństwo — przedmiot dysputy był dla niego niezmiernie interesujący: „Czy dziecię jego pragnień i pilnych starań urodzi się z głową, czy bez głowy”. Czekał aż do ostatniej chwili, aby dać cyrulikowi, pod którego adresem skierowane było życzenie, sposobność odpłaty. Widząc przecie, jak rzekłem, że medyk wpadł w wielkie zmieszanie i nie przestaje spojrzeć przed się tępym wzrokiem ludzi skonfundowanych — najpierw w twarz stryjaska Toby'ego, potem w oblicze mojego ojca, potem w górę, potem w dół, na wschód, południo-wschód etc. — że przesuwa wzrok wzdłuż dolnej krawędzi boazerii, dopóki nie dotarł do przeciwległej strony świata, i że wreszcie zaczyna liczyć mosiężne ćwieczki na oparciu fotela — ojciec uznał, że nie ma ani chwili do stracenia, i podjął przerwany dyskurs.

## ROZDZIAŁ II

— Wojska tak wspaniałe, jak wasze armie we Flandrii!

— Bracie Toby — rzekł ojciec zdejmując perukę z głowy prawą ręką, lewą zaś dobywając z prawej kieszeni surduta pasiastą chustkę z indyjskiego płótna, a to w zamiarze otarcia sobie głowy podczas sporu ze stryjaskiem Toby'm.

Otóż mniemam, że czyniąc tak mój ojciec postąpił bardzo nagannie; i przedstawię wam moje po temu racje:

Kwestie nie posiadające pozornie większej wagi niż: „Czy mój ojciec winien był zdjąć perukę prawą ręką,

czy lewą” siały niezgodę między królestwami i przekrzywiały na głowach korony rządzących nimi monarchów. Czyż muszę ci jednak, panie, wyjaśniać, że okoliczności, jakimi każda rzecz na tym świecie jest opasana, nadają każdej rzeczy na tym świecie jest we rozmiary i kształty; i że przez zacieśnianie jej lub rozluźnianie w tę czy inną stronę czynią z owej rzeczy to, czym jest — rzecz małą, dużą, dobrą, złą, obojętną, nieobojętną, jak się zdarzy.

Ponieważ indyjska chustka mego ojca znajdowała się w prawej kieszeni surduta, w żadnym przypadku nie powinien był prawej ręki czymkolwiek zatrudniać; przeciwnie, miast zdjąć nią perukę, jak to uczynił, winien był czynność tę powierzyć ręce lewej, wtenczas bowiem, gdy odczuł naturalną i pilną potrzebę otarcia sobie głowy, czemu służyć miała chustka, nie byłby musiał robić nic innego, jak tylko wsunąć prawą rękę do prawej kieszeni i wyjąć z niej chustkę; czego mógłby dokonać nie zadając swemu ciału najmniejszego gwałtu, a przynajmniej nie wykręcając w niezdarny sposób nijakiego w nim ścięgnięcia czy mięśnia.

W tym przypadku (chyba że ojciec mój uparłby się, by zrobić z siebie osła trzymając perukę sztywno w lewej ręce lub zginając pod jakimś bezsensownym kątem rękę w łokciu albo barku) jego poza byłaby swobodna, naturalna, niewymuszona; sam Reynolds, jakkolwiek wspaniale i pięknie maluje, mógłby go namalować tak siedzącego.

Zastanówcie się, jak pociesznie musiał wyglądać mój ojciec, wykonując wszystkie te czynności tak, jak je opisałem.

Pod koniec panowania królowej Anny oraz w początkach panowania króla Jerzego I kieszenie umieszczone były w męskich surdutach bardzo nisko, niemal na kraju poły. Nie potrzebuję chyba dodawać nic więcej; sam bożek psoty nie wymyśliłby — gdyby nawet miśnięc łamał sobie nad tym głowę — gorszej mody dla kogoś, kto znajdował się w sytuacji ojca.

## ROZDZIAŁ III

Za panowania żadnego króla nie była to sprawa łatwa (chyba że poddany był takim chudeuszem jak ja) przesunąć rękę ukośnie w poprzek całego ciała i sięgnąć nią do dna przeciwległej kieszeni surduta. W roku Pańskim tysiąc siedemset osiemnastym, kiedy się powyższe zdarzyło, rzecz była szczególnie trudna. Toteż gdy stryjasek Toby zoczył ukośną zygzakowatość manewru ręki mojego ojca, przypuszczającej szturm do kieszeni, przywiodło mu to natychmiast na pamięć ukośną linię natarcia pod bramą św. Mikołaja. To zaś wyobrażenie tak dalece oderwało jego uwagę od przedmiotu dysputy, że wyciągnął już prawą rękę do dzwonka, zamierzając przywołać Trima i polecić mu, aby przyniósł mapę Namur wraz z lunetą i nanosnikiem, a to w celu zmierzenia kątów trawersów tego ataku; w szczególności zaś trawersu, gdzie odniósł ranę w pachwinie.

Ojciec zmarszczył brwi, a gdy je zmarszczył, zdało się, że wszystka krew z żył napłynęła mu do twarzy; wtedy stryjasek Toby natychmiast zeskoczył z siodła.

— Anim się domyślał, że twój stryjasek siedział na koniu.

## ROZDZIAŁ IV

Ciało człowieka i jego dusza (mówię o tym z największą czcią dla obojga) są na podobieństwo kamizelki i jej podszewki; zemnij jedno — tym samym zemniesz drugie. Ale istnieje jeden wyjątek z tej reguły — a mianowicie, gdy jesteś tak wielkim szczęściarzem, że masz kamizelkę uszytą z tafty przesyconej gumą, podszewkę zaś z chińskiej kitajki lub najcieńszego perskiego atłasu.

Zenon, Kleantes, Diogenes Babiloniusz, Dionizjusz, Herakleotes, Antipater, Panecjusz i Pozydoniusz wśród Helleńczyków; Kato, Varro i Seneka wśród Rzymian; Pantenus, Klemens Aleksandryjski i Montaigne wśród chrześcijan oraz ze trzydziestu zacnych, poczciwych, bezmyślnych osobników typu shandyjskiego, których nazwisk nie pamiętam — wszyscy oni utrzymywali, że ich kamizele uszyte są według tego właśnie modelu; że można je od zewnątrz gnieść i miąć, fałdować i giąć, miętosić i składać we dwoje, słowem, znęcać się nad nimi najokropniej, a przecie mimo to wewnątrz nie ucierpi ani trochę.

Wierzę doprawdy, że moja uszyta jest podobnie, żadna bowiem nieszczęsna kamizela nie była niszczone z tak zawrotną szybkością, jak moja w przeciągu ubiegłych dziewięciu miesięcy. A jednak oświadczam, że jej podszewka — jeżeli ja mogę być sędzią w tej materii — nie stała się przez to ani o pensa mniej warta. Łapu-capu, ciach-trach, pac-mac, z włosiem i pod włos, wzdłuż i wszerz — inni przysposabiali ją dla mnie; gdyby w podszewce była najmniejsza choć gumowatość — wielkie nieba! Dawno już przetarłaby się i wisiąca w strzępach!

Panowie krytycy z pism miesięcznych! Jak mogliście tak okrutnie pociąć i posiekać moją kamizelę — czyż mieliście pewność, że za jednym zamachem nie rozplatacie również podszewki?

Serdecznie i z całej duszy polecam was i wasze sprawy opiece tej Istoty, która nikomu z nas nie wyrządzi krzywdy — a więc niech Bóg wam błogosławi. Tylko gdyby w przyszłym miesiącu któryś z was zaczął zgrzytać zębami, oburzać się i sierzcić na mnie, co niektórzy czynili w zeszłym roku w maju (a pamiętam, że pogoda była wtenczas skwarna), niech się nie rozjątrza, jeżeli ja potraktuję jego gniew dobrodusznie — ponieważ postanowiłem solennie, że dopóki żyć będę lub pisać (co w moim przypadku znaczy jedno), nigdy nie zwrócę się do czcigodnych panów z gniewliwszym słowem lub gorszym życzeniem niż to, z którym mój

stryjaszek Toby zwrócił się do muchy bzykającej mu podczas obiadu wokół nosa: „Idź w pokoju — powiedzial — czemu miałbym cię krzywdzić? Starczy na świecie miejsca dla mnie i dla ciebie”.

## ROZDZIAŁ V

Każdy człowiek, pani, rozumujący logicznie, który zaobserwowałby owe niezwykle uderzenie krwi do twarzy mojego ojca, w wyniku czego (zdawać się bowiem mogło, jak wam mówiłem, że wszystka krew z ciała napłynęła mu do oblicza) ojciec musiał pociemnieć, mówiąc po malarsku i naukowo, o najmniej sześć i pół tonów, jeżeli nie o całą oktawę w gamie barw; każdy więc człowiek, pani (oprócz stryjaszka Toby'ego), który zaobserwowałby to oraz groźne ściągnięcie brwi ojca, a także dziwaczne wykręcenie jego korpusu, doszedłby do wniosku, że ojciec mój popadł we wściekłość. Gdyby zaś człowiek ów był miłośnikiem harmonii, jaka powstaje z nastrojenia na tę samą nutę dwóch takich instrumentów, nie mieszkając nastawiłby swój na tę samą wysokość tonu. A wtenczas rozpasowałyby się wszystkie piekielne moce — cały utwór zostałby z pewnością odegrany na podobieństwo szóstej sonaty Scarlattiego — *con furia* — wściekle! Cierpliwości! a cóż ma wspólnego z harmonią *con furia* lub *con strepito* czy inny tego rodzaju zgiełek?

Każdy człowiek, jak ci rzekłem, pani, prócz mojego stryjaszka, który przez wrodzoną łagodność serca tłumaczył sobie wszelkie ruchy człowieczego ciała najżyczliwiej w świecie, doszedłby do wniosku, że ojciec wpadł w wściekłość — i jeszcze by go za to ganił. Stryjaszek Toby nie ganił nikogo prócz krawca, który skroił kieszeń; siedział przeto spokojnie, dopóki ojciec mój nie wydobyl chustki, i cały czas spoglądał na niego z bezgraniczną dobrocią. W końcu ojciec ozwał się tymi słowy:

## ROZDZIAŁ VI

— Wojska tak wspaniałe jak wasze armie we Flandrii! — Bracie Toby — rzecze mój ojciec — uważam cię za człowieka najzacieńszego i obdarzonego najlepszym i najszlachetniejszym sercem, jakiego Bóg kiedykolwiek stworzył. Ani nie twoja to wina, jeżeli wszystkie dzieci, które zostały, mogą być, mają być, będą lub powinny być poczęte, przyjdą na ten świat głowami naprzód. Wierz mi jednak, drogi bracie Toby, że złe przygody, które nieuchronnie czyhają na owe dzieciątka — nie tylko w trakcie poczynania ich, chociaż w moim mniemaniu tego także nie wolno lekceważyć — lecz niebezpieczeństwa i trudności, które osaczają je po przybyciu na ten świat, są tak wielkie, że nie powinniśmy dodatkowo narażać naszych dzieci już w drodze na świat. — Czy niebezpieczeństwa te — spytał stryjaszek Toby kładąc dłoń na kolanie mojego ojca i spoglądając mu bacznie w twarz, w oczekiwaniu odpowiedzi — czy niebezpieczeństwa te, drogi bracie, groźniejsze są dziś, niż ongiś bywały? — Bracie Toby — odparł ojciec — jeżeli dziecko było należycie poczęte, urodziło się żywe i zdrowe, matka zaś po położeniu czuła się dobrze, nasi przodkowie niczego więcej nie żądali. — Stryjaszek Toby nie mieszkając zdjął rękę z kolana mojego ojca, łagodnym ruchem przechylił ciało do tyłu, oparł się plecami o krzesło, zadarł głowę o tyle, żeby dojrzeć gzyms u powały, po czym zleciwszy podługowatym mięśniom policzkowym i kolistym mięśniom wokół warg, aby spełniły swą powinność, zaczął gwizdać *Lillibullero*.

## ROZDZIAŁ VII

Podczas gdy stryjasek Toby gwizdał ojcu *Lillibulle-ro*, dr Slop tupał nogami, wymyślał i przeklinał Obadiasza w sposób zgoła przerażający. Gdybyś go usłyszała, panie, podziałaloby to na ciebie zbawiennie i raz na zawsze wyleczyłoby cię z niegodziwego grzechu przeklinania; dlatego też postanowiłem opisać ci całe to zdarzenie.

Gdy służąca dr Słopa wręczała Obadiaszowi zieloną barchanową torbę z instrumentami medycznymi swego pana, bardzo roztropnie poprosiła go, aby wsunął płócienne troczki przez głowę na ramię i jechał do domu z torbą u boku. Bez zbędnych tedy korowodów rozluźniła supeł i przedłużyła odpowiednio paski, po czym pomogła mu zawiesić torbę na ramieniu.

Ponieważ wskutek tego otwór torby nie był dostatecznie zabezpieczony, Obadiasz i służąca, w obawie, że któryś z instrumentów wypadnie podczas powrotnej drogi odbywanej galopem (jak groził Obadiasz), postanowili zdjąć torbę. Z całą serdeczną dbałością i zapobiegliwością zawiązali oba troczki (wpierw ciasno ściągawszy otwór torby) na pół tuzina mocnych węzłów, dla większej zaś pewności Obadiasz zacisnął każdy z nich z całej siły.

W ten sposób Obadiasz i dziewczyna osiągnęli, co zamierzali; nie ustrzegli się wszelako pewnych niebezpieczeństw, których żadne z nich nie przewidziało. Jakkolwiek bowiem ciasno torba była związana u góry, instrumenty tak swobodnie mogły się poruszać, szczególnie w pobliżu dna (zaznaczyć należy, iż torba miała kształt stożka), że Obadiasz nie mógł puścić się kłusem, nie wywołując przy tym najstraszliwszego brzęczenia *tire tete*, kleszczy i strzykawki; gdyby przypadkiem Hymen znajdował się w tych stronach na przejażdżce, brzęczenie to wystraszyłoby go na dobre z granic naszego kraju. A kiedy Obadiasz chciał przyspieszyć kroku i ze zwykłego kłusa zmusił konia do

galopu — wielkie nieba! Panie, brzęk stał się wprost nieprawdopodobny!

Ponieważ Obadiusz miał żonę i troje dzieci, ani mu w głowie powstała myśl o bezceństwie nierządu i cudzołóstwa czy też o innych zgubnych politycznych skutkach takiego brzęczenia i ucieczki Hymena — miał jednak przeciwko brzękowi obiekcje natury osobistej, które to obiekcje zaważyły na jego postępowaniu — jak to często bywa z największymi nawet patriotami. Otóż, panie, rzecz w tym, że Obadiusz nie mógł dosłyszeć własnego gwizdania.

## ROZDZIAŁ VIII

Ponieważ Obadiusz przekładał gwizd ponad muzykę wszelkich instrumentów dętych, jakie miał z sobą, z wielką pilnością zaczął w myślach szukać sposobu, w jaki mógłby się nim nacieszyć.

We wszystkich strapieniach (prócz strapien natury muzycznej), w których potrzebny jest mały postronek, człowiekowi przede wszystkim przychodzi na myśl wstążka u kapelusza! Racja filozoficzna tego tak jest oczywista, że ani myślę nad nią się rozwodzić.

Jednakże w wypadku Obadiusza było to strapienie natury mieszanej. Zważ, panie, powtarzam: mieszanej. A mianowicie obstetrycznej, torbiczej, obcęgiźnej, papistycznej, co się zaś tyczy konia cugowego, kabalistycznej, w małej zaś jeno mierze muzycznej. Przeto Obadiusz bez zbędnych skrupułów posłużył się tym najłatwiej dostępnym mu środkiem; sięgnawszy po torbę z instrumentami chwycił ją mocno jedną ręką, za pomocą palca wskazującego i kciuka drugiej wsunął koniec wstążki między zęby, potem zsunawszy dłoń ku jej środkowi obwiązał mocno torbę wzdłuż i wszerz (podobnie jak obwiązujemy grubym powrozem kufer) z taką mnogością supłów i wymyślnych splotów oraz

najtwardszych węzłów w każdym miejscu, gdzie krzyżowała się wstążka, że do rozplątania ich potrzebna byłaby dr Slopowi cierpliwość równa najmniej trzem piątym cierpliwości Hioba. Sądzę doprawdy, że gdyby Natura znajdowała się w jednym ze swych zwawszych nastrojów i w humorze skorym do tego rodzaju turniejów, i gdyby ona i dr Slop uczciwie i jednocześnie zabrali się do dzieła, żaden człowiek, który widział torbę i sposób, w jaki Obadiasz ją oporządził, oraz który wie, jak śmigła potrafi być Bogini NATURA, kiedy ma na to ochotę, nie wątpiłby ani przez chwilę, komu z tych dwojga przypadnie w udziale nagroda. Moja matka, pani, niezawodnie zostałaby prędzej uwolniona od dziecięcia w łonie niż zielona sukienna torba od instrumentów — o dwadzieścia najmniej węzłów wcześniej. Tristramie Shandy — byłeś i po wsze czasy będziesz igraszką błahego przypadku! Gdyby turniej ten twoim zakończył się zwycięstwem — a szanse były jak pięćdziesiąt do jednego — życie nie przygniotłoby cię tak nieznośnie (a przynajmniej nie miałbyś tak wgniecionego nosa). Ani też dobrobyt całego twego rodu i okazje do pomnażania go, które tylekroć nadarzały ci się w życiu, nie byłyby przez ciebie tak często, tak irytująco, tak bezpowrotnie porzucane, jak ty zmuszony byłeś je porzucać. Ale to wszystko już przeszłość, pozostała jeno relacja z tych zdarzeń, której nie mogę jednak przedstawić ciekawym, zanim się wydostanę na świat.

## ROZDZIAŁ IX

Wielkie umysły skaczą. Zaledwie bowiem dr Slop spojrzal na torbę (co zrobił dopiero wtedy, gdy przypomniała mu o niej rozmowa ze stryjaskiem Toby'm o położnictwie), a już ta sama myśl przyszła mu do głowy. — Bóg łaskaw — rzekł (do siebie) — że pani

Shandy ma ciężki połów, albowiem inaczej siedem razy zdążyłaby powić, zanim połowa tych węzłów została by rozsupłana. — Lecz zważcie, że myśl ta przemknęła jeno przez głowę dr Slopa, bez żagla i balastu, jako proste założenie; których to założeń, o czym wasza wielmożność dobrze wie, miliony co dzień unoszą się spokojnie w rzadkim fluidzie ludzkiego rozumu, nie kierując się ani naprzód, ani w tył — dopóki lekki jakiś powiew namiętności czy osobistej korzyści nie popchnie ich w jedną albo drugą stronę.

Nagle ciężkie stąpienia w pokoju na górze, w pobliżu łóżka mojej matki, oddały założeniu dr Slopa tę właśnie przysługę. — Pal to licho — rzecze dr Slop. — Jeżeli się nie pośpieszę, przydarzy mi się dokładnie to, o czym myślałem.

## ROZDZIAŁ X

Jeżeli idzie o węzły — przez które, zaznaczyć muszę, nie rozumiem bynajmniej węzłów zesuwanych — albowiem w toku mojego żywota moje myśli na temat takich węzłów znajdują bardziej właściwe miejsce w opisie katastrofy mojego stryjecznego dziadka, Imci Hammonda Shandy, człowieczka małego, lecz wielkiej fantazji, który wplątał się w aferę księcia Monmouth; ani też nie mówię o szczególnym sposobie wiązania zwanym „na kokardkę”; rozsoplanie tego rodzaju kokardkowego węzła wymaga tak niewielkiej zręczności, wprawy i cierpliwości, że nie są one godne, abym wygłaszał na ich temat jakiegokolwiek opinie; natomiast niech mi wasze wielmożności zechcą uwierzyć, że mówiąc o węzłach mam na myśli rzetelne, uczciwe, piekielnie ściśle, twarde węzły wiązane *bona fide* — jak to zrobił Obadiusz, bez owych wykrętnych sztuczek polegających na złożeniu we dwoje i przeciągnięciu obu końców sznurka przez pętlę lub pętliczkę otrzy-

maną dzięki powtórnemu ich złożeniu — co umożliwia łatwo rozwiązanie i rozsąplanie. Tuszę, że mnie rozumiecie.

Jeżeli bowiem idzie o te węzły oraz o liczne przeszkody, które, proszę waszych wielbności, z winy podobnych węzłów wyrastają na drodze naszego życia — każdy porywczy człowiek może sięgnąć po nóż kiełkownikowy i przeciąć je. I niesłusznie! Wierzcie mi, czcigodni panowie, że najskuteczniejszy sposób — sposób zalecany przez rozum i sumienie, to zabrać się do nich zębami lub palcami. Dr Slop nie miał zębów; podczas jakiegoś ciężkiego położu jego ulubiony instrument wyciągany w niewłaściwym kierunku lub może niezręcznie użyty wysliznął mu się z ręki i wybił trzy najlepsze zęby. Dr Slop popróbowwał palców — niestety! Paznokcie obcięte miał przy samej skórze. — A niech to wszyscy diabli! Ani tak, ani siak nie mogę sobie z tym poradzić! — wrzasnął. Tupanie na górze w pobliżu łóżka mojej matki stało się głośniejsze. — A niech franca tego bęcwała! Do końca życia nie rozplączę tych węzłów! — Matka moja jęknęła. — Użycz mi, panie, twego scyzoryka. Muszę w końcu przeciąć te obmierzłe supły — ciach — ach! Boże! Przeciąłem kciuk aż do samej kości! Niech diabli tego szelmę — teraz jest tak, jakby w odległości pięćdziesięciu mil nie było żadnego cyrulika — bo ja na ten raz jestem unieszkodliwiony! Ażeby tego łotra powiesili — żeby go ubili — żeby go wszyscy diabli w piekle mieli za swojego błazna!

Ojciec żywił dla Obadiasza dużo szacunku i nie mógł znieść, aby ktoś rozporządzał nim w taki sposób. Miał jednak również nieco szacunku dla samego siebie, nie zamierzał więc puścić płazem wyrządzonej sobie zniewagi.

Gdyby dr Slop skaleczył nie kciuk, tylko jakąkolwiek inną część ciała, ojciec mój przeszedłby nad tym do porządku — zatryumfowałaby w nim roztropność. Tak jak się rzeczy miały, postanowił poszukać zemsty. — Błahe przekleństwa przy wielkich okazjach, dok-

torze Slop — rzece mój ojciec — (wyraziwszy mu ubolewanie z powodu wypadku) — są jedynie próżnym marnotrawstwem naszych sił i zdrowia duchowego. — Prawda to — odparł dr Slop. — To jakby ostrzeliwać śrutem potężny bastion — rzece stryjaszek Toby (przerywając na chwilę gwizdanie). — Wywołują — ciągnął ojciec — wzburzenie humorów, wszelako nie odprowadzają z nich ani odrobiny kwasoty. Jeśli o mnie idzie, rzadko klnę i złorzeczę — nie pochwalam tego, ale gdy zniecka napadnie mnie taka chęćka, zachowuję przeważnie tyle przytomności umysłu... (— Słusznie — wtrącił stryjaszek.)... że staram się osiągnąć swój cel, czyli przeklinam dopóty, dopóki nie poczuję ulgi. Jednakże roztropny i rzetelny człowiek zawsze będzie się silił dać folgę swym humorom współmierną nie tylko do stopnia ich wzburzenia, lecz także do rozmiarów i intencji obrazy, przeciwko której mają się zwrócić. — „Zniewagi zadawane są tylko sercem” — zacytował stryjaszek Toby. — Dla tej to przyczyny — ciągnął ojciec z godną Cervantesa powagą — żywię najgłębszą cześć dla owego człeka, który nie ufając własnej roztropności, wziął pióro do ręki i sporządził (w chwilach wolnych od zajęć) formuły przeklinania odpowiednie na wszelkie okazje — od najbłahszych do najcięższych powodów irytacji. A że obmyślił te formuły starannie i co więcej, że potrafił im podołać, trzymał je zawsze tuż pod ręką, na półce nad kominkiem, gotowe do użycia. — Nie przypuszczałem — rzekł dr Slop — że ktoś wpadnie na taki pomysł, a tym mniej, że go urzeczywistni... — Otóż, doktorze Slop — przerwał ojciec — dzisiaj rano czytałem jedną z nich (aczkolwiek nie w zamiarze przeklinania) mojemu bratu Toby'emu, gdy nalewał herbatę. Jest tu, na półce nad moją głową. Ale jeśli mnie pamięć nie myli, nazbyt jest gwałtowna na wypadek skaleczenia kciuka. — Bynajmniej — rzece dr Slop. — Niech diabli porwą tego cymbała. — W takim razie służę ci nią, doktorze — odparł mój ojciec — pod warunkiem wszelako, że odczytasz ją na głos. — Po

czym wstał i zdjawszy z półki formułę ekskomunikacyjną Kościoła rzymskiego pióra biskupa Ernulfa, którym egzemplarz (jako że był zgoła osobliwym zbieraczem) wygrzebał w archiwum katedry w Rochester — sie, zdolną ująć samego Ernulfa, wręczył dr Slopowi. Cyrulik owinął skaleczony kciuk rogiem chustki od nosa i z miną kwaśną, acz nie podejrzewając niczego, odczytał, co następuje — tymczasem zaś mój stryjaszek Toby gwizdał *Lillibullero*, jak mógł najgłośniej.

## ROZDZIAŁ XI

— Imieniem Wszechmocnego Boga Ojca, Syna i Ducha Świętego, świętych kanonów i Niepokalanej Dziewicy Marii, matki i opiekunki naszego Zbawiciela... — Sądzę, że nie ma potrzeby — rzecze dr Slop opuszczając papier na kolana i zwracając się do mojego ojca — czytać tę rzecz na głos, skoro ty, panie, czytałeś ją tak niedawno, kapitan Shandy zaś nie wydaje się na zbyt ochotny do jej wysłuchania... Równie dobrze mógłbym przeczytać ją po cichu. — Byłoby to sprzeczne z naszym układem — odparł ojciec. — A ponadto — dodał — jest w tej ekskomunice, zwłaszcza w dalszej jej części, coś tak figlarnego, że nie chciałbym pozbawić się przyjemności ponownego jej odczytania. — Dr Slop nie był tym bynajmniej zachwycony, ale ponieważ w tej samej chwili stryjaszek Toby oznajmił, że gotów jest przerwać gwizdanie i odczytać ekskomunikę, medyk pomyślał, że woli sam czytać pod osłoną gwizdu, niż pozwolić, aby stryjaszek Toby czytał na głos. Podniósłszy tedy papier do oczu i trzymając go tuż przy twarzy, aby ukryć irytację, czytał głośno co następuje; tymczasem stryjaszek gwizdał dalej *Lillibullero*, ale już nie tak głośno, jak wprzód.

Textus de Ecclesia Roffensi, per Ernulfum Episcopum.  
EXCOMMUNICATIO

Ex auctoritate Dei omnipotentis, Patris et Filii, et Spiritus Sancti, et sanctorum canonum, sanctaeque et intemeratae Virginis, Dei genetricis Mariae, —

— atque omnium coelestium virtutum, angelorum, archangelorum, thronorum, dominationum, potestatum, cherubin ac seraphin, & sanctorum patriarcharum, prophetarum, & omnium apostolorum & evangelistarum, & sanctorum innocentium, qui in conspectu Agni Sancti digni inventi sunt canticum cantare novum, et sanctorum martyrum et sanctorum confessorum, et sanctarum virginum, atque omnium simul sanctorum et electorum Dei, —

Excommunicamus, et anathematizamus hunc furem,  
vel hunc malefactorem, N. N. et a liminibus sanctae  
Dei ecclesiae sequestramus, et aeternis suppliciis excruciantur, cum Dathan et Abiram, et cum his qui dixerunt Domino Deo: Recede a nobis, scientiam viarum tuarum nolumus: et sicut aqua ignis extinguitur, sic extinguatur lucerna ejus in secula seculorum nisi respuerit, et ad satisfactionem venerit. Amen.

Maledicat illum Deus Pater qui hominem creavit.  
Maledicat illum Dei Filius qui pro homine passus est.  
Maledicat illum Spiritus Sanctus qui in baptismo effusus est. Maledicat illi sancta crux, quam Christus pro nostra salute hostem triumphans ascendit.

Ponieważ autentyczność konsultacji profesorów Sorbony w przedmiocie chrztu spotkała się z powątpiewaniem jednych i sprzeciwami drugich, rzeczą słuszną będzie wydrukować oryginalny tekst ekskomuniki; za której kopię Imię Shandy składa tą drogą i na tym miejscu serdeczne dzięki sekretarzowi dziekanatu i kapituły w Rochester (przyj. autora).

— „Imieniem Wszchemocnego Boga Ojca, Syna i Ducha Świętego, świętych kanonów i Niepokalanej Dziewicy Marii, matki i opiekunki naszego Zbawiciela, w imię wszystkich mocy niebieskich, aniołów, archaniołów, tronów, królestw, wojsk, cherubinów i serafików, w imię wszystkich świętych patriarchów i proroków, wszystkich apostołów i ewangelistów, w imię świętych niewiątek, które w obliczu Baranka Bożego godne są śpiewać nową pieśń, świętych męczenników i świętych wyznawców, w imię świętych dziewic i wszystkich świętych wraz ze świętymi i wybranymi Boga — niechaj on...” (Obadiusz)

„będzie przeklęty...” (za związanie tych supłów). „Ekskomunikujemy go i rzucamy nań klątwę, i od progów świętego kościoła Pana naszego, Boga Wszchemogącego, odrzucamy go, aby poddany został mękom, skazany i wydany wraz z Datanem i Abiramem oraz tymi wszystkimi, którzy mówią Panu: Idź od nas, my nie chcemy Ciebie. A jako woda gasi ogień, tak niech wszelkie światło wygaszone w nim zostanie na wieki, chyba że okaże skrucę...” (Obadiusz, z powodu zrobienia tych węzłów) „i da zadośćuczynienie...” (za ich związanie) „Amen.

Niechaj przeklęty będzie od Ojca, który stworzył człowieka. Niechaj przeklęty będzie od Syna, który cierpiał za nas. Niechaj przeklęty będzie...” (Obadiusz) „od Ducha Świętego, który zstąpił na nas w sakramencie chrztu. Niechaj przeklęty będzie od Krzyża Świętego, na który Chrystus tryumfując nad Swymi wrogami dla naszego zbawienia wstąpił.

Maledicat illum Sancta Dei genetrix et perpetua  
Virgo Maria.

OS

Maledicat illum sanctus Michael, animarum suscep-  
tor sacrarum. Maledicant illum omnes angeli et ar-  
changeli, principatus et potestates, omnisque militia  
coelestis.

OS

Maledicat illum patriarcharum et prophetarum lau-  
dabilis numerus. Maledicat illum sanctus Johannes  
Praecursor et Baptista Christi, et sanctus Petrus, et  
sanctus Paulus, atque sanctus Andreas, omnesque  
Christi apostoli, simul et caeteri discipuli, quatuor  
quoque evangelistae, qui sua praedicatione mundum

OS

OS

universum converterunt. Maledicat illum cuneus mar-  
tyrum et confessorum mirificus, qui Deo bonis operi-  
bus placitus inventus est.

OS

OS

Maledicant illum sacrarum virginum chori, quae  
mundi vana, causa honoris Christi, respuenda contem-  
pserunt.

OS

Maledicant illum omnes sancti qui ab initio mundi  
usque in finem seculi Deo dilecti inveniuntur.

OS

Maledicant illum coeli et terra et omnia sancta in  
eis manentia.

i

n

n

Maledictus sit ubicunque fuerit, sive in domo, sive in  
agro, sive in viâ, sive in semitâ, sive in silvâ, sive in  
aquâ, sive in ecclesiâ.

Niechaj przeklęty będzie od świętej Dziewicy Marii, Matki Boga naszego. Niechaj przeklęty będzie od św. Michała, orędownika dusz świętych. Niechaj przeklęty będzie od wszystkich aniołów i archaniołów, od wszystkich księstw, mocarstw i wojsk niebieskich".  
(— Nasze wojska we Flandrii złorzeczyły straszliwie — zawołał mój stryjaszek Toby — ale było to niczym w porównaniu z tą ekskomuniką. Jeśli o mnie idzie, nie miałbym serca przeklinać tak mojego psa.)

„Niechaj przeklęty będzie od czcigodnych rzesz patriarchów i proroków.

Niechaj przeklęty będzie od św. Jana Chrzciciela, od św. Piotra i św. Pawła, i św. Andrzeja, i wszystkich innych apostołów Chrystusowych. Niechaj przeklęty będzie od Jego uczniów i czterech ewangelistów, którzy naukami swymi nawrócili świat cały, niechaj przeklęty będzie..." (Obadiusz) „od świętego i cudownego grona męczenników i wyznawców, których święte dzieło miłe jest Bogu Wszechmocnemu.

Niechaj przeklęty będzie od świętego chóru świętych dziewic, które dla chwały Chrystusa wzgardziły rzeczami tego świata. Niechaj przeklęty będzie od wszystkich świętych, którzy od stworzenia świata aż po wsze czasy będą ukochanymi dzieciątkami Boga. Niechaj przeklęty będzie on..." (Obadiusz) „lub ona..." (lub ktokolwiek inny, kto przyłożył ręki do tych supłów) „od niebios i ziemi, i wszystkiego, co na nich święte.

Niechaj ta klątwa dosięgnie go..." (Obadiusza) „gdziekolwiek się on znajduje — w domu czy w stajniach, w ogrodzie czy na polu, na gościńcu czy na ścieżce, w lesie czy w wodzie, czy w kościele.

<sup>i n</sup>  
Maledictus sit vivendo, moriendo, \_\_\_\_\_  
\_\_\_\_\_  
\_\_\_\_\_

manducando, bibendo, esuriendo, sitiendo, jejunando,  
dormitando, dormiendo, vigilando, ambulando, stando,  
sedendo, jacendo, operando, quiescendo, mingendo,  
cacando, flebotomando.

<sup>i n</sup>  
Maledictus sit in totis viribus corporis.

<sup>i n</sup>  
Maledictus sit intus et exterius.

<sup>i n</sup>  
Maledictus sit in capillis; maledictus sit in cerebro.

<sup>i n</sup>  
Maledictus sit in vertice, in temporibus, in fronte, in  
auriculis, in superciliis, in oculis, in genis, in maxillis,  
in naribus, in dentibus mordacibus sive molaribus, in  
labiis, in guttere, in humeris, in carpis, in brachiis,  
in manubus, in digitis, in pectore, in corde, et in om-  
nibus interioribus stomacho tenus, in renibus, in ingui-  
ne, in femore, in genitalibus, in coxis, in genibus, in  
cruribus, in pedibus, et in unguibus.

<sup>i n</sup>  
Maledictus sit in totis compagibus membrorum,  
a vertice capitis usque ad plantam pedis — non sit in  
eo sanitas.

<sup>os</sup>  
Maledicat illum Christus Filius Dei vivi toto suae  
majestatis imperio

Niechaj przeklęty będzie po wsze dni swego żywota i w chwili śmierci". (Tutaj mój stryjasek Toby korzystając z najniższego tonu w drugim takcie swej melodii, ciągnął nutę aż do końca zdania. Dr Slop ze swoim pochodem przekleństw wtórował mu cały czas niby drugi głos.)

„Niechaj przeklęty będzie, gdy je i pije, gdy jest głodny i spragniony, gdy pości, gdy śpi, gdy drzemie, gdy chodzi, gdy stoi, gdy siedzi, gdy leży, gdy pracuje, gdy zażywa wytchnienia, gdy siusia, gdy się wypróżnia i gdy puszczają mu krew!

Niechaj przeklęta będzie władza wszystkich jego..." (Obadiusza) „członków.

Niechaj on..." (Obadiusz) „przeklęty będzie na wewnątrz i na zewnątrz! Niechaj przeklęte będą włosy na jego głowie! Niechaj przeklęty będzie jego mózg i przysadka mózgowa..." (— Okrutne to przekleństwo — rzecze mój ojciec.) „...jego skronie, czoło, uszy, jego brwi, policzki, szczęki, jego nozdrza, siekacze i zęby trzonowe, jego usta, gardło, plecy, jego ramiona, ręce, przeguby dłoni i palce!

Niechaj przeklęta będzie jego jama ustna, jego piersi, jego serce i przewody pokarmowe wraz z żołądkiem!

Niechaj przeklęte będą jego nerki i jego pachwina..." (— Boże uchwój! — rzecze mój stryjasek Toby.) „...jego uda, jego części rodne" (Ojciec mój potrząsnął głową.) „jego biodra, kolana, nogi, stopy i paznokcie u nóg!

Niechaj przeklęte będą stawy i więzadła jego członków — od czubka głowy aż po podeszwy stóp! Niech nie ostanie w nim zdrowie!

Niechaj Syn Boga Żywego w całej chwale Swego majestatu..."

et insurgat adversus illum coelum cum omnibus<sup>os</sup>  
virtutibus quae in eo moventur ad damnandum eum,<sup>os os</sup>  
nisi penituerit et ad satisfactionem venerit.<sup>n</sup> Amen.  
Fiat, fiat. Amen.

Tutaj mój stryjasek Toby odrzucił głowę do tyłu i wydał z siebie przeraźliwe, długie, głośnie gwizdnięcie: fiu-fiu! — coś pośredniego między gwizdanym wykrzyknikiem a samym tym słowem.

Na złotą brodę Jowisza i Juno (jeśli jej pogańska moc miała takową) oraz na brody pozostałych pogańskich bóstw, których zastępy, nawiasem mówiąc, nie były małe, skoro licząc brody niebiańskich bogów i bogów powietrznych i wodnych — aby nie wspominać o brodach bóstw miejskich i wiejskich oraz brodach niebieskich bogiń ich żon lub piekielnych bogiń ich nałożnic i nierządnic (naturalnie, jeśli damy te nosiły takowe) — które to brody razem wzięte, jak pod słowem honoru zapewnia Varro, sięgały ogólnej liczby trzydziestu tysięcy rzeczywistych bród w ogólnym poczcie pogańskim, każda zaś z nich rościła sobie prawa i przywileje brody służącej do głaskania i zaklinalnia się... Tedy na wszystkie te brody razem wzięte — klnę się i przysięgam, że z dwóch lichych sutann, które posiadam na świecie, oddałbym lepszą — równie ohocho, jak Cyd Hamete oddał swój płaszcz — za to, bym mógł stać opodal i słyszeć akompaniament mojego stryjaszka.

— „...przeklnie go — ciągnął dalej dr Slop — i niechaj niebiosy ze wszystkimi zamieszkującymi je mocami zwrócić się przeciw niemu i przeklną go...” (Obadiusza) „oraz potępią, o ile nie okaże skruchy i nie da zadośćuczynienia. Amen. Niechaj się tak stanie, niechaj się tak stanie. Amen”.

— Oświadczam — rzecze mój stryjasek Toby — że nie miałbym serca przeklinać z taką zawziętością samego szatana. — Szatan jest ojcem wszelkiego przekleństwa — odparł dr Slop.

— Ja jednak nim nie jestem — odparł mój stryjasek Toby.

— Ale szatan jest już potępiony i przeklęty na wieki wieków — dodał dr Slop.

— Żal mi go — rzecze mój stryjasek Toby.

Dr Slop ściągnął wargi i już miał odwzajemnić się stryjasekowi głośnym: fiu-fiu! — gwizdany okrzykiem — gdy gwałtowne otwarcie drzwi w rozdziale, który nastąpi po najbliższym z kolei, położyło temu kres.

## ROZDZIAŁ XII

Otóż nie zadzierajmy nosa i nie udawajmy, że przekleństwa, na które pozwalamy sobie w tym kraju wolności, są naszym własnym tworem; oraz nie obrażajmy sobie, że skoro mamy dość fantazji, aby je wypowiadać, mieliśmy dość dowcipu, aby je wymyślić.

Podejmuję się dowieść natychmiast słuszności mojego twierdzenia każdemu człowiekowi na tym świecie — prócz znawcy. Chociaż oświadczam, że oponuję jedynie przeciwko znawcom przeklinania, tak jak w innym przypadku musiałbym oponować przeciwko znawcom malarstwa etc., etc. — albowiem cała ta zgraja obwieszona jest fetyszami i brzękliwymi akcesoriami krytycyzmu; lub też wyrzekając się mojej metafory, co uczynię zresztą z ciężkim sercem, gdyż przyniosłem ją sobie aż z dalekich brzegów Gwinei, powiem, że głowy znawców tych, czcigodny panie, tak szczelnie są nabite cyrklami i liniałami, którymi skorzy są posługiwać się przy wszelkiej okazji, że lepiej,

aby dzieło talentu zaraz diabli wzięli, niż aby oni torturami i katuszami doprowadzili je do śmierci.

— Jak Garrick mówił wczoraj swój monolog? — Och, na przekór wszystkim regułom, czcigodny mój lordzie — wręcz niegramatycznie! Między przymiotnikiem a rzeczownikiem, które powinny zgadzać się ze sobą co do osoby, rodzaju i liczby, robił pauzy — o takie! Zatrzymywał się, jak gdyby rzecz ta wymagała zastanowienia! Między zaś podmiotem a orzecznikiem rzeczownikowym, który, jak wiesz, panie, wprost od podmiotu zależy, zawieszał głos w epilogu najtrzech i trzech piątych sekundy ze stoperem w rękę! — Podziwu godzien gramatyk! Lecz czy zawieszając głos Garrick zawieszał również sens zdania na kołku? Czy nie wypełniał tej luki gestem lub mimiką twarzy? Czy okiem nic zgoła nie wyrażał? Czyś pilnie mu się przyglądał? — Patrzałem jedynie na stoper, czcigodny lordzie... — Znakomity z ciebie obserwator!

— A co możesz mi powiedzieć o tej nowej książce, wokół której świat cały robi tyle wrzawy? — Och — ta urąga wszelkim zasadom, czcigodny panie! Zgoła nieforemny twór — żaden kąt w narożnikach nie jest kątem ostrym. Miałem w kieszeni liniał, cyrkiel etc., czcigodny lordzie. — Znakomity z ciebie krytyk!

— Jeśli zaś idzie o ów poemat epicki, z którym kazałeś mi się zaznajomić, czcigodny mój panie — zmierzyszy jego długość, szerokość, wysokość i głębokość — sprawdziłem je w domu wedle dokładnej skali Bossu. Cóż, poemat nie zgadza się z nią, czcigodny mój lordzie, w żadnym ze swych wymiarów! — Przewyborny z ciebie znawca!

— A czyś w drodze powrotnej wstąpił obejrzeć to wspaniałe malowidło? — Ach, cóż to za żaloszny bohomaż, mój łaskawco! Żadna z grup nie ukształtowana w piramidę! A cena niebotyczna, zważywszy, iż nie ma w tym obrazie ani barwy Tycjana — ani ekspresji Rubensa — ani wdzięku Rafaela — ani czystości rysunku Dominichina — ani corregizmu Correggia —

ani rozległej wiedzy Poussina — ani manieri Guido —  
ani smaku Carraccich — ani rozmachu Michała  
Aniola.

Nieba — obdarzcie mnie cnotą cierpliwości! Choć ze  
wszystkich frazesów, jakimi posługuje się ten obłud-  
ny świat, frazesy hipokryzji są może najnikczemniej-  
sze, to jednak frazesy krytyki dręczą najboleśniej!

Gotów byłbym przebyć pieszo pięćdziesiąt mil (nie  
mam bowiem konia zdatnego pod wierzch), aby ucało-  
wać rękę tego człowieka o hojnym sercu, który odda  
wodze swojej imaginacji w ręce autora — i odczuje  
zadowolenie nie wiedząc dlaczego i nie dbając o po-  
wód.

Wielki Apollinie! Jeśliś jest w usposobieniu skorym  
do obdarowywania ludzi, obdaruj mnie — nie proszę  
o nic więcej — odrobiną przyrodzonego dowcipu wraz  
z iskierką własnego twojego ognia; Merkuremu zaś,  
jeśli ci niepotrzebny, złóż moje uszanowanie i odeślij  
go wraz z jego regułami i cyrkłami do — mniejsza o to  
dokąd!

Otóż każdemu innemu gotów jestem natychmiast  
udowodnić, że wszystkie przekleństwa i złorzeczenia,  
którymi zialiśmy na tym Bożym świecie przez ostatnie  
lat dwieście pięćdziesiąt, uważając je za oryginalne...  
(prócz: klnę się na kciuk św. Pawła, na Bożą rękę i na  
Bożą rybę, które były przekleństwami monarszymi  
i które, z uwagi na osoby ich autorów, nie wydają mi  
się zgoła tak niewłaściwe; zresztą skoro używali ich  
królowie, mniejsza o to, czy tyczyły ryby, czy ręki)...  
Otóż twierdzę, że nie ma wśród nich ani jednego prze-  
kleństwa albo złorzeczenia, które nie byłoby po tysiąc-  
kroć naśladowanym naśladownictwem Ernulfa; lecz  
podobnie jak wszystkim imitacjom brak im siły i du-  
cha oryginału. Według ogólnego mniemania nie naj-  
gorszym przekleństwem, doprawdy zupełnie niczego  
sobie, jest: Bodaj cię Bóg przeklą! Porównajcie je  
wszelako z Ernulfowym: Bądź przeklęty od Boga  
Ojca Wszchemogącego; bądź przeklęty od Boga Syna;  
bądź przeklęty od Ducha Świętego — a zobaczycie, że

jest po prostu fraszką! W przekleństwach Ernulfa jest coś wschodniego, czemu my nie potrafimy sprostac; ponadto zaś Ernulf płodniejszy był w pomysły — miał więcej talentu przeklinacza — posiadał tak rozległą znajomość anatomii człowieka, jego błon, nerwów, ścięgien, stawów i więzadeł, że gdy przeklinał, nie mogła mu się ostać ani jedna cząstka ciała. Prawda to, że jest w tym pewna surowość i — podobnie jak u Michała Anioła — brak gracji. Ale za to jakież wspaniałe rozmach!

Jednakże mój ojciec, który widział wszystko w zgoła innym świetle niż cała reszta rodzaju ludzkiego, nie przyznawał dziełu Ernulfa cnót pierwowzoru. Skłonny był raczej uważać jego formułę ekskomunikacyjną za kodeks przekleństw, w którym, jak podejrzewał, Ernulf, wobec upadku klątw w okresie jakiegoś łagodniejszego pontyfikatu, na polecenie następnego z kolei papieża zamieścił zebrane z wielką pilnością i uczynościami wszystkie rządzące nimi prawa; z tych samych przyczyn, z jakich w okresie schyłku cesarstwa Justynian polecił Triboniuszowi zgromadzić wszystkie prawa rzymskie cywilne w jednym kodeksie — w obawie, iż przeżarte rdzą czasu lub też na skutek fatalności ścigającej wszystko, co powierzamy ustnej tradycji — na zawsze stracone zostaną dla świata.

Z tej racji ojciec mój często dowodził, że nie ma takiego przekleństwa — od wiekopomnego i straszliwego przekleństwa Wilhelma Zdobywcy (Na wspaniałość Boga!) aż po najnędniejsze przekleństwo zwykłego śmieciarza (Bodajś kark skreśli!), które nie znajdowałyby się u Ernulfa.

— Słowem — dodawał mój ojciec — chciałbym zobaczyć człowieka, który umiałby kląć z pominięciem dzieła Ernulfa.

Hipoteza ta, jak większość hipotez mojego ojca, jest zarówno oryginalna, jak pomysłowa; nie stawiam jej też żadnych zarzutów — prócz tego, że obala moją.

## ROZDZIAŁ XIII

— Boże Wielki! Moja biedna pani bliska jest omdlenia — i bóle minęły — i krople się skończyły — i stłukła się butelka z syropem — i niania skaleczyła się w ramię... (— A ja w palec — zawołał dr Slop.)... i dziecko jest tam, gdzie było — ciągnęła dalej Zuzanna. — I położna przewróciła się i upadła na kratę przed kominkiem, i ma na biodrze siniak, czarny jak pański kapelusz. — Zbadam ją — rzecze dr Slop. — Nie trzeba — odparła Zuzanna. — Lepiej, żebyś pan zbadał moją panią, tylko położna rada byłaby opowiedzieć ci wprzód, jak się rzeczy mają, więc prosi, żebyś pan zaraz przyszedł do niej na górę.

Natura ludzka jednaka jest we wszystkich profesjach.

Położna weszła medykowi w paradę. Medyk nie mógł tego strawić. — Nie — odparł dr Slop — właściwiej będzie, jeśli położna zejdzie do mnie na dół. — Lubię subordynację — wtrącił stryjaszek Toby. — Bo gdyby nie subordynacja, nie wiem doprawdy, jaki los spotkałby po upadku Lisle załogę twierdzy Gandawy podczas zamieszek głodowych w roku dziesiątym. — Ja również nie wiem, kapitanie Shandy — rzecze dr Slop (przedrzeźniając KONIKOWATE refleksje mego stryjaszka, choć sam nie mniej był w tej chwili KONIKOWATY) — jaki los spotkać może załogę nad naszymi głowami podczas zamieszek i zamętu, jaki tam w tej chwili panuje, jeżeli palce i kciuki nie zostaną podporządkowane \*\*\*\*\* — którego zastosowanie z uwagi na mój fatalny wypadek tak bardzo jest *à propos*, że bez niego rodzina Shandy'ch pamiętałaby skaleczenie na moim kciuku do końca dni swoich.

## ROZDZIAŁ XIV

Wróćmy do \*\*\*\*\* — w poprzednim rozdziale. Jednym z bardzo skutecznych sposobów używanych przez mówców jest (a przynajmniej było, kiedy krasomówstwo kwitło w Atenach i Rzymie; byłoby i teraz, gdyby oratorzy nosili togi) niewymienianie nazwy rzeczy, jeśli ma się tę rzecz przy sobie *in petto*, gotową do pokazania w odpowiedniej chwili. Może to być blizna, topór, miecz, zakrwawiony kaftan, zardzewiały hełm, półtora funta popiołów w urnie lub garneczek z marynatami za dwa pensy — nade wszystko zaś pulchne dziecię po królewsku przystrojone. Gdyby jednak dziecię było zbyt małe, oracja zaś tak długa, jak druga filipika Cyncerona — dziecię obsiusiałoby z pewnością płaszcz oratora. Z drugiej przecie strony, gdyby było za duże, zawadzałoby mu jedynie i krępowało w gestach, w wyniku czego orator mógłby stracić przez swoje dziecię tyleż, ile mógł przez nie zyskać. Lecz gdy orator dobrał właściwy wiek co do minuty — ukrył swoje BAMBINO pod płaszczem tak przemyślnie, iż żaden śmiertelnik nie zdołałby go tam wyniuchać — i okazał je tak dramatycznie, iż nikt nie mógłby rzec, że weszło tam normalną drogą — och, panie, rzecz taka czyniła cuda! Przerzywała tamy, burzyła umysły, obalała zasady i zakłócała równowagę polityczną połowy narodu.

Ale czyny takie dokazane być mogą jedynie w tych wiekach i krajach, w których oratorzy noszą togi, i to obszerne, o bracia moi, uszyte z jakichś dwudziestu lub dwudziestu pięciu jardów purpurowego, najprzedniejszego, poszukiwanego na rynku sukna, z głębokimi fałdami i przymarszczeniami, wspaniałe w pomysle i wykonaniu. Wszystko to zaś, za pozwoleniem waszych wielebności, wskazuje wyraźnie, że upadek krasomówstwa oraz mały pożytek, jaki w dzisiejszych czasach mamy z niego zarówno pod dachem, jak i na świeżym powietrzu, wynika nie z czego innego na świecie, jak

tylko z kusych fraczków i zarzucenia pludrów. Nie możemy obecnie, łaskawa pani, ukryć pod odzieniem niczego, co warte jest pokazania.

## ROZDZIAŁ XV

Niewiele brakowało, a dr Slop stałby się wyjątkiem od mojej reguły. Bo kiedy zaczął przedrzeźniać stryjaszka Toby'ego, trzymał na kolanach swą zieloną flanelową torbę — równie przydatną, jak najlepsza toga na świecie. Toteż skoro przewidział, że wypowiedane zdanie zakończy się jego nowo wynalezionymi kleszczami jako pointą, wsunął rękę do torby, aby mieć narzędzie w pogotowiu i klapnąć nim w chwili, kiedy wazsze wielmożności tak pilne baczenie dawały na \*\*\*\*. Co gdyby mu się udało, mój stryjaszek Toby przegrałby z kretešem, albowiem zdanie i argument w tym przypadku zbiegały się ze sobą w jednym punkcie rawelinu na podobieństwo dwóch linii tworzących obarczony kąt flankowy. Tak więc dr Slop miałby pozycję niezdobyte; mój stryjaszek Toby zaś równie skory byłby salwować się ucieczką, co dobywać je szturmem. Jednakże cyrulik tak niedołąźnie gmerał się z kleszczami, że zniweczył całe wrażenie, co zaś było dziesięciokrotnie większym złem (jako że zło rzadko chadza samopas na tym świecie), wydobywając z torby kleszcze nieopatrznie wyciągnął lewatywę.

Gdy zdanie zrozumiane może być dwojako, to w myśl reguł dyskusji odpowiadający może wybrać sens, który jest mu dogodniejszy lub na który ma ochotę. Dzięki temu zwycięstwo w sporze przechyliło się całkowicie na stronę mojego stryjaszka Toby'ego.

— O Boże! — zawołał mój stryjaszek Toby. — Czyżby dzieci wydobywano na świat za pomocą lewatywy?

## ROZDZIAŁ XVI

— Dalibóg, doktorze Slop, zdarłeś mi tymi kleszczami całą skórę z wierzchu dłoni — zawołał mój stryjasek — a na dodatek zmiażdżyłeś wszystkie knykcie. — Sam jesteś sobie, panie, winien — odparł dr Slop. — Trzeba ci było zacisnąć obie pięści mocno na kształt główki niemowlęcia i, jakem ci to rzekł, siedzieć nieruchomo. — Tak też uczyniłem — powiedział mój stryjasek Toby. — W takim razie zęby moich kleszczy nie zostały dostatecznie spiłowane albo nit wymaga dociśnięcia, albo też skaleczenie kciuka uczyniło mnie nieco niezręcznym lub wreszcie... — Całe szczęście — przerwał mój ojciec kładąc kres temu wyszczególnianiu możliwości — że doświadczenie nie zostało pierwaj przeprowadzone na głowie mojego dziecka. — Nic by jej to nie zaszkodziło — odparł dr Slop. — Śmiem twierdzić — rzekł mój stryjasek Toby — iż zgnieciony zostałby mózdzek (chyba że czaszka okazałaby się twardszą od granatu) i cały mózg zmieniłby się w polewkę. — Nic podobnego — odparł dr Slop. — To prawda, że głowa dziecka miękka jest jak jabłko — ale szwy ustępują... zresztą mógłbym je potem wyciągnąć za nogi. — Akurat — wtrąciła stara położna. — Wolalbym doprawdy, abyś pan zaczął od tego — rzekł mój ojciec.

— Uczynź to, doktorze — dodał stryjasek Toby.

## ROZDZIAŁ XVII

— A przy tym, zacna niewiasto, jak potrafisz stwierdzić, że nie jest to pośladek dziecka, tylko głowa? — Z pewnością jest to głowa — odparła położna. — Albowiem — ciągnął dr Slop (zwracając się do mojego ojca) — jakkolwiek pewne siebie są zazwyczaj te stare

jejmoście, jest to rzecz nader trudna do rozpoznania, a właśnie od trafnego rozpoznania ogromnie dużo zależy. Ponieważ, panie, jeśli pośladek zostanie mylnie wzięty za głowę, istnieje możliwość (jeśli jest to chłopek), że kleszcze \*\*\*\*\*.

Jaka była ta możliwość — dr Slop powiadomił cichym szeptem mojego ojca, potem stryjaszka Toby'ego. — Jeśli idzie o głowę — dodał — niebezpieczeństwo takie nie istnieje. — W rzeczy samej nie istnieje — stwierdził mój ojciec. — Lecz jeśli dopuścisz, aby się to zdarzyło przy pośladku, to potem możesz już obciąć także głowę.

Niemożliwe, aby czytelnik zrozumiał, o czym była mowa; wystarczy, że zrozumiał to dr Slop. Wziąwszy tedy do rąk swoją zieloną flanelową torbę przeszedł lekko i żwawo — jak na człowieka swojej tuszy — przez pokój do drzwi, stamtąd zaś udał się za starą, zającą kobietą położną na pokoje mojej matki.

## ROZDZIAŁ XVIII

— Upłynęły zaledwie dwie godziny, dziesięć minut i ani sekundy więcej — zawołał mój ojciec spoglądając na zegarek — od przybycia dr Slopa z Obadiaszem, a choć nie wiem, jak się to dzieje, bracie Toby, wydaje mi się, że minęły wieki!

Wyświadcz mi tę łaskę, panie, i weź mą czapeczkę błazeńską — nie, weź również kaduceusz i moje pantofle.

A więc, panie, rozporządzaj teraz nimi wedle swojej woli, albowiem robię ci z nich hojny podarek. Pod warunkiem, że poświęcisz mi w tym rozdziale szczególną uwagę.

Aczkolwiek ojciec mój powiedział, że „nie wie, jak się to dzieje”, jednak wiedział doskonale, czemu się tak dzieje; w chwili zaś, w której wypowiadał powyższe

słowa, był w duchu zdeterminowany zaznajomić stryjaszka Toby'ego dokładnie z tą materią, a to przy pomocy metafizycznej dysertacji na temat czasu i jego prostych postaci, aby pokazać mu, drogą jakich procesów i pomiarów w mózgu szybkie następstwo idei oraz nieustanne skoki w rozmowie z jednego przedmiotu na drugi od momentu pojawienia się dr Slopa w bawialni w tak niepojęty sposób przedłużyły owe krótkie dwie godziny. — Nie wiem doprawdy, jak się to dzieje — zawołał mój ojciec — ale wydaje mi się, że minęły wieki.

— Należy to przypisać li tylko szybkiemu następstwu naszych idei — rzecze mój stryjasek Toby.

Ojciec, który miał wspólną ogółowi myślicieli nieprzewartą skłonność do rezonowania na temat wszystkiego, co się wydarza, a także do objaśniania każdego zjawiska, obiecywał sobie po dyskursie na temat następstwa idei nieskończone rozkosze i ani się obawiał, ani przeczuwał, że sprzątnie mu je sprzed nosa stryjasek Toby, który (drogi pocziwina!) brał każdą rzecz po prostu i ze wszystkich ludzi na świecie najmniej był chyba skłonny obciążać umysł zawiłym myśleniem. Pojęcia czasu i przestrzeni — skąd wzięły się w nas te pojęcia — z jakiego materiału są zrobione — czy narodziły się wraz z nami — czy też znaleźliśmy je gdzieś na drodze naszego życia — czy zdarzyło się to, gdyśmy byli jeszcze w powijkach — czy też dopiero, kiedy weszliśmy w spodnie — wraz z tysiącem innych docieknięć i rozważań na temat NIESKOŃCZONOŚCI, PRZEWIDYWANIA, WOLNOŚCI, PRZYMUSU etc., o których zaciekle i niezwyrodnione teorie rozbiło się tak wiele znakomitych głów — pojęcia te nigdy nie uczyniły głowie stryjaszka Toby'ego najmniejszej nawet krzywdy. Ojciec mój wiedział o tym i był w równej mierze rozczarowany, co zdumiony przypadkową konkluzją stryjaszka.

— Czy ty rozumiesz tę teorię? — spytał mój ojciec.

— Bynajmniej — odparł stryjasek Toby.

— Ale masz przecie jakieś pojęcie o przedmiocie, który poruszyłeś?

— Nie większe niż mój koń — odparł stryjasek.

— Boże Wielki! — zawołał mój ojciec wznosząc oczy do góry i załamując ręce. — Rzetelność twojej ignorancji, bracie Toby, jest wprost bezcenna. Niemal szkoda byłoby ją wymieniać na wiedzę. Mimo to wyjaśnię ci tę sprawę.

Dla właściwego zrozumienia, czym jest czas, bez czego nie zdołamy nigdy pojąć nieskończoności, jako że jedno jest częścią drugiego, winniśmy poważnie się zastanowić, jakie mamy pojęcie trwania czasu, tak aby dać wyczerpujące wyjaśnienie, jakeśmy do niego doszli. — Ale co komu może z tego przyjść? — spytał mój stryjasek. — Jeśli bowiem \* spojrzysz w siebie i zagłębiwszy wzrok we własnym umyśle pilnie będziesz go obserwował — ciągnął mój ojciec — to przekonasz się, bracie, że podczas gdy ty i ja rozmawiamy ze sobą, gdy myślimy, palimy nasze fajki lub gdy różne idee kolejno przesuwają się przez nasze umysły, wiemy, że istniejemy, i w ten sposób oceniamy nasze istnienie albo też ciągłość naszego istnienia lub czegokolwiek innego, w zależności od następstwa idei w naszych umysłach, trwania nas samych lub też od czegokolwiek, co współistnieje z procesem myślenia. Zgodnie więc z tą koncepcją... — Gotów jesteś, bracie, doprowadzić mnie do szaleństwa — zawołał stryjasek Toby.

— Wynika to z tego — odparł mój ojciec — że w naszych rachubach czasu tak przywykliśmy do minut, godzin, tygodni i miesięcy oraz do zegarów (chciałbym doprawdy, żeby w całym naszym królestwie nie było ani jednego zegara), które wymierzają nam i naszym bliskim dokładne cząstki czasu, że kto wie, czy w przyszłości następstwo naszych idei przyda się nam na cokolwiek lub będzie przynosiło nam jakiś pożytek.

Otóż — ojciec mój prowadził dalej swoje wywody —

\* *Vide* Locke (przyp. autora).

czy śledzimy ten proces, czy nie, w głowie każdego człowieka przy zdrowych zmysłach odbywa się regularne następstwo takich czy innych idei, które ciągną jedne za drugimi jak... — Jak tren artyleryjski? — spytał mój stryjasek Toby. — Koszałki-opałki! — odparł mój ojciec. — Idee te postępują w naszym umyśle w pewnych odległościach jedne za drugimi, jak obrazy na szybach latarni, obracające się pod wpływem żaru świecy. — Oświadczam — rzecze mój stryjasek — że moje przypominają raczej umieszczony w kominie wiatraczek poruszający rożen. — Wobec tego, bracie Toby — zawołał mój ojciec — nie mam ci już nic więcej do powiedzenia w tym przedmiocie.

## ROZDZIAŁ XIX

Jakże interesujące domniemanie zostało tutaj zaprzepaszczone! Mój ojciec — w jednym ze swoich skłonnych do udzielania wyjaśnień humorów, w gorliwej pogoni za metafizyczną prawdą w rejonach, gdzie spowijają ją niebawem gęste chmury i nieprzeniknione ciemności! Mój stryjasek Toby — w jak najprzychylniejszym usposobieniu, z głową na podobieństwo wiatraczka w kominie, kiedy kanał jest nie oczyszczony, w której to głowie idee kłębiły się i wirowały na wskroś przepojone i nasiąknięte dymem! Klnę się na grobowiec Lukiana z Samosaty — jeżeli grobowiec taki istnieje... Jeżeli nie, klnę się na prochy Lukiana, na prochy mojego drogiego Rabelais'go i droższego jeszcze Cervantesa — dysputa ojca i stryjaska Toby'ego na temat CZASU I WIECZNOŚCI była dysputą, jakiej należałoby pragnąć z wszystkich sił! A gniewliwość humorów ojca, która położyła jej kres, okradła Skarbiec Ontologii z takiego klejnotu, jakiego nie zdoła mu zapewne nigdy zwrócić żadna koalicja wielkich okazji i wielkich umysłów.

## ROZDZIAŁ XX

Chociaż ojciec postanowił solennie, że nie dokończy dysputy, jednak nie mógł odegnać od siebie rzuconej przez stryjaską Toby'ego myśli o kominowym wiatraczku, jakkolwiek w pierwszej chwili czuł się mocno dotknięty; otóż w porównaniu tym było coś, co podniecało jego wyobraźnię. Oparwszy tedy łokieć o stół i złożywszy prawą skroń na dłoni prawej ręki (nie pierwej wszelako, nim utkwiał wzrok w ogniu na kominku), oddał się obcowaniu z samym sobą i rozmyślaniom na temat wiatraczka. Ale ponieważ lotne substancje jego duszy znużone były trudami badania nowych traktów myśli i nieustannym wysilaniem się w niezwyklej różnorodności przedmiotów, jakie kolejno wyłaniały się w toku dysputy — pojęcie wiatraczka w kominie powywracało niebawem wszystkie myśli ojca do góry nogami, tak że zasnął, zanim zdołał się połapać, do czego w istocie zmierza.

Jeżeli zaś idzie o stryjaską Toby'ego, usnął on, zanim jego wiatraczek zdążył zrobić dziesięć obrotów. Pokój z nimi! Dr Slop i stara położna zatrudnieni są przy łożu mojej matki. Trim zajęty jest przerabianiem pary butów do konnej jazdy na dwa moździerze, które użyte być mają w oblężeniu Messyny latem przyszłego roku — w tej właśnie chwili wierci w nich rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem dziury do zapłonów. Pozbyłem się wszystkich moich bohaterów; po raz pierwszy mam nieco wolnego czasu — zużytkuję go więc na napisanie przedmowy.

### PRZEDMOWA AUTORA

Nie, nie powiem o niej ani słówka — oto ona! Ogłaszając ją drukiem odwołałem się do całego świata, światu ją tedy pozostawiam. Niech sama mówi za siebie.

Wszystko, co wiem w tej materii, to: że przystępując do pracy zamierzałem napisać dobrą książkę; oraz — gdyby pozwoliła mi na to wątpliwość mojego rozumienia rzeczy — książkę mądrą, tak, i roztrofną, starając się w miarę jej tworzenia tchnąć w nią cały dowcip i cały rozum (ile ich tam posiadam), jakimi wielki Twórca i Szafarz zechciał mnie obdarzyć. Jak więc wasze wielmożności widzicie, poddałem się woli Bożej.

Otóż Agelastes (ganiąc mnie) powiada, że jeśli zdołał się zorientować, jest w mojej księdze nieco dowcipu — za to ani odrobiny rozumu. Tryptolemos zaś i Putatoriusz, zgadzając się z Agelastesem, zapytują jednocześnie: skąd by się niby miał wziąć, skoro dowcip i rozum nigdy nie chadzają w parze, albowiem są to dwa pojęcia tak od siebie różne, jak różny jest wschód od zachodu... Tak powiada Locke... jak puszczanie wiatrów od czkania, powiadam ja. Lecz w odpowiedzi na powyższe Didiusz, wielki znawca prawa kanonicznego, w dziele swym *de fartendi et illustrandi fallaciis* utrzymuje, że przykład nie jest argumentem — podobnie jak ja nie utrzymuję, że wytarcie do czysta zwierciadła jest sylogizmem. Jednakże wasze wielmożności widzą dzięki temu lepiej — słusznie tedy mogą powiedzieć, że głównym dobrodziejstwem podobieństw czy przykładów jest oczyszczenie umysłu, zanim użyty zostanie sam argument, w celu uwolnienia rzeczowego umysłu od wszelkich pyłków i drobinek mętnych substancji, które pozostawione w nim mogłyby przeszkodzić rozumieniu i zniweczyć wszystko.

Otóż, moi drodzy antyshandyści i po trzykroć znakomici krytycy oraz towarzysze pióra (do was bowiem zwracam tę przedmowę) — i do was, najbystrzejsi męzowie stanu i roztrofni doktorowie (odczepcież sobie brody!), słynni z powagi i wiedzy. Tobie ją poświęcam, Monopolusie, mój polityku; i tobie, Didiuszu, mój doradco; i tobie, Kyzarcjuszu, mój przyjacielu, Putatoriuszu, mój przewodniku, Gastriferesie, opiekunie mojego życia, Somnolencjuszu, który dajesz mi spoczynek

i ukojenie. Nie zapominam bynajmniej o reszcie, zarówno śpiących, jak czuwających, świeckich, jak duchownych, których dla krótkości, lecz bynajmniej nie z niechęci, wyliczam ryczałem. Uwierzcie mi, moi najjaśniej wielmożni.

Najgorętszym moim życzeniem i najzarliwszą prośbą w interesie waszym i moim (jeżeli rzecz ta nie została jeszcze dla nas uczyniona) jest, aby wielkie dary dowcipu i rozumności wraz ze wszystkim, co im za zwyczaj towarzyszy — a więc pamięcią, wyobraźnią, talentem, wymową, bystrością etc. — zostały w tej bezcennej chwili bez ograniczeń i skąpienia, bez przeszkód i nijakiej zwłoki wlane na ciepło, jak tylko każdy z nas mógłby to wytrzymać, wraz z burzynami i osadem (nie chciałbym bowiem uronić ani jednej kropelki) do owych zbiorników, komór, komórek, pomieszczeń, dormitoriów, refektarzy i innych wolnych miejsc w naszych mózгах — tak aby zgodnie z prawdziwą intencją mojego życzenia mózgi nasze mogły być dopełniane i zasilane dopóty, dopóki każde naczynie, zarówno wielkie, jak małe, nie zostanie zaopatrzone, nasycone i wypełnione w taki sposób, że ani jedna kropla nie mogłaby być do nich żadną miarą dodana czy też z nich ujęta.

Przebóg! Jak szlachetne stworzylibyśmy dzieło! Z jaką ochotą bym je prowadził! I z jakim animuszem pisałbym i pisał dla takich czytelników! A wy — sprawiedliwe nieba! Z jakim zachwytem czytaliibyście moje księgi: Lecz och! Tego już za wiele — słabnę — omdlewam rozkosznie na samą myśl o tym — to więcej niż człowiek znieść może — podajcie mi dłoń — maci mi się w głowie — ślepnę — konam — umarłem. Ratunku! Pomocy! Ale czekajcie — wracam po trosze do sił, świta mi bowiem w głowie, że gdy wszyscy będziemy mistrzami dowcipu, dzień jeden nie utrzyma się między nami zgoda — tyle będzie satyry i sarkazmu, tyle drwiny i szyderstwa, tyle wzajemnego łajania się i docinków, tyle sztychów i tyle odparowanych ciósów — że zapanuje istne piekło. Przeczyste gwiazdy!

Jakież to byłoby wzajemne gryzienie się i drapanie, jakąż podnieśliśmy wrzawę i łoskot rozbijając sobie nawzajem głowy, miażdżąc knykcie i ponownie uderzając w obolałe miejsca — ach, skończyłoby się dla nas życie.

Z drugiej przecie strony, ponieważ bylibyśmy wszyscy ludźmi obdarzonymi wielkim rozumem, potrafilibyśmy naprawić wzajemne między sobą stosunki tak szybko, jak szybko by się one zepsuły; i chociaż darzylibyśmy się nienawiścią dziesięćkroć większą niżli wszystkie diabły i diabllice w piekle, jednakże postępowałibyśmy, drodzy moi, jak istne wzory kurtuazji i życzliwości — po prostu lukrecja! Byłaby to druga ziemia obiecana, raj na ziemi — jeśli taka rzecz jest w ogóle możliwa. Na ogół więc wyszlibyśmy na tym nieźle.

Wszystko, czym trapię się i turbuję i co w chwili obecnej najbardziej szkodzi mojej pomysłowości, to rozmyślanie nad tym, jak urzeczywistnić moje pragnienia. Jak bowiem wasze wielmożności dobrze wiecie, owe niebiańskie emanacje dowcipu i rozumu, których w tak szczodrych ilościach pragnę dla was i dla siebie, znajdują się w nader ograniczonym *quantum* na użytek i do rozporządzenia całego rodzaju ludzkiego. Tak zaś małe ich ilości zsyłane są na ten szeroki świat — cyrkulujące tu czy tam, w jednym czy drugim ukrytym zakątku — i w tak nikłych strumieniach oraz tak przeogromnych odstępach, że człek dziwi się doprawdy, jak tego wystarcza na potrzeby tylu wielkich państw i ludnych imperiów.

Należy wszelako zwrócić uwagę na jedno, a mianowicie, że w Nowej Ziemi, Północnej Laponii oraz na wszystkich zimnych i posępnych obszarach globu, które leżą w bezpośredniej bliskości południowego i północnego koła biegunowego, gdzie cała sfera zainteresowań człowieka na przeciąg dziewięciu bez mała miesięcy zwięża się do obrębu jego jaskini, gdzie substancje lotne są niemal unicestwione, gdzie namiętności ludzkie wraz ze wszystkim, co się z nimi wiąże, tak są

łodowate jak sama kraina — tam wystarczy najmniej-  
sza, jaką można sobie wyobrazić, doza rozumu, jeśli  
zaś idzie o dowcip, doskonale można się bez niego  
obyć, albowiem w braku zapotrzebowania na naj-  
mniejszą jego iskierkę ani iskierka nie jest udzielana.  
Aniołowie i szafarze łaski — weźcież nas w opiekę!  
Jak posępna byłaby to rzecz — władać królestwem,  
staczać bitwę, zawierać traktat, zwyciężać w turnieju,  
pisać książkę, płodzić dziecko lub zwoływać posiedze-  
nie kapituły przy tak obfitym braku dowcipu  
i rozumu wokół nas! Na miłosierdzie Boskie, nie myśl-  
my już o tym, tylko co rychlej puśćmy się w podróż na  
południe do Norwegii — jeśli łaska, przebądźmy Szwec-  
ję i małą, trójkątnego kształtu prowincję Angerma-  
nii aż do Jeziora Botnickiego; posuwajmy się wzdłuż  
jego brzegów przez Botnię wschodnią i zachodnią aż  
do Karelii — i dalej, poprzez wszystkie te państwa  
i prowincje, które położone są nad Zatoką Fińską i pół-  
nocno-wschodnimi wodami Bałtyku aż do Petersbur-  
ga; stamtąd prosto jak strzała pomknijmy poprzez pół-  
nocne prowincje imperium rosyjskiego i pozostawiw-  
szy Syberię nieco na lewo dotrzyjmy do samego serca  
rosyjskiej i azjatyckiej Tatarii.

Otóż podczas tej długiej podróży zauważyliście za-  
pewne, że poczciwa ludność owych ziem znacznie jest  
zamożniejsza niż w krajach polarnych, któreśmy do-  
piero co opuścili; bo jeśli osłonicie oczy dłonią i przyj-  
rzycie się bardzo pilnie, dostrzeżecie być może maleń-  
kie (jak gdyby) iskierki dowcipu wraz z całkiem sporymi  
zasobami zdrowego, prostego, przeznaczonego na  
domowy użytek rozumu, którymi, zważywszy zarówno  
ich ilość i jakość, ludy te zgoła nieźle gospodarują —  
gdyby zaś miały więcej jednego albo drugiego, naru-  
szona zostałaby właściwa między tymi przymiotami  
równowaga. Zresztą jestem głęboko przekonany, że nie  
miałyby okazji ich użyć.

Otóż, czcigodni panowie, jeżeli zawiodę was z po-  
wrotem do domu na tę cieplejszą i bujniejszą wyspę,  
na której, jak zauważyć możecie, wiosna ożywia krew

i humory — gdzie więcej istnieje ambicji, dumy, za-  
wiści, rozpusty oraz innych niskich namiętności, któ-  
re musimy powściągać i poddawać władzy umysłu,  
przekonacie się, że ostrość naszego dowcipu i głę-  
bokość naszego rozumu znajdują się w stosunku  
wprost proporcjonalnym do długości i szeroko-  
ści naszych potrzeb; przeto zsyłane są pomiędzy  
nas tak hojnie i w tak chwalebnej obfitości, że nikt  
nie czuje się pokrzywdzony.

W związku z tym należy jednak wyznać, że podob-  
nie jak pogoda w naszym kraju kaprysi i dziesięć razy  
na dzień jest gorąco lub zimno, sucho lub mokro, tak  
też i my otrzymujemy nasze dary nieregularnie i nie-  
systematycznie; niekiedy przez prawie pół wieku bar-  
dzo niewiele można u nas usłyszeć lub zobaczyć dowcipu  
i rozumu, jak gdyby kanaliki ich dopływu zgoła  
wyschły. Potem, całkiem nieoczekiwanie, tamy pękają  
i znowu rozpoczyna się szaleńcza ulewa, która, zdawać  
by się mogło, nigdy nie ustanie. Wtedy to, jeśli idzie  
o pisanie książek, prowadzenie wojen i dwadzieścia  
innych śmiałych przedsięwzięć, przodujemy całemu  
światu.

Opierając się na powyższych obserwacjach i posłu-  
gując się oględną analogią w argumentacji, którą Sui-  
das zowie indukcją dialektyczną, stawiam  
poniższe założenie jako bardzo prawdziwe i godne wia-  
ry:

Że z dwóch tych źródeł światłości spływa na nas od  
czasu do czasu tyle blasku, ile wedle Tego, który w mą-  
drości swej bezmiernej rozdziela wszystko w dokład-  
nej wadze i mierze, potrzeba nam do oświetlenia drogi  
wśród mroków tej naszej nocy. Przeto wasze wieleb-  
ności i wielmożności łącznie teraz zrozumiecie (zresztą  
nie mógłbym już dłużej tego przed wami ukrywać), że  
żarliwa prośba w waszym interesie, wniesiona na wstę-  
pie, znaczyła nie więcej niż pierwsze przymilne „Moje  
uszanowanie” schlebającego autora przedmowy, któ-  
ry, podobnie jak amant nieśmiałą bogdanę, karesem  
zmusza swego czytelnika do milczenia. Bo niestety —

gdyby ów potop światła mógł być zapewniony tak łatwo, jak życzył sobie tego mój wstęp — wzdragam się myśleć, jak wiele tysięcy zbłąkanych wędrowców (przynajmniej w dziedzinie nauk przyrodniczych) musiałoby szukać po omacku drogi w ciemnościach własnego życia — rozbijając głowy o słupy i niekiedy rozłupując czaszki, zanim zdołaliby dotrzeć do kresu podróży, przy czym jedni padaliby nosami prostopadłe w rynsztoki, inni horyzontalnie osuwaliby się tyłkami w ścieki. Tutaj połowa członków jednej uczonej profesji pędząc cwałem naciera na drugą połowę, po czym wpadłszy na siebie tyłają się w błocie jak wieprzki. Tam znów bracia z innej profesji, zamiast się zderzać, pędzą przed się jeden za drugim niczym stado baranów. Jaki zamęt — co za pomyłki! Skrzypkowie i malarze osądzają swe twory wedle ucha i oka — zdumiewające! Ufają uczuciom, jakie wznieca pieśń lub obraz chwytający za serce — miast mierzyć ich wartość kwadrantem!

Oto na pierwszym planie tego malowidła mąż stanu obraca ster polityki, jak ostatni kiep, w złą stronę. Przeciwną prądowi przekupstwa — wielkie nieba — miast z prądem!

W jednym rogu syn boskiego Eskulapa pisze dzieło potępiające predestynację lub co gorsza bada puls pacjenta miast puls aptekarza. W głębi inny mistrz tejże profesji klęczy we łzach i rozsuwając firanki u łóża swej umęczonej ofiary prosi o przebaczenie, nie żądając, lecz sam ofiarowując zapłatę.

W ogromnej sali sądu koalicja braci spod znaku togi ze wszystkich działów sądownictwa pędzi przed sobą ile sił szkaradną, ohydną, nużącą sprawę — w jakże niewłaściwym kierunku! Wykopsują ją na zewnątrz ogromnych wrót, miast wpychać ją do środka — czynią to zaś z taką furją i zacieklełym uporem, jak gdyby prawa pierwotnie ustanowione zostały dla spokojności i bezpieczeństwa rodzaju ludzkiego. A oto popełniają potworniejszy jeszcze błąd — uczciwie odcalają pieniacki pozew. Więc na przykład spór: czy nos Johna

O'Nokes mógłby być umieszczony na twarzy Toma O'Stiles bez naruszenia prawa, czy też nie — rozstrzychoć przy pilnym rozpatrywaniu wszystkich za i przeciw, czego wymaga zazwyczaj tak zawiły spór, sprawa ciągnąć by się mogła nie dwadzieścia pięć minut, lecz miesiący; gdyby zaś prowadzona była wedle reguł wojennych, jak prawdziwy PROCES prowadzony być powinien (o czym wasze wielmożności dobrze wiedzą), ze wszystkimi dającymi się zastosować fortelami — jak fałszywe ataki, forsowne marsze, zasadzki, wilcze doły, zamaskowane baterie oraz tysiąc innych pomysłów wojennego geniuszu, polegających na wykorzystaniu wszelkich okazji po obu walczących stronach — proces trwać by mógł nie dwadzieścia pięć miesięcy, lecz tyleż lat, dostarczając przez cały ten czas wiewdy i odzienia setce mężów prawniczej profesji.

Duchowieństwo zaś — nie, jeśli powiem przeciwko niemu jedno choć słowo, zginę od kuli. Nie mam na to chęci, a gdybym ją nawet miał, za nic na świecie nie poruszyłbym tego tematu, albowiem w stanie, w jakim się obecnie znajduję — z osłabłymi nerwami i substancjami lotnymi — łącznie mógłbym zagryźć się i zafrasować w czasie sporządzania tak nieprzychylnego i tak przygnębiającego raportu — dlatego bezpieczniej będzie spuścić kurtynę i zająć się jak najspieszniej główną i zasadniczą sprawą, którą podjąłem się wyjaśnić, czyli: jak się to dzieje, że ludzie najmniejszego dowcipu uchodzą powszechnie za ludzi największego rozumu. Lecz zważcie — powiedziałem: *u c h o d z ą*, jest to bowiem, czcigodni panowie, li tylko pogląd, który (podobnie jak dwadzieścia innych przyjmowanych co dzień na wiarę) uważam za zgoła nikczemny i w dodatku złośliwy.

Udowodnię to natychmiast, do czego dopomogą mi przytoczone powyżej obserwacje, które, tuszę, zostały już przez wasze wielmożności i wielmożności dokładnie zbadane i rozważone.

Ścierpieć nie mogę metodycznych rozpraw — nie ma zaś chyba na świecie rzeczy głupszej, niż gdy w traktując pewną liczbę górnych a niejasnych słów jedne za drugimi w linii prostej pomiędzy rozumieniem rzeczy waszym i waszego czytelnika — gdy tymczasem rozejrzawszy się wkoło spostrzeżlibyście według wszelkiego prawdopodobieństwa coś stojącego lub wiszącego, co natychmiast wyjaśniłoby kwestię — „jaką bowiem krzywdę, szkodę lub zło przynieść może człowiekowi chwalebna żądza wiedzy, jeśli nawet w swych studiach posłuży się on sadzą z garnka, głupcem, stołkiem, ciepłymi mitenkami, bloczkiem, przykrywą złotniczego tygla, butelką od oliwy, starym pantoflem lub krzesłem trzcinowym?” W tej właśnie chwili siedzę na takim krześle. Czy z łaski swojej pozwolicie mi zilustrować zagadnienie dowcipu i rozumności za pomocą dwóch gałek na szczycie jego oparcia? Otóż, widzicie, gałki te przytwierdzone są dwoma kołkami wpuszczonymi płytko w dwa wywiercone świderkiem otwory, ukażą zaś to, co zamierzam wam powiedzieć, w tak jasnym świetle, że będziecie mogli przejrzeć na wskroś sens i treść całej mojej przedmowy z taką łatwością, jak gdyby każde jej zdanie i każde słowo utkane było z promieni słonecznych.

Nie mieszkając przystępuję do rzeczy.

Oto jest d o w c i p — tuż obok niego r o z u m, zupełnie jak dwie gałki na szczycie oparcia wyplatanego krzesła, na którym siedzę.

Są one, jak widzicie, najwyżej umieszczonymi i najozdobniejszymi elementami w kompozycji tego sprzętu, podobnie jak dowcip i rozum — w kompozycji człowieka; a także na podobieństwo dowcipu i rozumu obie są wykonane i przysposobione w taki sposób, aby, jak to mówimy w odniesieniu do podwójnych ornamentów, wzajem sobie odpowiadały.

Teraz dla eksperymentu i dla lepszego objaśnienia rzeczy zdejmiemy na chwil kilka jedną z tych osobli-

wych ozdób (obojętne którą) ze szczytu oparcia fotela. Och, nie śmieJCie się — ale czy widzieliście kiedy w życiu rzecz tak cudaczną, jak to krzesło bez jednej gałki? Cóż, równie żalorny to widok, jak widok magiory bez jednego ucha — i tak w jednym, jak w drugim przypadku brak jest sensu i wszelkiej symetrii; proszę, wstańCie z miejsc, byście lepiej widzieli. Otóż czy człowiek, który ceni choć trochę własne dobre imię, wypuściłby w świat dzieło w takim znajdujące się stanie? Nie. A teraz odpowiedzcie mi z ręką na sercu: Czy pojedyncza gałka, która ostawszy się samotnie, tak głupio tu wygląda, może mieć na świecie inne przeznaczenie niż przypominać o braku drugiej? I pozwólcie mi zadać jedno jeszcze pytanie: gdyby wyplatane krzesło stanowiło waszą własność, czy nie pomysłelibyście doprawdy, że miast jednej na nim gałki wolelibyście nie mieć żadnej?

Otóż dwie te gałki (czyli szczytowe ozdoby gmachu umysłu ludzkiego) — innymi słowy, dowcip i rozum — są, jak tego dowiodłem, spośród wszystkich innych przymiotów najpotrzebniejsze, najwyżej cenione, najprzykrzejsze w swym braku i wskutek tego najtrudniej osiągalne. Dlatego nie ma chyba wśród nas człowieka, który tak zupełnie byłby pozbawiony żądzy dobrej sławy lub dobrego jądła, że nie pragnąłby i nie postanawiałby sobie w duchu stać się — choćby tylko z pozoru — mistrzem jednego albo drugiego, a raczej obu, jeśli rzecz taka wyda mu się osiągalna lub przynajmniej możliwa.

A że co poważniejsi panowie szlachta mało mają (lub nie mają żadnych) widoków na osiągnięcie jednego, jeżeli nie zdobędą drugiego — powiedzcie mi, z łaski waszej, jaki czeka ich los? Otóż, czcigodni moi — mimo całej swej poważności będą musieli zadowolić się chadzaniem z obnażonymi wnętrzami, a tego nikt by znieść nie zdołał — chyba że sięgając do pomocy filozofii, co nie wydaje się prawdopodobne w omawianym przez nas przypadku. Dlatego nikt nie miałby do nich pretensji, gdyby poprzystawszy na tej odrobinie,

którą udało im się pochwycić i ukryć pod płaszczami oraz wielkimi perukami, nie wszczynali jednocześnie wrzaskliwej nagonki przeciw prawym właścicielom.

Nie potrzebuję was zapewniać, wielmożni panowie, że uczynili to tak chytrze i tak przebiegle, iż wielki Locke, którego nader rzadko zwieść mogły fałszywe dźwięki, dał się przecie tym razem okpić. Otóż krzyków był potężny i uroczysty, wielkie zaś peruki, namaszczone miny i tym podobne instrumenty oszustwa sprawiły, że przeciwko nieszczęsnym dowcipnisiom nagonka stała się powszechna i sam filozof wywieziony został w pole. Było to jego chwałą, że uwolnił świat od rupieci tysiąca pospolitych błędów, ten jednak do nich nie należał; miał więc, jak przystało tej miary myślicielowi, zabrać się na chłodno do zbadania istoty rzeczy, zanim zacznie snuć na jej temat wywody filozoficzne, przesądził stan faktyczny z góry i przyłączywszy głos swój do ogólnej wrzawy pokrzykiwał nie mniej głośno od reszty.

Zrobiono z tego Wielką Kartę Głupoty — lecz jak wasze wielebności łącznie dostrzec mogą, została ona uzyskana takim sposobem, że tytuł prawny na niej oparty nie jest wart ani szeląga; co, mówiąc mimochodem, jest jednym z licznych a nikczemnych oszustw, za które ponoszą odpowiedzialność powaga i ludzie poważni.

Jeżeli idzie o wielkie peruki, w przedmiocie których wypowiadałem się (być może) nazbyt bezceremonialnie, proszę najpokorniej, by pozwolono mi złagodzić wszystko, com niebacznie rzekł na ich ujme i szkodę — jednym zasadniczej natury oświadczeniem: iż nie żywię nienawiści, jako też nie mam nijakiego wstępu czy odrazy do wielkich peruk i długich bród, gdy nie są stalowane czy zapuszczane umyślnie w celu popełnienia tegoż oszustwa — czy jakiegokolwiek innego. Pokój z nimi!

■ Jednakże na to zwróćcie uwagę — nie dla nich piszę.

Co dzień od lat najmniej dziesięciu ojciec mój postanawiał, że poleci je naprawić — i dotąd nie są naprawione. Żadna rodzina na świecie prócz naszej nie cierpiałaby tego dłużej niż godzinę — a jeszcze bardziej zdumiewające jest to, że na żaden inny temat ojciec mój nie rozwodził się tak szeroko, jak na temat zawiasów u drzwi. Lecz równocześnie był jedną z najżałośniejszych ich ofiar, o jakich wspomina historia: albowiem jego retoryka i postępowanie znajdowały się w nieustannej sprzeczności. Ilekroć otwierały się drzwi bawialni, filozofia lub zasady mojego ojca padały ich pastwą; trzy krople oliwy, pociągnięcie piórkiem i zręczne uderzenie młotkiem na zawsze uratowały jego honor.

Jakże nieobliczalną istotą jest człowiek! Słabnie z ran, których wyleczenie leży w jego mocy! Całe jego życie jest zaprzeczeniem wiedzy, którą zdobył! Rozum, ten bezcenny dar otrzymany od Boga, miast skłonić go do wiania kilku kropel oliwy, wzmaga tylko rozdrażnienie, pomnaża cierpienia i pod ich ciężarem czyni go bardziej melancholijnym i mniej cierpliwym. Biedna, nieszczęsna istota — że też musi tak postępować! Czyż nie dość mu nieuniknionych przyczyn cierpienia na tym świecie, że dobrowolnie powiększa ogrom swej niedoli; że walczy przeciwko nieszczęściom, przed którymi nikt nie zdoła uciec, poddaje się zaś złu, od którego uwolnienie kosztowałoby go dziesiątą część przykrości, jakie mu one zadają?

Klnę się na wszystko, co jest zacne i cnotliwe na tym świecie, że jeśli w promieniu dziesięciu mil od Shandy Hall znajdują się trzy krople oliwy i młotek — zawiasy u drzwi bawialni naprawione zostaną jeszcze za panowania Najmiłościwszego naszego Króla Jerzego!

Sporządziwszy oba moździerze kapral Trim zachwycał się niezmiernie dziełem swych rąk; wiedząc zaś, jak wielką radość sprawi widok moździerzy jego panu, nie mógł oprzeć się pokusie zaniesienia ich do bawialni.

Otóż prócz chęci udzielenia wam nauki moralnej, którą miałem na widoku wspominając o zawiasach, pragnąłem was zapoznać z wynikającymi z niej rozważaniami natury filozoficznej, a mianowicie:

Gdyby drzwi bawialni obróciły się na zawiasach tak jak drzwi powinny...

Lub też tak gładko, jak nasz rząd obraca się na swoich zawiasach (oczywista, jeśli sprawy waszej wielkości toczą się pomyślnym torem — jeśli nie, rezygnuję z mojego porównania), wówczas, powtarzam, wejście Trima do bawialni nie byłoby w swych skutkach niebezpieczne ani dla pana, ani dla sługi. W tej samej bowiem chwili, w której Trim spostrzegłby jego ojca i stryjeczka Toby'ego pogrążonych we śnie, właściwy mu respekt skłoniłby go do opuszczenia bezszelestnie bawialni i pozostawienia ich obu śpiących smacznie w fotelach. Lecz poważnie mówiąc możliwości takiej nie należało nawet brać w rachubę, gdyż w ciągu wielu lat, w czasie których cierpiano w naszym domu skrzywienie zawiasów, wśród licznych krzywd, jakich ojciec mój od nich doznał, jedna była tej natury: ilekroć skrzyżowawszy ramiona przygotowywał się do poobiedniej drzemki, świadomość tego, że nieuchronnie zostanie obudzony przez pierwszą osobę, która otworzy drzwi, wybijała się ponad wszystko inne w jego wyobraźni i tak natrętnie wtłaczała się między niego a rozkoszną zapowiedź snu, że, jak często powiadał, pozbawiała go całej słodczy wypoczynienia.

Czyż może dziać się inaczej, za pozwoleniem wa-

szych lordowskich mości, gdy sprawy obracają się na skrzypiących zawiasach?

— Co się stało? Kto tu wszedł? — zawołał mój ojciec obudziwszy się, za ledwie drzwi skrzypnęły. — Chciałbym, żeby kowal rzucił okiem na te przekłete zawiasy. — Nic się nie stało, za pozwoleniem W. Miłości — odparł Trim — tylko przyniosłem dwa moździerze. — Nie pozwolę robić tu hałasu — zawołał prędko mój ojciec. — Jeśli doktor Slop chce utłuc jakieś leki, niech sobie idzie z tym do kuchni. — Kiedy, za pozwoleniem W. Miłości — zawołał Trim — to są dwa działa moździerzowe. Będą one użyte w przyszłym roku w lecie do walk oblężniczych, a sporządziłem je z długich butów, które, jak mi Obadiaz powiedział, W. Miłość przestał nosić. — Boże Wielki! — wrzasnął mój ojciec zrywając się z fotela. — Wśród wszystkich posiadanych przeze mnie przedmiotów nie ma ani jednego, który cenilibym sobie tak wysoko jak te buty. Należały do naszego prapradziadka, bracie Toby, były dziedziczne. — W takim razie obawiam się — rzecze stryjaszek Toby — że Trim zniszczył naszą spuściznę. — Za pozwoleniem W. Miłości, zniszczyłem tylko cholewki — zawołał Trim. — Nienawidzę fideikomisów jak chyba nikt na świecie — zawołał mój ojciec (uśmiechając się, aczkolwiek srodze zagniewany) — lecz te buty, bracie, są w naszej rodzinie od czasów wojny domowej. Sir Roger Shandy miał je na sobie podczas bitwy na Marston Moor. Klnę się, że nie oddałbym ich nikomu nawet za dziesięć funtów. — Zapłacę ci tę sumę, bracie Shandy — rzecze stryjaszek Toby spoglądając z niewysłowionym ukontentowaniem na swoje moździerze i wsuwając jednocześnie rękę do kieszeni spodni. — Z największą radością w sercu zapłacę ci wraz tę sumę.

— Bracie Toby — odparł mój ojciec zmieniając ton — nie dbasz o to, jakie sumy trwonisz i wyrzucasz za okno, byle tylko — dodał — szły one na OBŁĘŻENIE. — A czyż nie mam moich stu dwudziestu funtów rocznej renty, prócz inwalidzkiej pensyjki? — zawołał

mój stryjasek. — Cóż one znaczą — rzekł porywczaj ojciec — w porównaniu z dziesięciu funtami za parę długich butów, dwunastu gwineami za pontony i najmniej połową tej sumy za holenderski most zwodzony? Aby nie wspominać już o bateriach miniaturowej mocy, sięznej artylerii, którą zamówiłeś w ubiegłym tygodniu, oraz o dwudziestu innych przygotowaniach poczynionych do oblężenia Messyny? Wierz mi, drogi bracie Toby — ciągnął dalej mój ojciec biorąc go czule za rękę — te wojenne operacje przekraczają twoje możliwości. Zamiary masz poczciwe, bracie, ale działalność twoja wiedzie cię do większych wydatków, niż się tego początkowo spodziewałeś. Wierz mi na słowo, drogi Toby, że w końcu pochłonie ona całą twoją fortunkę i uczyni cię nędzarzem. — Więc co z tego, bracie, jeśli się nawet tak stanie — odparł stryjasek — skoro wiemy, że czynię to dla dobra naszego narodu?

Mój ojciec nie mógł powściągnąć uśmiechu — jego gniew nawet w najgorszych momentach był zaledwie iskrą; zapał zaś i naiwność Trima oraz szlachetna (aczkolwiek KONIKOWATA) rycerskość mojego stryjaska pojednały go z nimi w przeciągu jednej chwili.

„Zacne dusze! Szczęść Boże wam obu — a także waszym mózdzierzom!” — rzekł ojciec w duchu.

## ROZDZIAŁ XXIII

— Co znaczy ta cisza i spokój na górze? — zawołał mój ojciec. — Nie słyszę kroków. Hej, Trimie, kto jest w kuchni? — W kuchni nie ma żywej duszy — odparł Trim składając głęboki ukłon — prócz doktora Slopa. — Przekleństwo! — krzyknął mój ojciec (po raz drugi zrywając się na nogi). — Ani jedna rzecz nie poszła dzisiaj gładko! Gdybym wierzył w astrologię (w którą, zaznaczyć należy, ojciec mój wierzył) — gotów byłbym przysiąc, że jakaś zabląkana niepomyślna

gwiazda zawisła nad tym moim nieszczęsnym domem i kolejno wszystko w nim wywraca. Pewien byłem, że doktor Slop jest na górze u mojej małżonki, jak mi to, Trimie, mówiłeś! Co ten cyrulik może robić w kuchni? — Zajęty jest, za pozwoleniem W. Miłości — odparł Trim — sporządzaniem mostku\*. — To bardzo uprzejmie z jego strony — rzecze stryjaszek Toby. — Proszę cię, Trimie, złóż cyrulikowi moje uszanowanie i powiedz, że jestem mu głęboko wdzięczny.

Otóż mój stryjaszek Toby przypuszczał, że szło zgoła o inny most, podobnie jak ojciec mój sądził, że szło o całkiem inne moździerze. Obawiam się jednak, że w celu dokumentnego wyjaśnienia wam, jak się to stało, że mój stryjaszek Toby wziął ten mostek za całkiem inny mostek, zmuszony będę zdać dokładną relację z drogi, która go do niego przywiodła, lub też poniechać metafory (albowiem posługiwanie się metaforami to dla historyka najniecieńszy z czynów). Tedy w celu właściwego zrozumienia podstaw pomyłki stryjaszka Toby'ego muszę podać wam opis pewnej przygody Trima, co uczynię bardzo niechętnie. Powtarzam: bardzo niechętnie, ponieważ w pewnym sensie opowieść ta będzie tu całkiem nie na miejscu. W istocie bowiem powinna znaleźć się albo pomiędzy anegdotami dotyczącymi amatorów mojego stryjaszka Toby'ego z wdową Wadman, w których to amatorach kapral Trim grał bynajmniej nie poślednią rolę — lub też w samym środku działań wojennych przeprowadzonych przez niego i przez mojego stryjaszka na murawie do gry w kule — a stosowna byłaby w obu miejscach. Ale cóż — jeżeli zachowam ją dla kogoś z tamtych dwóch fragmentów mojego dzieła, zrujnuję doszczętnie rozpoczętą właśnie opowieść; jeśli zaś przytoczę ją tutaj — uprzedzę wypadki i zniweczę dalszą część powieści.

— Co wasze wielmożności radziłyby mi zrobić w tym przypadku?

\* Most (bridge) — wyraz ten używany jest w języku angielskim również na oznaczenie kości nosowej.

— Przytocz ją, panie Shandy, przytocz koniecznie.

— Będiesz głupcem, Tristramie, jeśli to uczynisz.

O moce (albowiem jesteście mocami, nawet wcale potężnymi), które umożliwiacie śmiertelnikowi opowiedzenie historii wartej wysłuchania — które dobrotliwie wskazujecie mu, kiedy ma ją zacząć i gdzie winien skończyć — co ma w niej zamieścić — co pominąć milczeniem — jaką część pozostawić w cieniu — na którą skierować snop jasnego światła! Wy, które władacie potężnym imperium korsarzy biografii; które widzicie, w jak ciężkie terminy i liczne tarapaty wpada ją co chwila wasi poddani! Czy uczynicie dla mnie jedno?

Proszę was i błagam o to tylko (bo nie zechcecie zapewne wyświadczyć mi większej przysługi): jeżeli gdziekolwiek w jakiejkolwiek części waszych dominiów skrzyżują się w jednym punkcie trzy drogi, jak zdarzyło się to właśnie przed chwilą — ulitujcie się i postawcie na rozstaju drogowskaz, który dopomógłby wahającemu się nieszczęśnikowi obrać właściwy kierunek.

## ROZDZIAŁ XXIV

Chociaż wstrząs doznany przez mojego stryjaszka Toby'ego (w rok po zburzeniu Dunkierki) podczas amorów z wdową Wadman umocnił go w postanowieniu poniechania raz na zawsze myśli o rodzie niewieścim oraz wszystkich sprawach z rodem tym związanych, jednakże kapral Trim nie zawarł ze sobą samym takiej ugody. W przypadku mojego stryjaszka Toby'ego okoliczności składały się tak szczególnie i zastanawiająco, że niepostrzeżenie został on niejako zmuszony do szturmowania tej pięknej i niezdobytej twierdzy; w przypadku zaś Trima okoliczności nie składały się w żaden sposób, natomiast on sam składał częste

wizyty Bridget w kuchni — acz, prawdę mówiąc, miłość i poważanie, jakie żywił dla mojego stryjaszka, tak były bezgraniczne, ponadto zaś tak ochoczo naśladował go we wszystkim, że gdyby stryjaszek poniechał oblężenia i rozpoczął strategiczny odwrót, zacny kapral złożyłby zapewne broń i rad wycofał się jego śladem. Gdy więc mój stryjaszek przypuszczał szturm do jejmości, kapral Trim odprawiał straż u boku służki.

Otóż, drogi mój przyjacielu Garricku, którego cenię i poważam dla tylu mnogich racji (mniejsza o to, za co i dlaczego), czyż możliwe jest, by uszło twej bystrej uwagi (wprost nie mogę w to uwierzyć), że aż tak wielu dramatopisów i wyrobników literackich w piśmie swoich kopiuje stale wzór Trima i stryjaszka Toby'ego? Nie dbam o zdanie Arystotelesa, Pacuwjusza, Bossu czy Ricaboniego w tej materii (choć po prawdzie nigdy ich nie czytałem) i twierdzą, że nie większa istnieje różnica między jednokonną kariolką a czterokonnym koczem à la Pompadour niż między pojedynczymi amatorami a amatorami w ten sposób szlachetnie podwojonymi i pędzącymi przed się pełnym galopem przez cały wielki dramat. Wierz mi, panie, że pospolita, pojedyncza, błaha przygoda miłosna gubi się i niknie w pięciu aktach; ale to do rzeczy nie należy.

Po licznych a daremnych szturmach, które mój stryjaszek przypuszczał na swoim odcinku przez miesiące dziewięć (najbardziej drobiazgowy opis każdego z nich przedstawiony będzie we właściwej porze i miejscu), stryjaszek mój, zacna dusza, poczuł się zmuszony otrąbić odwrót swoich armii i nieco zagniewany poniechał oblężenia.

Kapral Trim, jak to już mówiłem, nie zawarł z samym sobą ani z nikim innym tego rodzaju umowy; że jednak wierność serca wzbraniała mu odwiedzać dom, który jego pan porzucił z taką odrazą, zadowolił się zamianieniem walki oblężniczej na blokadę, czyli nie dopuszczał innych zalotników. A chociaż nigdy potem

noga jego nie powstała w domu ukochanej, nie ominała przecie okazji, aby spotkawszy Bridget we wsi nie kiwnąć jej głową, mrugnąć, uśmiechnąć się do niej lub spojrzeć na nią czule; jeśli zaś okoliczności na to zezwalały, ścisnął jej dłoń lub pytał tkliwie, jak się miewa, lub dawał jej wstążkę — od czasu do czasu zaś, wszelako wówczas jedynie, gdy nie sprzeciwiła się to dobrem obyczajom, dawał Bridget —

Dokładnie tak się rzeczy miały przez lat pięć — od zburzenia Dunkierki w roku 1713 aż do zakończenia ostatniej kampanii wojennej mojego stryjaczka Toby'ego w roku 1718, co przypadło na sześć czy siedem tygodni przed opisywanymi przeze mnie wypadkami. Któregoś księżycowego wieczoru Trim, ułożywszy mojego stryjaczka do snu, poszedł sprawdzić, jak to zwykle czynił, czy wszystko jest w porządku z fortyfikacjami — i wtedy to w alejce odgradzonej od murawy do gry w kule kwitnącym żywopłotem z ostrokrzewu spostrzegł swoją Bridget.

Ponieważ kapral mniemał, iż nie ma na świecie rzeczy godniejszej widzenia niż wspaniałe fortyfikacje wzniesione przez niego i mojego stryjaczka, dwornie i rycersko podał Bridget ramię i zaprowadził ją tamże. Wszelako nie zostało to zachowane w tajemnicy, albowiem stugębna a niewyparzona w pysku Fama powtarzała wieść o tym wydarzeniu dopóty, dopóki nie usłyszał jej mój ojciec z tym zasmucającym szczegółem, że tej samej nocy zapadł się i w taki czy inny sposób połamany został na drzazgi łączący oba brzegi rowu osobliwy most zwodzony stryjaczka Toby'ego, wybudowany i pomalowany wedle niderlandzkich wzorów.

Jak widzieliście, ojciec mój nie miał wielkiego poważania dla KONIKA stryjaczka Toby'ego i mniemał, że jest to najśmieszniejszy wierzchowiec, jakiego dżentelmen kiedykolwiek dosiadał. W rzeczy samej, dopóki stryjaczek Toby nie zirytował go swoim wierzchowcem, ojciec mój nie mógł myśleć o nim inaczej niż z uśmiechem — tak że ilekroć KONIK okulał lub doznał innej jakowejś przygody, zdarzenie to rozśmieszało mo-

jego ojca w sposób zgola nieumiarkowany; ponieważ zaś ta ostatnia przygoda bardziej była mojemu ojcu w smak niż wszystkie dotychczasowe, znalazł w niej niewyczerpane źródło uciechy. — No więc, drogi Toby — zwykł był mawiać — powiedz mi, jak to było naprawdę z owym mostkiem? — Że też musisz mi ciągle tym dokuczać! — odpowiadał mój stryjasek. — Powtarzałem ci tę przygodę co najmniej dwadzieścia razy, słowo w słowo jakem ją usłyszał od Trima. — Hej, kapralu — wołał wtedy mój ojciec zwracając się do Trima — więc jak się to stało? — Był to najzwyklejszy zły traf, za pozwoleniem W. Miłości. Pokazywałem właśnie jejmości Bridget nasze fortyfikacje i stanąwszy za blisko skraju fosy potknąłem się nieszczęśliwie i upadłem... (— Znakomicie, Trimie, znakomicie — wykrzykiwał mój ojciec uśmiechając się tajemniczo i kiwając głową, lecz nie przerywając toku opowieści)... że zaś, za pozwoleniem W. Miłości, trzymałem panią Bridget krzepko pod ramię, pociągnąłem ją za sobą, w wyniku czego ona upadła na plecy w poprzek mostku... — A że Trimowi stopa wsunęła się w szczelinę — (wykrzykiwał mój stryjasek Toby wpadając mu w słowa) — Trim również runął prosto na mostek. Niewiele brakowało — dodawał mój stryjasek Toby — a biedaczysko złamałby nogę. — Prawda to święta — przyznawał mój ojciec — że w tego rodzaju przypadkach, drogi Toby, łącznie można złamać sobie kończynę. — Tak więc, za pozwoleniem W. Miłości, mostek, który jak W. Miłość wie, bardzo był kruchej budowy, załamał się pod naszym wspólnym ciężarem i rozpadł na drobne drzazgi.

Kiedy indziej znów, szczególnie zaś, gdy stryjasek Toby miał nieszczęście rzec słówko o armatach, bombach lub petardach — ojciec mój wyczerpywał całe zapasy wymowy (które naprawdę były ogromne) w panegirykach na cześć TARANÓW starożytnych wojowników, zwłaszcza zaś machin oblężniczych, których Aleksander używał pod Troją. Opowiadał mojemu stryjasekowi Toby'emu o KATAPULTACH Syryjczy-

ków, które ciskały potwornej wielkości głazy na odległość kilkuset stóp i zrównywały z ziemią najpotężniejsze przedmurza; opisywał dalej mechanizm BALEST, wokół których Marcellinus tak wielką podnosił wrzawę; straszliwe skutki PYROBOLI, które miały ogień; groźbę potężnych KUSZ i SKORPIONÓW, które ciskały groty. — Lecz czymże są one — powiadał mój ojciec — w porównaniu z niszczycielską machiną wojenną kaprała Trima? Wierz mi, bracie Toby, że obsztrzałowi takiej artylerii nie oprze się żaden most, żaden bastion, żaden szaniec.

Stryjaszek Toby nie próbował nigdy bronić się przed atakiem tych kpin inaczej niż zdwojoną gwałtownością w pykaniu fajką; czyniąc zaś to napelnił któregoś wieczoru po kolacji pokój tak gęstą chmurą dymu, że ojciec, który miał nieco słabowite płuca, zaniósł się gwałtownym i duszącym kaszlem. Wtenczas stryjaszek Toby zerwał się na nogi zapominając o bólu w pachwinie i zdjęty bezgranicznym współczuciem stanął obok krzesła brata. Pochyliwszy się nad nim klepał go jedną ręką po plecach, drugą zaś podtrzymywał mu głowę i od czasu od czasu wyjętą z kieszeni czystą webową chustką ocierał mu oczy. Ojciec, widząc miłość i oddanie, z jakimi mój stryjaszek Toby wyświadczał mu wszystkie te drobne usługi, uczuł ból w sercu na wspomnienie cierpienia, które bratu przed chwilą zadał. „Niech mi głowę roztrzaskają taranem lub katapultą, mniejsza o to czym — rzecze mój ojciec do siebie — jeżeli urażę jeszcze kiedykolwiek tego najzaciejszego z ludzi”.

## ROZDZIAŁ XXV

Widząc, że mostu nie da się naprawić, stryjaszek Toby polecił Trimowi, aby ten bezzwłocznie przystąpił do budowy nowego, jednakże nie według dawnych

wzorów. Wyszły bowiem właśnie na jaw intrygi kardynała Alberoniego i stryjasek przewidując słusznie, że między Hiszpanią a cesarstwem wybuchnąć musi nieodwołalnie zatarg oraz że wynikiem w jego następstwie działania wojenne prowadzone będą zapewne w Neapolu lub na Sycylii, postanowił mieć most zwozdzony typu włoskiego (zaznaczyć wypada, że stryjasek Toby niewiele pomylił się w swych rachubach). Wszelako ojciec mój, który był nieporównanie lepszym politykiem i o tyle przewyższał mojego stryjaska w przewidywaniach gabinetowych, o ile mój stryjasek Toby górował nad nim w polu, przekonał go, że jeśli król Hiszpanii i cesarz skoczą sobie do oczu, Anglia, Francja i Holandia, dotrzymując swych uprzednich zobowiązań, będą musiały wstąpić w szranki. — A jeśli tak się stanie — powiadał ojciec — ręczę ci za to głową, drogi Toby, że zapaśnicy kruszyć będą kopie na wypróbowanym i starym polu bitewnym Flandrii. A jak ty będziesz wtedy wyglądał ze swoim włoskim mostem?

— Wobec tego wybudujemy most na dawną modłę — zawołał stryjasek Toby.

Gdy kapral Trim miał już w połowie gotowy most wedle holenderskiego wzoru, stryjasek Toby dopatrzył się w konstrukcji zasadniczej wady, która dotąd uchodziła jego uwagi. Otóż most zawieszony był na zawiasach umocowanych na obu końcach w ten sposób, że otwierał się pośrodku, po czym jedna połowa podnosiła się ku jednemu, druga zaś ku przeciwległemu brzegowi fosy. Wynikała stąd ta korzyść, że dzięki podzieleniu ciężaru mostu na dwie równe części stryjasek Toby mógł podnosić go lub opuszczać za pomocą końca swej kuli i jedną tylko ręką; których to funkcji nie mógłby powierzyć liczebniejszym siłom z uwagi na szczupłość swego garnizonu. Jednakże złe strony takiej konstrukcji przewyższały dobre. — Przecie w ten sposób — powiadał mój stryjasek — pozostawiam połowę mostu w rękach nieprzyjaciela — a powiedzcie mi, proszę, jaki mam pożytek z drugiej?

Najłatwiej, rzecz jasna, można było temu zaradzić umocowując most tylko po jednej stronie na zawiasach, tak aby cały mógł być podnoszony pionowo do góry — lecz takie rozwiązanie odrzucone zostało ze względu na przytoczone wyżej racje.

Potem przez okrągły tydzień stryjasek Toby nosił się z zamiarem wybudowania mostu tej szczególnej konstrukcji, która pozwala na ściągnięcie go do tyłu w płaszczyźnie poziomej (co uniemożliwia przeprawę przez fosę) oraz na wysuwanie go na powrót w celu umożliwienia przeprawy — czyli mostu takiego, jaki wasze łaskawości widziały być może w Spirze, gdzie przed zburzeniem istniały trzy jego słynne pierwowzory, lub też w Brissac, jeżeli nie mylę miejscowości. Ponieważ jednak ojciec mój doradzał stryjaskowi z wielką powagą, aby wyrzekł się raz na zawsze mostów wysuwanych, ów zaś przewidywał, że most taki utrwali jedynie wspomnienie nieszczęśliwego trafunku kaprała — zmienił postanowienie i wybrał most zwozdzony pomysłu markiza d'Hôpital, który to most opisał tak znakomicie i tak uczenie młodszy Bernoulli — o czym wasze wielmożności łącznie możecie przekonać zaglądając do „*Act. Erud. Lips.*” anno 1695. Most takowy ma uwiązany po jednej stronie ołowiany ciężar, który go równoważy sprawując jednocześnie straż nie gorzej niż dwaj żołnierze na warcie pod warunkiem, że podnosić się on będzie po linii łukowatej zbliżonej do cykloidalnej — jeśli nie zgoła cykloidalnej.

Otóż mój stryjasek Toby swoją znajomością paraboli nie ustępował nikomu w Anglii, nie był jednak zbyt biegły w dziedzinie cykloidów; a chociaż mówił o nich co dzień, budowa mostu nie postępowała naprzód. — Spytamy o nie kogoś — rzekł pewnego dnia stryjasek Toby do Trima.

## ROZDZIAŁ XXVI

Gdy Trim zjawił się w bawialni i oznajmił mojemu ojcu, że dr Slop zajęty jest w kuchni sporządzaniem mostku — stryjaszek Toby, którego myśli, dzięki przygodzie z parą dziedzicznych butów do konnej jazdy, skierowały się na wojenne trakty, nie wątpił ani przez chwilę, że dr Slop przygotowuje dla niego model mostu zwodzonego markiza d'Hôpital. — To bardzo uprzejmie z jego strony — rzecze mój stryjasek Toby. — Proszę cię, Trimie, złóż cyrulikowi moje uszanowanie i powiedz, że jestem mu głęboko wdzięczny.

Gdyby głowa stryjaszka była skrzyneczką Savoyarda, a ojciec mój zaglądałby do niej nieustannie od jednego końca, nie mógłby otrzymać jaśniejszego wyobrażenia o czynnościach imaginacji stryjaszka Toby'ego; przeto mimo katapult, balist i taranów oraz gorzkich wyrzutów, jakie sobie z ich powodu czynił, ojciec ponownie zaczął tryumfować...

Gdy wtem odpowiedź Trima zerwała mu wieniec laurowy ze skroni i zmięty cisnęła na ziemię.

## ROZDZIAŁ XXVII

— Ach, ten twój nieszczęsny most zwodzony — rzecze mój ojciec. — Ale gdzie tam, za pozwoleniem W. Miłości — zawołał Trim — przecież to chodzi o mostek dla naszego panicza. Zuzanna powiada, że sprowadzając go na świat za pomocą tych swoich zatraczonych instrumentów doktor Slop zmiażdżył mu i spłaszczył nos na podobieństwo praśnego placka, więc teraz robi sztuczny mostek z kłębka waty i maluśkiego kawałka fiszbinu z gorsetu Zuzanny, żeby go odpowiednio uformować.

— Bracie Toby — zawołał ojciec — zaprowadź mnie bez chwili zwłoki do mojej sypialni.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Od chwili gdy zasiadłem do spisania historii mojego życia w celu zabawienia świata a moich myśli w celu udzielenia światu nauki, nad ojcem gromadzą się niepostrzeżenie chmury. Ze wszęch stron nadciągają się nie wicherem losu drobne troski i niepowodzenia. Ani jedna rzecz, jak sam słusznie zauważył, nie toczy się właściwym torem; teraz zaś chmury zgęstniały, nadciąga burza i lada chwila ulewny deszcz spadnie mu na głowę.

Rozpaczam tę część historii mojego żywota w najsmętniejszym i najbardziej melancholijnym nastroju ducha, jakiemu kiedykolwiek poddawało się prawdziwie współczujące serce. W miarę jej opowiadania odprężają się moje nerwy. Co napiszę linijkę, czuję, jak zwalnia się szybki rytm mego tętna, jak niknie owa na nic niebaczną popędliwość, która każdego dnia pcha mnie do mówienia i pisania tysiąca rzeczy wzbronionych. Gdy zaś po raz ostatni zanurzałem pióro w atramencie, nie mogłem wprost nie zauważyć, z jakim smutnym rozmysłem i jak uroczyście wykonywałem tę czynność. Mój Boże — jak różna ona była od kanciastych, pospiesznych gestów, do których przywykłeś, Tristramie, w innym znajdując się usposobieniu — kiedy to odrzucasz pióro obryzgując atramentem stół twój i książki, jak gdyby pióro i atrament, książki i sprzęty zgoła nic cię nie kosztowały!

## ROZDZIAŁ XXIX

Ani myślę prowadzić z wami o to sporu — tak się ta rzecz przedstawia, ja zaś najgłębiej jestem przekonany, „że zarówno mężczyźni, jak niewiasty najlepiej znoszą boleść i zgryzotę (jeśli się zaś nie mylę, również przyjemności) w pozycji horyzontalnej”.

Znalazłszy się w swej komnacie, ojciec mój padł natchmiaszt na łóżko w najdziwniejszym, jaki można sobie wyobrazić, nieładzie, lecz jednocześnie w najżałośniejszej, nad jaką kiedykolwiek wylewało łzy litościwego, pozie człowieka złamanego bólem. Dłoń jego prawej ręki, którą w czasie padania na łóżko dotknął czoła i osłonił oczy, osuwała się łagodnie (w miarę odgania łokcia) wraz z głową, dopóki nosem nie dotknął koldry; lewa ręka zwisała bezwładnie ku podłodze, jej palce spoczęły na uchu nocnego naczynia, które wychyńnięto spod frędzli kapy; prawa noga (lewą miał podkurczoną) zsunęła się do połowy z łóżka, którego rama ugniatała ojcu goleń. Lecz on nie czuł tego. Rysy jego twarzy znieruchomiały, zastygły w cierpieniu. Westchnął raz, pierś poruszała mu się prędko i gwałtownie — wszelako nie wyrzekł ani słowa.

U wezłowia łóżka, po tej stronie, bliżej której spoczywała głowa ojca, stało stare wyściełane krzesło obszyte frędzlą i ozdobione różnokolorowymi chwastami z włóczki. Na tym krześle zasiadł mój stryjasek Toby.

Zanim boleść zostanie przetrawiona, wszelkie pocieszenie jest przedwczesne; kiedy zaś zostanie już przetrawiona, za późno śpieszyć ze słowami pociechy. Tak więc cel, pani, do którego pocieszyciel winien mierzyć, znajduje się między jednym a drugim i niewiele jest grubszy od włosa. Strzały mojego stryjaska Toby'ego padały zawsze na tę lub na tamtą stronę, powiadał więc często, iż w głębi duszy mniema, że łatwiej byłoby mu trafić w południk. Dlatego gdy zasiadł na krześle, zsunął nieco zasłony, a ponieważ w każdej potrzebie i dla każdego miał gotową na zawołanie łzę, wyciągnął z kieszeni chustkę z przedniej weby, westchnął cicho — lecz milczał.

## ROZDZIAŁ XXX

Nie każdy zysk jest z pożytkiem człowieka. Chociaż więc ojciec mój miał szczęście czytać najdziwaczniejsze księgi na kuli ziemskiej, a co więcej, posługiwał się najdziwaczniejszym systemem myślenia, jakim kiedykolwiek ktokolwiek obdarzony został na tym świecie — miało to jednak tę złą stronę, iż czyniło go podatnym na najdziwaczniejsze i najfantastyczniejsze strapienia; najdowodniejszym zaś ich przykładem jest zgryzota, pod której ciężarem ugiął się obecnie.

Rzecz to oczywista, że zmiżdżenie kości nosowej dziecka zębami kleszczy (choćby nie wiem jak bardzo naukowa była metoda ich zastosowania) wytrącić może z równowagi każdego, kto tyle co mój ojciec zadał sobie trudu, aby począć potomka; jednakże nie tłumaczy w sposób należyty przesadnej zgryzoty ani też nie usprawiedliwia zgoła niechrześcijańskiego nieumiarkowania w uleganiu i poddawaniu się boleści.

Aby to wyjaśnić, muszę na pół godziny pozostawić ojca rozciągniętego na łóżku, stryjaska Toby'ego zaś siedzącego u wezglowia w starym, ozdobionym chwastami fotelu.

## ROZDZIAŁ XXXI

— Uważam to za nader wygórowane żądanie — zawołał mój pradziad mnąc papier i ciskając go na stół. — Według tych raportów masz, pani, w całym majątku zaledwie dwa tysiące funtów i ani pensa więcej, a jednak domagasz się, bym ci zapisał trzysta funtów rocznego dożywocia!

— To dlatego, mój panie — odparła prababka — że nie masz prawie nosa.

Otóż nie będzie chyba od rzeczy, jeśli dla uniknięcia

wszelkich niejasności w wypowiedziach na temat **NO-SA**, zamieszczonych w tej nadzwyczaj interesującej części mojej opowieści, zanim odważę się użyć po raz drugi tego słowa, wytłumaczę czytelnikowi, co ja sam przez nie rozumiem, oraz określe najskrupulatniej i najdokładniej, jakiego sensu, zgodnie z moim życzeniem, winien dorozumiewać się w nim czytelnik. Sądę bowiem, że li tylko z winy przewrotności i niedbalstwa pisarzy, którzy lekceważą sobie tego rodzaju środki ostrożności, nasze polemiki teologiczne nie są tak zrozumiałe i przekonywające, jak na przykład rozprawy na temat **BŁĘDNYCH OGNIKÓW** czy jakiegokolwiek innego przedmiotu z dziedziny filozofii i nauk przyrodniczych. Cóż więc winieneś, pisarzu, uczynić, zanim przystąpisz do rzeczy, jeśli nie chcesz tumanić czytelnika aż do dnia Sądu Ostatecznego? Ależ dać światu celną definicję (i trzymać się jej wytrwale) słowa, którym najczęściej będziesz się posługiwał, potem zaś zmieniać je, szlachetny panie, jak rozmienniasz gwineę na drobną monetę. A wtedy niech spróbuje wprawić cię w ambaras sam bożek zamętu — jeśli potrafi; lub niech wtłoczy odmienne wyobrażenie w twoją głowę lub w głowy twoich czytelników — jeśli wie, jak tego dokonać!

Podobne zaniedbanie byłoby niewybaczalne w księgach o założeniu moralnym i wywodzie ścisłym, jak ta, którą piszę. Bóg zaś mi świadkiem, jak boleśnie świat zemścił się na mnie za to, iż pozostawiłem nazbyt wiele okazji do dwuznacznej krytyki — oraz że cały czas ufałem tak bardzo czystości wyobraźni mojego czytelnika.

— Widzę tu dwa znaczenia — zawołał Eugeniusz podczas wspólnej ze mną przechadzki, wskazując palcem prawej dłoni słowo **SZCZELINA** na 156 stronie pierwszej części tej książki nad księgami. — Widzę tu dwa znaczenia — rzecze więc Eugeniusz. — Ja zaś widzę tu dwie ścieżki — odciałem mu się bez chwili namysłu — jedną suchą, drugą błotnistą. Którą pójdziemy? — Ależ suchą i czystą — odparł Eugeniusz. —

Eugeniuszu — rzekłem zachodząc mu drogę i kładąc dłoń na jego ramieniu — definiować znaczy nie do-wierzać. — W ten sposób odniosłem tryumf nad Euge-niuszem; lecz jak moje wszystkie tryumfy nad nim, i ten był tryumfem głupca. Tę jednak znajduję pocie-chę, że nie jestem głupcem upartym. Przeto:

Podaję następującą definicję nosa — błagając tylko wprzód i prosząc pokornie moich czytelników obojga płci i bez względu na wiek, kompleksję czy stan, aby przez miłość Boga i dusz własnych strzegli się przed pokusami i podszeptami szatana i nie pozwolili mu żadną chytrnością czy podstępem wtłoczyć sobie do głowy innych pojęć i wyobrażeń niż te, jakie ja zamieszczę w mojej definicji. Albowiem oświadczam, że pod słowem NOS w całym tym długim rozdziale o NOSACH oraz we wszystkich innych częściach mej książ-ki, w których się ono pojawia, rozumiem nos — i nic mniej ani nic więcej.

## ROZDZIAŁ XXXII

— To dlatego, mój panie — odparła prababka — że nie masz prawie nosa.

— Przekleństwo! — wykrzyknął mój pradziadek uderzając się dłonią po nosie. — Jeśli już o to idzie, to wcale nie jest on taki mały. Jest on o cal dłuższy od nosa mojego ojca. — Otóż nos mojego pradziadka był kubek w kubek podobny do nosów wszystkich mężów, niewiast i dzieci, których Pantagruel spotkał na wyspie PŁASKONOZJI. Zaznaczyć przy sposobności wypada, że jeśli chcecie poznać osobliwy sposób spokrewniania się ludzi płaskonosych, musicie prze-czytać dzieło mistrza Rabelais'go; sami nigdy się tego nie domyślicie.

Nos pradziadka, panie, był jak as treflowy.

— Jest o cały cal dłuższy — ciągnął mój pradziad

ściskając grzbiet nosa między kciukiem i palcem wskazującym. — Powtarzam ci, pani, iż jest o cały cal dłuższy od nosa mojego ojca. — Masz zapewne na myśli, panie, nos twojego wuja — rzekła moja prababka.

Mój pradziad poddał się. Rozprostował zmięty papier i podpisał zobowiązanie.

## ROZDZIAŁ XXXIII

— Jak wygórowaną sumę dożywocia, drogi mężu, płacić musimy z tego naszego chudego majątku — rzecze moja babka do mojego dziadka.

— Jegomość mój ojciec — odparł mój dziadek — tyle miał nosa na twarzy, ile ja, powiedzmy, mam go na spodzie dłoni.

Otóż wiedzcie, że moja prababka przeżyła mojego dziadka o lat dwanaście, w wyniku czego ojciec mój przez cały ten czas płacić jej musiał z tytułu dożywocia sto pięćdziesiąt funtów dwa razy do roku: na św. Michała i w dniu Zwiastowania.

Nie było chyba człowieka, który ohotniej niż mój ojciec dopełniałby swych pieniężnych zobowiązań. I do wysokości stu funtów ciskał na stół gwineę po gwinei owym żywym ruchem nieklamanej życzliwości, którym tylko ludzie szlachetni (i nie inni) ciskać potrafią na stół pieniądze. Zaledwie jednak zaczynał odliczać pozostałe pięćdziesiąt, chrząkał głośno i potępiająco, ruchem pełnym namysłu pocierał nos brzuścem wskazującego palca, wsuwał ostrożnie rękę między czaszkę a perukę, oglądał każdą gwineę z obu stron, zanim się z nią rozstał, i rzadko mógł doliczyć sumę do końca nie wyciągnąwszy z kieszeni chustki i nie otarłszy skroni.

Brońcie mnie, sprawiedliwe nieba, przed ludźmi zjadłymi, którzy nie pobbają tego rodzaju działającym w nas mechanizmom. Nigdy, przenigdy niech noga

moja nie przestąpi progę domostwa tych, co nie potrafią złagodzić własnej surowości i okazać wyrozumienia dla przemożnego wpływu wychowania i poglądów odziedziczonych po praojcach!

Od trzech najmniej pokoleń owa zasada przychylności dla długich nosów coraz głębiej zakorzeniła się w naszej rodzinie. TRADYCJA stała wiernie u jej boku, co sześć zaś miesięcy przybywał jej w sukurs IN-TERES; tak że dziwaczności umysłu mojego ojca w nikłej tylko mierze przypadł honor ukształtowania tego poglądu — odwrotnie jak się rzecz miała z większością innych jego cudacznych idei. Albowiem śmiało rzecz można, że ojciec mój wysłał go wraz z mlekiem matki. Wszelako nie należy odmawiać mu pewnych zasług. Wychowanie posiadało w nim ziarno owego błędnego mniemania (założywszy, że istotnie było ono błędne), lecz ojciec mój podlewał je i pielęgnował dopóty, dopóki pięknie nie wyrosło.

Wypowiadając zdanie w tej materii oznajmiał często, że nie może pojąć, jakim sposobem najznacniejszy nawet ród w Anglii mógłby ostać się klęsce nieprzerwanej sukcesji sześciu lub siedmiu krótkich nosów. I odwracając swoje twierdzenie dodawał zazwyczaj, iż byłaby to jedna z większych niesprawiedliwości w życiu publicznym, gdyby taka sama ilość następujących po sobie długich i wydatnych nosów nie podźwignęła i nie wyniosła rodu, który je wydał, na najznakomitsze urzędy w królestwie. Chętnie się też często mój ojciec, że ród Shandy'ch był jednym z najmniejszych w czasach króla Henryka VIII, lecz zawdzięczał swoją świetność nie machinie państwowej, a tylko NOSOM. — Przecie — dodawał — ród nasz, podobnie jak wiele innych, doświadczył zmienności fortuny i nigdy już nie zdołał podźwignąć się po straszliwej klęsce, jaką mu zgotował nos mojego pradziadka. — Był to istny as treflowy — wykrzykiwał ojciec potrząsając głową — prawdziwe nieszczęście dla rodziny, co niegdyś potrafiła wykładać same atuty.

Hola, stójże, łaskawy czytelniku! Dokąd wiedzie cię

twoja wyobraźnia? Klnę się na moją miłość do prawdy, że mówiąc o nosie pradziadka mam na myśli zewnętrzny organ powonienia, czyli tę część ludzkiego ciała, która sterczy w twarzy — i która, zdaniem mistrzów pędzla, w obliczach o rysach regularnych winna zajmować jedną trzecią ich długości — mierząc od nasady włosów w dół.

Ciężkie życie ma niekiedy autor!

## ROZDZIAŁ XXXIV

Szczególne to dobrodziejstwo, że natura, formując umysł człowieka, obdarzyła go tym samym błogosławionym konserwatyżmem i niechęcią do zmiany przekonań, jakie obserwujemy u starych psów, o których mówimy, że „nie uczą się nowych sztuczek”.

Jakże pocieszną chorągiewką na dachu stałby się natychmiast największy nawet filozof wszystkich czasów, gdyby czytał takie dzieła, obserwował takie fakty i snuł takie myśli, jakie skłaniałyby go do ustawicznej zmiany frontu.

Otóż ojciec mój, jak wam to już mówiłem w ubiegłym roku, czuł odrazę do tego rodzaju niestałości. Sięgał po jakiś pogląd tak, jak człowiek w stanie natury sięga po jabłko; staje się ono jego własnością — jeśli zaś człowiek ów jest człowiekiem z charakterem, gotów będzie oddać raczej życie niż jabłko.

Świadom jestem, że Didiusz, wielki cywilista, zaprzeczy słuszności moich wywodów i wystąpi przeciwko mnie wołając wielkim głosem: skąd się wywodzi prawo tego człowieka do jabłka? Z założenia wiemy, że mowa tu o stanie natury, więc jabłko należy w tej samej mierze do Willa, co do Johna. Powiedz mi, z łaski swojej, panie Shandy, jaki tytuł własności może ów pański człowiek okazać? I kiedyż jabłko zaczęło być jego własnością? Czy wtedy, gdy przyszła

mu na nie chętką? Lub gdy je zerwał? Albo gdy żuł? Albo piekł na ogniu? Albo obierał ze skórki? Albo przyniósł do domu? A może gdy trawił? Lub gdy...? Rzecz to bowiem oczywista, panie, że skoro podnosząc jabłko nie nabył prawa własności, nie mogła mu go również nadać żadna późniejsza czynność.

— Bracie Didiuszu — odpowie mu na to Triboniusz (a że broda Triboniusza, cywilisty i kanonisty, jest o trzy i pół i trzy ósme cala dłuższa od brody Didiusza, rad jestem, iż wstąpi on za mnie w szranki, dzięki czemu ja nie muszę już troszczyć się o odpowiedź). — Bracie Didiuszu — odpowie więc Triboniusz — jest to rzecz od dawna rozsądzona, co potwierdzą ci niektóre artykuły kodeksów Grzegorza i Hermoginesa oraz wszystkie zbiory praw od kodeksu Justyniana począwszy, a na kodeksie Ludwika i Des Eaux skończywszy, że pot spływający z ludzkiego czoła i ekshalacje wydobywające się z ludzkiego mózgu są taką samą własnością człowieka, jak na przykład spodnie na jego tyłku; że zaś rzeczony ów pot etc. zrosił rzeczony jabłko podczas pracy znajdowania go i podnoszenia w pocie czoła oraz że, co więcej, został nieodwołalnie stracony i równie nieodwołalnie przeniesiony przez zrywającego na rzecz zrywaną — wynika stąd jasno, iż człowiek, który zerwał jabłko, pomieszał coś, co było jego niezaprzeczoną własnością, z jabłkiem, które nie należało do niego, w następstwie czego nabył prawo własności. Czyli innymi słowy: jabłko należy do Johna.

Opierając się na analogicznym uczonym wywodzie ojciec mój bronił wszystkich swoich opinii. Zbierał je nie szcędząc trudów i mozołów, a im bardziej różniły się od ogólnie przyjętych, tym lepszy miał tytuł własności. Nikt nie rościł sobie do nich prawa; a co więcej, odpowiednie ich przyrządzenie i strawienie kosztowało go tyle co najmniej trudu, ile w opisanym wyżej przypadku z jabłkiem, przeto rzecz można z czystym sumieniem, iż stały się nieodłączną częścią jego dobytku. Nie dziwota więc, że trzymał się ich ze wszystkiej mocy — zarówno rękami, jak nogami i, krótko

mówiąc, rad byłby obwarować i umocnić je za pomocą tyłu szańców i przedpiersieni, ilu mój stryjasek Toby użyłby do ocalenia zagrożonej twierdzy.

Ale tkwił w tym jeden poważny szkopuł: brak materiałów, z pomocą których ojciec mój mógłby podjąć jaką taką obronę na wypadek zręcznie przeprowadzonego ataku, ponieważ nieliczni tylko ludzie obdarzeni geniuszem poświęcili swoje talenty tworzeniu dzieł na temat wielkich NOSÓW. Klnę się na koślawy chód mojej nędznej szkapy — wprost trudno w to uwierzyć. Aż strach pomyśleć, jakie nieprzebrane skarby czasu i zdolności zmarnotrawione zostały przy opracowywaniu mniej godnych przedmiotów — i jak wiele milionów ksiąg we wszystkich językach świata, drukowanych wszelkimi możliwymi czcionkami i oprawionych we wszelkie możliwe okładki, poświęconych zostało zagadnieniom ani w połowie tak istotnym dla sprawy harmonii i pokoju na świecie. Lecz do tych dzieł, które istniały, ojciec mój tym większą przykładął wagę; a chociaż często dworował sobie z księgozbioru stryjasek Toby'ego, który to księgozbiór, zaznaczyć wypada, był naprawdę pocieszny — to przecież jednocześnie gromadził wszystkie książki i rozprawy traktujące o nosach z taką samą dbałością, z jaką cny mój stryjasek zbierał traktaty o wojennym budownictwie. Prawda to, że księgi ojca pomieściłyby się na znacznie mniejszym stole — lecz nie ciebie trzeba o to winić, drogi mój stryjasek.

Tutaj — ale dlaczego tutaj, nie zaś w którejkolwiek innej części mojego dzieła — tego nie umiem powiedzieć, lecz tutaj właśnie serce przykazuje mi, drogi stryjasek, złożyć hołd twojej dobroci. Tutaj niech mi wolno będzie odsunąć na bok krzesło i uklękawszy na podłodze wyrazić najgorętszy afekt dla ciebie i najgłębszą cześć dla doskonałości twojego charakteru, uczucia najżarliwsze, jakie kiedykolwiek cnota i natura rozpałyły w sercu bratanka. Pokój i błoga radość niech zawsze będą z tobą! Ty nie zazdrościłeś nigdy bliźniemu twojemu dobrobytu ani nie ranieś jego

uczuć. Nie oczerniałaś charakteru twojego bliźniego ani nie odejmowałaś mu od ust kęsa strawy; łagodnie, z wiernym Trimem u boku, poruszałaś się wewnątrz małego kręgu twych radości, nie wchodząc nikomu w drogę. Dla cudzego smutku miałaś zawsze łzę w oku; dla cudzego niedostatku — szylinga w sakiewce.

Dopóki stać mnie będzie na pielenie — ścieżka od drzwi twego domu na murawę do gry w kule nie zarosnie zielskiem. Dopóki w posiadaniu rodu Shandy'ch znajdować się będzie chociaż morga gruntu, twoje fortyfikacje, drogi mój stryjaszku Toby, pozostaną niezniknięte.

## ROZDZIAŁ XXXV

Księgozbiór mojego ojca, acz nie był liczny, był za to bardzo osobliwy i z tej przyczyny na zgromadzenie go rodzic mój niemało poświęcił czasu. Jednakże dzięki łaskawemu uśmiechowi fortuny początki miał dobre, gdyż zdobył prolog pióra Bruscombille na temat długich nosów nieomal za bezcen — dał bowiem za niego tylko trzy półkorony. A zawdzięczał to temu jedynie, że księgarz dostrzegł silne upodobanie, jakie ojciec mój powziął do tej książki, zaledwie ujął ją w rękę. — W całym świecie chrześcijańskim znajdziesz, panie, co najwyżej trzy Bruscombille — rzekł księgarz — nie licząc tych, które umocowane są na łańcuchach w bibliotekach zbieraczy osobliwości. — Mój ojciec cisnął pieniądze na stół z szybkością błyskawicy, przytulił książkę do piersi i pośpieszył z nią do domu, z Piccadilly na Coleman Street, tak jak podążałby ze skarbem: ani razu nie odjąwszy odeń ręki.

Tym, którzy nie wiedzą dotąd, do jakiej płci należy Bruscombille — jako że prolog na temat długości NOSÓW równie łącznie mógłby napisać osobnik rodzaju

żeńskiego, jak męskiego — nie od rzeczy będzie przytoczyć następujące porównanie: że znalazłszy się w do-  
mu ojciec mój rozkoszował się swym woluminem  
w taki sposób, w jaki (przyjmuję zakład dziesięć do  
jednego) ty, wielmożny panie, rozkoszowałeś się swą  
pierwszą kochanką — czyli od rana do późnej nocy.  
Zaznaczyć zaś wypada, że jakkolwiek zatrudnienie to  
może być niezwykle przyjemne dla amanta, niewiele  
lub żadnej uciechy nie dostarcza widzowi. Zwróćcie  
uwagę, że tu przerywam moje porównanie — oczy  
ojca bardziej były nienasycone niż jego apetyt, jego  
zapał większy niż zasób wiedzy. Ochłódł, sympatie  
swoje podzielił między wielu — zdobył Prignitza, na-  
był Scroderusa, Pareusza, „Wieczorne rozmowy” Bou-  
cheta, a co najważniejsze, dzieła słynnego i światłego  
Hafena Slawkenbergiusza, o którym teraz nie powiem  
nic, gdyż niebawem będę miał o nim bardzo wiele do  
powiedzenia.

## ROZDZIAŁ XXXVI

Żadne z dzieł, które ojciec mój z wielkim mozolem  
zdobywał i z nie mniejszym studiował, szukając po-  
parcia dla swojej hipotezy, nie zgotowało mu począt-  
kowo tak okrutnego zawodu, jak napisany wielce cno-  
tliwym piórem wielkiego i czcigodnego Erazma słynny  
dialog między Pamfagusem a Coelem na temat róż-  
nych pożytków i właściwego zastosowania długich  
NOSÓW. — Otóż, drogie moje dziewczę, nie pozwól,  
aby szatan skorzystał w tym rozdziale z jakiegokol-  
wiek skrawka wyniosłości gruntu i dosiadł z niego  
okrakiem twą imaginację. Jeżeli zaś jest tak zwinny,  
że mimo to skoczy na siodło — wysłuchaj mojego błą-  
gania i jak nie ujeżdżona źrebica brykaj, skacz, sta-  
waj dęba, dawaj susy i wierzgaj, dopóki na podobień-  
stwo kobyły Tickletoby'ego nie zerwiesz podogonia lub

popręgu i nie ciśniesz jego diabelskiej mości w błoko. Nie musisz go zabijać.

— Wybacz, lecz kto zacz jest kobyła Tickletoby'ego? — Pytanie to tak wielką przynosi ci, panie, ujmę i tak niegodne jest człowieka wykształconego, jak gdybyś spytał, w którym roku (*ab urbe condita*) wybuchła druga wojna punicka. Kto zacz jest kobyła Tickletoby'ego? Czytaj, czytaj, czytaj, czytaj, mój nieuku! Czytaj, bo inaczej — klnę się na mądrość wielkiego świętego Paraleipomenona — powiem ci z góry, abyś natychmiast odrzucił precz tę książkę. Albowiem bez rozległego odczytania, przez co, jak to wasze wielebności rozumieją, mam na myśli rozległą wiedzę, nie będziesz zdolny pojąć sensu moralnego następnej marmurkowatej stronicy (*pstre godło mego dzieła*) — podobnie jak świat z całą swą mądrością nie zdołał odcyfrować mnogich opinii i prawd filozoficznych, które dotąd leżą mistycznie ukryte pod nieprzeniknioną zasłoną strony czarnej.

## ROZDZIAŁ XXXVII

— *Nihil me paenitet hujus nasi* — rzekł Pamfagus; czyli: „Nos mój dobrze mi się przysłużył”. — *Nec est cur paeniteat* — odparł Coelus, czyli: „Jakże, u diaska, mógłby taki nos zawieść?”

Doktryna ta, jak sami widzicie, wyłożona została przez Erazma dokładnie tak, jak mój ojciec sobie tego życzył — z najdoskonalszą prostotą. Jednakże rozczarowanie mojego ojca wypływało stąd, iż u pisarza tak świetnie władającego piórem nie znalazł nic prócz nagiego faktu — nic z owej subtelnej dociekliwości, wielostronnej sprawności wywodu, którymi nieba obdarzyły człowieka w tym celu, aby badał prawdę i walczył o nią na każdym kroku. Początkowo ojciec mój sapał i fukał w zgoła przerażający sposób. Lecz wiel-

W pierwszych wydaniach znajdowała się tutaj  
marmurkowata stronica.

kie imię to nie fraszka; dialog był dziełem Erazma, tedy ojciec ochłonął niebawem i odczytał go kilka razy, z wielką pilnością doszukując się wciąż i wciąż odszego i najakuratniejszego sensu — ale nadal nie znajdował rozwiązania. — Być może więcej jest w tym dziele znaczenia ukrytego niż wyraźnego — rzekł mój ojciec. — Uczni mężowie, drogi Toby, nie na darmo piszą dialogi w przedmiocie długich NOSÓW. Zbadam sens mistyczny i alegoryczny tego dzieła. Człowiek może się tam łąco czegoś doszukać.

Ojciec mój czytał dalej.

W tym miejscu czuję się zmuszony powiadomić wasze wielebności i wielmożności, że prócz mnogich przykładów pożytku, jaki przynoszą wielkie nosy w zeglarstwie, które to przykłady wylicza Erazm, autor dialogu twierdzi, iż narządy te są niemałym udogodnieniem w domowym gospodarstwie; albowiem w nagłym strapieniu i przy braku miechów nadają się doskonale *ad excitandum focum* (czyli do rozniecenia ognia).

Natura obsypała mojego ojca darami nadzwyczaj szczodrze i posiała w nim ziarno umiejętnej krytyki tekstu nie mniej głęboko niż ziarna wszystkiej innej wiedzy; wziął tedy ojciec do ręki scyzoryk i zaczął dokonywać z Erazmowym zdaniem eksperymentów, próbując doskrobać się w nim jakowegoś głębszego sensu. — Gdyby nie jedna jedyna litera, bracie Toby — zawołał w końcu — przeniknąłbym ukryty sens wypowiedzi. — Głowę dam, drogi bracie — odparł mój stryjaszek — iż jesteś o krok od prawdy. — Ech! — rzekł ojciec skrobiąc dalej zawzięcie — równie dobrze mogę mieć przed sobą siedmiomilowy szmat drogi. Mam! — zawołał trzaskając palcami. — Spójrz, drogi bracie Toby, jak poprawiłem sens. — Ale zatarłeś jedno słowo — odparł stryjaszek. — Ojciec włożył okulary, zagryzł wargi i, rozsierdzony, wydarł kartkę z książki.

O Slawkenbergiuszu! Wierny badaczu przyczyn mojej niesławy — smutny wieszczu tak licznych chłost i cięgów, które w tym czy innym okresie życia spadały na mnie z przyczyny krótkości mojego nosa i, o ile wiem, z żadnej innej! Rzeknij mi, Slawkenbergiuszu! Jaki pchnął cię do tego tajemny pocho? Jaki głos przemówił i jaka była jego barwa? Skąd ku tobie przyplłynął? Jak brzmiał w twoich uszach? Czyś pewien jest, żeś go słyszał — ów głos, który pierwszy rozkazał ci: — Idź, idź, Slawkenbergiuszu! Poświęć trudy całego żywota — wyrzeknij się uciech — wyteż wszystkie władze i zdolności swej natury — wyniszczyć siły swoje w służbie ludzkości, lecz napisz wielkie FOLIO na temat NOSÓW.

Ponieważ Hafen Slawkenbergiusz zmarł i leży w grobie od lat dziewięćdziesięciu, my możemy jedynie zgadywać, jaką drogą przekazane mu zostało to wezwanie, jak się to stało, że widział, czyj palec dotknął klawisza i czyja ręka poruszyła miechy.

O ile ja wiem, zagrano na Slawkenbergiuszu w taki mniej więcej sposób, jak na jednym z uczniów Whitefielda; mianowicie tak wyraźnie rozróżniał, który z dwóch mistrzów wprawiał się na jego instrumencie, że wszelkie na ten temat dociekania stały się zbędne.

Albowiem w przedstawionym świecie przez Hafena Slawkenbergiusza objaśnieniu motywów i przyczyn, jakie go skłoniły do napisania oraz poświęcenia tylu lat życia tej jedynej pracy — przy końcu przedmowy, która, zaznaczyć należy, winna była znaleźć się na pierwszym miejscu, została jednakże najniesłuszniej umieszczona przez introligatora pomiędzy spisem treści i głównym tekstem — wielki ów mistrz poucza czytelnika, że odkąd dorósł wieku umysłowej dojrzałości i mógł w duchu rozpatrzeć spokojnie prawdziwe położenie i kondycję człowieka oraz dostrzec kres i cel jego istnienia; czyli, aby skrócić mój przekład, albo-

wiem książka Slawkenbergiusza napisana jest łaciną i daleko jej do zwięzłości w tym ustępie: „Odkąd zrozumiałem — pisze Slawkenbergiusz — w ogóle cokolwiek lub raczej co jest co, i zdołałem pojąć, że zagadnienie długich NOSÓW traktowane było zbyt niedbale przez wszystkich, którzy się go dotąd imali — ja, Slawkenbergiusz, poczułem silny popęd, jako też przemożne i nieodparte pragnienie poświęcenia wszystkich sił temu przedsięwzięciu”.

Aby zaś oddać Slawkenbergiuszowi sprawiedliwość, rzec trzeba, że wszedł w szranki uzbrojony w mocniejszą kopię i lepiej się sprawiał niż wszyscy, którzy przed nim puszczali się w zapasy; i doprawdy z wielu względów zasługuje na to, by postawić go na piedestale jako wzór do naśladowania dla wszystkich pisarzy, zwłaszcza zaś autorów dzieł obszernych. Objął bowiem, czcigodny panie, całość przedmiotu, zbadał każdą jego część dialektycznie, po czym wyniósł je na jasność dnia; przelał nań całe światło, które albo skrzesać mógł z iskier przyrodzonych swego talentu lub też które wzniecić mu pozwalała najgruntowniejsza znajomość nauk przyrodniczych — porównując, zestawiając, kompilując, wyprasząc, pożyczając, kradnąc w miarę tworzenia wszystko, co napisane lub powiedziane zostało na ten temat w czasie swarliwych dysput w akademiach i w gronach najuczeńszych mężów. Tak że książka Slawkenbergiusza słusznie uważana być może nie tylko za wzór, lecz również za metodyczny traktat, kodeks obejmujący wszystko, co o nosach wiedzieć warto lub należy.

Z tej przyczyny powstrzymuję się od omówienia wielu innych wartościowych skądinąd ksiąg i rozpraw w bibliotece ojca, które albo bezpośrednio traktują o NOSACH, albo też pobocznie o nie zawadzają. Jak na przykład leżące przede mną na stole dzieło Prignitza, który z niezmierną uczonością i w oparciu o wyniki nadzwyczaj bezstronnych i naukowych oględzin ponad czterech tysięcy czaszek w ponad dwudziestu kostnicach Śląska, objaśnia nas, iż budowa i wy-

miary części kostnych ludzkiego nosa we wszystkich krajach (prócz Tatarii Krymskiej, gdzie wszystkie nosy wgniecione zostały kciukiem — tak że nie można na ich podstawie budować żadnych opinii) bardziej są do siebie zbliżone, niż świat przypuszcza. Różnice między nimi, powiada Prignitz, są tak znikome, że nie warto się nad nimi zastanawiać. Natomiast wielkość i krasa każdego poszczególnego nosa, wywodzi dalej Prignitz — wszystko to, dzięki czemu jeden nos bardziej jest ceniony od drugiego i wyższą osiąga wartość — zależy od chrząstkowatych i mięśniowych jego tkanek. Otóż krew wraz z substancjami lotnymi wciągana jest w żyły i kanały tych tkanek przez żywość i siłę imaginacji, której siedlisko mieści się tuż (inaczej rzecz się ma z idiotami, co do których Prignitz, spędziwszy wiele lat życia w Turcji, snuje przypuszczenie, iż znajdują się oni pod bardziej bezpośrednią opieką niebios). Przeto wynika z powyższego niezbitcie i nie może być inaczej, powiada Prignitz, że doskonałość nosa jest w stosunku wprost proporcjonalnym do doskonałości wyobraźni jego właściciela.

Z tej samej przyczyny, czyli dlatego, że wszystko to zamieszczone jest w dziele Slawkenbergiusza, nie będą także wspominał o Scroderusie (Andreasie), który (co dla nikogo nie jest tajemnicą) zaatakował Prignitza z wielką zaciętością — udowadniając najpierw w oparciu o przesłanki logiki, potem zaś na podstawie szeregu niezbitych faktów, że Prignitz pobłądził całkowicie, dowodząc, iż wyobraźnia kształtuje nos, ponieważ, odwrotnie, nos kształtuje wyobraźnię.

Uczeni podejrzewali, że Scroderus dopuszcza się niecnego sofizmu; Prignitz zaś grzmiał podczas dysputy, że Scroderus strawestował jego tezę — jednakże Scroderus nieustępliwie bronił swego.

Ojciec mój wahał się właśnie, po czyjej stanąć stronie, gdy Ambroży Pareusz rozstrzygnął za niego wątpliwość w ciągu jednej chwili i obaliwszy system zarówno Prignitza, jak Scroderusa — natychmiast zgasił w ojcu wszelkie zainteresowanie dla sporu.

Wiedźcie, że...

Nie zamierzam bynajmniej pouczać uczonego czytelnika — przytaczam poniższe w tym jedynie celu, aby pokazać uczonym, że fakt ten jest mi znany.

...że ów Ambroży Pareusz był głównym cyrulikiem i naprawiaczem nosa Franciszka IX, króla Francji, oraz że cieszył się jego wielkim zaufaniem, jak również zaufaniem dwóch poprzedzających go czy też następujących po nim władców (doprawdy nie pamiętam których), i że wyjąwszy błąd, jaki popełnił w opisie nosów Taliakocjusza oraz w sposobie ich przyprawiania — był w owym czasie czczony przez całe kolegium medyczne i uważany za człowieka świątleszego w sprawach NOSÓW niż wszyscy, którzy kiedykolwiek przed nim trzymali je w ręce.

Otóż ów Ambroży Pareusz przekonał mojego ojca, że jedynie prawdziwa i ważka w skutkach przyczyna tego, co tak bez reszty pochłaniało uwagę świata i na co Prignitz i Scroderus strawili ogromne zasoby wiedzy i przyrodzonych talentów, wcale nie była taka, lecz że długość i nadobność nosa zależą od miękkości i flakowatości piersi mamki, podobnie jak płaskość i perkatość ostatnich nosów uzależnione są od jędrności i twardości tegoż organu żywienia u niewiast czerstwych i młodych — co jakkolwiek pochlebne daje świadectwo o samych niewiastach, zgubę gotuje dziecięciu, ponieważ nos jego tak bywa wgniatany, zadzierany do góry, przyciskany i maltretowany, że nigdy nie zdoła osiągnąć *mensuram suam legitimam*. Natomiast, powiada Pareusz, w przypadku sflaczałości i miękkości piersi matki lub mamki nos, na skutek zagłębiania się w rzeczonym organie niczym w oselce masła, bywa wzmocniony, odżywiony, utuczony i odhodowany, a także znakomicie przysposobiony do dalszego rośnięcia.\*

\* „...to dlatego, że moja mamka miała miękkie cycusie; owo gdy mnie karmiła, nos wlaził tam jak w masło i rósł sobie w nim i pęczniał niby ciasto w dzieży. Twarde cycyki u mamki robią z dzieci płaskonosów...” Rabelais: „Gargantua”, ks. I, rozdz. XL, w przekładzie

Czuje się obowiązany wypowiedzieć na temat Pareusza dwie jeno uwagi. Po pierwsze: że udowadniając i tłumacząc powyższe zachował godną podziwu czystość i obyczajność mowy — za co dusza jego po wsze czasy niech zażywa pokoju!

Po drugie: że prócz systemów Prignitza i Scroderusa, które hipoteza Pareusza tak skutecznie obaliła — zburzyła ona także system pokoju i harmonii w naszej rodzinie i na trzy długie dni nie tylko zmała zgodę między ojcem a matką, lecz również wywróciła dom cały i wszystko, co było w jego wnętrzu (prócz stryjaska Toby'ego) na nice.

Wiedziecie bowiem, że moja matka... Lecz istnieje pięćdziesiąt innych spraw, o których pierwiej winniście się dowiedzieć. Mam na widoku sto trudności, które obiecałem wam usunąć, tysiące zgryzot i domowych strapień, które spiętrzą się nade mną jedne nad drugimi w nieprzejrzanym szeregu. Krowa wdarła się (jutro rano) do fortyfikacji stryjaska Toby'ego i zjadła półtrzecia racji świeżego siana, niszcząc przy sposobności darninę, którą obrzucony był przyszaniec i kryte przejście. Trim domaga się, aby ją postawić pod sąd polowy — krowa ma być rozstrzelana — dr Slop ukrzyżowany — a ja sam mam zostać Tristramem i męczennikiem w chwili chrztu! Jakże wszyscy godni jesteśmy litości! Poza tym należałoby zmienić mi pieluchy, lecz nie czas na próżne żale — zostawiłem przecie ojca leżącego na łóżku, stryjaska Toby'ego zaś siedzącego w starym, zdobnym frędzlami fotelu i obiecałem, że wrócę do nich za pół godziny. A tymczasem upłynęło już trzydzieści i pięć minut. Ze wszystkich trudności, w jakich kiedykolwiek znajdował się autor będący zwykłym śmiertelnikiem, ta jest zapewne najogromniejsza — albowiem muszę dokończyć lektury *folio* Hafena Slawkenbergiusza, przytoczyć dialog między moim ojcem a stryjaskiem Toby'm dotyczący hipotez Prignitza, Scroderusa, Ambro-

Boya. Oto próbka częstego zapożyczania się Sterne'a u Rabelais'go. (przyp. tłum.)

żego Pareusza, Ponokratesa i Grangousiera, przetłumaczyć jedną z opowieści Slawkenbergiusza, a wszystko to w czasie o pięć minut krótszym od zera. Co za głowa! Wielkie nieba — gdybyż tylko wrogowie moi mogli zajrzeć do jej wnętrza!

## ROZDZIAŁ XXXIX

Nie widywało się chyba w naszej rodzinie sceny zabawniejszej, chcąc zaś oddać jej na tym miejscu sprawiedliwość, zdejmuję mą czapeczkę i kładę na stole tuż obok kałamarza, aby w ten sposób moja niniejsza deklaracja wobec świata brzmiała tym solennie. Wierzę najszczerzej (chyba że zaślepiea mnie zbytek ufności do własnego sądu), iż ręka najwyższego Twórcy i pierwszego Autora wszechrzeczy nigdy nie stworzyła czy skupiła rodziny (przynajmniej w okresie, który podjąłem się opisać), której charakteru ukształtowane byłyby i przeciwstawione sobie z tak trafnym wyczuciem teatru, jak w rodzinie naszej, i której zdolnościom zagranie tak przewybornych scen, zmieniających ustawicznie, od świtu do nocy, powierzone zostałyby z tak bezgranicznym zaufaniem, jak RODZINIE SHANDY'CH.

Żaden, powiadam, z tych scenicznych obrazków przedstawianych w naszym dziwnym teatrze nie był zabawniejszy od tego, któremu za natchnienie służył przedmiot długich nosów — zwłaszcza gdy pilne studia rozpałyłę imaginację mojego ojca, w wyniku czego zaspokoić mogło ją jedynie rozpalenie imaginacji stryjaszka Toby'ego.

Stryjaszek Toby robił co mógł, aby ułatwić mojemu ojcu to zadanie; z chwalebłą cierpliwością siadywał godzinami paląc fajkę, podczas gdy ojciec przeprowadzał na jego głowie eksperymenty i wszelkimi dostępnymi drogami starał się wprowadzić do niej teorie Prignitza i Scroderusa.

Czy przekraczały one zdolność pojmwania mojego stryjaszka, czy też były mu niemiłe — lub może umysł jego przypominał wiązkę wilgotnych drzew, której nie ma się żadna iskra, czy że wreszcie wypełniony był po brzegi podkopami, minami, zasłonami, szańcami i tym podobnymi wojennymi obciążeniami, które czyniły go niezdolnym do wniknięcia w doktryny Pri-gnitza i Scroderusa — nie umiem powiedzieć. Niech spierają się o to uczeni, kuchciki, anatomowie i inżynierowie.

Była to bez wątpienia okoliczność nader w tej sprawie niefortunna, że ojciec mój musiał tłumaczyć stryjaszкови Toby'emu każde słowo z łaciny Slawkenbergiusza, a ponieważ bynajmniej nie władał tym językiem w sposób mistrzowski, przekład jego nie zawsze odpowiadał wymogom wierności — najmniej zaś w tych miejscach, gdzie wierność była najbardziej nieodzowna. To w sposób naturalny prowadziło do drugiego zła; mianowicie, gdy ojciec mój wpadał w największy ferwor i najgorliwiej starał się otworzyć stryjaszкови oczy, myśli jego o tyle prędsze były niż jego tłumaczenie, o ile tłumaczenie wyprzedzało myśli stryjaszka Toby'ego — nie dziwota więc, że ani jedno, ani drugie nie sprzyjało jasności wykładu mojego ojca.

## ROZDZIAŁ XL

Zdolność rozumowania na podstawie przesłanek i budowania sylogizmów — mam tu na myśli ludzi, albowiem u istot wyższego rzędu, takich jak anioły i duchy, wszystko to, proszę łaski panów, odbywa się jakoby drogą INTUICJI, istoty zaś niższe, co waszym wielmożnościom dobrze jest wiadome, wywodzą sylogizmy NOSAMI; znajduje się co prawda na morzu jedna wyspa (aczkolwiek nie bardzo jej z tym wygodnie), której mieszkańcy — jeśli nie zwodzą mnie myl-

ne informacje — wyposażeni są w tak nadzwyczajne zdolności, że rozumując wężem często osiągają bardzo dobre wyniki; ale to nie ma nic do rzeczy —

A więc zdolność robienia tego jak należy wśród nas, czyli innymi słowy, podstawowa i doniosła czynność przeprowadzania dowodów rozumowych przez człowieka polega, jak pouczają nas mistrzowie logiki, na znalezieniu zgodności lub niezgodności między dwoma pojęciami dzięki pośrednictwu trzeciego pojęcia (które zwie się *terminus medius*). Podobnie człowiek, według trafnego przykładu Locke'a, miarą pręta stwierdza, że kręgielnie dwóch jego sąsiadów są jednakowej długości; a przecież równości tych kręgielni nie dałoby się wymierzyć przez nałożenie jednej na drugą.

Gdyby wielki ów myśliciel widział, jak ojciec mój wyklada różne teorie nosów i gdyby mógł zaobserwować zachowanie się mojego stryjaska Toby'ego: jak uważnie przysłuchuje się każdemu słowu, jak często wyjmuje fajkę z ust, z jak wyborną powagą bada wzrokiem jej długość trzymając ją poprzecznie między palcem wskazującym a kciukiem, potem z przodu wzdłuż, potem z tej strony, potem z tamtej, we wszystkich możliwych kierunkach i perspektywach — niechybnie wysnułby wniosek, że stryjasek Toby znalazł *terminus medius* porównania i z jego pomocą buduje sylogizmy i sprawdza trafność każdej hipotezy dotyczącej długich nosów w takim ordynku, w jakim przedstawia je mój ojciec. To zaś, zaznaczyć wypada, przerastało życzenia ojca; wygłaszał on bowiem swoje filozoficzne nauki nie szczczędając trudów i mozolów w tym celu, aby umożliwić stryjaskowi Toby'emu nie udział w dyskusji, lecz zrozumienie przedmiotu; aby zacny mój stryjasek posiadał grany i skrupuły wiedzy, ale ich nie rozważał. Jak przekonać się w następnym rozdziale, stryjasek Toby nie uczynił ani tak, ani siak.

— Wielka to doprawdy szkoda! — zawołał mój ojciec któregoś zimowego wieczora po trzech godzinach mozolnej pracy nad przekładem łaciny Sławkenbergiusza. — Wielka to doprawdy szkoda — zawołał ojciec wsuwając do książki miast zakładki bibułkę do owijania nici, własność mojej matki — że prawda, drogi bracie Toby, chroni się do tak niezdożytych twierdzeń i tak niekiedy bywa uparta, iż nie chce skapitulować mimo najsroższego obłączenia.

Otóż zdarzyło się wtedy, jak w istocie często zdarzało się już przedtem, gdy ojciec wykladał stryjaszkowi Toby'emu treść dzieła Prignitza, że imaginacja stryjaszka, nie mając na czym się zatrzymać, pomknęła na chwil kilka na murawę do gry w kule, a zacny mój stryjaszek rad byłby przenieść się tam również ciałem. Zachowując tedy pozory scholastyka, który pochłonięty jest *terminus medius*, stryjaszek Toby tak był w rzeczy samej nieświadom treści dyskursu oraz wszystkich argumentów *pro* i *contra*, jak gdyby ojciec mój tłumaczył łacinę Hafena Sławkenbergiusza na język Czerokezów. Jednakże obdarzone magiczną siłą słowo o b l ę ż e n i e, którego ojciec użył w swojej metaforze, przygnało z powrotem imaginację mojego stryjaszka z prędkością dźwięku rozbrzmiewającego pod dotknięciem struny. Stryjaszek Toby nastawił uszu, a gdy wyciągnął fajkę z ust i przysunął krzesło do stołu, jak gdyby pragnął wynieść największy pożytek z wykładu, ojciec mój z wielkim ukontentowaniem rozpoczął zdanie od nowa, zmieniając tylko jego układ i opuszczając metaforę o obłączeniu, aby uniknąć pewnych niebezpieczeństw, które w związku z nią przewidywał.

— Wielka to w istocie szkoda — powiedział tedy mój ojciec — że prawda, bracie Toby, może znajdować się po jednej tylko stronie, zwłaszcza gdy się zważy

pomysłowość, jaką wszyscy ci uczeni wykazali w swoich rozwiązaniach nosów.

— Czy nos można rozwiązać? — spytał mój stryjasek.

Ojciec odepchnął w tył krzesło, wstał, włożył kape-lusz na głowę, w czterech susach dopadł drzwi, otwo-rzył je gwałtownie, wysunął do połowy głowę na ko-rytarz, zamknął na powrót drzwi, nie zwrócił uwagi na skrzypiące zawiasy, podszedł do stołu, wyciągnął bibułkę do owijania nici (własność mojej matki) z księgi Slawkenbergiusza, skierował się śpiesznie do biurka, wolnym krokiem wrócił do stołu, okręcił so-bie bibułkę do owijania nici wokół kciuka, rozpiął ka-mizelkę, cisnął bibułkę do kominka, przegryzł na pół atlasową poduszczkę do szpilek napełniając sobie usta trocinami, posłał trociny do wszystkich diabłów. Zważcie jednak, że druzgocące przekleństwo skiero-wane zostało w istocie do intelektu stryjaszka Toby'e-go, który to intelekt i tak już w wielkim znajdował się pomieszeniu — przekleństwo nabite było jeno tro-cinami, trociny zaś, za przeproszeniem waszych wiel-możności, były tym co najwyżej, czym proch jest dla kuli.

Szczęście to prawdziwe, że napady gniewu ojca nie trwały długo, albowiem dopóki trwały, dopóty nie dawały mu chwili wytchnienia; jednym zaś z naj-mniej zrozumiałych zjawisk, z jakimi spotkałem się w trakcie moich obserwacji natury ludzkiej, jest to, że nic tak nie wzmagało popędliwości mojego ojca ani nie doprowadzało go do tak namiętnych wybuchów, jak niespodziewane i nagłe ciosy, które cudaczna pro-stota pytań stryjaszka Toby'ego zadawała naukowym wywodom. Gdyby dziesięć tuzinów szerszeni wbiło mu jednocześnie żądła w tyleż różnych miejsc na tyl-nej części ciała, nie zdołałby wykonać więcej mecha-nicznych czynności w przeciągu krótszego czasu ani też nie byłby tym tak poruszony, jak bywał na sku-tek jednego jedyne go *quaere*, które złożone z czterech

słów niewczesnie zaskakiwało mu drogę w czasie KONIKOWATEGO galopu.

Stryjaszek Toby bynajmniej się tym nie przejmował i palił dalej fajkę z niewzruszonym spokojem; nie zamierzał przecież nigdy wyrządzić bratu przykrości, a ponieważ rzadko mógł odgadnąć, na czym owa przykrość polega, nigdy nie odbierał mu zasługi ochłonięcia z gniewu bez niczyjej pomocy. Tym razem zabrało to ojcu pięć minut i trzydzieści pięć sekund.

— Klnę się na wszystko, co jest dobre na tym świecie! — rzekł mój ojciec wracając powoli do siebie i czerpiąc przekleństwo ze zbioru Ernulfa (jednakże aby oddać mu sprawiedliwość, należy powiedzieć, że w zgodzie z tym, co oznajmił dr Słopowi, popełniał to wykroczenie rzadziej niż większość ludzi). — Klnę się na wszystko, co jest dobre i wielkie na tym świecie, bracie Toby, że gdyby nie sukurs filozofii, która tak bardzo pomaga człowiekowi, zdolny byłbyś doprowadzić mnie do najsroźszej wściekłości. Jakże, przecież przez rozwiązanie nosów, o czym ci mówiłem, miałem na myśli (co wiedziałbyś bez wątpienia, gdybyś raczył poświęcić mi wówczas choć odrobinę uwagi) rozmaite wywody, które mężowie uczeni z różnych gałęzi nauki przedstawili światu na temat przyczyn krótkości i długości nosów. — Istnieje jedna tylko jedyna przyczyna — odparł stryjaszek Toby — dla której nos jednego człowieka dłuższy jest od nosa drugiego, a mianowicie, iż tak podoba się Bogu. — Jest to teza Grangousiera — rzekł ojciec. — On to — ciągnął stryjaszek spoglądając w sufit i nie zważając na słowa mojego ojca — stworzył nas wszystkich i ulepił nas, i nadał nam takie, a nie inne kształty i proporcje dla celów, jakie w mądrości Swej nieskończonej uważa za słuszne i właściwe. — Jest to wyjaśnienie pobożne — zawołał mój ojciec — lecz bynajmniej nie filozoficzne. Więcej w nim religii niż głębokiej nauki.

Nie był to rys sprzeczny z innymi rysami charakteru stryjaszka Toby'ego, iż czuł w sercu bojaźń Bożą i po-

ważał religię. Przeto zaledwie ojciec dopowiedział swą uwagę do końca, mój stryjasek zaczął gwizdać *Lillibullero* z większym zapalem (aczkolwiek bardziej fałszywie), niż to zazwyczaj czynił.

— Gdzie się podziała bibułka do owijania nici, własność mojej żony?

## ROZDZIAŁ XLII

Mniejsza o to. Bibułka do owijania nici mogła posiadać dla mojej matki pewną wartość jako przedmiot potrzebny w krawiectwie — nie posiadała przecie żadnej dla mojego ojca jako zakładka do dzieła *Slawkenbergiusza*. Każda karta tej księgi była dla niego niewyczerpaną skarbnicą wiedzy, nie mogło się więc zdarzyć, aby otworzył ją w niewłaściwym miejscu. Powiadał też mój ojciec często, zamykając księgę, że gdyby wszystkie sztuki i nauki na świecie wraz z traktującymi o nich dziełami zostały zaprzepaszczone, gdyby mądrość i wiedza polityczna rządów, powiadał, skutkiem nieużywania miała być kiedykolwiek zapomniana oraz gdyby w niepamięć poszło także wszystko to, co mężowie stanu napisali lub napisać polecili na temat dodatnich i ujemnych stron dworów i królestw, i gdyby ostał się tylko *Slawkenbergiusz*, świat czerpiąc z niego, powiadał mój ojciec, mógłby dalej toczyć się swym zwykłym torem. Był więc ów *Hafen Slawkenbergiusz* prawdziwym skarbem, zbiorem tego, co należało wiedzieć o nosach i o wszystkim innym — rano, w południe i wieczorem dostarczał ojcu rozkoszy i rozrywki. Ojciec mój nie wypuszczał go z ręki — przysiągłbyś, panie, iż jest to modlitewnik kanonika, tak zniszczona, tak wyświechtana, tak pomięta i tak postrzępiona była od palców każda jego karta.

Ja osobiście nie jestem takim fanatycznym wyznaw-

ca Hafena Slawkenbergiusza, jakim był mój ojciec. Znajduje się w nim bez wątpienia pewien zasób wiedzy, lecz w moim mniemaniu najlepszą (nie powiem: największą przynoszącą pożytek, za to najuciesznieszszą) częścią dzieła Slawkenbergiusza są jego opowiesci — zważywszy zaś, że był on Niemcem, liczne spośród nich nie są pozbawione fantazji. Wypełniają drugą księgę obejmującą bez mała połowę całego *folio* i zamknięte są w dziesięciu dekadach, z których każda zawiera dziesięć opowieści. Systemów filozoficznych nie buduje się na opowieściach, przeto Slawkenbergiusz nie miał z pewnością racji przedstawiając je światu pod tym właśnie mianem. W ósmej, dziewiątej i dziesiątej dekadzie znajduje się ich kilka, które wydają mi się bardziej swawolne i krotochwilne niż filozoficzne. Lecz ogólnie rzecz biorąc mężowie uczeni winni je traktować jako zbiór ogromnej liczby nie powiązanych ze sobą faktów, które w ten czy inny sposób kręcą się dookoła głównej osi tematu — faktów przedstawionych przez Slawkenbergiusza z chwalebnią wiernością i dodanych do jego dzieła jako przykłady ilustrujące doktrynę NOSÓW.

Ponieważ mamy teraz trochę wolnego czasu — jeśli pozwolisz mi, pani, przytoczę ci dziewiątą opowieść z dziesiątej dekady.

# Księga IV

## SLAWKENBERGII FABELLA

*VESPERA* quâdam frigidulâ, posteriori in parte mensis Augusti, peregrinus, mulo fusco colore insidens, manticâ a tergo, paucis indusiis, binis calceis, braccisque sericis coccineis repleta, Argentoratum ingressus est.

Militi eum percontanti, quum portas intraret, dixit se apud Nasorum promontorium fuisse, Francofurtum proficisci, et Argentoratum, transitu ad fines Sarmatiae mensis intervallo, reversurum.

Miles peregrini in faciem suspexit — Di boni, nova forma nasi!

At multum mihi profuit, inquit peregrinus, carpum amento extrahens, a quo pependit acinaces: Loculo manum inseruit, et magnâ cum urbanitate, pilei parte anteriore tactâ manu sinistrâ, ut extendit dextram, militi florinum dedit et processit.

Dolet mihi, ait miles, tympanistam nanum et valgum alloquens, virum adeo urbanum vaginam perdidisse: itinerari haud poterit nudâ acinaci; neque vaginam

## OPOWIEŚĆ SLAWKENBERGIUSZA

Pewnego chłodnego i rześkiego wieczoru, który nastąpił po parnym dniu w końcu miesiąca sierpnia, cudzoziemski podróżny siedzący na grzbiecie czarnego muła, z przytroczoną do siodła niewielką torbą, w której mieściło się kilka koszul, para trzewików i pantalonów z purpurowego atlasu, wjechał do miasta Strasburga.

Na zapytanie strażnika u bram miejskich odparł, że wraca z Przylądka NOSÓW, że udaje się do Frankfurtu i że od dziś za cztery tygodnie będzie powtórnie przejeżdżał przez Strasburg w drodze do granic Krymskiej Tatarii.

Strażnik spojrzał cudzoziemcowi w twarz — nigdy w życiu nie widział takiego NOSA!

— Bardzo dobrze mi służy — rzecze cudzoziemiec. I uwolniwszy dłoń z pętli czarnej wstążki, u której zawieszony miał krótki bułat, włożył rękę do kieszeni, po czym dotykając dwornie lewą dłonią kapelusza, jednocześnie zaś wyciągając prawą wsunął strażnikowi do ręki florena i ruszył w dalszą drogę.

— Żal mnie bierze — rzekł strażnik do krzywono-giego dobosza o posturze karła — że tak grzecznemu kawalerowi zdarzyło się zgubić pochwę, bo przecież

toto Argentorato, habilem inveniet. — Nullam unquam habui, respondit peregrinus respiciens seque comiter inclinans hoc more gesto — nudam acinacem elevans, mulo lentò progrediente — ut nasum tueri possim.

Non immerito, benigne peregrine, respondit miles. Nihili aestimo, ait ille tympanista, e pergamenâ factitius est.

Prout Christianus sum, inquit miles, nasus ille, ni sexties major sit, meo esset conformis.

Crepitare audivi, ait tympanista.

Mehercule! sanguinem emisit, respondit miles.

Miseret me, inquit tympanista, qui non ambo tetigimus!

Eodem temporis puncto, quo haec res argumentata fuit inter militem et tympanistam, disceptabatur ibidem tubicine et uxore suâ qui tunc accesserunt, et peregrino praetereunte, restiterunt.

Quantus nasus! aequè longus est, ait tubicina, ac tuba.

Et ex eodem metallo, ait tubicen, velut sternutamento audias.

Tantum abest, respondit illa, quod fistulam dulcedine vincit.

Aeneus est, ait tubicen.

Nequaquam, respondit uxor.

Rursum affirmo, ait tubicen, quod aeneus est.

Rem penitus explorabo; prius enim digito tangam, ait uxor, quam dormivero.

w całym Strasburgu nie znajdzie pochwy stosownej. — Nigdy w ogóle pochwy nie miałem — powiedział nieznajomy obracając się do strażnika i przy pierwszym słowie dotykając dłonią kapelusza. — Noszę mój mieczyk — dodał — w taki sposób — tu podniósł bułat do góry — aby bronić nosa. — Podczas całej przemowy jego muł dreptał wolno naprzód.

— Doprawdy wart jest tego, szlachetny cudzoziemcze — odparł strażnik.

— Niewart jego marnego szeląga — rzekł krzywonogi dobosz — bo jest to nos pergaminowy.

— Jakem dobry katolik — zawołał strażnik — nos ten jest taki sam jak mój, tylko że sześć razy większy.

— Słyszałem, jak trzeszczał — rzekł dobosz.

— Tam do licha! Ja widziałem, jak krwawił — powiedział strażnik.

— Jaka szkoda — zawołał krzywonogi dobosz — żeśmy go nie dotknęli.

Dokładnie w tym czasie, w którym toczyła się powyższa dysputa między strażnikiem a doboszem, to samo zagadnienie roztrząsał trębacz z jejmością trębaczową. Szli oni z przeciwnego kierunku i przystanęli, aby przyjrzeć się mijającemu ich cudzoziemcowi.

— Święci pańscy! Co za nos! — rzekła jejmość trębaczowa. — Tak długi jak trąba.

— I sporządzony z tego samego metalu — powiada trębacz. — Słyszać to wyraźnie, kiedy kicha.

— Dźwięk ma łagodny niczym flet — pochwaliła niewiasta.

— Jest miedziany — upierał się trębacz.

— Jest miękki jak świeże ciasto — zawołała jego żona.

— Powiadam ci po raz drugi — rzecze trębacz — że ten nos jest miedziany.

— Zbadam go dokładnie — mówi jejmość. — Nie zasnę, póki go palcem nie dotknę.

Mulus peregrini gradu lento progressus est, ut unumquodque verbum controversiae, non tantum inter militem et tympanistam, verum etiam inter tubicinem et uxorem ejus, audiret.

Nequaquam, ait ille in muli collum fraena demittens et manibus ambabus in pectus positis (mulo lente progrediente), nequaquam, ait ille respiciens, non necesse est, ut res isthaec dilucidata foret. Minime gentium! meus nasus nunquam tangetur, dum spiritus hos reget artus. — Ad quid agendum? ait uxor burgomagistri.

Peregrinus illi non respondit. Votum faciebat tunc temporis sancto Nicolao; quo facto, in sinum dextram inserens e quâ negligenter pependit acinaces, lento gradu processit per plateam Argentorati latam quae ad diversorium templo ex adversum ducit.

Peregrinus mulo descendens stabulo includi, et manticam inferri jussit: quâ apertâ et coccineis sericis femoralibus extractis cum argenteo laciniato ΠΕΡΙΖΩΜΑΤΙ his sese induit, statimque, acinaci in manu, ad forum deambulavit.

Quod ubi peregrinus esset ingressus, uxorem tubicinis obviam euntem aspicit; illico cursum flectit, metuens ne nasus suus exploraretur, atque ad diversorium regressus est — exiit se vestibus; braccas coccineas sericas manticae imposuit malumque educi jussit.

Muł nieznanego szedł tak wolnym stępem, że jego pan słyszał każde słowo sprzeczki — nie tylko między strażnikiem a doboszem, lecz również między trębaczem a jejmością trębaczową.

— Nie! — rzekł opuszczając cugle na kark muła i gestem świętego krzyżując dłonie na piersi (tymczasem muł stąpił dalej wolnym krokiem). — Nie — rzekł cudzoziemiec wznosząc oczy ku niebu. — Jestem człowiekiem oszukany i spotwarzonym przez świat, nie czuję się więc zobowiązany dawać mu tej satysfakcji. Nie! — powtórzył — mój nos nie zazna dotyku cudzej ręki, dopóki nieba nie dadzą mi dość siły...

— Do czego? — spytała burmistrzowa.

Nieznanomy nie zwrócił uwagi na słowa burmistrzowej, składał bowiem właśnie ślub św. Mikołajowi; co uczyniwszy i rozkrzyżowawszy dłonie tym samym uroczystym gestem, jakim je skrzyżował, ujął w lewą rękę wodze, prawą zaś, z wiszącym swobodnie u jej przegubu bułatem, wsunął w zanadze kaftana, po czym jechał przed się na tym najpowolniejszym w świecie mule głównymi ulicami Strasburga — dopóki przypadek nie przywiódł go do wrót wielkiego zajazdu w rynku naprzeciw kościoła.

Zeskoczywszy na ziemię cudzoziemiec rozkazał odprowadzić muła do stajni i wnieść do izby torbę podróżną. Po czym, otworzywszy ją, wyjął purpurowe atlasowe spodnie z cudnie ozdobionym srebrną frędzlą... (dodatkiem, którego nazwy nie śmiem przetłumaczyć), włożył na się spodnie z owym bramowanym saczką i trzymając krótki bułat w dłoni wyszedł bez chwili zwłoki na wielką promenadę.

Cudzoziemiec przeszedł trzy razy tam i z powrotem promenadę, gdy nagle spostrzegł jejmość trębaczową idącą ku niemu z przeciwnego kierunku. Lękając się przeto, że jego nos poddany zostanie badaniu, obrócił się na pięcie i podążył do zajazdu, gdzie rozebrał się, włożył atlasowe purpurowe pantalony etc. do torby podróżnej i kazał osiodłać muła.

Francofurtum proficiscor, ait ille, et Argentoratum quatuor abhinc hebdomadis revertar.

Bene curasti hoc jumentum? ait muli faciem manu demulcens, me manticamque meam plus sexcentis mille passibus portavit.

Longa via est! respondet hospes, nisi plurimum esset negotii. — Enimvero, ait peregrinus, a Nasorum promontorio redii, et nasum speciosissimum, egregiosissimumque quem unquam quisquam sortitus est, acquisivi.

Dum peregrinus hanc miram rationem de seipso reddit, hospes et uxor ejus, oculis intentis, peregrini nasum contemplantur. — Per sanctos sanctasque omnes, ait hospitis uxor, nasis duodecim maximis in toto Argentorato major est! — estne, ait illa mariti in aurem insusurrans, nonne est nasus praegrandis?

Dolus inest, anime mī, ait hospes — nasus est falsus.

Verus est, respondit uxor.

Ex abiete jactus est, ait ille, terebinthinum olet. —

Carbunculus inest, ait uxor.

Mortuus est nasus, respondit hospes.

Vivus est, ait illa, et si ipsa vivam, tangam.

Votum feci sancto Nicolao, ait peregrinus, nasum meum intactum fore usque ad — Quodnam tempus? illico respondit illa.

Minimo tangetur, inquit ille (manibus in pectus compositis) usque ad illam horam — Quam horam? ait illa — Nullam, respondit peregrinus, donec pervenio ad... — Quem locum, obsecro? ait illa. — Peregrinus nil respondens mulo conscenso discessit.

— Wyruszam w dalszą drogę do Frankfurtu — rzekł cudzoziemiec — i wrócę do Strasburga od dziś za cztery tygodnie.

— Tuszę — dodał i nim skoczył na siodło, pogłaskał lewą ręką łeb muła — że potraktowaliście mojego wiernego sługę dobrotliwie. Niesie on na grzbiecie — ciągnął dalej cudzoziemiec — mnie oraz moją torbę podróżną ponad sześćset mil.

— Wielki to szmat drogi, panie — odparł gospodarz zajazdu — musiał więc skłonić cię do podróży pilny interes. — Ba! — odrzekł nieznajomy — byłem na PRZYŁADKU NOSÓW i zdobyłem dla siebie, z łaski niebios, jeden z kształniejszych, jakie przypadły kiedykolwiek w udziale pojedynczemu człowiekowi.

Gdy nieznajomy udzielał tych osobliwych wyjaśnień, gospodarz zajazdu i jego żona nie odrywali oczu od jego nosa. — Na św. Radegundę — rzekła do siebie jejmość — roślejszy on jest niż dwanaście razem wziętych największych nosów w całym Strasburgu! — Czyż nie jest to — spytała szeptem męża — nos znamienity?

— Jest to zwykle oszustwo, moja duszko — odparł gospodarz. — Ten nos jest fałszywy.

— Ten nos jest prawdziwy — rzekła żona.

— Sporządzony jest z sosnowego drzewa — dowodził gospodarz. — Czuję zapach żywicy.

— Widzę na nim pryszcz — upierała się niewiasta.

— Jest to nos martwy — odparł gospodarz.

— Jest to nos żywy i jakem sama żywa — zawołała jejmość — dotknę go palcem.

— Dziś właśnie złożyłem ślub św. Mikołajowi — przemówił cudzoziemiec — iż nosa mojego nie dotknie niczyja ręka aż do... — Tutaj obcy umilkł i wzniósł oczy ku niebu. — Aż do kiedy? — spytała prędko niewiasta.

— Nosa mojego nie dotknie niczyja ręka — rzekł cudzoziemiec i splótłszy dłonie przycisnął je do pierśsi — aż do godziny... — Do której godziny? — zawołała

jejmość. — Nigdy, przenigdy — rzekł nieznajomy — dopóki nie dotrę do... — Na miłość boską, dokąd? — spytała. Cudzoziemiec odjechał nie wyrzekłszy słowa.

Zanim ujechał pół mili w kierunku Frankfurtu, w Strasburgu wybuchł tumult i zamieszanie z przyczyny jego nosa. Dzwony wieczorne nawoływały właśnie mieszkańców na nabożeństwo przypominając im, że powinni na modlitwie zakończyć pracowity dzień. Nie słyszał ich nikt w całym Strasburgu — w mieście wrzało jak w ulu; mężczyźni, niewiasty i dzieci biegali tu i tam (tymczasem dzwony wieczorne dzwoniły), wpadali w te drzwi, wyskakiwali z tamtych, gnali tędy i owędy, pędzili wzdłuż miasta i w poprzek, jedną ulicą w tym, drugą w tamtym kierunku, niknęli w jednym zaułku, wynurzali się z drugiego. Czy widziałeś go? Czy widziałeś go? Czy widzieliście go? Och, czy widzieliście go? — Kto go widział? Kto go widział? Na litość boską, kto go widział?

O dniu nieszczęsny! Byłam na niesporach! A ja prałam, krochmaliłam, szorowałam, latałam! Boże mój! Nie widziałam go, nie dotknęłam go! Czemu nie jestem strażnikiem u bram miejskich, krzywonogim dobozszem, trębaczem, trębaczową? — Taki krzyk i lament niósł się po wszystkich ulicach i zaułkach Strasburga.

Gdy nieład ów i zamęt władwały niepodzielnie wielkim grodem, dworny cudzoziemiec zdążył do Frankfurtu na grzbiecie muła tak nieporuszony, jak gdyby wszystko to nic a nic go nie obchodziło; i gadał przy tym cały czas urywanymi zdaniemmi to do muła, to znów do siebie, niekiedy zaś do Julii.

— O Julio, nadobna moja Julio!... Nie, nie przystanę i nie pozwolę ci skubać tego ostu... że też jadowity język rywala musiał mnie ograbić z rozkoszy, kiedym już wkrótce miał ich zakosztować!

— Fe, to przecie tylko oset — dajże pokój — wieczorem smakowitszy zjesz posiłek!

— Banita ja nieszczęsny, wygnaniec z kraju rodzinnego, pozbawiony przyjaciół, pozbawiony ciebie!

— Biedaczysko, utrudziła cię srodze ta droga — dalejże, przyspiesz nieco kroku. Nie mam nic w torbie prócz kilku koszul, purpurowych atlasowych spodni i obszytego frędzlą... Droga moja Julio!

— Lecz czemu do Frankfurtu? Czy jakaś dłoń niewidzialna wiedzie mnie przez te bezdroża i nieznane trakty? Potykającego się, o św. Mikołaju, na każdym kroku ku... hola, tym krokiem nie dotrzemy przed nocą do...

— ... na każdym kroku ku szczęściu. Lub może po wsze czasy mam być igraszką fortuny i ofiarą potwarzy... los wygnął mnie bez wyroku, bez wysłuchania... nie tkniętego. A jeśli tak, czemu nie zostałem w Strasburgu, gdzie sprawiedliwość... Wszelako złożyłem ślub... dalejże, na końcu podróży ugasisz pragnienie... św. Mikołajowi. O Julio!... Czemu tak strzyżesz uszami? Przecież to tylko człowiek na grzbiecie konia... etc., etc.

Cudzoziemiec jechał dalej prowadząc nieustannie tego rodzaju konwersację z mułem i Julią, dopóki nie przybył do gospody, gdzie natychmiast zeskoczył z siodła i dotrzymując danej zwierzęciu obietnicy przypilnował, aby nie poskąpiono mu dobrego jadła, po czym odpiął torbę podróżną z purpurowymi atlasowymi spodniami etc. i wniósł ją do zajazdu, zażądał na wieczere omletu, poszedł do łóżka około północy i w pięć minut później zapadł w mocny sen.

O tej samej mniej więcej porze, z nastaniem nocy, ucichł tumult w Strasburgu — sztrasburczycy pokładli się do łóżek, lecz w przeciwieństwie do cudzoziemca nie znaleźli w nich spoczynienia ani dla ciała, ani dla ducha. Królowa Mab — istny chochlik — zabrała nos nieznajomego i nie zmniejszywszy go ani o cal trudziła się przez całą noc krajaniem i dzieleniem go na tyle nosów różnych krojów i fasonów, ile było w Strasburgu twarzy gotowych na jego przyjęcie. Ksieni z Quedlinburga, która wraz z czterema wielkimi dostojniczkami w zgromadzeniu — przeoryszą, dziekanką, prebendariuszką i starszą kanoniczką, przybyła w tym ty-

godniu do Strasburga, aby zasięgnąć opinii akademii w kwestii sumienia dotyczącej wycięć u ich habitów — chorzała całą noc.

Penitencjariuszki z trzeciego zakonu św. Franciszka, mniszki z Góry Kalwarii, mniszki z zakonu premonstrantek, kluniaczki \*, kartuzjanki oraz wszystkie należące do najsurowszych reguł zakonnic, które leżały tej nocy w prześcieradłach lub włosienicach, gorzej jeszcze ucierpiały niż przeorysza z Quedlinburga. Albowiem na skutek przewracania się i rzucania, rzućcia i przewracania na łóżkach z boku na bok przez całą noc siostrzyce kilku zakonów podrapały się i pogmiotły prawie na śmierć i wstały z łóżek nieledwie obdarte ze skóry. Wszyscy przeto myśleli, że św. Antoni nawiedził je swym ogniem \*\*. Słowem, ani razu nie zmrużyły oczu w ciągu całej długiej nocy — od nieszporów aż do prymarii.

Mniszki z zakonu św. Urszuli postąpiły najrozsądniej — w ogóle nie kładły się spać.

Dziekan kapituły sztrasburskiej, prebendarze i kanonicy, domicyliarze (kapituła zebrała się tego ranka, by debatować nad zagadnieniem maślanych bułeczek), wszyscy żalowali, że nie poszli za przykładem mniszek od św. Urszuli.

W zamęcie i konfuzji, jakie panowały niepodzielnie ubiegłej nocy, piekarze na śmierć zapomnieli włożyć ciasto do pieca, w całym więc Strasburgu za żadną cenę nie dostałbyś na śniadanie maślanych bułeczek; dookoła katedry wrzało niby w ulu. Odkąd Marcin Luter wyrócił za pomocą swoich doktryn cały Strasburg na nice, w mieście ani razu nie panowało takie poruszenie i taki niepokój ani też nie dociekano tak gorliwie przyczyn powstałego zamętu.

Jeżeli NOS nieznajomego wściubiał się z taką śmia-

\* Hafen Slawkenbergiusz ma tu na myśli benedyktyнки z klasztoru w Cluny, ufundowanego w r. 940 przez Odo-

na, tamecznego opata (przyp. autora).  
\*\* Ogniem św. Antoniego nazywano różę, którą ten święty wedle wierzeń ludowych miał moc leczyć.

łością między posiłki \* zakonnice etc., pomyślcie jeno, jak sobie używał wśród ludności świeckiej! Pióro moje, do cna starte, niezdolne jest tego wyrazić. Jednakże przyznaję (woła Sławkenbergiusz z większą swawolnością, niżbym się tego po nim spodziewał), że znalazłoby się na świecie wiele metafor, które dałyby moim ziomkom niejaki o tym wyobrażenie. A lubo przyznaję, że metafory takie istnieją, to czy jednak byłoby słuszne oczekiwać, że starczy mi czasu i chęci na szukanie ich na samym końcu księgi, którą napisałem dla dobra moich ziomek i nad którą prześlecałem większą część żywota? Wystarczy, jeśli powiem, że rozpalone faktem istnienia nosa cudzoziemca imaginacje sztrasburczyków tak się rozhulały i takie wyprawiały brewerie, że nos ów tak niepodzielnie zapanaował nad umysłami mieszkańców tego grodu, że taką mnogość dziwnych rzeczy o nim mówiono i na ich prawdziwość tak solennie i elokwentnie przysięgano kierując wszystkie dysputy i wszelkie zainteresowania ku temu jednemu przedmiotowi — że każdy człek w Strasburgu, dobry czy zły, majątny czy ubogi, uczony czy ciemny, doktor czy student, dama czy służka, szlachcic czy prostak, niewiasta zakonna czy świecka, spędzali czas na wysłuchiwanu nowin o nosie. Wszystkie oczy w Strasburgu tęskniły za jego widokiem. Wszystkie palce wskazujące i wszystkie kciuki opętane były nieodpartym pragnieniem dotknięcia go.

Otóż co mogło jeszcze przeogromną tę żądzę podsycić (jeżeli podsycanie w ogóle było potrzebne), to fakt, że strażnik, krzywonogi dobosz, trębacz, żona trębacza, wdowa po burmistrzu, oberżysta i żona oberżysty, jakkolwiek różnili się między sobą w swych świadectwach i opisach nosa cudzoziemca, wszyscy zgadzali się co do dwóch punktów, a to: że cudzoziemiec udał się do Frankfurtu i wróci do Strasburga dopiero za cztery

\* Imię Shandy składa swe uszanowanie oratorom — świadom jest, iż Sławkenbergiusz przeinaczył metaforę; Imię Shandy jako tłumacz Sławkenbergiusza robił, co mógł, by ją ocalić. Tu jednak było to niemożliwością (przyp. autora).

tygodnie; oraz że czy nos jego jest prawdziwy, czy sztuczny, on sam uznany być winien za najdoskonalszy wzór piękności, za męczyznę o najkształtniejszej postaci, najszlachetniejszego, najhojniejszego, o najdwojniejszym obejściu, jaki znalazł się kiedykolwiek w obrębie sztrasburskich murów; że kiedy jechał na swym mule przez ulice miasta, z bułacikiem dyndającym mu swobodnie u przegubu dłoni, lub kiedy przechadzał się po promenadzie w purpurowych atlasowych spodniach, otaczała go aureola milej dla oka skromności, a ponadto biła od niego krzepka męskość, która mogła narazić na szwank serce (gdyby nos nie stał na zawadzie) każdej dziewicy, co na chwilę podniosła nań oczy.

Nie szukam w sercu, któremu obce są drgnienia i żądze w ten sposób wznieconej ciekawości, zrozumienia dla ksieni z Quedlinburga, przeoryszy, dziekanki i kantoniczki, które w południe poszły po trębaczową. Jejmość ta posłuchała wezwania i szła przez ulice Strasburga z mężowską trąbą w rękę; a był to, rzecz trzeba, najstosowniejszy przyrząd, jaki w tak krótkim czasie zdobyć mogła dla zilustrowania głoszonej przez siebie teorii. Zabawiła u zakonnic zaledwie trzy dni. Strażnik i krzywonogi dobosz! — och, tym nikt nie dorównał, odkąd upadło krasomówstwo starożytnych Ateńczyków. Wygłaszali oni pod bramami miasta prelekcje dla przybywających i odjeżdżających, zachowując przy tym całą pompę Chryzypa i Krantora nauczających w cieniu portyków.

Oberżysta ze stajennym u boku głosił swoją naukę w podobnym stylu — pod portykiem zajazdu lub u wrót stajennego dziedzińca; jego połowica wygłaszała swoją w zaciszu izby w głębi domu. Ludziska zbiegali się na naukę tłumnie, lecz nie bezładnie, wybierając jeden wykład lub drugi, jak to zwykle bywa i jak nakazywała im wrodzona ufność i łatwowierność. Słowem, każdy sztrasburczyk chciał informacji i każdy sztrasburczyk otrzymał informację taką, jakiej pragnął.

Warto podkreślić dla pouczenia wszystkich tych, którzy wykładają filozofię naturalną etc., że jejmość trębaczowa, która udzieliwszy prywatnych nauk księżni z Quedlinburga ją wyklądać publicznie (z wysokości stolka umieszczonego pośrodku wielkiej promienady), napsuła mnóstwo krwi innym oratorom, albowiem natychmiast przyciągnęła publiczność z najwytworniejszych kół miasta Strasburga. Lecz gdy nauczyciel przyrody posługuje się trąbą jako instrumentem (woła Slawkenbergiusz) — rzeknijcie mi, z łaski waszej, któryż z jego rywali profesorów zostanie dosłyszany?

Gdy nieoświeceni próbowali tymi przewodami informacyjnymi dokopać się do dna owej studni, którą PRAWDA obrała sobie za pomieszknię, mężowie uczeni z nie mniejszym zapalem trudnili się wydobyciem jej z przewodów indukcji dialektycznej. Nie parali się faktami. Rozumowali.

Żadna z uczonych profesji nie rzuciłaby na sprawę więcej światła niż fakultet medyczny — gdyby tylko wszystkie ich dysputy w tym przedmiocie nie schodziły nieuchronnie na zagadnienie guzowatych narośli i wodnych puchlin, którego to zagadnienia nie potrafiłoby ominąć za cenę zbawienia duszy! A przecież nos cudzoziemca nie miał nic wspólnego ani z guzowatymi naroślami, ani z wodną puchliną.

Dowiedzione jednak zostało w sposób bardzo przekonujący, że dopóki dziecko znajdowało się *in utero*, tak ogromna masa różnorodnej materii nie mogła osadzić się w kształcie nosa bez jednoczesnego naruszenia równowagi statycznej płodu i przewrócenia go do góry nogami na dziewięć miesięcy przed właściwym terminem.

Przeciwnicy uznawali słuszność teorii, przeczyli wszelako jej skutkom.

Jeżeli, powiadali, odpowiednie zasoby żył, arterii etc., nie zostały zgromadzone w celu należytego wykarmienia takiego nosa w samych początkach i pierwocinach jego kształtowania się, zanim wyszedł na

świat, nie mógłby potem rosnąć i rozwijać się prawidłowo.

Powyższym wywodom przeciwstawiona została dysertacja na temat pożywienia oraz wpływu pożywienia na rozszerzanie się i wydłużanie naczyń oraz na wzrost tkanek mięśniowych do największej, jaką można sobie wyobrazić, długości. Upojeni świetnością tej teorii zwolennicy jej posunęli się aż do twierdzenia, że nie w naturze nie stoi na przeszkodzie rozrośnięciu się nosa do rozmiarów jego właściciela.

Oponenci przekonywali świat, że taki wypadek nie może się zdarzyć, dopóki człowiek będzie miał tylko jeden żołądek i jedną parę płuc. Albowiem żołądek, powiadali, który jest jedynym organem przeznaczonym do przyjmowania pokarmu i przemieniania go w mlecz, podobnie jak płuca są jedynym aparatem ukrwienia, niezdolny jest przetrwać większych ilości jada, niż które wnikną do niego w zgodzie z apetytem człowieka; zakładając zaś, że człowiek przeciążyłby żołądek, to przecie natura postawiła tamy jego płucom — machina ta ograniczona jest w swej wielkości i sile i może wytworzyć tylko pewną określoną ilość krwi w określonym czasie, to znaczy tyle krwi, ile potrzebne jest jednemu pojedynczemu człowiekowi — lecz nie więcej. Przeto gdyby nos dorósł wielkości człowieka, rozpocząłby się nieuchronnie proces obumierania; że zaś zbrakłoby pożywienia dla obu, albo nos musiałby odpaść od człowieka, albo człowiek odpadłby od nosa.

Natura przystosowuje się do tego rodzaju nagłych potrzeb, wołali przeciwnicy. Jak bowiem inaczej zdolacie wytłumaczyć istnienie całego żołądka, obu płuc i tylko połowy człowieka, który niefortunnie stracił obie nogi na skutek postrzału?

Zemrze on na pletorę, powiadali tamci, albo zacznie płuć krwią i w dwa lub trzy tygodnie zmarnieje na suchoty.

Dzieje się inaczej, wołali przeciwnicy.

Nie powinno, powiadali tamci.

Bardziej zapaleni i dociekliwi badacze natury i jej spraw, aczkolwiek szmat drogi przebyli ręka w rękę, jednakże w końcu poróżnili się na temat nosa cudzoziemca tak niemal gwałtownie, jak mężowie z medycznego fakultetu.

Ustalali zgodnie, że istnieje słuszny i geometryczny układ i współmierność poszczególnych części ludzkiego ciała względem ich poszczególnych celów, funkcji i obowiązków, który to układ może być naruszony w li tylko ograniczonej mierze; że natura, aczkolwiek sobie bryka, to jednak bryka tylko w granicach pewnego kręgu. A dysputanci nie mogli się zgodzić co do jego średnicy.

Logicy o wiele ściślej trzymali się rozważanej kwestii niż wszelkie grona filologów; zaczęli od słowa NOS i na nim skończyli. I gdyby nie pewne *petitio principii*\*, o które na początku boju jeden z najzdolniejszych spośród nich rozbił sobie głowę, cały spór natchmiał zostałby rozstrzygnięty.

Nos, dowodził ów logik, nie może krwawić, skoro nie ma w nim krwi; nie tylko zaś musi znajdować się w nim krew, lecz musi również krążyć, albowiem krwawienie nosa polega na cieknięciu kropel krwi (strumień zaś jest tylko szybszym cieknięciem kropel, dodał). A skoro śmierć, ciągnął logik, nie jest niczym innym, jak zatrzymaniem się krwi w jej obiegu...

Przeczę tej definicji. Śmierć jest odłączeniem duszy od ciała, rzekł przeciwnik logika. W takim razie różnimy się co do narzędzi, których używamy, odparł mu logik. To kładzie kres dyspucie, oznajmił tamten.

Cywiliści byli bardziej jeszcze zwięźli, albowiem to, co proponowali, miało raczej charakter orzeczenia niż naukowej polemiki.

Gdyby tak monstrualny nos, powiadali, okazał się prawdziwym nosem, nie mógłby być tolerowany w społeczności rządzącej się prawem; gdyby zaś był nosem sztucznym, to oszukiwanie społeczności tak fał-

\* *Petitio principii* (łac.) — przyznanie słuszności w głównym zagadnieniu.

szywymi sztyldami i godłami stanowiłoby gorsze jeszcze pogwałcenie jego praw i potraktowane winno być z tym większą surowością.

Powyższemu rozumowaniu można by zarzucić to jedynie, iż wynikało z niego niezbitcie, że nos nieznanego nie był ani sztuczny, ani prawdziwy.

Stwarzało to sposobność do dalszej dysputy. Adwokaci sądu biskupiego utrzymywali, że nie ma żadnej przeszkody do wydania orzeczenia, skoro nieznanomy oświadczył *ex mero motu*, że był na PRZYŁĄDKU NOSÓW i że zdobył tam jeden z najokazalszych etc. Odpowiedziano im na to, iż jest rzeczą niemożliwą, aby istniało takie miejsce jak Przyładek Nosów, o którym by uczeni nic nie wiedzieli. Delegat biskupa Strasburga zaatakował adwokatów; w traktacie o przysłowiach wyjaśnił całą sprawę wykazując niezbitcie, że „Przyładek Nosów” jest to zwyczajne alegoryczne wyrażenie znaczące to jedynie, iż natura obdarzyła nieznanomego długim nosem, na dowód czego zacytował z nadzwyczajną uczonością wymienione poniżej dzieła źródłowe\*, co przesądziłoby niechybnie sprawę, gdyby nie wyszło przypadkiem na jaw, że spór między dziekanem a kapitułą o pewne przywileje ziemskie rozstrzygnięty został na tej samej podstawie przed laty dziewiętnastu.

Zdarzyło się (nie powiem, że z krzywdą dla PRAWDY, albowiem skorzystała ona na tym w inny sposób), że oba uniwersytety Strasburga — luterański, założo-

\* Nonnulli ex nostratibus eadem loquendi formulâ utuntur. Quinimo & Logistae & Canonistae — Vid. Parce Barne Jas in d. L. Provincial. Constitut. de conjec. vid. Vol. Lib. 4. Titul I. n. 7. quâ etiam in re conspir. Om de Promontorio Nas. Tichmak. ff. d. tit. 3. fol. 189. passim. Vid. Glos. de contrahend. empt. & c. necnon J. Acrudr. in cap. § refut. per totum. Cum his cons. Rever. J. Tubal, Sentent. & Prov. cap. 9. ff. 11, 12. obiter. V. & Librum, cui Tit. de Terris & Phras. Belg. ad finem. cum comment. N. Bardy Belg. Vid. Scrip. Argentotacum de Antiq. Ecc. in Episc. Archiv. fid. coll. per Von Jacobum Koinshoven Folio Argent. 1583, praecip. ad finem. Quibus add. Rebuff in L. obvenire de signif. Nom. ff. fol. & de jure Gent. & Civil. de protib. aliena feud. per federa, test. Joha. Luxius in prolegom, quem velim videas de Antiqu. & Phras. Belg. ad finem.

ny w roku 1538 przez Jakuba Surmisa, radcę senatu, oraz papistów, ufundowany przez arcyksięcia austriackiego Leopolda — przez cały ten czas wysyłały ogromną swą wiedzę (prócz tej części, która potrzebna była dla rozpatrzenia sprawy wycięć u habitów ksieni z Quedlinburga i jej dostojniczek) w celu wyświeślenia kwestii wieczystego potępienia Marcina Lutra.

Doktorowie papiescy podjęli się trudu udowodnienia *a priori*, że, jak wskazuje na to nieodparta dyrekcja planet w dniu dwudziestym drugim października roku 1483 — kiedy to Księżyc znajdował się w dwunastym domu, Jowisz, Mars i Wenus w trzecim, Słońce zaś, Saturn i Merkury zeszły się w czwartym — Marcin Luter musi być niechybnie i nieuchronnie człowiekiem potępionym, oraz że jego doktryny, co z powyższego wypływa jako naturalny skutek, również muszą być potępione.

Po bliższym zbadaniu jego horoskopu, gdzie pięć planet naraz było *in coitu* ze znakiem Skorpiona\* (czytając to ojciec zwykł potrząsać głową) w dziewiątym domu, który Arabowie wyznaczyli religii, okazało się, że sprawa religii obchodziła Marcina Lutra tyle, co zeszłoroczny śnieg. Papiści udowodnili ponadto na podstawie wpływu, jaki na horoskop Marcina Lutra wywarła koniunkcja Słońca z Marsem, iż musiał on w chwili konania przeklinać i bluźnić — uniesiona zaś tymi podmuchami bluźnierstwa jego dusza (na wskroś przesiąknięta grzechem) pozęgłowała z wiatrem prosto do piekielnych czeluści.

Doktorowie luterscy postawili jeden tylko drobny

\* Haec mira, satsique horrenda Planetarum coitio sub Scorpio Asterismo in nona coelli statione, quam Arabes religioni deputabant, efficit Martinum Lutherum sacrilegum hereticum, Christianae religionis hostem acceritissimum atque prophanum, ex horoscopi directione ad Martis coitum, religiosissimus oblit, ejus Anima scelestissima ad infernos navigavit — ab Alecto, Tisiphone & Megara flagellis igneis cruciata perenniter. Lucas Gauricus in Tractatu astrologico de praeteritis multorum hominum accidentibus per genituras examinatis.

zarzut powyższej tezie, a mianowicie, że była to zapewne dusza innego człowieka zrodzonego w dniu 22 października 1483 roku, która chcąc nie chcąc pożytkowała z wiatrem w ten sposób — ponieważ, jak wynikało z księgi parafialnej miasteczka Islaben w księstwie Mansfeld, Luter urodził się nie w roku 1483, lecz 1484; i nie 22 dnia miesiąca października, lecz 10 dnia miesiąca listopada, w wilię św. Marcina, dla której to przyczyny ochrzczono go tym imieniem.

Muszę przerwać na chwilę pracę nad przekładem Slawkenbergiusza, albowiem pewien jestem, że gdybym tego nie uczynił, znalazłbym w nocy nie więcej snu niż ksieni z Quedlinburga. Czynię to zaś, aby powiadomić czytelnika, że czytając ten ustęp Slawkenbergiusza stryjaskowi Toby'emu ojciec mój zawsze tryumfował — nie nad stryjaskiem Toby'm, gdyż ten nigdy mu się w tej kwestii nie przeciwstawił, lecz nad całym światem.

— Teraz sam widzisz, bracie Toby — powiadał ojciec podnosząc nań oczy — że imiona chrzestne nie są sprawą tak zgoła bagatelną. Gdyby ten tu Luter otrzymał na chrzcie jakiegokolwiek inne imię, zostałby skazany na wiekuiste potępienie. Nie utrzymuję bynajmniej — dodawał — że Marcin to dobre imię (daleki jestem od tego). Jest nieco lepsze niż imię zgoła neutralne, a jakkolwiek znikoma to różnica, sam widzisz, że przyniosła mu pewien pożytek.

Ojciec mój postrzegał kruchość tej podpory swojej hipotezy tak wyraźnie, jak gdyby zwracał mu na to uwagę najteższy logik; jednakże słabość ludzka tak jest wielka, że skoro podpora ta nawinęła mu się pod rękę, nie chciał jej się za nic wyrzec. Przeto chociaż w dekadach Slawkenbergiusza wiele znalazłoby się opowiadań nie mniej zajmujących od tej, którą dla was tłumaczę, to jednak żadnej z nich ojciec nie czytał z większą satysfakcją. Była ona wodą na młyn dla dwóch najcudacznějších jego hipotez — hipotezy

IMION i NOSÓW. Ośmielę się powiedzieć, że mógłby przewertować wszystkie księgi Aleksandryjskiej Biblioteki (gdyby los nie rozrządził nią inaczej) i nie znalazłyby dzieła ani urywku, które za jednym zamachem tak celnie trafiłoby w sedno dwóch najistotniejszych dla niego zagadnień.

Oba sztrasburskie uniwersytety toczyły zażarty spór o kwestię NAWIGACJI Marcina Lutra. Doktorowie protestanccy dowiedli, że nie żeglował on z wiatrem, jak to utrzymywali papiści; a ponieważ każdy wie, że nie można żeglować pod wiatr, protestanci silili się obliczyć (gdyby się przypadkiem okazało, że Luter jednak żeglował), ile stopni zboczył z kursu; oraz czy Marcin okrążył przylądek, czy też wyrzucony został na ląd od nawietrznej. Że zaś była to dysputa nader budująca, zwłaszcza dla tych, którzy znali się na tego rodzaju NAWIGACJI, protestanccy doktorowie nie zaprzestaliby jej bez względu na rozmiary nosa cudzoziemca, gdyby, rzecz jasna, rozmiar nosa cudzoziemca nie odciągnął uwagi świata od ich wywodów. Zmuszeni więc byli przystosować się do okoliczności.

Ksieni z Quedlinburga, wraz z czterema dostojniczkami, nie była im w tym względzie przeszkodą, albowiem rozmiar nosa cudzoziemca w równej mierze przesładował jej wyobraźnię, co kwestia sumienia, w wyniku czego sprawa wycięć u habitów poszła w niepamięć. Słowem, drukarze otrzymali polecenie rozrzucenia kaszt i schowania czcionek — wszelkie spory ucihły.

Stawiam atłasową czapeczkę ze srebrnym chwostem na czubku przeciwko łupince orzecha, iż nikt nie odgadnie, co do jakiej kwestii spornej nosa uniwersytety się poróżnią.

— To przerasta zdolność pojmowania! — wołali jedni teologowie.

— To jej nie dostaje! — wołali drudzy.

— To sprawa wiary! — darli się pierwsi.

— To zwykła bzdura — utrzymywali drudzy.

— To możliwe! — krzyczeli pierwsi.

— To niemożliwe — odpowiadali im drudzy.

— Moc Boga jest nieograniczona — wrzeszczeli Nosarianie. — Może uczynić wszystko.

— Nie może uczynić nic — upierali się Antynosarianie — co zawiera w sobie sprzeczności.

— Może obdarzyć materię zdolnością myślenia — powiadali Nosarianie.

— Z takim samym powodzeniem, z jakim wy zrobilibyście atlasową czapeczkę ze świńskiego ucha — brzmiała riposta Antynosarianów.

— Dodawszy dwa do dwóch nie otrzyma pięciu — rzekli teolodzy katoliccy.

— To fałsz — odpowiedzieli im przeciwnicy.

— Nieskończona moc jest nieskończoną mocą i basta — oświadczyli doktorowie, którzy podtrzymywali tezę prawdziwości nosa.

— Ogarnia ona jedynie rzeczy możliwe — odparli im luteranie.

— Klniemy się Bogiem — wrzasnęli papiści — że może On (jeśli taka będzie Jego wola) zrobić nos wielkości sztrasburskiej dzwonnicy.

Ponieważ sztrasburska dzwonnica była najpotężniejszą i najwyższą ze wszystkich dzwonnicy na świecie, Antynosarianie oponowali i dowodzili, że człowiek nie zdoła udźwignąć nosa długości 575 stóp — przynajmniej nie udźwignąłby go człowiek średniego wzrostu. Katoliccy teologowie przysięgali, że może udźwignąć. Luteranie powiadali: — Nie. Nie może.

To zrodziło natychmiast nowy spór, w który zapełdzili się spory szmat drogi, dotyczący moralnych i naturalnych atrybutów Boga. Polemika ta zaprowadziła ich oczywiście do św. Tomasza z Akwinu, św. Tomasz z Akwinu zaś — do diabła.

W dysputach nie słyszało się już więcej o nosie cudzoziemca, posłużył on dysputantom za łódź, którą wypłynęli na szerokie wody teologii scholastycznej. A potem wszyscy już pożeglowali z wiatrem.

Rozgorączkowanie w dyskusji proporcjonalne jest do niedostatku prawdziwej wiedzy.

Spór o atrybuty etc., miał ochłodzić imaginację sztrasburczyków, rozpalił ją nadzwyczajnie. Im mniej rozumieli z przedmiotu dyskusji, tym większa ogarniała ich ciekawość. Pozostawieni jednak zostali w różnorodnych udrękach niezaspokojonej żądzy — ujrzeni bowiem, jak ich teologowie: Pergaminowcy, Mosiężnicy i Żywiczanie, a także papistowscy teologowie znikają im z oczu niczym Pantagruel i jego towarzysze udający się na poszukiwanie boskiej wyroczni Flaszy. Nieszczęśni sztrasburczycy pozostali na brzegu!

Co należało zrobić? Ani chwili do stracenia — wrzawa potężniała, zamęt wzrastał! Otwarto bramy miejskie.

O nieszczęśni sztrasburczycy! Czy znalazłoby się w składnicach natury — czy znalazłoby się w lamusach nauki — czy znalazłoby się w ogromnym arsenału przypadku choć jedno narzędzie tortur do wbijania na pal waszej ciekawości, do rozpinania waszych pragnień, którego los nie wykorzystałby, aby igrać z waszymi sercami? Nie maczam pióra w atramencie, by usprawiedliwić waszą klęskę! Przeciwnie, piszę na waszą cześć panegiryk. Pokażcie mi gród tak osłabły i tak wyniszczony w męce oczekiwania, który nie jadł ani nie pił, ani nie spał, ani nie modlił się, ani nie słuchał głosu natury czy religii przez dni dwadzieścia siedem, i który zdzierzyłby choć dzień dłużej!

W dniu dwudziestym ósmym dworny cudzoziemiec przyrzekł powrócić do miasta.

Siedem tysięcy kolas (Sławkenbergiusz pomylił chyba czcionki cyfrowe) — wyruszyło, 7000 kolas, 15 000 jednokonnych bryczek i 20 000 wozów wypełnionych po brzegi senatorami, rajcami, syndykami, mnichami, wdowami, żonami, dziewczycami, kanonikami, konkubiniami — wszyscy odpowiednio usadowieni. Ksieni z Quedlinburga wraz z przeoryszą, dziekanką i kanińczką prowadziła ten orszak w jednej kolonie, dziekan zaś Strasburga z czterema najprzedniejszymi dostojnikami swej kapituły w drugiej. Reszta podążała za nimi bez ładu i składu, jak kto mógł: niektórzy

konno, inni pieszo, jedni prowadzeni, drudzy pchani, inni znów wzdłuż brzegu Renu, jeszcze inni tą drogą, tamci ową — wszyscy wyruszyli o wschodzie słońca na spotkanie dwornego cudzoziemca.

Spieszmy teraz ku katastrofie mej opowieści. Powiadam katastrofie (woła Slawkenbergiusz), ponieważ opowieść, której poszczególne części właściwie są rozłożone, cieszy się (*gaudet*) nie tylko Katastrofą i Perypetią DRAMATU, lecz również wszystkimi jego ważkimi składowymi częściami; musi posiadać swą *Protasis*, *Epitasis*, *Catastasis* oraz swą Katastrofę lub Perypetię wyrastające jedne z drugich w tym porządku, w jakim ustanowił je ongiś Arystoteles; jeżeli warunek ten nie jest dotrzymany, lepiej, aby autor nie opowiadał opowieści (rzecze Slawkenbergiusz), lecz zachował ją dla siebie.

We wszystkich moich dziesięciu opowieściach każdej z moich dziesięciu dekad ja, Slawkenbergiusz, tak ściśle trzymałem się tej reguły, jak to czyniłem w opowiadaniu o cudzoziemcu i jego nosie.

Wszystko, co zdarzyło się od jego rozmowy ze strażnikiem u bram miejskich aż do chwili, gdy zdjął purpurowe atłasowe spodnie i opuścił Strasburg, tworzy *Protasis*, czyli wprowadzenie w akcję, w której postacie z lekka zostają zarysowane i wątek rozpoczęty.

*Epitasis*, w którym akcja powoli rozwija się i nabiera prędkości, aż osiąga szczyt napięcia zwany *Catastasis*, i które zamknięte zwykle bywa w drugim i trzecim akcie, obejmuje najruchliwszy okres pomiędzy chaosem i wrzawą, jakie wybuchły pierwszej nocy z powodu NOSA, a ostatnią prelekcją na jego temat wygłoszoną przez jejmość trębaczową pośrodku wielkiej promenady. Wszystko zaś, co dzieje się od momentu, w którym uczeni mężowie wszczęli dysputę, aż do chwili, gdy puścili się na wielkie wody scholastyki pozostawiwszy na brzegu pogrążonych w rozpacz sztrasburczyków, stanowi *Catastasis*, czyli dojrzewanie wypadków i namiętności do wybuchu w piątym akcie.

Akt piąty rozpoczyna się wyruszeniem sztrasburczyków na frankfurcki trakt, kończy zaś rozplątaniem labiryntu i doprowadzeniem bohatera od stanu wzburzenia (jak to określa Arystoteles) do stanu odpocznienia i błogości.

To właśnie (powiada Hafen Slawkenbergiusz) jest Katastrofa i Perypetia mojej opowieści, które to części mam zamiar wam przedstawić.

Pozostawiliśmy cudzoziemca za kurtyną, uspiętego — teraz znów wychodzi na scenę.

— I czemu tak strzyżesz uszami? Przecież to tylko człowiek na grzbiecie konia. — Tak brzmiało ostatnie zdanie, które cudzoziemiec skierował do muła. Byłoby wówczas nie na czasie powiadamiać czytelnika, że muł uwierzył swemu panu na słowo i bez dalszych „gdyby” i „jeżeli” przepuścił mimo wierzchowca i podróżnego.

Nieznamomy podróżny śpieszył się wielce, aby przed nocą zdążyć do Strasburga. — Co za kiep ze mnie — rzekł ujechawszy jeszcze milę — żem sobie wyobrażał, iż zdążę do Strasburga na noc. Strasburg! Wielki Strasburg! Strasburg, stolica Alzacji! Strasburg, cesarskie miasto! Strasburg, miasto suwerenne! Strasburg, którego załoga składa się z pięciu tysięcy najprzedniejszego żołnierza. Biada mi! Gdybym w tej chwili stanął u bram Strasburga, nie otrzymałbym prawa wniścia do grodu za dukata — gdzie tam, nawet za półtora dukata. To cena zbyt wielka — lepiej chyba wrócić do ostatniego zajazdu, którym mijał w drodze, niż spędzać noc nie wiem doprawdy gdzie i płacić nie wiem doprawdy ile. — Snując te rozmyślenia podróżny zawrócił konia i w trzy minuty po tym, jak cudzoziemiec zniknął za drzwiami izby sypialnej, przestąpił próg tej samej gospody.

— Mamy w domu boczek — rzekł karczmarz — i chleb, a do godziny jedenastej tego wieczora mieliśmy jeszcze trzy jajka, ale przyrządziliśmy z nich omlet dla pewnego cudzoziemca, który przybył przed godziną, więc już nie mamy żadnego.

— Dzięki ci, zacny człowieku, lecz utrudzone moje ciało nie pragnie niczego prócz łóżka. — Mam jedno z najmniejszych w Alzacji — odparł gospodarz. — Po prawdzie powinien spać w nim cudzoziemiec. — Pognął dalej człeczyna — bo jest to najlepsze moje łóżko, ale nie zajął go z przyczyny nosa. — Ma zapewne katar — rzekł podróżny. — Nic mi o tym nie wiadomo — zawołał gospodarz. — Ale jest to łóżko polowe i Jacyntha — dodał spoglądając na służebną dziewczkę — pomyślała sobie, że z powodu ciasności cudzoziemiec nie będzie mógł w nim obrócić nosa z boku na bok. — Czemu to? — zawołał podróżny cofając się o krok. — A bo ten jego nos taki jest długi — odparł gospodarz. — Podróżny wbił wzrok w Jacyntę, potem w podłogę, potem przykląkł na jedno kolano, potem dotknął dłonią piersi. — Nie kpij sobie z mego niepokoju — rzekł prostując się. — To nie żadne kpiny — odparła Jacyntha — tylko nos przepyszny! — Podróżny przykląkł ponownie, złożył dłonie na piersi i wyrzekł wznosząc oczy ku niebu: — Przywiodłeś mnie, Panie, do kresu mej pielgrzymki. Oto znalazłem Diego.

Podróżny był bratem Julii, której imienia nieznamy tak często wzywał jadąc na swym mule ze Strasburga; i zjawił się tu poszukując go z jej polecenia. Towarzyszył siostrze w drodze z Valladolid przez Pireneje do Francji i musiał odmotać niejedną splątany motek w pogoni za Diego przez liczne meandry i nagle zakręty ciernistej ścieżki kochanka.

Julia ugięła się pod ciężarem tych trudów i nie mogła zrobić ani kroku dalej poza Lyon, gdzie dręczona niepokojami wrażliwego serca, o których to niepokojach wszyscy mówią, lecz które nie wszyscy odczuwają, zachorowała; przecie starczyło jej jeszcze sił na napisanie listu do Diego. Po czym zakławszy brata, aby nie pokazywał się jej na oczy, dopóki nie odnajdzie jej lubego, i powierzwszy mu ten list, legła w łożu.

Chociaż posłanie w gospodzie było jednym z najmniejszych w Alzacji, Fernandez (tak bowiem zwał się

brat Julii) całą noc nie zmrużył oka. Dniało za ledwie, gdy wstał i słysząc, że Diego krząta się również, wszedł do jego izby, aby spełnić posłannictwo siostry.

Taka oto była treść listu:

„Senior Diego,

Nie czas pytać teraz, czy moje podejrzenia co do Twego nosa słuszne były, czy niesłuszne — wystarczy, że nie stało mi mocy charakteru, aby dotrzeć do sedna prawdy. Jak mogłam tak mało znać siebie samą, kiedy przez *duennę* wzbronila Ci przychodzić pod mój balkon? Lub jak mogłam znać tak mało Ciebie, Diego, że się nie domyśliła, iż nie zechcesz pozostać ani dnia dłużej w Valladolid, aby rozproszyć obawy me i wątpliwości? O Diego, czyż miałam być porzucona dlatego jedynie, że zostałam boleśnie oszukana? I czy to szlachetnie, żeś potraktował moje słowa serio (czy podejrzenia moje słuszne były, czy niesłuszne) i rzucił mnie na pastwę tak wielkiej niepewności i smutku?

Jak bardzo Julia nad tym cierpiała — opowie Ci mój brat oddając ten list do rąk Twoich. Powiadomi Cię on, jak prędko żalowała, skruszona, że wysłała Ci to okrutne polecenie... w jak obłądnym pośpiechu podbiegła do okna... ile dni i nocy wsparta na łokciach i zastygła w bezruchu spoglądała w tę stronę, z której zwykł był przychodzić jej Diego.

Opowie Ci on, jak upadła na duchu usłyszawszy o Twoim wyjeździe... jak jej serce zamarło... w jakiej pogrzyżyła się żalobie... jak nisko zwiesiła głowę. O Diego! Jakąż długą drogę przebyłam wspomagana i wiedzona za rękę przez współczującego mi brata, pragnąc jedynie trafić na Twój ślad. Jakże bardzo zamiary moje przewyższały siły — jak często omdlewałam w drodze i osuwałam się w jego objęcia, ostatkiem sił wołając: O mój Diego!

Jeżeli łagodność Twojego obejścia nie zada kłamu Twym uczuciom — przybędziesz do mnie z szybkością nie mniejszą niż ta, z jaką ode mnie uciekłeś. Lecz jakkolwiek wielki będzie Twój pośpiech, za ledwie zdą-

żysz ujrzeć mnie w chwili konania. Okrutny to los, o mój Diego! Lecz och, tym okrutniejszy, iż będę umierać nie..."

Nie stało jej sił na dokończenie listu.

Sławkenbergiusz przypuszcza, iż ostatnie słowa miały brzmieć: „nie przekonana”, lecz że słabość nie pozwoliła Julii napisać go w całości.

W miarę czytania listu Julii serce dwornego Diego coraz gorętszą wzbierało miłością. Rozkazał natychmiast osiodłać swego muła i konia Fernandeza. Że zaś we wszelkich dusznych zmaganiach proza nigdy nie da uczuciom tego upustu, co poezja — oraz że przypadek (który równie często podsuwa nam pod rękę leki, jak i pogarsza stan naszej choroby) zrzucił, iż przez okno wpadł do izby kawałek drzewnego węgla — Diego skorzystał z niespodziewanego daru losu i podczas gdy siodłano muła, wyraził na ścianie swą miłość w następujących słowach:

ODA

I

Szorstka, niemelodyjna muzyka miłości,  
Dopóki Julia nie uderzy w klawisz.  
Tylko jej dłoń znaleźć może tę partię,  
Której słodki takt czaruje serce  
I mężczyznę bierze w rozkoszne poddaństwo.

II

O Julio!

Wiersz brzmiał całkiem naturalnie, albowiem niezgoda nie miał wspólnego z sytuacją, powiada Sławkenbergiusz, szkoda więc wielka, iż tak był krótki. Czy Diego zbyt powolny był w komponowaniu wierszy, czy też chłopak stajenny aż nadto żwawy w siodłaniu wierzchowców — rzecz ta nie została rozstrzygnięta. Pewne jest natomiast, że muł Diego i koń Fer-

nandeza stały gotowe u drzwi gospody, zanim Diego opracował drugą strofę; tedy nie zatrzymując się dla dokończenia ody, obaj skoczyli na siodła, ruszyli z kopą, przeprawili się na drugą stronę Renu, przecięli na ukos Alzację, obrali kierunek na Lyon i nim sztrasburczycy i ksieni z Quedlinburga puścili się kawalkadą z miasta, Fernandez, Diego i ukochana jego Julia przebyli Pireneje i bezpiecznie dotarli do Valladolid.

Nie potrzeba chyba powiadamiać czytelnika biegłego w sprawach geografii, że skoro Diego bawił już w Hiszpanii, niemożliwością było spotkać dwornego cudzoziemca na frankfurckim trakcie. Wystarczy, jeśli powiem, że ponieważ ciekawość jest najsilniejszą ze wszystkich dręczących nas żądź, sztrasburczycy w pełni odczuli jej siłę, oraz że przez trzy dni i trzy noce nieokiełznana furia tej namiętności ciskała nimi tędy i owędy po gościńcu, zanim uznawszy się za pokonanych nie rozpoczęli odwrotu do pieleszy domowych, gdzie — niestety — miał spaść na ich głowy cios najboleśniejszy, jakiego doznać może wolny lud.

Ponieważ o tej zmianie losów sztrasburczyków mówi się wiele, lecz bez należytego zrozumienia, objaśnię ją światu, powiada Sławkenbergiusz, w kilku słowach i na tym zakończę opowieść.

Każdy z was słyszał o znakomitym systemie Monarchii Uniwersalnej opracowanym na polecenie Colberta i przedłożonym w manuskrypcie Ludwikowi XIV w roku 1664.

Wszyscy również wiedzą, że jednym z zaleceń tego systemu było wzięcie we władanie Strasburga w celu zapewnienia Francji łatwego dostępu do Szwabii — i że w następstwie wykonania owego planu Strasburg dostał się ostatecznie w ręce Francuzów.

Nielicznym tylko dane jest pojąć prawdziwą przyczynę tego i podobnych przewrotów. Pospólstwo szuka przyczyn zbyt wysoko, politycy zbyt nisko. A prawda (przynajmniej ta) leży pośrodku.

Jakże zgubną w skutkach jest patriotyczna duma

wolnego miasta! — woła jeden historyk. Sztrasburczycy uważali, że osadzenie garnizonu cesarskiego ogranicza ich swobody obywatelskie — padli więc państwą garnizonu francuskiego.

Los sztrasburczyków, powiada drugi, winien być dla wszystkich wolnych ludów przestrożą, aby nie trwożyły pieniędzy. Pobierali oni z góry i marnotrawili swe dochody, obciążyli się podatkami, wyczerpywali zasoby, w końcu zaś stali się społecznością tak osłabłą, iż nie stało im sił na pilnowanie zamkniętych bram, które Francuzi rozwarli bez trudu.

O nie, o nie! — woła Sławkenbergiusz. — To nie Francuzi rozwarli bramy Strasburga — rozwarła ją CIEKAWOŚĆ. Otóż gdy Francuzi, którzy chwytają w lot każdą okazję, postrzegli, że sztrasburczycy, mężczyźni, niewiasty i dzieci, puścili się w pogoń za nosem cudzoziemca, bez chwili wahania wściubili własne nosy w mury miasta.

Od tego czasu handel i rękodzieło podupadły i nadal słabują, lecz nie z tych przyczyn, na które wskazywali znawcy handlu, z tej zaś jedynie racji, iż NOSY tak twardym klinem wbiły się sztrasburczykom w głowy, że nie mogli pilnować należycie własnych interesów.

Niestety! Niestety! — woła Sławkenbergiusz. — Nie jest to pierwsza — a obawiam się, że również nie ostatnia reduta, którą NOSY zdobyły lub utraciły.

KONIEC OPOWIEŚCI SŁAWKENBERGIUSZA

## ROZDZIAŁ I

Czyż było to możliwe, aby człowiek posiadający tak rozległą wiedzę o NOSACH, która pobudzała nieustannie jego wyobraźnię, obarczony ponadto tak licznymi przesądami rodzinnymi oraz naszpikowany dzie-

sięcioma dekadami tego rodzaju opowiadań, aby człowiek tak wrażliwy jak mój ojciec... — Czy był to nos prawdziwy? — ...znieść mógł ów straszny wstrząs w pozycji innej niż ta, którą wam opisałem?

Rzućcie się razy dwanaście na łóżko, nie zapomnijcie wszelako umieścić wpiery zwierciadła na krześle obok łóżka... — Ale czy nos cudzoziemca był prawdziwy, czy też sztuczny?

Odpowiedzieć ci, pani, z góry na to pytanie znaczyłoby wyrządzić szkodę jednej z najcelniejszych opowieści świata chrześcijańskiego; a jest nią dziesiąta opowieść dziesiątej dekady, którą bez zwłoki przytoczę.

Opowieść tę, woła Slawkenbergiusz z pewną egzaltacją, zachowałem z zamiarem umieszczenia jej na końcu jako korony mego dzieła; przewidując słusznie, że kiedy ją opowiem i kiedy mój czytelnik ją przeczyta, będzie dla nas obu czas najwyższy zamknąć księgę, ponieważ nie znam żadnej innej opowieści, która by po tej mogła być przytoczona.

Ho, ho, ale bo też jest to opowieść!

Rozpoczyna się spotkaniem w gospodzie lyońskiej, w chwili gdy Fernandez pozostawił dwornego cudzoziemca i Julię samych w jej komnacie, nosi zaś tytuł

KOROWODY

MIEDZY

DIEGO A JULIĄ

Nieba! Co za osobliwy z ciebie człowiek, Slawkenbergiuszu! Jakże niezwykle otworzyłeś przed nami perspektywy krętych ścieżek niewieścięgo serca! Czy zdoła to ktokolwiek przetłumaczyć? A przecie jeśli ta próbka Slawkenbergiuszowych opowieści i jego cnej obyczajności przypadnie światu do smaku, przetłumaczone zostaną oba tomy. Tylko że nie mam najmniejszego pojęcia, jakim sposobem fragment ten dałoby się przełożyć na poprawną angielszczyznę. Wydaje mi się, że w niektórych miejscach nieodzowny jest szósty zmysł. Co, u licha, może mistrz ów mieć

na myśli mówiąc o „polyskliwej źrenicowatości cichej, rozwlekłej, oschłej pogawędki, pięć tonów poniżej rejestru normalnego” — co, jak wiesz, pani, niewiele głośniejsze jest od szeptu? Zaledwie wymówiłem powyższe słowa, zauważyłem jak gdyby początek wibracji strun w okolicy serca. Mózg nie zareagował. Często nie rozumieją się dobrze nawzajem — ale czułem, jakbym coś rozumiał. Żadne idee się nie nasunęły. A przecie wibracja musiała mieć jakąś przyczynę. Nie rozumiem. Nic nie potrafię wykoncypować — chyba że, za pozwoleniem waszych wielmożności, głos, który w tym przypadku niewiele był głośniejszy od szeptu, zmusza nieuchronnie obie pary oczu nie tylko do zbliżenia się na odległość sześciu cali, lecz również do spoglądania w źrenice. Czyż nie jest to niebezpieczne? Jednakże nie da się tego uniknąć, albowiem przy spoglądaniu w tej pozycji w sufit, muszą się zetknąć nieuchronnie brody, przy spoglądaniu zaś w dół na podłogi stykają się ze sobą czoła, co natychmiast kładzie kres konwersacji — mam na myśli, rzecz jasna, jej część sentymentalną. Po resztę zaś, pani, schylać się nie warto.

## ROZDZIAŁ II

Ojciec mój leżał na łóżku tak nieruchomo, jak gdyby powalił go grom śmierci, i dopiero po upływie dokładnie półtorej godziny zaczął wybijać o podłogę takt palcami tej nogi, która zwisała mu z łóżka; wtedy z serca stryjaszka Toby'ego spadł ciężar najmniej funtowy. W kilka chwil później wróciło ojcu czucie w lewej ręce, której palce spoczywały cały czas na uchu nocnego naczynia; wepchnął rzeczony naczynie głębiej za frędzle kapy, po czym podniósł rękę, wsunął ją w zanadrze, chrząknął. Zaczny mój stryjaszek odpowiedział mu pełnym ukontentowania chrząknięciem; rad byłby skorzystać ze sposobności, którą nastąpiła mu

ta wymiana chrząknięć, i dorzucić na dodatek kilka słów pociechy, ponieważ jednak nie posiadał, jak wam to mówiłem, w tym kierunku żadnych talentów, ponadto zaś lękał się, że wyskoczy jak Filip z konopi z czymś, co jeno pogorszy sprawę, milczał poprzestawszy na oparciu podbródka o poprzeczkę kuli.

Otóż bez trudu moglibyśmy rozstrzygnąć, czy ucisk wywołany oparciem podbródka o poprzeczkę kuli skrócił owal twarzy stryjaszka Toby'ego i nadał jej dobrotniejszy niż zazwyczaj wyraz, czy też może stryjaszek widząc, iż brat jego wylania się powoli z otchłani zgryzot, naprężył mięśnie twarzy w taki sposób, że nacisk na podbródek podwoił jedynie goszczącą przedtem na jego obliczu tkliwą łagodność. W każdym razie gdy ojciec spojrział na niego, z twarzy stryjaszka biła tak promienna jasność, że rozproszyły się natychmiast mroki ojcowskiego smutku.

Przerywając tedy milczenie ojciec przemówił w te słowa:

### ROZDZIAŁ III

— Czy kiedykolwiek jakikolwiek człowiek, bracie Toby — zawołał mój ojciec unosząc się na łokciu i zwracając całym ciałem ku tej stronie łóżka, po której siedział mój stryjaszek Toby w starym, ozdobionym chwastami fotelu — czy kiedykolwiek jakikolwiek nieszczęśliwy, pożałowania godny człowiek, bracie Toby, otrzymał tak liczne cięgi? — Najwięcej cięgów — rzecze stryjaszek (i aby wezwać Trima pociągnął za dzwonek wiszący u wezglowia łóżka) — dano w mojej przytomności pewnemu grenadierowi z pułku, zdaje się, Mackaya.

Gdyby stryjaszek Toby przeszył kulą serce mojego ojca, ten nie mógłby raptowniej zwalić się nosem w poduszkę.

— O Boże! — zawołał stryjaszek.

— Czy ten nieszczęsny grenadier — spytał stryjasek Toby — tak bezlitośnie wychłostany w Brugii z powodu dukatów, służył w pułku Mackaya? — O Chry-  
 tchnął żałośnie. — A wychłostany został, za pozwoleniem Waszej Miłości, niemal na śmierć. Lepiej by zrobili pakując mu od razu kulkę w łeb, jak o to prosił, bo poszedłby prosto do nieba, jako że tak był niewinny jak Wasza Miłość. — Dziękuję ci, Trimie — rzecze mój stryjasek Toby. — Jak tylko pomyślę o jego nieszczęściu — ciągnął dalej Trim — albo o złej przygodzie mojego brata Toma, bośmy wszyscy trzej do jednej chodzili szkoły, zaraz płacząc niczym najgorszy tchórz. — Łzy nie są dowodem tchórzostwa. Ja sam nierzadko je ronię — zawołał mój stryjasek. — Wiem o tym, W. Miłość — odparł Trim — i z tej przyczyny nie wstydę się moich. Ale kiedy pomyślę — dodał i łza błysnęła mu w kąciку oka — kiedy pomyślę, że ci dwaj zacni chłopcy, dzieci zacnych rodziców, którzy mieli w piersiach serca najgołętsze i najpoczciwsze, jakimi Bóg może obdarzyć człowieka, i którzy chwacko wyruszyli w świat na poszukiwanie szczęścia, w tak okrutne popadli tarapaty... Biedny Tom łamany kołem za to tylko, że poślubił żydowską wdowę, która sprzedawała kiełbaski — a zancnemu Dickowi Johnsonowi o mało co na dobre nie wypędzili batami duszy z ciała za dukaty, które jakiś lotrzyk podrzucił mu do tornistra! O, to są niedole prawdziwe — zawołał Trim wyjmując chustkę z kieszeni — to są niedole prawdziwe i warte tego, za pozwoleniem Waszej Miłości, aby lec na łóżku i gorzko nad nimi zapłakać.

Ojciec mój mimowolnie się zarumienił.

— Szkoda byłaby to wielka, Trimie — rzecz stryjasek Toby — gdybyś miał doznać kiedykolwiek własnych zgryzot i boleści, tak serdecznie odczuwasz je za

innych. — Niestety — odparł kapral, przy czym twarz jego rozpogodziła się — Wasze Miłości wiedzą przecie, iż nie mam żony ani dziecięcia, nie mam więc też żadnych strapień na tym świecie. — Ojciec mój mimowolnie się uśmiechnął. — Masz ich mniej niż inni ludzie — przyznał mój stryjasek. — Nie wyobrażam sobie zresztą, aby ktoś, kto ma tak beztroskie usposobienie, mógł cierpieć z przyczyny innej niż zgryzoty niedostatku w starości, kiedy niezdatny już będziesz, Trimie, do służby i przeżyjesz wszystkich swych przyjaciół. — Niechże się W. Miłość tym nie trapi! — odparł Trim pogodnie. — Ale ja nie pozwolę, żebyś ty się tym kiedyś trapił, Trimie — rzekł mój stryjasek Toby — i dlatego — dodał odrzucając kulę i wstając z fotela w chwili gdy wypowiadał słowo dla tego — w nagrodę, Trimie, za twą długoletnią wierność i za poczciwość serca, której tak liczne miałem dowody, dopóki pan twój będzie miał w kieszeni szylinga, nie będziesz prosił innych o pensa. — Trim chciał podziękować stryjaszkowi, nie stało mu jednak sił — łzy płynęły mu po policzkach prędzej, niż zdążyłby je ocierać. Złożył dłoń na piersiach, skłonił się aż do podłogi i wyszedłszy zamknął za sobą drzwi.

— Zostawiłem Trimowi w testamencie moją murawę do gry w kule! — wykrzyknął stryjasek Toby. Ojciec mój uśmiechnął się. — A ponadto zapisałem mu dożywocie — dodał stryjasek. — Ojciec mój spoważniał.

## ROZDZIAŁ V

Czyż jest to pora stosowna — rzekł sobie w duchu mój ojciec — do rozprawiania o GRENADIERACH i DOŻYWOCIACH?

## ROZDZIAŁ VI

Gdy stryjaszek Toby wspomniał o grenadierze, ojciec mój, jak wam to mówiłem, padł nosem na płask na poduszkę i to tak raptownie, jak gdyby stryjaszek przeszył serce jego kulą; nie dodałem jednak, że wszystkie inne członki i kończyny ojca powróciły za przykładem nosa do najściślej tej samej pozycji, w jakiej leżał, gdym go wam opisywał w jednym z poprzednich rozdziałów; toteż kiedy kapral Trim opuścił pokój, ojciec zaś poczuł się skłonny wstać z łóżka, zanim mógł to uczynić, musiał powtórzyć kolejno wszystkie małe przygotowawcze gesty i ruchy. Pozy, pani, same w sobie są niczym; ważne jest dopiero przejście z jednej pozy w drugą, podobnie jak rozwiązanie harmoniczne dysonansu.

Dlatego ojciec mój zaczął znów wybijać o podłogę palcami u nogi te same skoczne takty, wepchnął naczynie nocne głębiej nieco pod frędzle kapy, chrząknął, podniósł się na łokciu i już-już miał przemówić do stryjaszka Toby'ego, gdy wspomniawszy nagle na niepowodzenie pierwszej próby, którą podjął w takiej pozycji, wstał z łóżka i po raz trzeci obchodząc pokój zatrzymał się nagle przed stryjaszkiem Toby'm. Umieściwszy zaś trzy pierwsze palce prawej ręki w dłoni lewej i pochyliwszy się nieco do przodu w te przemówił słowa:

## ROZDZIAŁ VII

— Kiedy się zastanowię, bracie Toby, nad CZŁOWIEKIEM i dostrzegę tę ciemną stronę jego doli, która jest podległość życia ludzkiego przyczynom tak wielu strapień; gdy pomyślę, bracie mój, jak często spożywać musimy gorzki chleb smutków i zgryzoty, oraz uprzytomnię sobie, że cierpienie przeznaczone jest nam

niejako od losu niby część naszego dziedzictwa... — Mnie los nie przeznaczył nic zgola — przerwał mój stryjasek — prócz patentu oficerskiego. — Bajba-ju! — rzekł ojciec. — Czyż nasz wuj nie zostawił ci w spadku stu dwudziestu funtów dożywocia rocznie? — A cóż ja bym bez nich począł? — spytał stryjasek Toby. — To już inna sprawa — odparł nieco gniewnie mój ojciec. — Chciałem przecie powiedzieć, bracie Toby, że kiedy przegląda się rejestry mylnych rachub oraz innych bolesnych pozycji w tym spisie, którymi ponad miarę przeciążone jest ludzkie serce, aż dziw bierze, dzięki jakim to tajemnym sposobom umysł ludzki zdolny jest wytrzymać i znieść z taką pogodą, z jaką w istocie znosi, nakładane na nas ciężary. — Dzieje się to dzięki pomocy Boga Wszechmonego — zawołał stryjasek Toby wznosząc oczy ku górze i składając ręce jak do modlitwy — nie dzięki naszej własnej sile, bracie Shandy. Wartownik w drewnianej budce strażniczej mógłby z takimż powodzeniem próbować stawić czoła oddziałowi pięćdziesięciu żołnierzy. Podtrzymuje nas łaska i pomoc najdobrotliwszej Istoty.

— Znaczy to przecinać węzeł — rzekł mój ojciec — miast go rozsypywać. Lecz pozwól, bracie Toby, abym cię wprowadził nieco głębiej w te zawile arkana.

— Pozwalam, z całego serca pozwalam — odparł stryjasek.

Mój ojciec zmienił natychmiast pozycję, w której stał, na tę, w jakiej Rafael tak pięknie namalował Sokratesa w jego ateńskiej szkole; postawa ta, jak wazsze koneserskie moście wiedzą, tak wybornie jest przedstawiona, iż został w niej zobrazowany nawet sposób rozumowania Sokratesa — trzyma on bowiem palec wskazujący lewej ręki między kciukiem a palcem wskazującym prawej i zdaje się mówić do libertyna, którego nawraca: „Zgódź się ze mną tylko w tym i tym punkcie, a na to i na to zgody nie żądam, bo to samo przez się wynika z poprzedniego”.

Taką postawę przybrał ojciec. Stał trzymając mocno

palec wskazujący jednej ręki między palcem wskazującym a kciukiem drugiej i rozprawiał ze stryjaszkiem Toby'm, który siedział w starym fotelu, obszytym frędzlą i ozdobionym chwastami z różnobarwnej włóczki. O Garricku! Jakże przepyszna stałaby się ta scena, gdybyś zechciał jej poświęcić swoje wyborne talenty! I jakże rad byłbym wtedy ją opisać, aby korzystając z twojej nieśmiertelności, zapewnić sobie przy okazji własną.

## ROZDZIAŁ VIII

— Chociaż człowiek jest najosobliwszym ze wszystkich krążących po ziemi wehikułów — rzekł mój ojciec — to przecie jednocześnie tak lichy jest sklecony i tak kruchej budowy, że nagle podrygi i szarpnięcia, którym podlega nieuchronnie na swej wyboistej drodze, przewróciłyby go i rozstrzaskały na kawałki, gdyby nie znajdowała się w każdym z nas, bracie Toby, pewna tajemna sprężyna. — Którą to sprężyną w moim mniemaniu — powiedział stryjasek Toby. — jest wiara. — A czyż wiara przyprawi nos mojemu dzieciństwu? — zawołał ojciec wypuściwszy z prawej ręki palec lewej i uderzając w dłonie. — Wszak wiara wszystko nam naprawia — odparł stryjasek Toby. — W przenośnym sensie, drogi Toby, może tak. Lecz sprężyną, o której mówię, jest owa znajdująca się w nas wielka i prężna zdolność równoważenia zła, która (na podobieństwo sekretnej sprężyny w dobrze zbudowanej maszynie) choć nie może zapobiec wstrząsowi, przynajmniej łagodzi odniesione przez nas wrażenie.

— Otóż, drogi bracie — rzekł ojciec umieszczając na powrót palec wskazujący jednej ręki między palcem wskazującym i kciukiem drugiej, albowiem zbliżał się właśnie do sedna swoich wywodów — gdyby dziecko moje przybyło na świat szczęśliwie, nie naznaczone piętnem męczeństwa na tak cennej swej cząstce, to

jakkolwiek cudaczne i fantastyczne mogą wydać się światu moje opinie na temat imion chrzestnych i magicznego wpływu, który złe lub dobre imiona wywierają nieodparcie na nasze charaktery i postęпки, niebo mi świadkiem, że nawet w chwilach, gdy moje pragnienie zapewnienia pomyślności mojemu potomkowi wzlatywało na najwyższe szczyty, nigdy nie życzyłem sobie otoczyć jego głowy aureolą większej chwały i zaszczytów niż te, którymi opromienić ją mogły imiona EDWARD lub JERZY.

— Lecz niestety! — ciągnął dalej mój ojciec. — Ponieważ przytrafiło mu się największe zło, muszę złu temu przeciwdziałać i przeciwważyć je za pomocą największego dobra. Dziecię moje, bracie, otrzyma na chrzcie imię Trismegistos.

— Obyż odpowiedziało ono twym nadziejom — rzekł wstając mój stryjasek Toby.

## ROZDZIAŁ IX

— Jakże długi jest rejestr przypadków — zwrócił się mój ojciec do stryjaska Toby'ego skręcając na półpiętrze, gdy schodzili ze schodów — jakże długi jest rejestr przypadków, na które narażają nas wydarzenia na tym świecie. Weź do ręki pióro i papier, bracie Toby, i przeprowadź rzetelną kalkulację... — Znam się na kalkulacji nie lepiej niż ta balustrada — rzekł stryjasek Toby (i zamachnąwszy się kulą, miał uderzyć w poręcz, wymierzył niespodziewany cios w goleń ojca). — Ach, było sto do jednego! — zawołał stryjasek. — Sądziłem — rzecze mój ojciec (rozcierając goleń) — że nie znasz się na kalkulacji. — Zwykły przypadek — odparł stryjasek Toby. — W takim razie powiększył się nasz rejestr — zareplikował ojciec.

Podwójny sukces tych ciętych odpowiedzi pozwolił mojemu ojcu zapomnieć natychmiast o bólu w goleni: szczęście to wielkie, że tak się zdarzyło (znowu przy-

padek!), inaczej bowiem świat po dziś dzień nie poznałby przedmiotu jego kalkulacji, a na odgadnięcie go nie było żadnych widoków — chyba że przypadkiem. Jaki szczęśliwy traf, że ten rozdział okazał się rozdziałem o przypadkach! Oszczędziło mi to bowiem trudu napisania rozdziału specjalnego, a prawdę mówiąc i tak mam ręce pełne roboty. Czyż nie obiecałem światu rozdziału traktującego o węzłach? Dwóch rozdziałów o właściwym i niewłaściwym końcu kobiety? Rozdziału o bokobrodach? Rozdziału o życzeniach? O nosach? Nie, ten już był! Rozdziału o skromności stryjaszka Toby'ego? Nie mówiąc już o rozdziale o rozdziałach, który napiszę, zanim ułożę się dzisiaj do snu. Na bokobrody mojego pradziada, i tak nie dobrnę do ich połowy w tym roku!

— Weź pióro i papier do ręki, bracie Toby, i przeprowadź rzetelną kalkulację — rzekł ojciec — a przekonasz się, iż milion do jednej szans przemawiało za tym, że spośród wszystkich innych części ciała zęby kleszczy złym trafem obsuną się i zmiażdżą tę jedną jedyną część ciała mojego potomka, która z kolei zwycięży pomyślność naszej rodziny.

— Sprawy mogły przybrać gorszy obrót — powiedział stryjaszek Toby. — Nie rozumiem — rzekł mój ojciec. — Przypuśćmy, że pokazałby się najpierw pośladek — wyjaśnił stryjaszek — jak to przewidywał doktor Slop.

Ojciec zastanawiał się pół minuty, spojrzął w dół, stuknął się lekko palcem w czoło...

— Słusznie mówisz — rzekł.

## ROZDZIAŁ X

Czy to nie wstyd rozciągać na dwa rozdziały opowieści o tym, co działo się podczas schodzenia ze schodów? Dotarliśmy bowiem zaledwie do półpiętra i od

parteru dzieli nas jeszcze piętnaście stopni; a ponieważ ojciec mój i stryjaski znajdują się w gadatliwym usposobieniu, kto wie, czy nie będzie tyleż rozdziałów, ile stopni. Niech się dzieje co chce, panie, nie zatrzymam tego, podobnie jak nie zatrzymam mojego przeznaczenia. Czuję nagły impuls — spuść kurtynę, imci Shandy! Spuszczam ją. Pociągnij tu piórem w poprzek arkusza, Tristramie. Pociągnąłem \_\_\_\_\_ i dalejże do nowego rozdziału.

Czemuż to, u licha, miałbym trzymać się jakiegóż innej reguły w tej materii? A gdybym nawet miał taką, to ponieważ zawsze wszystko robię na przekór wszelkim regułom, zmiąłbym ją i podarł na strzępy, co uczyniwszy cisnąłbym w ogień! Czy może mówię w uniesieniu? Tak — sprawa tego wymaga! Piękna mi historia! Czy pisarz ma być dla reguł — czy też reguły dla pisarza?

Otóż wiedźcie, że ponieważ rozdział ten jest moim rozdziałem o rozdziałach, który przyrzekłem napisać, zanim ułożę się do snu, uważałem, że postąpię słusznie, jeśli przed udaniem się na spoczynek zrzucę ciężar z serca oznajmiając światu wszystko, co wiem w tym przedmiocie. Czyż nie jest tak dziesięćkroć lepiej, niż gdybym rozpoczął swoje wywody dogmatycznym i sentencjonalnym popisem wiedzy i opowiadając historię upieczonemu na ogniu konia zapewniał świat, że dzielenie dzieła na rozdziały ułatwia pracę intelektu, wspomaga lub kieruje na odpowiednie tory imaginację, że w utworze o tak dramatycznym kształcie rozdziały są konieczne niczym zmiana scen — przytaczając pięćdziesiąt innych obmyślonych na zimno konceptów, gotowych do cna zgasić ogień, na którym piekł się koń? Och, lecz aby zrozumieć to, co jest jakby oddechem podsycającym ogień w świątyni Diany, musicie przeczytać Longinusa — przeczytać go od deski do deski. A jeżeli z pierwszej lektury niewiele skorzystacie, nie zrażajcie się tym, lecz przeczytajcie dzieło po raz drugi. Avicenna i Licetus Fortunio czytali metafizykę Arystotelesa każdy po razy czterdzieści i nie zrozu-

mieli. Lecz zważcie, jakie były tego skutki: Avicenna stał się nieobliczalnym pisarzem, który imał się każdej dziedziny pisarstwa, tworzył bowiem dzieła *de omni scribilibi*. Jeżeli zaś idzie o Licetusa (Fortunio), to chociaż świat cały wie, że urodził się on jako płód długości zaledwie pięciu i pół cala \*, wyrósł jednak wzno- sząc się na tak zdumiewające wyżyny pisarstwa, iż stworzył dzieło o tytule długości własnej swej osoby — ludzie światli odgadną, iż mam na myśli jego „Gono- psychanthropologię” traktującą o pochodzeniu duszy ludzkiej.

Na tym kończę mój rozdział o rozdziałach, który uważam za najprzedniejszy rozdział w całym moim dziele. I ręczę za to słowem, że kto go będzie czytał, ten tak wyborne znajdzie zatrudnienie, jak przy pluciu i łapaniu.

\* Ce Foetus n'était pas plus grand que la paume de la main, mais son père l'ayant examiné en qualité de Médecin & ayant trouvé que c'était quelque chose de plus qu'un Embryon, le fit transporter tout vivant à Rapallo, où il le fit voir à Jérôme Bardi & à d'autres Médecins du lieu. On trouva qu'il ne lui manquait rien d'essentiel à la vie, & son père pour faire voir un essai de son expérience, entreprit d'achever l'ouvrage de la Nature, & de travailler à la formation de l'Enfant avec le même artifice que celui dont on se sert pour faire éclore les Poulets en Egypte. Il instruisit une Nourrice de tout ce qu'elle avait à faire, & ayant fait mettre son fils dans un four proprement accommodé, il réussit à l'élever & à lui faire prendre ses accroissements nécessaires, par l'uniformité d'une chaleur étrangère mesurée exactement sur les degrés d'un Thermomètre, ou d'un autre instrument équivalent. (Vide Misch. Giustinian ne gli Scritt. Liguri à Cart. 223. 488).

On aurait toujours été très satisfait de l'industrie d'un père si expérimenté dans l'Art de la Génération, quand il n'aurait pû prolonger la vie à son fils que pour quelques mois ou pour peu d'années.

Mais quand on se représente que l'Enfant a vécu près de quatrevingts ans, & qu'il a composé quatre-vingts ouvrages différents, tous fruits d'une longue lecture — il faut convenir que tout ce qui est incroyable n'est pas toujours faux, & que la Vraisemblance n'est pas toujours du côté de la Vérité.

Il n'avait que dix neuf ans lorsqu'il composa *Gonopsychanthropologia de Origine Animae humanae*. (Les Enfants célèbres, revus & corrigés par M. de la Monnoye de l'Académie Française) (przyp. autora).

## ROZDZIAŁ XI

— Naprawimy wszystko — rzekł ojciec stawiając nogę na pierwszym stopniu licząc w dół od półpiętra. — Ów Trismegistos — dodał ojciec cofając nogę na półpiętro i zwracając się do stryjaszka Toby'ego — był, bracie Toby, największym ze śmiertelników: największym królem, największym prawodawcą, największym filozofem i największym kapłanem. — I zapewne inżynierem? — dorzucił stryjasek Toby.

— Między innymi — odparł ojciec.

## ROZDZIAŁ XII

— Jakże się miewa twoja pani? — zawołał ojciec, ponownie stawiając nogę na pierwszym stopniu licząc w dół od półpiętra, na widok Zuzanny, która przechodziła u stóp schodów niosąc w ręku niezwyklej wielkości poduszczkę do szpilek. — Jakże się miewa twoja pani? — Tak się czuje, jak się czuje — odparła Zuzanna i podreptała dalej nie spojrzawszy nawet w górę. — Cóż za głupiec ze mnie — rzekł mój ojciec cofając nogę na dawne miejsce. — Obojętne, jak się rzeczy mają, bracie Toby, jest to odpowiedź zawsze ścisła. — A jak tam dziecko? — Nie było żadnej odpowiedzi. — A gdzie jest doktor Slop? — dodał ojciec podnosząc głos i wychylając się przez balustradę. Zuzanna znajdowała się już poza zasięgiem jego głosu.

— Spośród wszystkich zagadek życia małżeńskiego... — rzekł mój ojciec i cofnąwszy się w głąb półpiętra oparł się plecami o ścianę, jednocześnie wyjawiając swą myśl stryjaszce Toby'emu. — Wierz mi, bracie Toby, że ze wszystkich zadziwiających zagadek życia małżeńskiego, którymi naładować by można więcej jucznych osłów, niż Hiob posiadał ich w majątku,

najtrudniejsza do odgadnięcia jest ta, iż z chwilą, gdy jejmość zlegnie, każda żeńska osoba w domu, od damy do towarzystwa aż po dziewczkę do rozpalania ognia na kominkach, wyżej zadziera nosa z tego powodu i bardziej arogancko się zachowuje niż z jakiegokolwiek innej racji.

— Mniemam — odparł stryjaszek Toby — że to raczej my czujemy się mniejsi. Dzieje się tak ze mną, ilekroć spotykam kobietę brzemienną. Ciężki to ha-racz, który płacić musi połowa rodzaju ludzkiego, bracie Shandy — rzekł stryjaszek. — Przytłaczające do-prawdy brzemię — dodał potrząsając głową. — Tak, tak, bolesna to w istocie sprawa — powiedział mój ojciec również potrząsając głową. Lecz odkąd potrzą-sanie głową weszło w zwyczaj, nigdy zapewne dwaj ludzie nie potrząsali zgodnie głowami z dwóch tak zu-pełnie odmiennych racji.

— Niech Bóg błogosławi }  
— Niech licho porwie }      cały ród niewieści — rze-  
kli mój ojciec i stryjaszek Toby, każdy do siebie.

## ROZDZIAŁ XIII

Hej, fiakrze! Masz tu sześć pensów! Skocz no do sklepu tego księgarza i przywołaj mi najsłynniejszego dzisiaj krytyka. Dam ohotnie każdemu z nich koronę, jeśli z pomocą swych narzędzi ściągnie mojego ojca i mojego stryjaszka Toby'ego ze schodów i ułoży ich w łózkach.

A czas to najwyższy; albowiem prócz krótkiej drzemki, w którą zapadli, gdy Trim wiercił otwory w butach do konnej jazdy, i która, zaznaczyć to wypa-da, z przyczyny skrzypiących zawiasów nie przyniosła ojcu żadnego pożytku, obaj nie zaznali snu, odkąd opu-ścili swoje sypialnie na dziesięć godzin przed ową

chwila, gdy Obadiusz wprowadził do malej bawialni oblepionego blokiem dr Slopa.

Gdyby każdy dzień mojego żywota tak miał być pracowity jak dzień dzisiejszy i gdyby trwać miał... Dajmy temu pokój.

Nie dokończę tego zdania, dopóki nie wypowiem pewnej obserwacji na temat osobliwości stanu spraw między mną a moimi czytelnikami, tak jak rzeczy mają się w chwili obecnej; obserwacji, która nie mogła się stosować do żadnego innego od stworzenia świata biografa prócz mnie, i która, jak mniemam, nie będzie mogła nigdy, aż do końca świata, stosować się do żadnego innego. Przeto z racji już choćby jej nowatorstwa zechcą wasze wielmożności poświęcić jej nieco uwagi.

Jestem w tym miesiącu o cały rok starszy, niż byłem o tym czasie przed dwunastu miesiącami; a ponieważ dotarłem, jak sami widzicie, niemal do połowy czwartej księgi, ale nie dalej niż do pierwszego dnia mojego żywota — jasno z tego wynika, iż mam teraz do opisanja trzysta sześćdziesiąt cztery dni więcej, niż miałem w chwili rozpoczęcia tego dzieła; tak że miałem posunąć moją pracę naprzód, jak uczyniłby to każdy inny pisarz, ja, przeciwnie, cofnąłem się o tyle to a tyle tomów. Gdyby każdy dzień mojego żywota tak miał być pracowity jak dzień dzisiejszy (a czemu by nie miał?), wydarzenia zaś i opinie na jego temat wymagałyby tylu tak licznych opisów (a z jakiej niby racji miałyby być skrócone?) — pisząc z taką szybkością będę żył 364 razy prędzej, niżli pisał, z czego, za pozwoleniem waszych wielmożności, wynika nieuchronnie, że im więcej będę pisał, tym więcej będę miał do napisania, a co za tym idzie, tym więcej wasze wielmożności będą miały do przeczytania.

Czy to aby nie popsuje waszym wielmożnościom wzroku?

Na mój wpływie zbawiennie. A gdyby moje MYŚLI nie miały wpędzić mnie w końcu do grobu (jako że gotów jestem pęknąć od śmiechu), mniemam, że żyło-

by mi się świetnie z tego mojego ŻYWOTA lub, innymi słowy, żyłoby mi się świetnie podwójnym życiem.

Jeśli idzie o propozycję pisania dwunastu życiem. rocznie, czyli jednego tomu miesięcznie, w najmniejszej nawet mierze nie zmienia to podstaw moich obliczeń. Bez względu bowiem na to, jak starałbym się pisać i czy zaczynałbym od środka wątku (w myśl rady Horacego), czy nie, nie zdołam nigdy prześcignąć samego siebie, choćbym nawet popędzał się batem i wyciskał z siebie ostatnie poty. W najmniej fortunym przypadku zdobędę nad moim piórem przewagę jednego dnia, jeden dzień zaś starczy mi na dwa tomy, dwa tomy zaś starczą mi na jeden rok.

Nieba niech sprzyjają właścicielom papierniczych manufaktur pod tymi pomyślnymi rządami, które nas teraz oczekują; tuszę również, że będą one sprzyjały wszystkiemu innemu, czego pod tym panowaniem dotknie się ludzka ręka.

O hodowlę gęsi ani myślę się trapić. Natura jest szczodra; nie zbraknie mi nigdy narzędzi do pracy.

— A więc, przyjacielu, sprowadziłeś mojego ojca i stryjaszka Toby'ego ze schodów i ułożyłeś ich do snu. I jak zdołałeś tego dokonać? Zapuściłeś zasłone u stóp schodów?... hm, domyślałem się, że nie znajdziesz innego sposobu. Masz tu koronę za swe trudy.

## ROZDZIAŁ XIV

— Podaj mi więc spodnie z krzesła — rzekł ojciec do Zuzanny. — Nie możesz, panie, tracić ani chwili czasu na wkładanie spodni — zawołała Zuzanna — dziecko szerniało na twarzy niczym mój... — Niczym twój co...? — spytał ojciec, albowiem jak wszyscy stylisci był gorliwym zbieraczem porównań. — Boże miłościwy! Dziecko ma przecie konwulsje! — zawołała Zuzanna. — A gdzie jest pastor Yorick? — Jak zawsze

nie tam, gdzie być powinien — odparła Zuzanna. — Za to jego wikary jest w gotowalni i trzyma dziecko na rękę i czeka na imię, a że kapitan Shandy ma być ojcem chrzestnym, pani kazała mi biec co tchu i spytać pana, czy dziecko nie powinno po nim wziąć imienia.

„Gdyby istniała pewność — rzekł do siebie mój ojciec drapiąc się w brew — że dziecko wyzionie ducha, można by śmiało złożyć bratu Toby'emu ten mały hold. Zresztą w takim przypadku szkoda byłoby marnować tak wspaniałe imię jak Trismegistos. Ale dziecko może ozdrowieć”.

— Nie, nie — rzekł ojciec do Zuzanny — już wstaje... — Kiedy mówię, że nie ma ani chwili czasu — zawołała Zuzanna. — Dziecko na twarzy czarne jak mój trzewik. — W takim razie Trismegistos — rzekł mój ojciec. — Ale czekaj, Zuzanno, masz przecie pamiętać niczym sito — dodał. — Czy potrafisz przenieść w głowie Trismegistosa przez korytarz i nie zgubić go po drodze? — Czy potrafisz? — fuknęła Zuzanna i ze złością trzasnęła za sobą drzwiami. — Niech zginę, jeżeli potrafi — rzekł ojciec wyskakując z łóżka i szukając po omacku spodni.

Zuzanna najspieszniej jak mogła biegła przez korytarz.

Ojciec mój najspieszniej jak mógł szukał po omacku spodni.

Zuzanna zdobyła nad moim ojcem przewagę i wykorzystała ją. — Ma to być Tris-i-coś-tam! — zawołała Zuzanna. — Nie ma na świecie innego chrześcijańskiego imienia — rzekł wikary — które zaczyna się na Tris, prócz imienia Tristram. — W takim razie jest to Tristram-gistos — rzecze Zuzanna.

— Brednie! Żadnego „gistosa” w nim nie ma, wiem, bo to przecież i moje imię — odparł wikary zanurzając rękę w chrzcielnicę. — Tristramie — rzecze wikary — chrzczę cię etc., etc., etc. — Zostałem tedy Tristramem i Tristramem będą aż do samej śmierci. Ojciec mój zdążył śladem Zuzanny; przez ramię miał

przewieszoną koszulę nocną, ubrany zaś był jedynie w spodnie z pośpiechu zapięte tylko na jeden guzik, guzik zaś ów z pośpiechu tylko do połowy wetknięty był w dziurkę.

— Czy nie zapomniała imienia? — zawołał ojciec wsuwając głowę przez uchylone drzwi. — Nie, nie — odparł wikary tonem człowieka, który wie, co mówi. — I dziecko jest zdrowsze — zawołała Zuzanna. — A jakże się miewa twoja pani? — spytał ojciec. — Cóż, czuje się, jak się czuje. — A bodaj cię! — rzekł ojciec, przy czym guzik u jego spodni wysunął się z dziurki. Nie mamy więc pewności, czy jego okrzyk skierowany był do Zuzanny, czy też do dziurki od guzika — czy „A bodaj cię!” wyrażało pogardę, czy skromność. Wątpliwość ta dopóty pozostanie wątpliwością, dopóki nie będę miał czasu napisać trzech następujących rozdziałów, czyli rozdziału o pannach służących, rozdziału o „a-bodaj-cię” i rozdziału o dziurkach od guzików.

Obecnie udzielić mogę czytelnikowi tych jedynie wyjaśnień, że ojciec mój w tej samej chwili, w której zawołał „A bodaj cię!”, obrócił się na pięcie i podtrzymując spodnie jedną ręką, w drugiej zaś ściskając nocną koszulę, udał się korytarzem do sypialni. Lecz tym razem szedł krokiem nieco wolniejszym.

## ROZDZIAŁ XV

Pragnąłbym umieć napisać rozdział o śnie. Nie mogłaby nadarzyć się do tego okazja stosowniejsza niż ta, którą przynosi mi chwila obecna; kiedy zasłony u łóżek wszystkich członków mojej rodziny są zasunięte, świece pogaszone i oczy każdej żywej istoty w domu zamknięte, prócz jednego oka (drugie bowiem zamknęło się przed laty dwudziestu) pielęgniarce mej matki.

Piękny to doprawdy temat!

Ale chociaż jest piękny, zgodziłbym się ohotniej napisać tuzin rozdziałów o dziurkach od guzików, z czego wywiązałbym się nie tylko prędzej, lecz i z większą dla siebie chlubą, niż jeden jedyny o śnie.

Dziurki od guzików. Jest coś podniecającego w samej myśli o nich, wierzcie mi więc, że skoro się między nie dostanę... Strójcie sobie nie wiem jak poważne miny, panowie szlachta o długich brodach! Już ja pohulam z moimi dziureczkami od guzików — będę je miał do własnego tylko użytku. Temat dziewiczy, nie potrączę w nim o żadne wasze męskie mądrości czy piękne maksymy.

Ale jeśli idzie o sen — wiem z góry, że nie podołam. Po pierwsze, nie władam stylem uroczystym; a po drugie, żadną miarą nie potrafię zrobić poważnej miny do zgoła kiepskiej gry i oznajmić: iż sen to ucieczka dla nieszczęśliwego, wolność dla więźnia, cicha przystań dla odartego z nadziei, strudzonego, zrozpaczonego. Nie umiałbym też wystąpić z kłamstwem na ustach i zapewnić świata, że ze wszystkich kojących a rozkosznych funkcji życiowych, którymi nasz Twórca w szczodrobliwości Swej zechciał wynagrodzić takie cierpienia, jakimi Jego sprawiedliwość i wola uznały za słuszne nas doświadczyć — sen jest najglówniejszą (znam uciechy dziesięciokrotnie cenniejsze). Lub wywodzić, jaką to szczęśliwość odczuwa człowiek, gdy umilkną troski i namiętności dnia i on lec może na plecach, a dusza jego tak się usadowi, że w którąkolwiek stronę zwróciłaby oczy, ujrzy nad sobą ciche i słodkie niebiosy; rozkosznej zaś atmosfery nie mącą żądze, zwątpienia czy lęki, nie ma strapien przeszłych, przyszłych czy obecnych, których wyobrażenia nie pominięłaby bez żadnego dla siebie uszczerbku.

„Niech Bóg błogosławi temu — rzekł Sancho Pansa — kto pierwszy wymyślił ową rzecz zwaną snem. Sen okrywa człowieka niczym jaki płaszcz”. Otóż w moim mniemaniu w słowach tych więcej jest mądrości, wymowniej też przemawiają one do mojego

serca i moich uczuć, niżli wszystkie na ten temat dysertacje wyciśnięte z głów mędrców.

Nie znaczy to bynajmniej, że ze szczętem ganię wywody Montaigne'a w tym przedmiocie — na swój sposób są one godne uznania. Cytuję z pamięci:

„Ludzie odczuwają — powiada Montaigne — inne przyjemności podobnie jak przyjemność snu, nie smakując jej i nie rozkoszując się nią, gdy trwa i zanim przeminie. Powinniśmy ją badać i snuć nad nią rozmyślania, abyśmy mogli wyrazić należną podziękę Temu, który nas nią obdarza. W tym celu staram się zakłócać sobie własny sen, abym tym lepiej i tym przytomniej mógł się nim cieszyć. A przecie — powiada dalej Montaigne — niewielu znam ludzi, którzy w razie potrzeby potrafią obejść się krótszym niż ja snem: ciało moje może znieść duży wysiłek, lecz niezdolne jest sprostać nagłemu i gwałtownemu wzburzeniu; unikam ostatnio wszelkich forsownych ćwiczeń, nigdy nie mam dość przechadzki, ale od najwcześniejszej młodości nie lubiłem jeździć konno po bruku. Najbardziej zaś rad jestem, gdy leżę na pościeli twardej, sam, i nawet bez żony”. Te ostatnie słowa mogą zachwiać ludzką wiarę, ale pamiętajcie, że „*La Vraiesemblance* (jak powiada Bayle w związku z Lycetim) *n'est pas toujours du Côté de la Verité*”. Tyle o śnie.

## ROZDZIAŁ XVI

— Jeśli moja małżonka udzieli swego pozwolenia, bracie Toby, Trismegistos zostanie ubrany i zniesiony do nas, gdy ty i ja będziemy spożywać śniadanie. Idź, Obadiuszu, i przywołaj mi Zuzannę.

— Zuzanna — odparł Obadiusz — dopiero co pobiegła na górę szlochając i lamentując, i załamując ręce, jakby serce miało jej za chwilę pęknąć.

— Dostanie nam się za swoje — rzekł ojciec przenosząc wzrok z Obadiusza na stryjaszka Toby'ego

i przez chwilę wpatrując się w zamyśleniu w jego twarz. — A to nam się dostanie, bracie Toby — powtórzył mój ojciec biorąc się pod boki i potrząsając głową. — Ogień, woda, kobiety i wiatr, bracie... — Coś złego się stało — odparł stryjasek Toby. — Oto skutki — zawołał ojciec — kiedy tyle sprzecznych żywiołów wyrwie się na swobodę i hula sobie po wszystkich kątach szlacheckiego domu. Mały z tego pożytek dla spokojności rodzinnej, bracie Toby, że ty i ja powściągamy nasze humory i siedzimy tu cisi i nieporuszeni, gdy nad naszymi głowami huczy taka nawałnica.

— Co się stało, Zuzanno? — Dali dziecku imię Tristram... i moja pani dopiero co przysłała do siebie po ataku waporów z tej przyczyny... Nie... to nie moja wina — odparła Zuzanna. — Ja mu przecież mówiłam, że to miał być Tristram-gistos.

— Przyrządź herbatę tylko dla siebie, bracie Toby — rzekł mój ojciec zdejmując kapelusz z haka. Jakże jednak niepodobne było to, co mówił i robił, do wzburzenia i poruszenia głosu i ciała, które przeciętny czytelnik skłonny byłby imaginować sobie w takiej sytuacji!

Ojciec mój bowiem mówił ogromnie łagodnie, zdjął zaś kapelusz z haka ruchem wytwornym i grzecznym, najspokojniejszym, jaki boleść zestroiła kiedykolwiek i złączyła w jedną harmonijną całość.

— Idź na murawę do gry w kule i sprowadź mi tu zaraz kaprała Trima — rzekł stryjasek Toby do Obadiasza, zaledwie ojciec opuścił pokój.

## ROZDZIAŁ XVII

Czytelnik pamięta, że gdy nieszczęście z moim NOSEM tak boleśnie ugodziło ojca, poszedł on natychmiast na górę do sypialni i padł na łóżko; opierając

się zaś na tym fakcie czytelnik skłonny będzie może oczekiwać po moim ojcu (chyba że jest szczególnie wnikliwym znawcą natury ludzkiej) tej samej kolejności ruchów wstępujących i zstępujących w przypadku nieszczęścia z moim IMIENIEM. O, nie!

Różnica w ciężarze, drogi panie — nie, nawet różnica w opakowaniu dwóch strapien tej samej wagi, czyni ogromną różnicę w sposobie, w jaki je znosimy i przewyciężamy. Zaledwie przed półgodziną byłbym wrzucił prosto w ogień (w niebacznym pośpiechu nieszczęśnika piszącego, by zarobić na kawałek chleba) na czysto przepisany arkusz, który dopiero co skończyłem i starannie wykaligrafowałem, miast karty brulionu.

Natychmiast zerwałem z głowy perukę i z całej siły podrzuciłem ją pionowo w górę aż pod pułap. Schwyciłem ją wprawdzie, gdy spadała, lecz na tym skończył się ten incydent. Nie sędzę zresztą, aby cokolwiek innego w Naturze mogło mi przynieść tak rychło ukojenie, albowiem we wszystkich irytujących przypadkach droga ta Bogini daje nam natychmiast impuls do wykonywania niezwykłych ruchów tego lub innego członka lub też każe nam się ustawić w tym albo innym miejscu, lub wreszcie przyjąć tę albo inną postawę — choć sami nie wiemy dlaczego. Zważ jednakże, pani, że żyjemy wśród zagadek i tajemnic; najoczywistsze, zdawałoby się, rzeczy, które spotykamy na naszej drodze, mają również ciemne strony, przez które nie zdoła się przedrzeć najprzenikliwszy wzrok; a nawet ci spośród nas, którzy obdarzeni są najbystrzejszym intelektem, popadają w zakłopotanie i zmieszanie, gdy znajdują się przed tą czy inną szczeliną w tworach natury. Podobnie więc, jak w tysiącu innych przypadków, również ta rzecz przedstawia się nam w sposób, którego nie możemy zgłębić rozumem — jednakże za pozwoleniem waszych wielebności i wielmożności korzystamy z jej dobrodziejstw — a to nam przecież wystarczy.

Otóż ojciec mój nie mógłby w żaden sposób położyć

się z tym strapieniem do łóżka ani też zanieść go na górę do sypialni; opanowany i spokojny udał się z nim nad staw rybny.

Gdyby nawet wsparłszy głowę na dłoni myślał z godzinę, w którą winien udać się stronę, rozum z całą swą siłą perswazji nie umiałby zapewne doradzić mu tak wybornego kierunku. Jest bowiem, panie, w stawach rybnych coś — lecz co to jest, niech łamią sobie nad tym głowę budowniczości systemów filozoficznych pospołu z kopaczami stawów rybnych. Powtarzam jednak, że podczas pierwszego nieopanowanego napadu humorów stateczna i powolna przechadzka w kierunku stawu rybnego tak niewymownie uspokaja, iż dziwiłem się często, że ani Pitagoras, ani Platon, ani Solon, ani Likurg, ani Mahomet, ani nikt inny spośród słynnych prawodawców nie wydał w tym względzie zarządzenia.

## ROZDZIAŁ XVIII

— Wasza Miłość — przemówił Trim zamknąwszy drzwi bawialni — słyszał zapewne o tym niefortunnym wydarzeniu. — O tak, Trimie — odparł mój stryjasek Toby — i bardzo mnie ono frasuje. — Ja również się nim trapię — odparł Trim — wszelako mam nadzieję, iż W. Miłość zechce dać mi wiarę, że nie było w tym mojej winy. — Twojej, Trimie? — zawołał stryjasek Toby spoglądając na niego dobrotliwie. — Przecież zawiniła tu tylko głupota Zuzanny i wikarego. — A czegoż oni szukali w ogrodzie, i to, z przeproszeniem W. Miłość, we dwoje? — Chciałeś powiedzieć w korytarzu — odparł mój stryjasek Toby.

Trim zorientował się, że jest na złym tropie, umilkł więc raptownie i skłonił się głęboko. „Dwa nieszczęścia — rzekł do siebie kapral — to co najmniej dwa-

króć za dużo do omawiania za jednym razem. O szkodach, jakie krowa wyrządziła w fortyfikacjach, mogę powiadomić mojego pana później". Kazuistyka i zręcz-tanie, sprawiły, że stryjasek Toby nie powziął naj-mniejszych podejrzeń i ciągnął dalej w następujących słowach:

— Co do mnie, Trimie, to wszystko mi jedno, czy mój bratanek będzie się zwał Tristram, czy Trismegistos, ponieważ jednak rzecz ta boleśnie gnębi mego brata, dałbym ochotnie sto funtów, aby się nigdy nie wyda-rzyła. — Sto funtów! — zawołał Trim. — Ja tam nie dałbym, za przeproszeniem W. Miłości, złamanego sze-ląga. — Ani ja bym nie dał, gdyby to o mnie cho-dziło — rzecze stryjasek Toby. — Lecz mój brat, z którym nawet nie warto w tej sprawie dysputować, utrzymuje, że od imion chrzestnych zależy znacznie więcej, niż to sobie zwykli ludzie wyobrażają. Powiada bowiem, że nigdy, od początku świata, człowiek no-szący imię Tristram nie dokonał wielkiego czy bohater-skiego czynu. Mało tego, Trimie, brat mój upiera się, że człowiek o tym imieniu nie może być ani uczony, ani mądry, ani dzielny. — Wszystko to, za pozwole-niem W. Miłości, czysty wymysł — odparł kapral. — Walczyłem równie dobrze, kiedy w pułku zwali mnie Trim, jak kiedy wołali na mnie James Butler. — Jeśli zaś o mnie idzie, Trimie — rzekł stryjasek — choć do-prawdy winienem wstydzić się samochwalstwa, to jednak myślę, że gdybym nawet miał na imię Alek-sander, nie mógłbym sprawić się pod Namur lepiej, niż nakazywał mi to obowiązek. — Dalibóg, W. Mi-łość — zawołał Trim i postąpił naprzód trzy kroki — czy człowiek myśli o swoim imieniu, kiedy idzie do ataku? — Lub kiedy stoi w okopie? — zawtórował mu stryjasek przybierając srogą minę. — Lub kiedy wdziera się w wyłom w murze? — dorzucił Trim wsu-wając się między dwa zestawione krzesła. — Lub kie-dy łamie szyki wroga? — zawołał stryjasek Toby wstając i dźgając powietrze kulą niezym włócznią. —

Lub kiedy stawia czoła rocie piechoty? — wrzasnął Trim mierząc ze swego kostura niczym z rusznicy. — Lub kiedy wstępuje na stok szańca? — zawołał stryjaszek i w ferworze postawił nogę na stolku.

## ROZDZIAŁ XIX

Ojciec wrócił właśnie z przechadzki nad staw rybny i otworzył drzwi bawialni w najgorętszym momencie ataku, w chwili gdy stryjaszek Toby wdzierał się na stok szańca, Trim zaś wykonywał „do nogi broń”. Nikt nie przyłapał nigdy stryjaszka Toby’ego na tak szaleńczej galopadzie! O mój stryjaszku! Gdyby ważniejsza sprawa nie pochłonęła całego zasobu elokwencji mego ojca, jakżebyś ty oraz twój nieszczęsny KONIK — jakie byście obaj dostali cięgi!

Ojciec powiesił kapelusz na haku z tą samą miną, z jaką go zdejmował, po czym, obrzuciwszy przelotnym spojrzeniem panujący w pokoju nieład, wziął jedno z krzeseł, które stanowiło wyłom w murze zdobywanym przez kaprala Trima, i postawiwszy je u boku stryjaszka Toby’ego, usiadł. Zaledwie zaś wyniesiono z pokoju przybory do herbaty i zamknięto drzwi, wybuchnął takim oto lamentem:

### LAMENTACJE MOJEGO OJCA

— Daremny byłby to trud — rzekł ojciec zwracając się w jednakiej mierze do księgi przekleństw Ernulfa, która leżała na kraju półki nad kominkiem, co do stryjaszka Toby’ego, który pod nią siedział. — Daremny byłby to trud — rzekł mój ojciec najbardziej utyskująco-monotonnym tonem, jaki można sobie wyobrazić — odpychać od siebie, jakem to dotąd czynił, tę straszliwą pewność. Widzę wyraźnie, że albo za własne moje grzechy, bracie Toby, albo za grzechy i szaleń-

stwa rodu Shandy'ch niebiosą wytoczyły przeciwko mnie najcięższe ze swych dział; pomyślność zaś mojego dziecięcia jest tym punktem, ku któremu skierowany został cały ogień. — Taka kanonada, bracie Shandy — rzecze stryjaszek — pogruchołałaby i zwała nam na głowy cały wszechświat. — O nieszczęsny Tristramie, dziecię spłodzone w gniewie! — ciągnął mój ojciec. — Dziecię wieku zgrzybiałego! Ofiaro przerwanej czynności, dziecię niezadowolenia i pomyłki! Czy zapisana jest w księdze Nieszczęść Embrionicznych jedna chociaż niedola lub klęska, która zniekształcić mogła twą powłokę lub splątać tkanki, a która nie spadła na twą głowę, zanim przybyłeś na świat? A jakie nieszczęścia spotykały cię w drodze, jakie mnogie niedole powstawały przeciwko tobie po przybyciu do celu! Wszystko to zaś u schyłku żywota twojego ojca, kiedy siły jego imaginacji i krzepkość ciała zmniejszały się i topniały, kiedy radykalna ciepłota i radykalna wilgotność, elementy, które winny były cię kształtować, stygły i wysychały; kiedy prócz samych jeno wartości ujemnych nie zostało się we mnie nic, na czym można by gruntować twą żywotność... Było to, bracie Toby, położenie co najmniej opłakane i wymagające owej czulej pomocy, jaką dać może jedynie troskliwość i dbała uwaga obojga rodziców. Lecz jakże sromotną ponieśliśmy klęskę! Znasz, bracie Toby, ten przypadek — nazbyt bolesny, abym go wspominał... kiedy nieliczne lotne substancje, którem jeszcze wówczas posiadał i z pomocą których przekazać miałem mojemu dziecięciu pamięć, wyobraźnię i przyrodzone talenty, zostały rozproszone, rozwiane, rozpędzone, skonfundowane i posłane do wszystkich diabłów.

Wtedy to pora była najwyższą położyć kres prześladowaniom mojego dziecięcia; wtedy to należało przeprowadzić przynajmniej eksperyment, aby się przekonać, czy spokój i pogoda ducha twojej bratowej, wraz ze stosowną dbałością w sprawach diety, wypróżnień oraz sen, pożywienie i wydzielanie humorów w jej organizmie podczas dziewięciu miesięcy brzemienności

przynajmniej częściowo nie naprawią zła. Lecz moje dziecko i tego miało być pozbawione! Jakże pełne irytacji życie wiodła ona, moja małżonka, a co za tym idzie również płód, jakież niepokój w sobie wzniewiała bezrozumnymi zachciankami odbywania połogu w Londynie. — Sądziłem — ozwał się stryjasek Toby — iż moja pani bratowa ustąpiła ci z podziwu godną łagodnością. Nie słyszałem z jej ust ani jednego gniewliwego słowa w tej materii. — Wrzała za to wewnątrz! — zawołał mój ojciec. — A zapewniam cię, bracie, że dla dziecka stokroć było to gorsze. A poza tym, jakie walki ze mną toczyła i jak się żołądkowała o kobietę położną. — Musiała dać przecie folgę swym uczuciom — rzekł stryjasek Toby. — Folgę, w istocie! — zawołał ojciec wznosząc oczy ku górze.

— Lecz czymże było to wszystko, drogi Toby, w porównaniu z krzywdą wyrządzoną nam przez fakt, iż dziecko moje przyszło na świat głową naprzód, choć przecież jedynej tylko rzeczy pragnąłem w tej powszechnej ruinie jego ziemskiej powłoki, a mianowicie, aby maleńki czerep pozostał nietknięty, nie uszkodzony...

Mimo przedsiębranych przeze mnie ostrożności, wraz z dzieckiem w łonie przekoziołkował cały mój system! Głowa jego wydana została na pastwę przemocy i ucisku 470 funtów wagi działających prostopadle na jej wierzchołek, w wyniku czego w chwili obecnej istnieje 90-procentowa pewność, że misterna sieć intelektualnej tkanki podarta i poszarpana została na tysiące strzępków.

Ale istniał jeszcze dla nas ratunek. Niechby był głupiec, fircyk, fanfaron — dajcie mu tylko NOS. Połamaniec, karzeł, wodogłów, obojętne jakiego bądź kształtu — drzwi Fortuny stoją przed nim otworem. O Licetusie! Licetusie! Gdybyż nieba pobłogosławiły mnie płodem długości pięciu i pół cala, na twoje ukształtowanym podobieństwo, niechby później los znącał się nade mną!

A mimo to, bracie Toby, jeden jeszcze rzut kości

pozostał naszemu dziecięciu... o Tristramie! Tristramie!  
Tristramie!

— Poślemy po pastora Yoricka — rzekł stryjasek  
Toby.

— Możesz posłać, po kogo ci się podoba — odparł  
ojciec.

## ROZDZIAŁ XX

Z jaką szybkością gnałem przed się przez całe cztery tomy w żwawych i zwinnych skokach — dwa naprzód, dwa do tyłu — ani razu nie spozierając za siebie lub choćby w bok, aby przekonać się, kogo strato- wałem! Nie stratuję nikogo, rzekłem sobie, dosiadając rumaka. Będę pędził śmigłym galopem, ale nie skrzywdzę najmizerniejszego głupca na drodze. Ruszyłem tedy z kopyta — gnałem w jedną stronę tym gościń- cem i w drugą tamtym traktem, wpadałem w te ro- gatki, objeżdżałem inne, jak gdyby sam arcydiabeł\* siedział za mną w siodle.

Otóż przyjmuję zakład: milion do jednego, że jak- kolwiek znaczne byłyby intencje i jakkolwiek silne po- stanowienia, cwałując z tą szybkością wyrządzisz krzywdę komuś — jeśli nie sobie samemu. Zaraz zsu- nie się z siodła! Wnet gruchnie na ziemię! O, zgubił kapelusz! Już, już runie jak długi, ani chybi skręci kark! Spójrzcie! Przecież pogalopował prosto na dREW- nianą trybunę obradujących krytyków! Rozwali łeb o któryś ze słupów — zeskoczył! Teraz jak obłąkaniec pędzi pełnym cwałem przez sam środek gęstej ciżby malarzy, skrzyptków, poetów, biografów, lekarzy, praw- ników, logików, aktorów, scholastyków, duchownych, mężów stanu, żołnierzy, kazuistów, koneserów, prała- tów, papieży i inżynierów. Nie lękajcie się, powiedzia-

\* Arcydiabeł — w oryginale arcydżokej — również swift często określa tak diabła.

lem, nie skrzywdzę najmizerniejszego głupca na królewskim gościńcu. Lecz koń twój rozpryskuje błoto! Spójrz, jakieś ochlapał biskupa. Mam w Bogu nadzieję, że był to tylko Ernulf, rzekłem. Prysnałeś także błockiem prosto w twarz Imci panów Le Moyne, De Romigny i De Marcilly, doktorów Sorbony. Przecież to działo się w ubiegłym roku, odparłem. Za to w tym właśnie momencie nadepnałeś na króla. Widać z królami źle, skoro depczą po nich ludzie mojego pokroju. Uczyniłeś to, powiedział mój oskarżyciel.

Przeczę, odparłem, po czym zsiadłem z konia i stoję oto z wodzami w jednej i czapką w drugiej ręce, aby podjąć opowieść. Jaką? Dowiedcie się w następnym rozdziale.

## ROZDZIAŁ XXI

Pewnego zimowego wieczoru Franciszek I, król Francji, grzał się w ciepłe płonących na kominku polan i radził ze swym pierwszym ministrem o ważnych sprawach państwowych \*. — Nie byłoby od rzeczy — ozwał się król poprawiając końcem laski płonące szczapy — gdyby nasze dobre sąsiedzkie stosunki ze Szwajcarią zacieśniły się nieco. — Nie ma końca dawaniu tym ludziom pieniędzy, Najjaśniejszy Panie — odparł minister. — Starczyłoby im apetytów na cały skarb Francji. — Ej, mości ministrze! — odparł król — istnieje wiele innych sposobów przekupywania państw prócz dawania im pieniędzy. Wyświadczę Szwajcarii zaszczyt prosząc ją na chrzestnego ojca mojego potomka. — Gdybyś to, Najjaśniejszy Panie, uczynił — odparł minister — wszyscy gramatycy Europy skoczyliby ci do oczu. Szwajcaria jako republika jest rodzaju żeńskiego, a więc w żadnym wypadku nie może być

\* Vide „Menagiana”, tom I (przyp. autora).

ojcem chrzestnym. — Może wszelako być chrzestną matką — rzekł prędko Franciszek. — Wyślij więc jutro rano umyślnego, który powiadomi Szwajcarów o moich intencjach.

— Jestem zdumiony — rzekł (w dwa tygodnie później) Franciszek I do swego ministra zmierzając do gabinetu — że nie otrzymaliśmy dotąd odpowiedzi od Szwajcarów. — W tej chwili służę ci, Najjaśniejszy Panie — odparł pierwszy minister — nadesłanymi w tym przedmiocie pismami. — Czy przyjęli naszą propozycję życzliwie? — spytał król. — Życzliwie, w istocie — rzekł minister — i w pełni doceniają zaszczyt, któryś im, Najjaśniejszy Panie, wyświadczył. Wszelako republika, jako matka chrzestna, rości sobie prawo wyboru imienia dla swego chrześniaka.

— Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa — rzecze król — dadzą mu imię Franciszek lub Henryk, lub Ludwik, lub też inne jakieś imię, które będzie nam dogadzało. — Mylisz się srodze, Najjaśniejszy Panie — oznajmił minister. — Przed godziną otrzymałem od naszego posła pismo zawierające postanowienie republiki w tym względzie. — I jakież to imię wybrała Szwajcaria dla delfina? — Sadrach, Mesach, Abdeneg — wyjaśnił zapytany. — Na pas św. Piotra, nie chcę słyszeć więcej o Szwajcarach! — huknął Franciszek I podciągając spodnie i szybkimi krokami przechadzając się po komnacie.

— Nie możesz, Najjaśniejszy Panie, cofnąć swej propozycji — rzekł spokojnie minister.

— Damy im odpłatę w gotówce.

— W całym skarbie nie znajdziesz, Najjaśniejszy Panie, sześćdziesięciu tysięcy franków.

— Oddam w zastaw najpiękniejszy klejnot mej korony — zawołał Franciszek I.

— Uczyniłeś to już, Najjaśniejszy Panie — rzekł minister.

— W takim razie, mości ministrze, wypowiemy im wojnę.

Otóż, łaskawy czytelniku, pragnąłem najzarliwiej i starałem się najpilniej (wedle miary skromnych umiejętności, którymi raczył mnie obdarzyć Bóg, oraz o ile pozwolił mi na to czas wolny od wykorzystywania innych okazji do sposobnych zarobków i godziwej rozrywki), aby te małe książeczki, które składam w twoje ręce, zastąpiły ci wiele dużych ksiąg. A mimo to ukazałem się w tak fantastycznym przebraniu beztrockiego swawolnika, że boleśnie się teraz wstydę błagać cię o pobłażliwość. A błagać cię muszę, abyś uwierzył, że w opowieści o moim ojcu i jego imionach chrzestnych ani mi w myśli było nadebrać na Franciszka I, ani też w aferze z nosem — na Franciszka IX. Jak również nie zamierzałem w osobie stryjaczka Toby'ego ucieleśniać ducha wojowniczości naszej ojczyzny (rana w jego pachwinie jest pod każdym względem prawdziwą raną). Ani też w Trimie nie zamyślałem przedstawić księcia Ormond, ani wreszcie nie występuję w moim dziele przeciwko predestynacji, wolnej woli czy podatkowi. Jeżeli zwalczam w nim cokolwiek, to jedynie, za pozwoleniem Waszej Wielmożności, śle dziennictwo! Aby dzięki częstszemu i bardziej kurczowemu podnoszeniu się i opuszczaniu przepony oraz poruszaniu w wybuchach śmiechu mięśni międzybrownych i brzusznych wygnać z woreczków żółciowych i wątrób poddanych Najjaśniejszego Naszego Pana żółć i inne gorzkie ciecze wraz ze wszystkimi wytwarzanymi przez nie wrogimi namiętnościami, i przepędzić je do dwunastnicy.

## ROZDZIAŁ XXIII

— Ale czy da się to odrobić, Yoricku? — spytał ojciec. — Bo w mojej opinii — dodał — rzecz ta nie jest możliwa. — Kiepski ze mnie znawca prawa kanonicznego — odparł Yorick. — Że jednak w moim mniemaniu niepewność jest najokrutniejszą ze wszystkich zgryzot, lepiej dowiedzieć się choćby najgorszego. — Ścierpieć nie mogę tych tłumnych biesiad — rzekł mój ojciec. — Nie chodzi o rodzaj biesiady — odparł Yorick. — Chcemy przecież, mości Shandy, dotrzeć do samego dna wątpliwości i ustalić, czy imię może być zmienione, czy też nie. A ponieważ brody tyłu biskupich delegatów, urzędników, adwokatów, proktorów i archiwariuszy oraz co znakomitszych naszych scholastyków mają się zejść u jednego stołu, Didiusz zaś zapraszał cię tak gorąco — kto znajdujący się w twoim strapieniu przepuściłby podobną okazję? Trzeba tylko — ciągnął Yorick — wtajemniczyć Didiusza w sprawę i uprosić go, aby poprowadził rozmowę po obiedzie w taki sposób, żebyśmy poruszyć mogli interesujący nas przedmiot. — W takim razie — zawołał ojciec klaszcząc w dłonie — brat Tobie pojedzie z nami!

.....

— Przypilnuj, Trimie, aby moja wiązana z tyłu peruka — rzecz stryjasek Tobie — i mój pułkowy mundur obrzeżony galonem wisiały całą noc przy ogniu.

## ROZDZIAŁ XXV

Bez wątpienia, panie, brak tu całego rozdziału, przez co w książce powstała dziesięciostronicowa luka — lecz introligator nie jest ani głupcem, ani łajdakiem, ani ciemną, ani też książka nie stała się o jotę mniej

doskonała (przynajmniej nie z tej przyczyny). Przeciwnie, książka jest doskonalsza dzięki temu, iż brakuje jednego rozdziału, co udowodnię Waszym Wielbnościom w sposób następujący... Ale korzystając z okazji muszę wpieryw spytać, czy z równym powodzeniem nie udałoby się przeprowadzić podobnego eksperymentu z kilku innymi rozdziałami — lecz nie ma końca, z przeproszeniem Waszych Wielbności, temu przeprowadzaniu doświadczeń z rozdziałami — dość mieliśmy tej zabawy. Dajmy jej pokój.

Zanim przystąpię do udowodnienia powyższego, niech wolno mi będzie powiedzieć, że rozdział, który wyrwałem i który w innym przypadku wszyscy byście teraz czytali miast tego, co właśnie czytacie, zawierał opis wyruszenia w drogę i podróży ojca, stryjaska Toby'ego, Trima i Obadiasza na uroczystość wizytacji biskupiej w \*\*\*\*.

— Pojedziemy kolasą — rzekł ojciec. — Obadiaszu, czy herb został przemaalowany? — Otóż byłoby to z korzyścią dla mojej opowieści, gdybym zaczął ją od powiadomienia was, że kiedy herb mojej matki dodany został do herbu rodziny Shandy'ch w chwili przemaalowywania kolasy na ślub ojca, tak się jakoś zdarzyło, że lakiernik — czy to dlatego, że był mańkutom jak Turpiliusz, sławny Rzymianin, lub jak Hans Holbein z Bazylei — czy też zawiniła raczej jego głowa niż ręka, czy wreszcie przyczyny należy szukać w posępnym obrocie wszystkich spraw w naszej rodzinie — tak się jednak zdarzyło, ku naszemu żalowi, iż miast dwóch pręg biegnących z prawego górnego pola na skos ku lewemu dolnemu, należnych nam od panowania Henryka VIII — na skutek jednego z owych nieśczęsnych zbiegów okoliczności, na tarczy herbowej rodziny Shandy'ch wyrysowane zostały dwie pręgi biegnące z lewego górnego ku prawemu dolnemu polu\*. Rzecz to wprost nie do wiary, że człowiek tak

\* W heraldyce bend-sinister, trw. bastardzie znamie. Syn z nieprawego łoża otrzymywał herb ojca przekreślony dwiema równoległymi pręgami.

światły jak mój ojciec mógł do tego stopnia trapić się sprawą tak malej wagi. Ilekroć wymienione było przy nim w kręgu rodzinnym słowo powóz (czyjąkolwiek będący własnością) lub powoźnik albo powozić, albo zaprzęg wozowy, tylekroć ojciec mój uskarżał się, że znosić musi to szpetne znamię nieprawości rodziny na drzwiach własnej kolasy. Za każdym zaś razem, gdy wsiadał do powozu lub z niego wysiadał, chciał czy nie chciał, musiał się obrócić, aby spojrzeć na herby, i jednocześnie poprzysięgał sobie w duchu, że siedzi w tym powozie po raz ostatni i więcej tego nie uczyni, dopóki nie zostanie zdjęty ów bastardzi znak. Lecz na podobieństwo zawiasów w drzwiach bawialni była to jedna z tych licznych rzeczy, które Parki zapisały w swych księgach — coś, co ma być wiecznym przedmiotem utyskiwań (i to w rodzinach światlejszych niż nasza), lecz co nigdy nie doczeka się naprawy.

— Czy znamię bastardzie zostało usunięte z kolasy, pytam? — zwrócił się do Obadiasza ojciec. — Usunięte nie zostało, za pańskim przeproszeniem, nic — odparł Obadiasz — prócz kurzu z siedzeń. — Pojedziemy tedy wierzchem — rzekł ojciec. — Ze wszystkich spraw na świecie (z wyjątkiem polityki) duchowieństwo zna się najmniej na heraldyce — wtrącił Yorick. — Zna się czy nie — zawołał mój ojciec — markotno byłoby mi stawać przed nimi z tą ciemną plamą na szlacheckim honorze. — Nie trap się o nieprawą pręgę na herbowej tarczy — rzekł stryjasek Toby wkładając na głowę perukę. — A to mi doprawdy pyszne! — odparł ojciec. — Jeśli tak uważasz, weź sobie do towarzystwa ciotkę Dinę i jedź z nią na wizytację biskupią w kolasie naznaczonej piętnem nieprawego łoża. — Biedny stryjasek Toby poczerwieniał. Ojciec poczuł złość do samego siebie. — Nie w tym rzecz, drogi bracie — rzekł zmieniając ton. — Ale od wilgotnych poduszek powozu wokół lędźwi mogę się nabawić znowu scjatyki, jakem nabawił się zeszłej zimy, po czym cierpiałem przez cały grudzień, styczeń i luty — więc, jeśli łaska, zgódź się na damskie siodło mojej żony.

Że zaś ty, Yoricku, masz wygłosić podczas wizytacji kazanie, uczynisz rozważniej jadąc przodem, gdy tymczasem ja zaopiekuję się bratem Toby'm i podążę za tobą z najdogodniejszą dla nas szybkością.

Rozdział, który zmuszony byłem wyrwać z książki, zawierał opis kawalkady, w której kapral Trim i Obadiasz, pierś w pierś na dwóch koniach zaprzęgowych, posuwali się przodem wolno, niczym podjazd wysłany na zwiady, mój stryjasek Toby zaś w obszytym galonem mundurze z odznakami pułkowymi i wiązanej z tyłu peruce oraz mój ojciec jechali ramię przy ramieniu pogrążeni w głębokich dysertacjach na temat: raz pożytku płynącego z nauki, raz z oręża — w zależności od tego, który zdołał dojść do głosu.

Jednakże obraz tej podróży, gdy mu się przyjrzałem, zdawał się być w stylu i manierze o tyle doskonalszy od obrazów, jakie w książce mojej zdolny byłem odmalować, że nie mógłby w niej pozostać nie obniżając waloru wszelkich innych epizodów i nie rujnując koniecznej równowagi (zalet czy wad) pomiędzy rozdziałami, która to równowaga rozstrzyga o właściwym układzie części i o harmonii całego dzieła. Jeśli o mnie idzie, jestem w rzemiośle pisarskim nowicjuszem i wiem o nim mało; wydaje mi się przecie, że pisać książkę to kubek w kubek to samo, co nucić melodię — byleby nie fałszując, pani, od jakkolwiek niskiego czy wysokiego zaczęłoby się tonu.

Z tej to racji, za przeproszeniem Waszych Wielebności, niektóre płaskie i nienatchnione utwory zdobywają uznanie (jak to któregoś wieczoru Yorick powiedział mojemu stryjaszkowi Toby'emu) metodą długiego obłączenia. Stryjaszek ożywił się słysząc słowo „obłączenie”, ale ani rusz nie mógł się połapać, o co chodzi.

— W przyszłą niedzielę będę wygłaszał kazanie u dworu — rzekł Homenas — zechciej więc przejrzeć

moje nuty. — Zacząłem nucić tekst dr Homenasa. — Modulacja poprawna — rzekłem. — Ujdzie to, Homenasie, jeśli tylko dalej jest takie samo. — Nucilem więc dalej — kompozycja wydawała mi się znośna; i po dziś dzień, z przeproszeniem Waszych Wielebności, nie wiedziałbym, jak bardzo była pospolita, płaska, bezduszna, czcza i jałowa, gdyby nagle w środku utworu nie rozbrzmiała melodia tak piękna, tak bogata, tak niebiańska, iż duszę moją wniosła w zaświaty. Otóż gdyby (jak to Montaigne uskarżał się w podobnym przypadku) spadek wydał mi się łagodny, a wzlot ławty, niechybnie dałbym się wywieść w pole. — Twoje zapiski, Homenasie, powiedziałbym, są dobre. — Jednakże tak strome było wzniesienie, tak oderwane od reszty utworu, że już pierwszy ton porwał mnie i uniósł w zaświaty, stamtąd zaś tak wyraźnie dostrzegłem całą niskość, płaskość i ponurość doliny, z której przybyłem, tak wydała mi się ona daleka, że już nigdy nie odważę się zstąpić na nią z powrotem.

■ Ręczę wam słowem, że karzeł, który nosi przy sobie miarkę, aby z jej pomocą mierzyć własną małość, jest karłem nie tylko w jednym znaczeniu tego słowa. Tyle zatem o wrywaniu rozdziałów.

## ROZDZIAŁ XXVI

— Spójrzcie, przecież on kraje je na strzępki i rozda je na lewo i prawo, aby mogli zapalać sobie nimi fajki! — To jest szkaradne — odparł Didiusz. — Tego nie można puścić płazem — dodał dr Kyzarcjusz.

■ Kyzarcjusz ów pochodził z rodu Kyzarcjuszów niderlandzkich.

— Wydaje mi się — rzekł Didiusz i uniósłszy się z krzesła odsunął na bok flaszkę i wysoki dzban, które stały między nim a Yorickiem — żeś mógł nam, pa-

nie, oszczędzić tego sarkazmu i razić nim w bardziej stosowne miejsce, a przynajmniej w bardziej stosownych okolicznościach okazywać swą wzgardę temu, czym się tutaj zajmujemy. Jeśli twoje kazanie warte jest zaledwie tego, aby zapalać nim fajki, z pewnością, panie, nie było godne, abyś je wygłosił przed tak uczonym gronem. Jeżeli zaś godne było, abyś je wygłosił przed tak uczonym gronem, z pewnością, panie, zbyt wiele jest warte, aby zapalać nim fajki.

„Alem go postawił przed dylematem — rzekł do siebie Didiusz. — Niech się wywikła, jeśli potrafi”.

— Doznawałem tak niewypowiedzianej udręki wydając na świat kazanie — przemówił Yorick — na tę przeznaczone okazję, iż oświadczam, Didiuszu, że wolałbym po tysiącokroć cierpieć męczeństwo (jeśli to możliwe, wraz z moją szkapą) niż rozpocząć pisanie drugiego. Urodziłem je niewłaściwym organem — głową miast sercem, teraz zaś mszczę się na nim w ten sposób za bóle, które przez nie znosiłem zarówno podczas tworzenia, jak i wygłaszania. Głosić słowo Boże po to tylko, aby pokazać rozmiar swojej uczoności i wykwint dowcipu; popisywać się wobec maluczkich żebraczymi lachmanami wiedzy, które upstrzone są tu i tam słowami, co błyszczą, lecz mało zawierają światła, a jeszcze mniej ciepła — niecny to użytek z owej marnej półgodziny, powierzanej nam raz na tydzień. Nie jest to głoszenie ewangelii, lecz sławienie samego siebie. Jeśli o mnie idzie — ciągnął Yorick — wolałbym raczej wycelować pięć słów prosto w serce.

Gdy Yorick wymawiał słowo „wycelować”, stryjaszek Toby wstał, aby rzec coś na temat pocisków — nagle jednak dwa słowa wypowiedziane po przeciwnej stronie stołu przyciągnęły ku sobie uwagę wszystkich biesiadników. Dwa słowa, które ze wszystkich słów zawartych w dykejonarzu najmniej były w tym miejscu spodziewane. Słowa, które wstyd mi napisać, lecz które muszą być napisane, które muszą być przeczytane. Wyklęte, niekanoniczne słowa! Próbuje je od-

gadnąć na dziesięć tysięcy różnych sposobów pomnożone przez razy dziesięć tysięcy — wysilajcie pomysłowość — nie odgadnicie. Cóż — wyjawię je wam w następnym rozdziale.

## ROZDZIAŁ XXVII

Rany Boskie!

---

— Rrr... ..skie! — zawołał Putatoriusz niby to do siebie, jednakże tak głośno, iż wszyscy go usłyszeli. A co dziwniejsza, słowa te wypowiedział szczególnym tonem i z szczególną miną, które były czymś pośrednim między tonem głosu i mimiką człowieka zdumionego a człowieka dręczonego bólem cielesnym.

Okrzyk ów najbardziej zadziwił i zmieszał tych kilku spośród obecnych, którzy mieli bardzo wrażliwy słuch i umieli rozróżnić wyraz i połączenie owych dwóch tonów, tak jak poznałoby tercję lub kwintę, lub jakikolwiek inny akord muzyczny. Konsonans sam w sobie całkiem wydawał się dobry, lecz był w rozdźwięku z tonacją i poruszonym tematem. Mimo więc rozległej wiedzy, znawcy nie mieli pojęcia, co o tym sądzić.

Inni biesiadnicy, nie znający się na ekspresji muzycznej, dosłyszeli jedynie pospolitą treść wyrazu i wyobrazili sobie, że Putatoriusz, który usposobienie miał nieco choleryczne, wyrwie pałkę z rąk Didiusza i wytuzuje nią skutecznie Yoricka oraz że rozpaczliwy okrzyk „Rrr... ..skie!” był wstępem do oracji, która, jak wnioskowali z próbki, nie zwiastowała Yorickowi nic dobrego. Przeto dobrotliwy stryjasek Toby poczuł ból w sercu na myśl o tym, co czeka biednego Yoricka. Widząc jednak, że Putatoriusz umilkł raptownie i ani usiłuje mówić, ani kwapi się do mówienia, trzecia grupa biesiadników jęła podejrzewać, iż było to tylko

bezwiedne westchnienie, które przypadkiem przybrało kształt przekleństwa, beztreściowe i pozbawione grzesznej intencji.

Inni, zwłaszcza zaś siedzący najbliżej Putatoriusza, byli zgoła odmiennego zdania; uważali, że jest to rzeczyste i ważne przekleństwo, w zapalczywości wymierzone przeciwko Yorickowi, do niego bowiem, o czym każdy wiedział, Putatoriusz nie żywił przyjaznych uczuć — a które to rzeczzone przekleństwo (jak filozoficznie tłumaczył sobie mój ojciec) fermentowało i burzyło się w górnych rejonach wnętrza Putatoriusza, po czym naturalną rzeczą kolejną wyrzucone zostało przez nagły przyływ krwi, co buchnęła do prawej komory serca Putatoriusza na skutek zdumienia wywołanego tak osobliwą teorią kaznodziejstwa.

Jak wybornie rozumujemy na podstawie źle pojętych faktów.

Wśród tych, którzy przeprowadzali najrozmaitsze spekulacje na temat dwóch wypowiedzianych przez Putatoriusza wyrazów, nie było nikogo, kto nie przyjąłby tego za pewnik i nie oparł się jak na aksjomacie, że umysł Putatoriusza śledził pilnie treść rozpoczynającej się między Didiuszem a Yorickiem dysputy. Ale czy naprawdę ktoś mógłby sądzić inaczej — widząc, jak Putatoriusz spogląda najpierw ku jednemu, potem ku drugiemu z miną skupioną? Prawda zaś była inna: Putatoriusz nie słyszał ani jednego słowa czy choćby sylaby — wszystkie zaś jego myśli i cała uwaga pochłonięte były tym, co działo się w obrębie własnych jego pludrów, i to w tej ich części, gdzie skłonny był najpilniej wystrzegać się jakichkolwiek wypadków. Tak że chociaż spoglądał z najwyższą w świecie uwagą i kolejno napinał wszystkie nerwy i mięśnie twarzy do najdalszej granicy ich wytrzymałości, aby, jak ogólnie przypuszczano, rozprawić się ostro z Yorickiem, który siedział po przeciwnej stronie stołu — to jednak, powiadam, Yorick ani chwili nie przebywał w żadnej części Putatoriuszowego mózgu; prawdzi-

wa zaś przyczyna jego okrzyku znajdowała się najmniej o jard niżej.

Postaram się wyjaśnić wam to możliwie najobyczajniej.

Otóż wiedzcie, że Gastriferes, który tuż przed obiadem udał się do kuchni, aby zbadać, jak się tam rzeczy mają, zauważywszy na kredensie wiklinowy koszyk pełen pięknych kasztanów polecił upiec ich setkę lub dwie i wnieść do sali biesiadnej na zakończenie obiadu. Gastriferes motywował swoje polecenie szczególnym upodobaniem, jakie żywili do tego przysmaku Didiusz, zwłaszcza zaś Putatoriusz.

Na dwie minuty przed ową chwilą, w której stryjasek Toby przerwał dysertację Yoricka, wniesione zostały do jadalni kasztany Gastriferesa — że zaś lokaj pamiętał, jak wielką skłonność okazuje im Putatoriusz, postawił kasztany dymiące i owinięte w czystą adamaszkową serwetę tuż przed wielkim uczonym.

Gdy pół tuzina rąk dźga jednocześnie sztychem serwetę, jest chyba fizyczną niemożliwością, aby któryś kasztan, bardziej żywotny i doskonalej krągły niż reszta, nie został puszczony w ruch. Tak czy owak jeden potoczył się po stole w kierunku Putatoriusza, a ponieważ Putatoriusz siedział szeroko rozstawiwszy kolana, kasztan wpadł prosto do tego szczególnego otworu w jego spodniach, dla określenia którego (o wstydzie, jakże nieobyczajny jest nasz język!) nie znajdzie się czyste i niewinne słowo w całym dykcjonarzu Johnsona. Wystarczy powiedzieć, że był to ów szczególny otwór, który zgodnie z kanonami obyczajności we wszystkich społeczeństwach cywilizowanych winien być na podobieństwo świątyni Janusa (przynajmniej w czas pokoju) bezustannie zamknięty.

Zaniedbanie Putatoriusza w tym względzie (co, znaczący wypada, winno być ostrzeżeniem dla całego rodzaju ludzkiego) rozwarło wrota opisanemu przeze mnie wypadkowi.

Nazywam to zdarzenie wypadkiem z powolności dla powszechnie przyjętego sposobu wvrażania się, jednak-

że nie przeciwstawiam się bynajmniej opinii Akritesa i Mytogerasa w tej materii. Wiem, iż obaj byli najmocniej przeświadczeni i najgłębiej przekonani (i są nadal), że w całym tym zdarzeniu nie było żadnej przypadkowości, lecz że kasztan, który wybrał ów szczególny kierunek niejako z własnej a nieprzymuszonej woli, a potem wpadł rozpalony w to szczególne i w żadne inne miejsce, był prawdziwą karą Bożą na Putatoriusza za plugawy i sprośny traktat *De concubinis retinendis*, który Putatoriusz opublikował przed laty dwudziestu, a którego drugie wydanie miał przedstawić światu w tym właśnie tygodniu.

Nie moja rzecz tępić pióro w tym sporze — wiele zapewne dałoby się napisać na obronę obu przeciwnych poglądów. Jako historyk troszczę się o to jedynie, aby przedstawić fakty i wytłumaczyć czytelnikowi, jak się to stało, że szczelina w spodniach Putatoriusza dostatecznie była duża, aby mógł w nią wpaść kasztan; i jak się stało, że chociaż okrutnie gorący kasztan wpadł pionowo w otwór, nie zauważył tego w pierwszej chwili ani Putatoriusz, ani nikt z obecnych.

Ożywcze ciepło promieniujące z kasztana nie było bynajmniej przykre przez pierwszych dwadzieścia dwie lub dwadzieścia pięć sekund i co najwyżej w łagodny sposób kierowało uwagę Putatoriusza ku tym rejonom jego ciała. Że jednak ciepło stopniowo wzrastało i po kilku jeszcze sekundach przekroczyło granicę wszelkiej rozsądnej przyjemności, po czym z wielką prędkością zaczęło przenikać w rejony bólu, Putatoriuszowa dusza wraz ze wszystkimi jego myślami, pojęciami, z całą uwagą, wyobraźnią, zdolnością postrzegania, decyzją, rozmysłem, zdolnością logicznego rozumowania, pamięcią i fantazją, z dziesięcioma batalionami lotnych substancji — wszystko to wśród wrzawy i krzyku zbiegło tłumnie najprzeróżniejszymi objazdami i drogami w dół na miejsce niebezpieczeństwa, w wyniku czego w górnych rejonach Putato-

riusza, jak to sobie łatwo możecie wyobrazić, taka zapanowała pustka, jak w mojej sakiewce.

Ale nawet na podstawie najlepszych informacji, jakich dostarczyć mogli mu wszyscy ci zwiadowcy, Putatoriusz nie umiał przeniknąć tajemnicy tego, co odbywa się na dole, ani też nie potrafił odgadnąć, co to, u licha, znaczy. Nie wiedząc jednak, jaka może jeszcze okazać się prawdziwa przyczyna bólu, sądził, że w obecnym położeniu postąpi najrozważniej, jeśli zniesie udękę z całym, na jaki go stać, stoicyzmem. I naprawdę z pomocą wykrzywiania się i zagryzania warg byłby tego dokonał, gdyby jego wyobraźnia nadal pozostała w stanie beczynności. Ponieważ jednak w tego rodzaju przypadkach trudno jest zapanować nad wybrykami imaginacji, w głowie Putatoriusza powstała natychmiast myśl, że aczkolwiek przyczyną bólu jest chyba okrutna gorącość, może to jednak być zarówno oparzenie, jak ugryzienie, a jeśli tak się rzeczy mają — snadź jakiś tryton, traszka czy też inny obmierzły gad podpełził i wbił zęby w... Pod wpływem tej straszliwej myśli oraz na skutek nieznośnego żaru, jaki wydzielił w tej samej sekundzie kasztan, ogarnęła Putatoriusza nagła panika i w pierwszej chwili oszołomienia odebrała mu panowanie nad sobą — jak przytrafiało się to nieraz najlepszym spośród generałów. Czego następstwo było takie, że Putatoriusz podskoczył w zgoła niewstrzeźliwy sposób, wydając jednocześnie ów okrzyk zdumienia, nad którym rozwodzimy się tak szeroko, a który częściowo wykropkowany przedstawiał się w ten sposób: Rrr.....skie! Okrzyk ów, aczkolwiek niezupełnie kanoniczny, był jednakże najpowszechniejszym okrzykiem wydanym przez kogoś, kto znajdował się w podobnej sytuacji. Zaznaczyć zresztą wypada, że czy okrzyk ów był, czy nie był kanoniczny, Putatoriusz nie mógł go powstrzymać, tak jak nie mógł odwrócić jego przyczyny.

Chociaż w narracji zdarzenie to trwa dość długo, w rzeczywistości jednak zaledwie tyle zajęło czasu, ile Putatoriuszowi potrzeba było do wyciągnięcia i ci-

śnięcia kasztana z wielką siłą o podłogę — Yorickowi zaś do tego, by wstać z krzesła i podnieść kasztan z podłogi.

Osobliwie jest obserwować zwycięstwo błahych wypadków nad umysłem ludzkim. Jak nieprawdopodobnie wielki wywierają one wpływ na kształtowanie się naszych sądów zarówno o ludziach, jak i o rzeczach! Dziwne to w istocie, że drobnostki lekkie niczym podmuch wiatru mogą wwionąć w duszę ludzką mniemanie, które zakorzeni się w niej tak głęboko, że i Euklidesowe rozumowania dowodowe, gdyby ich można było użyć jako taranu, nie zdołałyby uczynić w owym mniemaniu wyłomu.

Yorick, powiadam, podniósł kasztan, który Putatoriusz z furią rzucił na podłogę. Był to postępek bagatelny i wstyd mi podawać jego motywy. Yorick zrobił to jedynie z tej przyczyny, że jego zdaniem kasztan nie był na skutek opisanej przygody ani o jotę gorszy, a także ponieważ uważał, że po dobry kasztan warto się schylić. Lecz zdarzenie to, jakkolwiek błahe, zgoła odmiennie zostało potraktowane przez Putatoriusza. Uznał on, iż przez sam akt wstania z krzesła i podniesienia kasztana Yorick przyznał się, że kasztan należał początkowo do niego; oraz dalej taki wysnuł wniosek, że tylko właściciel kasztana (i nikt inny) mógł spłatać mu przy jego pomocy takiego psikusa. Bardziej jeszcze utwierdziło Putatoriusza w tym przekonaniu to, że stół był prostokątny i wąski, a więc Yorick, który siedział dokładnie naprzeciw niego, mógł bez wielkiego trudu wrzucić mu kasztan do szczeliny w spodniach — i że to uczynił. Wzrok zawierający coś więcej niż zwykle podejrzenie, którym Putatoriusz jawnie obrzucił Yoricka, gdy myśl owa zaświtała mu w głowie, aż nazbyt dobitnie wyrażał jego opinię, a ponieważ wszyscy uważali, że Putatoriusz wie o tej sprawie więcej niż ktokolwiek inny, jego opinia stała się natychmiast powszechną opinią. Z przyczyny zaś zgoła odmiennej niż wszystkie dotąd podawane zaprzestano niebawem wszelkich na jej temat sporów.

Gdy wielkie lub niespodziewane wydarzenia rozgrywają się na scenie tego naszego podksiężycowego świata, umysł ludzki, który jest formacją ze wszech miar badawczą, wybiega, rzecz jasna, za kulisy, aby się przekonać, jaka jest tych wydarzeń najpierwsza i prawdziwa przyczyna. W tym przypadku poszukiwania nie trwały długo.

Wszystkim było wiadomo, że Yorick nie miał wysokiego mniemania o traktacie Putatoriusza *De concubinis retinendis*, uważał bowiem, iż dzieło to uczyniło wiele zła na świecie. Dlatego biesiadnicy dopatrzyli się bez trudu ukrytego znaczenia w figlu Yoricka i doszli do wniosku, że wrzucenie gorącego kasztana do putatoriuszowego \*\*\*\*\* było złośliwą aluzją do jego książki, której doktryny, powiadali, rozpały jednego uczciwego człeka w tymże miejscu.

Ta myśl zbudziła Somnolencjusza, wycisnęła uśmiech na wargi Agelastesy — a jeśli zdolni jesteście sobie uprzytomnić, czytelnicy, spojrzenie i wyraz twarzy człowieka pochłoniętego rozwiązywaniem zagadki, taki właśnie nadała wygląd obliczu Gastriferesa. Słowem, domniemany figiel Yoricka uznany został przez wielu za majstersztyk arcydowcipu.

Wszystko to, o czym zresztą czytelnik naocznie się przekonał, było bezpodstawne niczym rojenia filozofów. Yorick był niewątpliwie, jak to już Szekspir powiedział o jego przodku, „żartownisem”, jednakże skłonność ta miarkowana była czymś, co powstrzymywało Yoricka od przytoczonego oraz wielu innych złośliwych figli, o które niesłusznie go obwiniano. Ale na jego nieszczęście przez całe życie przypisywano mu tysiączne czyny i słowa, do których natura Yoricka (chyba że zaślepią mnie żywione dla niego poważanie) nie była zdolna. Ganię w nim jedynie — a raczej niekiedy ganię, kiedy indziej chwale — owo dziwactwo natury, które wzbraniało mu podejmować trud prostowania krzywdzących opowiastek, jakkolwiek rzecz taka leżała w jego mocy. Ilekroć traktowano go w ów niesprawiedliwy sposób, Yorick postępował dokładnie

tak, jak w przypadku ze swą chudą szkapą — mógł wyjaśnić wszystko z wielkim dla siebie honorem, uważał jednak, że nie licuje to z jego godnością. Ponadto zaś taką żywił pogardę dla tych, co obmyślali, rozsiewali i wierzyli w plugawe i niezmiennie krzywdzące go pogłoski, iż nie mógł zniżyć się do udzielenia im wyjaśnień — ufał jeno, że wyręczą go w tym Czas i Prawda.

Ten heroiczny rys charakteru przyczyniał Yorickowi wielu najróżniejszych turbacji. W obecnym przypadku wywołał trwałą niechęć Putatoriusza, który obaczywszy, że Yorick uporał się był właśnie z jego kasztanem, wstał po raz drugi z krzesła, aby okazać mu swoje uczucie; co też uczynił, przyznać trzeba, z uśmiechem, nadmieniając jeno, że postara się nie zapomnieć o swoim długu.

Zważcie jednak, czytelnicy, jako też najstaranniej rozdzielcie i rozróżnijcie w waszych umysłach te dwie rzeczy:

Uśmiech przeznaczony był dla kompanii.

Pogróżka dla Yoricka.

## ROZDZIAŁ XXVIII

— Czy możesz mi powiedzieć — rzecze Putatoriusz do Gastriferesa, który siedział przy nim — nie przystoi bowiem zwracać się z taką bagatelną sprawą do lekarza, czy możesz mi więc powiedzieć, Gastriferesie, co najlepiej wyciąga gorączkę? — Spytał Eugeniusza — odparł Gastriferes. — To zależy — ozwał się Eugeniusz udając, że nic mu nie jest wiadomo o całej przygodzie — od natury sparzonego miejsca. Jeżeli jest to część ciała delikatna i dająca się łatwo owinać... — Odpowiada zarówno jednemu, jak i drugiemu warunkowi — przerwał Putatoriusz kiwając z emfazą głową i kładąc dłoń na części, o której była mowa, jednocześnie zaś podnosząc prawą nogę dla większej wy-

gody i lepszej wentylacji. — Skoro tak się rzecz przedstawia — rzekł Eugeniusz — radziłbym ci, Putatoriuszu, abyś pod żadnym pozorem nie próbował jakoś najbliźszego drukarza i zaufasz tak prostemu lekowskiemu jak miękki arkusz zdjęty dopiero co z prasy, wystarczy, abyś owinał dokoła sparzone miejsce. — Chociaż wiem — zabrał głos Yorick (który siedział obok swego przyjaciela Eugeniusza) — że wilgotny papier wydziela orzeźwiający chłód, to jednak mniemam, iż jest on zaledwie czynnikiem pośrednim i że olej i farba drukarska, którym ów papier jest obficie nasycony, mają znaczenie lecznicze. — Słusznie mówisz — przytaknął Eugeniusz — ja zaś dodać tylko muszę, że są one ze wszystkich środków zewnętrznych, jakie ośmieliłbym się rekomendować, najbardziej uśmierzające i niezawodne.

— Gdyby o mnie chodziło — rzecze Gastriferes — to skoro olej i farba drukarska wydają się najważniejsze, rozsmarowałbym je grubo na szmatce i klap! przyłożyłbym wprost do sparzonej części. — Dopiero byś sobie napytał biedy — odparł Yorick. — A zresztą — dodał Eugeniusz — byłoby to sprzeczne z celem kuracji, która polega na niezmiernej schludności i wykwincie tego środka, co znów wedle mężów z fakultetu medycznego w połowie stanowi o uzdrowieniu. Zważ bowiem, że jeśli czcionki są bardzo małe (a takie być powinny), istnieje ta korzyść, iż uzdrawiające drobinki, które stykają się z oparzeliną, rozsmarowane są nieskończenie cienko i z tak matematyczną wręcz dokładnością (wyjawszy tytuły rozdziałów i wersaliki), jakiej osiągnąć nie zdoła żadne mistrzostwo we władaniu balwierską kopystką. — Szczęśliwie się do prawdy składa — odparł Putatoriusz — że drugie wydanie mojego traktatu *De concubinis retinendis* właśnie jest w druku. — Możesz, Putatoriuszu — powiedział Eugeniusz — posłużyć się jakąkolwiek stroną, wszystko jedno którą. — Pod warunkiem — dodał Yorick — że nie ma na niej sprośności.

— Właśnie teraz — odparł Putatoriusz — drukuje się dziewiąty rozdział, który jest przedostatnim rozdziałem księgi. — A czy wolno spytać, jak brzmi tytuł tego rozdziału? — ozwał się Yorick, jednocześnie składając Putatoriuszowi pełen czci ukłon. — Wydaje mi się, iż jest to rozdział *De re concubinaria*.

— Na miłość boską! — rzecze Yorick. — Unikaj jak ognia tego rozdziału.

— Wszelkimi możliwymi sposobami — dodał Eugeniusz.

## ROZDZIAŁ XXIX

— Otóż — rzekł Didiusz wstając, przy czym rozczepił palce prawej ręki i przyłożył je do piersi — gdyby taka omyłka z imieniem popełniona została przed reformacją (— Została popełniona onegdaj — rzekł do siebie mój stryjasek Toby), kiedy to przy udzielaniu chrztu posługiwano się łaciną... (— Cały chrzest był po angielsku — rzekł do siebie mój stryjasek Toby)... mogłoby jednocześnie zdarzyć się wiele innych przypadków, które pozwoliłyby, w oparciu o precedensy orzeczeń w najrozmaitszych sprawach, ogłosić chrzest za nieważny z prawem nadania dziecięciu nowego imienia. Na przykład gdyby kapłan przez nieznamość łaciny, co było rzeczą w tamtych czasach dość pospolitą, ochrzcił dziecko Toma O'Stiles *in nomine patriae et filia et spiritum sanctos* — chrzest zostałby uznany za nieważny. — Wybacz mi, Didiuszu — rzecze Kyzarcjusz — lecz w tym przypadku, jako że błędnie zostały wypowiedziane tylko końcówki, chrzest byłby ważny — aby zaś mógł być unieważniony, kapłan musiałby popełnić błąd w pierwszej synlabie każdego rzeczownika, nie zaś, jak podałś w twoim przykładzie, w ostatniej.

Mój ojciec, który znajdował szczególne upodobanie

w tego rodzaju subtelnostkach, przysłuchiwał się dyspucie z najwyższą uwagą.

— Na przykład Gastriferes — ciągnął dalej Kyzarcjusz — ochrzcił dziecię Johna Stradlinga *in gomine gattris* etc., etc. zamiast *in nomine Patris* etc. Czy jest to chrzest? Nie, powiadają najprzedniejsi znawcy prawa kanonicznego — ponieważ rdzeń każdego wyrazu jest tutaj zniekształcony, znaczenia zaprzepaszczone i zupełnie przeinaczone. Albowiem *gomine* nie znaczy imię, *gattris* zaś nie znaczy ojciec. — A co znaczą te słowa? — spytał stryjasek Toby. — Nic zgoła — rzecze Yorick. — *Ergo*, taki chrzest jest nieważny — powiedział Kyzarcjusz.

— Rzec najoczywistsza — odparł Yorick tonem w dwóch trzecich kpiącym, w jednej poważnym.

— Jednakże w przytoczonym przypadku — ciągnął dalej Kyzarcjusz — w którym *patriae* postawiono w miejsce *patris*, *filia* — *fili* etc., to ponieważ jest to jedynie błąd w przypadkowaniu, rdzenie zaś wyrazów nie zostały zniekształcone, dowolna odmiana ich końcówek w najmniejszej nawet mierze nie podważa prawomocności chrztu — jeśli tylko sens słów pozostał ten sam. — Ale przecież — rzekł Didiusz — udowodnione ponadto być musiało, że kapłan miał szczerą intencję wypowiedzenia słów formuły zgodnie z gramatycznymi regułami. — Słusznie — odparł Kyzarcjusz. — Jako przykład tego, bracie Didiuszu, może nam służyć pewne orzeczenie w dekretaliach papieża Leona III. — Kiedy przecież dziecko mojego brata — zawołał stryjasek Toby — nie ma wspólnego z żadnym papieżem i jest sobie zwykłym dzieckiem protestanckiego dżentelmena, ochrzczonym imieniem Tristram wbrew woli i życzeniom zarówno ojca, jak matki, a także wszystkich krewnych.

— Gdyby w materii tej — przerwał Kyzarcjusz wywody mego stryjaska — miały być brane pod uwagę jedynie wola i życzenie tych, którzy związani są węzłami krwi z dzieckiem imci Shandy'ego, pani Shandy miałaby tu najmniej do powiedzenia. — Stryjasek

Toby wyjął fajkę z ust, mój ojciec zaś przysunął się bliżej stołu, aby tym lepiej słyszeć konkluzję po tak osobliwym początku.

— Otóż, kapitanie Shandy — ciągnął dalej Kyzarcjusz — zagadnienie, czy „matka jest krewną swojego dziecka”, nie tylko było przedmiotem sporów \* wśród najprzedniejszych prawodawców cywilnych i kościelnych naszego kraju, lecz co więcej, po długotrwałych a beznamiętnych badaniach i miotaniu argumentami tak po jednej, jak po drugiej stronie, odpowiedź dano przeczącą, a mianowicie „że matka nie jest krewną swego dziecka”.\*\* — Mój ojciec zakrył natychmiast dłonią usta stryjaszka Toby'ego niby to szepcząc mu coś do ucha. Prawda jednak była taka, że bał się *Lillibullero*, a ponieważ pragnął usłyszeć ciąg dalszy niezwykłych wywodów, zaklinał stryjaszka Toby'ego w imię Boga, aby nie niweczył mu tej przyjemności. Stryjaszek skinął głową, włożył fajkę na powrót do ust i zadowolił się gwizdaniem *Lillibullero* w duchu. Kyzarcjusz, Didiusz i Tryptolemus prowadzili dalej dysputę.

— To orzeczenie — ciągnął Kyzarcjusz — jakkolwiek może wydać się sprzeczne z mniemaniem ogólnym, ma jednak silne podstawy rozumowe. I stało się bezsporne dzięki słynnej sprawie, znanej powszechnie jako sprawa księcia Suffolku. — Przytacza ją Brook — wtrącił Tryptolemus. — Cytuje ją także w dziele Swinburna „O testamentach” — dodał Kyzarcjusz.

— A sprawa, panie Shandy, tak się przedstawiała: Za panowania Edwarda VI Karol książę Suffolku, spłodziwszy syna w jednym małżeństwie i córkę w drugim, sporządził ostatnią wolę, w której zapisał cały majątek synowi, po czym zmarł. Niebawem zmarł również syn nie pozostawiając ani testamentu, ani żony, ani potomka, matka zaś jego i siostra przyrodna

\* Vide Swinburn O testamentach, część 7, § 8. (przyp. autora).

\*\* Vide Brook, Abridg. Tit. Administr. N. 47. (przyp. autora).

(zrodzona z pierwszego małżeństwa) żyły. Matka przejęła zarząd majątku syna, zgodnie z XXI statutem Henryka VIII, w którym to statucie postanowiono, iż w przypadku, gdy ktoś zemrze nie pozostawwszy testamentu, zarząd jego majątkiem obejmuje najbliższy krewny.

Ponieważ zarząd majątkiem przekazany został w ten (podstępny) sposób matce, siostra przyrodnia wytoczyła skargę przed sąd biskupi dowodząc: 1) Że ona jest najbliższą krewną zmarłego, 2) Że matka w ogóle nie jest krewną zmarłego. Z tych przyczyn prosiła sąd, aby zarząd majątkiem został odebrany matce i na mocy pomienionego aktu przekazany jej jako najbliższej krewniej.

Wtenczas, jako że sprawa była zasadnicza i wiele zależało od jej wyniku — liczne bowiem spory o wielkie majątki mogły być przypuszczalnie rozstrzygane w przyszłości na podstawie stworzonego precedensu — zwrócono się do najuczestniejszych spośród uczonych, zarówno w prawie naszym krajowym, jak i prawie rzymskim, z pytaniem, czy matka jest, czy nie jest krewną swego syna. Okazało się, że nie tylko prawnicy świeccy, lecz również kościelni — *juris-consulti*, *juris-prudentes*, cywiliści, adwokaci, delegaci biskupów, sędziowie konsystorzów i sądów arcybiskupich w Canterbury i York, wszyscy jednomyślnie wyrazili opinię, że matka nie jest krewną swego dziecka.\*

— A co na to powiedziała księżna Suffolk? — spytał stryjasek Toby.

Tym niespodziewanym pytaniem mój stryjasek zmieszał Kyzarcjusza bardziej, niż zdołałby to uczynić najzręczniejszy prawnik. Kyzarcjusz umilkł i przez pełną minutę spoglądał w twarz mojego stryjaska nie odpowiadając mu, w ciągu zaś tej jednej minuty Tryptolemus wyrwał mu z rąk wodze dysputy i w tych słowach ciągnął dalej:

\* *Mater non numeratur inter consanguineos*, Bald. in ult. c. de Verb. signific. (przyp. autora).

— Jest to podstawa i najgłówniejsza zasada prawa — rzecze Tryptolemus — że dziedziczenie odbywa się po linii zstępującej, nie zaś wstępującej. Dzieje się to zapewne z tej przyczyny, że jakkolwiek prawdą jest, iż dziecko może być tej samej krwi i pnia co rodzice, to jednak rodzice nie są tej samej krwi i pnia co ich dzieci; ponieważ rodzice nie zostali poczęci przez dzieci, lecz dzieci zostały poczęte przez rodziców. Tak bowiem napisano: *Liberi sunt de sanguine patris et matris, sed pater et mater non sunt de sanguine liberorum.*

— Ta konkluzja, Tryptolemusie — zawołał Didusz — nazbyt daleko sięga, z cytowanego bowiem przez ciebie twierdzenia wynika nie tylko to, co istotnie uznane już zostało przez wszystkich, czyli że matka nie jest krewną swego dziecka, lecz również, że nie jest jego krewnym ojciec. — A bo też taki istnieje pogląd — rzecze Tryptolemus. — Albowiem ojciec, matka i dziecko, aczkolwiek uznać ich należy za trzy odrębne indywidua, są jednak *una caro* \* — z jednego ciała, i z tej racji ani nie są z sobą spokrewnieni, ani też nie mają żadnego sposobu osiągnięcia pokrewieństwa *in natura*. — Tu znowu zagalopowałeś się za daleko — zawołał Didusz — albowiem nie ma żadnych zakazów *in natura* (lubo istnieją w tym względzie przepisy prawa Mojżeszowego) wzbraniających mężczyźnie począć potomka w ciele własnej babki. W tym zaś wypadku, gdyby zrodzona została, powiedzmy, córka, byłaby ona krewną zarówno... — Ale komu przysłoby do głowy, żeby spać z własną babką? — zawołał Kyzarcjusz. — Temu młodzieńcowi — odparł Yorick — o którym wspomina Selden. Otóż młodzieniec ów nie tylko o tym pomyślał, lecz co więcej usprawiedliwił swój zamiar przed ojcem za pomocą argumentu zaczerpniętego z prawa odwetu. „Ty, panie ojcze, sypiasz z moją matką — rzekł chłopiec — czemu więc ja nie miałbym sypiać z twoją?” Jest to *argumentum*

\* Vide Brook, Abridg. Tit. Administr. N. 47 (przyp. autora).

*commune* — dodał Yorick. — Jest taki — rzecze Eugeni-  
niusz zdejmując kapelusz z haka — na jaki zasługują.  
Towarzystwo rozeszło się.

## ROZDZIAŁ XXX

— Zechciej mi powiedzieć... — rzekł stryjasek Toby wspierając się na ramieniu Yoricka, który wraz z moim ojcem powoli sprowadzał go ze schodów. — Nie lękaj się, pani, ta rozmowa na schodach krótsza jest od poprzedniej. — Zechciej mi, Yoricku, powiedzieć — rzekł tedy stryjasek Toby — w jaki sposób ci uczeni mężowie rozstrzygnęli sprawę naszego Tristrama? — W nader korzystny — odparł Yorick. — Możemy więcej nie kłopotać się o nią, albowiem jejmość Shandy nie jest w żadnym stopniu krewną swego dziecka; że zaś pokrewieństwo matki to rzecz najpewniejsza, Imć Shandy jest w mniejszym niż żaden stopniu krewnym swego dziecka. Słowem, panie, jest z nim mniej spokrewniony niżli ja.

— To nie jest nieprawdopodobne — rzekł mój ojciec potrząsając głową.

— Niech tam sobie uczeni mówią, co chcą — ozwał się stryjasek Toby — ja przecie twierdzę, że musiało być jakieś pokrewieństwo między księżną Suffolk a jej synem.

— Prostaczkowie po dziś dzień dzielają to mniemanie — rzekł Yorick.

## ROZDZIAŁ XXXI

Aczkolwiek ojciec mój zachwycił się subtelnościami tych uczonych dyskursów, to jednak pomogły mu one mniej więcej tyle, co umarłemu kadzidło. W chwili powrotu do domu brzemień niedoli przytłoczyło go więk-

szym jeszcze ciężarem, jak to zwykle bywa, gdy stracimy podporę wszelkiej nadziei. Wpadał w zadumę, chadzał często nad staw rybny, opuścił skrzydła kapelusza, wzdychał żałośnie, przestał fukać i prychać, że zaś wybuchające raz po raz iskierki gniewu, które powodują fukanie, ułatwiają, jak nam powiada Hipokrates, funkcje oddychania i trawienia, ojciec mój z pewnością zaniemógłby ciężko na skutek ich wygaśnięcia — gdyby w chwili krytycznej myśli jego nie zostały skierowane na inne tory, a zdrowie podratowane nowymi troskami, które spadły nań wraz z tysiącem funtów zapisu w testamencie ciotki Diny.

Zaledwie ojciec przeczytał list, a już (przystąpiwszy do rzeczy jak należy) zaczął dręczyć się i łamać sobie głowę, jak by tu najlepiej zużytkować spadek na chwałę rodziny. Sto pięćdziesiąt najrozmaitszych projektów zaprzętało kolejno jego myśli. Pojedzie do Rzymu — zacznie się procesować — zwiększy inwentarz — kupi farmę Johna Hobsona — zmieni fasadę domu i dobuduje nowe skrzydło. Po tej stronie rzeki stał piękny młyn wodny, wybuduje więc po drugiej stronie wiatrak — aby było do pary. Lecz przede wszystkim rozpocznie gradzenie wielkiej łąki Oxmoore i natychmiast wyprawi w podróż po świecie mojego brata Bobby'ego.

Ponieważ suma była wielkości określonej i jako taka nie mogła starczyć na wszystko, a tylko na niektóre wydatki, i to z biedą — spośród wszystkich, jakie brał w rachubę przy tej okazji, dwa ostatnie najsilniej przemawiały do mojego ojca. I niewątpliwie zdecydowały się na oba, gdyby nie drobna niedogodność, o której przed chwilą wspomniałem, a która postawiła go wobec bezwzględnej konieczności zdecydowania się na jeden lub drugi.

Nie było to bynajmniej takie łatwe; bo choć rzecz to pewna, że ojciec już od dawna pragnął gorąco zapewnić mojemu bratu tę niezbędną część edukacji, będąc zaś człowiekiem roztropnym, postanowił pragnienie to wcielić w życie z pomocą pierwszej gotówki,

jaka wpłynie z drugiej emisji akcji Missisipi, w którym to hazardownym przedsięwzięciu próbował szczęścia — jednakże Oxmoore (a było to piękne, ogromne, porosłe janowcem, nie osuszone, leżące odłogiem gminne pastwisko) niemal tak samo dawne rościło sobie prawa do pierwszeństwa w jego sercu. Długo i z miłością pieścił w duszy myśl wprowadzenia w czyn i tego projektu.

Że jednak nigdy dotąd nie znajdował się w okolicznościach, które zmuszałyby go do ustalenia pierwszeństwa lub zadecydowania o słuszności jednego z tych roszczeń, jako człowiek prawdziwie mądry powstrzymywał się od drobiazgowego lub krytycznego ich badania. Gdy więc w tej chwili przełomowej odrzucił precz wszystkie inne zamierzenia, dwa dawne projekty: ŁĄKI OXMOORE i MOJEGO BRATA ponownie skłóciły ojcowskie uczucia. Były zaś tak równymi sobie przeciwnikami, że stały się przyczyną niemałych walk w duszy starego jegomościa. Który miał być pierwszy wcielony w życie?

Śmiejcie się, jeśli chcecie — lecz sprawa tak się przedstawiała:

Od niepamiętnych czasów utrzymywał się w naszej rodzinie zwyczaj — który z biegiem lat stał się bez mała niepisanym prawem — udzielania pierworodnemu synowi (przed wejściem w związek małżeński) środków na wyjazd do krajów cudzoziemskich jako też wojażowanie po tych krajach i powrót do pieleszy domowych, nie tylko w celu udoskonalenia talentów dzięki doświadczeniom z podróży i zmianie klimatu, lecz przede wszystkim dla zwykłej delectacji wyobraźni przez zdobycie laurów człowieka bywałego za granicą. *Tantum valet*, powiadał mój ojciec, *quantum sonat*.

Ponieważ były to rozkosze godziwe i bardzo chrześcijańskie, pozbawienie mojego brata tego przywileju bez żadnej ku temu przyczyny czy racji, i tym samym napiętnowanie go jako pierwszego Shandy'ego, który nie byłby obwożony w karecie pocztowej po europej-

skim kontynencie, a to jedynie dlatego, iż nie miał szczęścia — byłoby równoznaczne z dziesięciokroć gorszym traktowaniem go niż jakiego Turczyna.

Z drugiej strony sprawa Oxmoore nie mniej była nagląca.

Prócz pierwotnej sumy kupna, która wynosiła osiemset funtów, łąka Oxmoore kosztowała rodzinę Shandy'ch dalsze osiemset funtów w wydatkach na proces sądowy przed laty piętnastu — prócz tego Bóg jeden wie ile kłopotów i turbacji.

Co więcej, znajdowała się w posiadaniu rodziny od połowy ubiegłego stulecia. A chociaż leżała na widoku, tuż przed domem, granicząc jednym krańcem z młynem wodnym, drugim zaś z projektowanym wiatrakiem, o którym mowa wyżej, i dla wszystkich tych przytoczonych racji zdawała się mieć najszlachetniejszy w całym majątku tytuł do starań i opieki — to jednak na skutek niepojętej jakiejś fatalności, wspólnej zarówno ludziom, jak i ziemi, po której stąpają, była zawsze zaniedbywana w najbardziej haniebnym sposób. A prawdę mówiąc, tak srodze przez to ucierpiała, że na widok jej obecnego stanu krwawić musiałoby (tak utrzymywał Obadiasz) serce każdego człowieka, który zna się na wartości ziemi.

Ponieważ jednak ani kupno tego szmatu gruntu, ani tym bardziej umieszczenie go tam, gdzie się znajdował, nie było, ściśle mówiąc, dziełem mojego ojca, nigdy nie uważał się on za szczególnie zainteresowanego w tej sprawie — aż do owej chwili przed laty piętnastu, kiedy rozpętanie przeklętego procesu sądowego, o którym wspomniałem (a który wszczęty został o granice łąki i był własnym mojego ojca czynem i dziełem), rozbudziło wszystkie inne argumenty przemawiające na jej korzyść. Zsumowawszy je zaś wszystkie ojciec zrozumiał, że nie tylko interes, lecz także honor każe mu coś w tej sprawie uczynić — i że teraz (lub nigdy!) jest po temu sposobna pora.

Była to moim zdaniem okoliczność bardzo niefortunna, że racje po obu stronach tak dokładnie wzajem

się równoważyły. Bo chociaż ojciec szacował je w mytuacjach — choć spędził niejedną pełną niepokoju godzinę na najdociekliwszych i najbardziej abstrakcyjnych medytacjach nad tym, co winien zrobić — czytając jednego dnia traktaty poświęcone rolnictwu, drugiego zaś dzieła podróźnicze, powściągając wszystkie namietności, badając argumenty po obu stronach w ich wszelkich możliwych oświeceniach i położeniach, naradzając się co dzień ze stryjaszkiem Toby'm, dysputując z Yorickiem i omawiając szczegółowo całe zagadnienie łąki z Obadiaszem — przecież przez cały czas nie wyłonił się ani jeden argument silnie przemawiający na rzecz jednego, który albo nie byłby jednocześnie słuszny w odniesieniu do drugiego albo którego nie neutralizowałyby jakieś względy takiej samej wagi, utrzymujące szale na jednym poziomie.

Rzecz to bowiem pewna, że chociaż przy zastosowaniu odpowiednich środków i w rękach właściwych ludzi łąka Oxmoore osiągnęłaby w świecie pozycję zgoła inną niż ta, którą dotąd osiągnąć zdołała lub w obecnych warunkach osiągnąć mogła, to jednak powyższe w ogromnej mierze odnosiło się również do mojego brata Bobby'ego — cokolwiek Obadiasz mógł rzec na ten temat.

Przyznaję, że jeśli idzie o korzyści natury materialnej, walka na pierwszy rzut oka nie wydawała się bynajmniej tak trudna do rozstrzygnięcia; ilekroć bowiem ojciec mój brał pióro do ręki i zaczynał zliczać proste wydatki wykoszenia, wypalenia, ogrodzenia etc., etc. łąki oraz porównywać je z niechybnymi dochodami, jakie by mu ona w zamian przyniosła, te ostatnie wzrastały w jego kalkulacji do tak nadzwyczajnych rozmiarów, iż gotowi bylibyście przysiąc, że łąka Oxmoore odniesie walne zwycięstwo. Wydawało się bowiem pewne, że ojciec zbierze sto korcy rzepaku po dwadzieścia funtów korzec już w pierwszym roku; nie mówiąc o doskonałym zbiorze pszenicy w roku następnym, w roku zaś trzecim (licząc ostrożnie) sto, lecz

według wszelkiego prawdopodobieństwa sto pięćdziesiąt, jeżeli nie dwieście korcy fasoli i grochu. A ponadto ziemniaków bez liku. Z drugiej jednak strony myśl, że przez cały czas będzie tuczył mojego brata na tych płodach niczym prosiaka, znowu wywraçała wszystko na nice i zazwyczaj pozostawiała starego jegomościa w stanie takiej niepewności, że, jak to często mawiał do stryjaszka Toby'ego, nie miał pojęcia, co czynić.

Ten jedynie, kto sam tego doznawał, zdoła pojąć udrękę człowieka, którego duszą targają dwa zamysły jednakowej mocy, przy czym oba ciągną uparcie i każdy w swoją stronę. Nie mówiąc już bowiem o spustoszeniu, jakie w następstwie takiej szarpaniny poczynione być musi nieuniknienie w układzie co delikatniejszych nerwów, które, jak zapewne wiecie, przekazują lotne substancje i najwrażliwsze fluidy z serca do głowy i tak dalej — trudno wprost przewidzieć, jak dalece takie bezładne tarposzenie oddziaływa na twardsze i masywniejsze części organizmu, marnotrawiąc tłuszcz i osłabiając siły człowieka przy każdym szarpnięciu w tę lub tamtą stronę.

Ojciec załamałby się pod ciężarem tego zła, jak niechybnie załamałby się pod ciosem zgotowanym mu przez moje IMIĘ CHRZESTNE, gdyby tak w jednym, jak i w drugim przypadku nie uratowało go nowe zło, czyli śmierć mojego brata Bobby'ego.

Czymże jest życie człowieka? Czyż nie jest bezustannym przechodzeniem z niedoli w niedolę, tłumieniem jednej przyczyny strapienia i otwieraniem wrót następnej?

## ROZDZIAŁ XXXII

Od tej chwili winienem być uważany za jedynego prawowitego dziedzica rodu Shandy'ch i po prawdzie od tego dopiero miejsca rozpoczyna się historia mojego

ŻYWOTA i moich MYŚLI. Mimo całego pośpiechu i skwapliwości oczyściłem dotąd zaledwie grunt pod budowlę — tuszę zaś, iż będzie to budowla taka, jaka nigdy nie była projektowana ani też nigdy nie została wzniesiona od czasów Adama. Za niecałe pięć minut cisnę pióro w ogień, potem zaś maleńką kroplę gęstego atramentu, która ostanie się na dnie kałamarza... och, mam zaledwie dziesięć rzeczy do zrobienia w tym czasie. Muszę dla jednej rzeczy znaleźć nazwę, nad jedną rzeczą ubolewać, co do jednej muszę łudzić się nadzieją, jedną muszę przyrzec i jednej muszę się obawiać. Ponadto jednej rzeczy muszę się domyślić, jedną rzecz muszę oznajmić, jedną zataić, jedną wybrać i o jedną się pomodlić. Przeto rozdział ten nazwę moim rozdziałem o RZECZACH — następny zaś mój rozdział po tym rozdziale, czyli pierwszy rozdział następnej książki będzie, jeśli dożyję, moim rozdziałem o WAŚSACH, który napiszę, aby utrzymać jaką taką spójność wewnętrzną dzieła.

Ubolewam nad tym, że osaczyła mnie ze wszech stron taka mnogość rzeczy, iż nie zdołałem jeszcze dotrzeć do tej części dzieła, do której dążę cały czas z najwyższym utęsknieniem; mam na myśli wyprawy wojenne, a zwłaszcza amory mojego stryjaczka Toby'ego, w których poszczególne wypadki są tak osobliwej natury i tak cervantesowskie w formie, że jeśli zdołam tylko przekazać innym umysłom wrażenie, jakie trafunki owe wywołują w moim umyśle, głowę dam, że dzieło to osiągnie w świecie powodzenie o wiele większe, niż osiągnął przed nim jego twórca. O Tristramie, Tristramie! Jeśli tak się stanie, sława, która przypadnie ci w udziale jako autorowi, zrównoważy te liczne niedole, które spotkały cię jako człowieka. Będziesz się radował jednym, zapomniawszy i pogrzebawszy w niepamięci drugie!

Nie dziwota, że taką mam chętkę dobrać się do tych amorów. Są one najwyborniejszym kąskiem mojej opowieści! Bądźcie przeto pewni, zacni moi, że gdy wreszcie do nich dotrę, nie będę bynajmniej wybredny w do-

borze słów (ani też będę zważał, czyj grymaśny żołądek zechce się przed nimi wzdragać) — i to jest ta rzecz, którą chcę oznajmić. W żaden sposób nie zdolam skończyć wszystkiego w pięć minut — i to jest ta rzecz, której się obawiam. Natomiast rzecz, co do której ludzę się nadzieją, to że Wasze Wielmożności i Wasze Wielebności nie czują się zgorżone — jeśli tak, wierzcie mi na słowo, zacni panowie szlachta, że w przyszłym roku ofiaruję wam lepszy powód do zgorżenia. Czyli powiem wam, w jaki sposób droga moja Jenny... Lecz kim jest droga moja Jenny i gdzie znajduje się właściwy, a gdzie niewłaściwy koniec u niewiasty — to jest rzecz, którą muszę przed wami zataić. Powiadomię was o tym w rozdziale następnym po rozdziale o DZIURKACH OD GUZIKÓW — ale ani o jeden rozdział wcześniej.

A skoroście dotarli do końca czterech tomów, o jedną rzecz muszę was spytać: jak tam wasze głowy? Moją ból rozsadza nieznośny. Jeżeli idzie o wasze zdrowie, wiem, iż macie się znacznie lepiej. Prawdziwy shandyzm (cokolwiek chcielibyście mu zarzucić) rozwiera serce i płuca i jak wszystkie podobnej natury wzruszenia zmusza krew oraz inne życiodajne fluidy ciała do swobodnego przepływania przez ich dukty oraz toczy koło życia długo i radośnie.

Gdyby pozwolono mi, jak Sancho Pansie, wybrać sobie królestwo, nie byłoby to królestwo morskie ani też królestwo czarnych, z których mógłbym wydusić grosiwo. Nie. Byłoby to królestwo zamieszkałe przez wesóły, skory do śmiechu lud. Że zaś wszelkie zrzędne i gniewliwe namiętności wywołują zaburzenia w krwi i humorach i na skutek tego, jak zaobserwowałem, wywierają zgubny wpływ zarówno na organizmy państwowe, jak ludzkie, a także, ponieważ tylko głęboko ugruntowana cnota zdolna jest władać tymi namiętnościami i podporządkować je rozumowi, winienem dorzucić do mych modłów to jeszcze błaganie: niech Bóg obdarzy moich poddanych łaską i sprawi, aby tak byli MĄDRZY, jak są WESELI. Wtenczas będę naj-

szcześliwszym monarchą, oni zaś najszczęśliwszym ludem na ziemi.

Zostawiwszy ten morał w podarku, żegnam się z Waszymi Wielmożnościami i Wielebnościami aż do chwili w której za miesiąc dwanaście (chyba że wprzód zabije mnie ten niegodziwy kaszel) znów porządnie wytargam wam brody i przedstawię światu opowieść o jakiej nigdy wam się nie śniło.

z  
t  
v  
j  
v  
t  
t  
f  
d  
s  
l  
n  
n  
s  
v  
a  
v  
c